

alice clayton

SEKS
I ORZESZKI

NUTS

TOM 1 BESTSELLEROWEJ SERII "HUDSON VALLEY"

Tytuł oryginalny: *Nuts*

Autor: Alice Clayton

Tłumaczenie: dr Agnieszka Kocel, Kancelaria LingLex

Redakcja: Magdalena Binkowska

Korekta: Aleksandra Tykarska

Projekt graficzny okładki: Marcin Pytlowany

Skład: Marek Strypling

Zdjęcie na okładce: BigLike Images/Shutterstock

Redaktor prowadząca: Angelika Ogrocka

Redaktor inicjująca: Agnieszka Skowron

Redaktor naczelna: Agnieszka Hetnał

Copyright © 2015 by Alice Clayton

First Gallery Books trade paperback edition October 2015

GALLERY BOOKS and colophon are registered trademarks of Simon & Schuster, Inc.

Copyright for the Polish edition © Wydawnictwo Pascal

Ta książka jest fikcją literacką. Jakiegokolwiek podobieństwo do rzeczywistych osób, żywych lub zmarłych, autentycznych miejsc, wydarzeń lub zjawisk jest czysto przypadkowe. Bohaterowie i wydarzenia opisane w tej książce są tworem wyobraźni autorki bądź zostały znacząco prze-

tworzone pod kątem wykorzystania w powieści.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej książki nie może być powielana lub przekazywana w jakiejkolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy, za wyjątkiem recenzentów, którzy mogą przytoczyć krótkie fragmenty tekstu.

Bielsko-Biała 2017

Wydawnictwo Pascal sp. z o.o.

ul. Zapora 25

43-382 Bielsko-Biała

tel. 338282828, fax 338282829

pascal@pascal.pl, www.pascal.pl

ISBN 978-83-8103-002-1

*Peterowi – za to, że został moim mężem
cztery dni przed ukazaniem się tej książki.*

Podziękowania

Pomysł całej serii narodził się pewnego popołudnia na Schlafly Farmers Market w St. Louis w Missouri. Jak co środa, targając ekologiczne torby, wybraliśmy się tam z Panem Alice, chętni wesprzeć lokalnych rolników i nastawieni na to, że wypełnimy bagażnik fantastycznymi produktami. Jak to zwykle w moim przypadku bywa, wyprawa zakończyła się istną rozpustą granicząca z rozwiązłością. Rozwiązłością, gdyż przy nowym straganie za kontuarem stał najśłodszy cholerny rolnik, jakiego w życiu spotkałam. Był wysoki, przystojny i uroczo niechlujny, a do tego trzymał w dłoni największego ogórka, jakiego kiedykolwiek widziałam.

Nie żartuję.

Zanim dotarłam na początek kolejki – warto podkreślić, że Pan Alice nie bardzo wiedział, dlaczego chichoczę – miałam już zarys całkiem nowej serii książek, których fabuła miała się skupiać wokół lokalnych produktów serwowanych na restauracyjnych stołach... I na leżących na tych stołach rolnikach. W głowie zaczęłam przeglądać katalog możliwych tytułów.

Popieprzyć?

Zaburakujmy.

Hej, potrzyмай mojego ogórka.

Dzięki Bogu, zdecydowałam się jednak na mniej żenujący, aczkolwiek nie mniej zabawny tytuł NUTS. Zanim dotarliśmy do samochodu, z torbami pełnymi pięknych warzyw, owoców, chleba, drobiu, kiełbasek i tych cudnych, idealnie mieszczących się w dłoni miniszarlotek (wiecie, że kocham szarlotkę), zaczęłam już rozmyślać nad miejscami, w których mogłaby się rozgrywać akcja nowej serii. Hudson Valley i Nowy Jork wydawały się idealną lokalizacją. Im bardziej zapoznawałam się z tą okolicą, tym bardziej czułam, że to jest to, a z czasem zaczęły przychodzić mi do głowy kolejne historie. Razem z moją przyjaciółką, Niną Bocci, spędziłyśmy tam tydzień, bawiąc się i zaglądając do przepięknych małych miasteczek, jak New Paltz, Hyde Park, Tarrytown i Sleepy Hollow. Dotarliśmy nawet do Mohonk Mountain House, teraz jednego z moich ulubionych miejsc, ale o tym później...

Miałyśmy też okazję zwiedzić niewiarygodne gospodarstwo w wiosce

Pocantico Hills, zaraz za Tarrytown. Restauracja, a zarazem centrum rolnicze, Blue Hill at Stone Barns, to miejsce, które każdy powinien odwiedzić. W stu procentach stało się ono inspiracją dla farmy Maxwellów, bo to prawdziwie magiczny zakątek. Pracujący tam ludzie są pełni pomysłów, determinacji, a nade wszystko szacunku dla ziemi i zwierząt. Odwiedzając Hudson Valley przy kolejnej okazji, złapałam pociąg Metro-North1 z Grand Central, który zaskoczył mnie nie tyle pięknym wyglądem, co czasem przejazdu. Bardzo szybko można zostawić za sobą najbardziej ekscytujące z miast na Ziemi i znaleźć się w idealnie cichym nadrzecznym miasteczku. Uzależniłam się od wszystkiego co hudsonskie!

1 Nazwa przewoźnika kolejowego.

Po powrocie do domu zaczęłam szukać informacji o rolnikach, których widywałam każdego tygodnia na targu. Znam faceta hodującego kurczaki. Wiem, gdzie znaleźć zdecydowanie najlepszy dżem jagodowy i znam kobietę, która go robi. Znam też gościa, który potrafi zrobić tak świetną kiełbasę, że po zjedzeniu jednej chce się... cóż... kolejnej. Tendencja do wykorzystywania w restauracjach lokalnych produktów nie jest dziś tylko trendem – to powrót do tego, co było kiedyś, do świadomości, skąd pochodzi żywność, i możliwości wsparcia lokalnej inicjatywy. Takie rozwiązanie jest lepsze dla nas, lepsze dla rolników, lepsze dla ziemi i niech mnie piorun strzeli, jeśli warzywa nie smakują inaczej, gdy są uprawiane z miłością, rozważą i szacunkiem.

Przez niezłe prezentujących się rolników...

Dziękuję wszystkim, którzy pomogli mi wydać tę książkę na świat. Jak zawsze podziękowania należą się typowym podejrzanym, takim jak Nina i Jessica oraz Micki i Christina, motywujących mnie do działania świadków moich ataków paniki. Dziękuję wszystkim znawcom tematu, którzy cierpliwie odpowiadali na moje pytania (czy to w ogóle wyrośnie?).

Dziękuję również wszystkim zajmującym się rolnictwem za to, że dzięki nim to, co jemy, jest takie smaczne.

W różnych miastach i miasteczkach w Stanach można uczestniczyć w programach CSA2 i zamawiać regularne dostawy lokalnie uprawianych produktów, wystarczy poszukać. Warto spróbować czegoś nowego, ugotować coś w nowy sposób i zacząć pytać. A jeśli ktokolwiek zobaczy

przystojnego rolnika z ogórkiem w dłoni, to na miłość boską, niech przyśle mi zdjęcie.

2 Community Supported Agriculture – amerykański program wspierający lokalne rolnictwo.

Alice

XOXO

Rozdział 1

Okej, spójrzmy... Rosół na bazie dashi³ – gotowy. Bok choy w piekarniku, krewetki się duszą. Jak okiem sięgnąć, bezglutenowo – mówiłam sama do siebie, opierając się o ladę ze stali nierdzewnej w najpiękniejszej kuchni, jaką kiedykolwiek zaprojektowano. Najpiękniejszej, jeśli ktoś lubi kalifornijski styl mid-century modern. Ale z drugiej strony, kto nie lubi? Metry nierdzewnej stali i polerowanego betonu.

3 Bulion stosowany w japońskiej kuchni.

Niezliczone utensylia potrzebne szefowi kuchni stały oparte o ułożone w jodełkę płytki typu metro. Lśniące, całkiem nowe, dotykane jedynie przeze mnie – osobistą kucharkę i pogromczynię złego glutenu w świecie, w którym każdy jest blond i trendy. Szczególnie w Hollywood.

Szczególnie w dzielnicy Bel Air. Szczególnie w rodzinnym mieście Mitzi St. Renee, żony słynnego producenta filmowego i poszukiwacza najmniej uchwytnego ze skarbów – niekończącej się młodości.

Mając trzydzieści dwa lata (kto by pomyślał, że ktoś starszy ode mnie o pięć lat może mówić do mnie z tak naturalną wyższością) w mieście, gdzie trzydziestka to granica, do której starsi mężczyźni żenią się z młodością do cycków, Mitzi oczywiście martwiła się swoim wiekiem. Zatrzymałam się na chwilę z miodem spadziowym w dłoni, rozważając kwestię rzeczonych cycków. Prawdę mówiąc, rzeczony cycki zawsze towarzyszyły dupkom.

Potrząsnęłam głową, starając się oczyścić myśli, i zabrałam się za krojenie melona. Dwuipółcentymetrowe sześciiany o kruchych brzegach, żadnych zaokrąglenia. Później przyszła kolej na okrągłe i pulchne kule z kantalupy. Żadnych poprzerywanych wydrążeń, musiały być idealne. Pomyślałam o tym i parsknąwszy śmiechem, zajęłam się trójkątami z arbuza. Kąt ostry, kąt rozwarty. Czy Mitzi doceniała wyjątkowe zdolności, dzięki którym powstawały te jej miseczki pełne owoców? Wątpliwe. Czy zauważała subtelną geometrię? Pewnie nie. Nikt nie dostrzegał perfekcji moich melonów, ale każdy zauważał perfekcyjne kształty tych należących do niej.

Prowadząc wewnętrzny dialog, zajęłam się aranżacją – Mitzi lubiła, gdy podawano kolację dokładnie o osiemnastej trzydzieści. Niektórzy zatrud-

niali osobistych kucharzy tylko do gotowania. Byli i tacy, którzy przypisywali sobie wszystkie zasługi, podczas gdy oni chowali się w cieniu kuchni. Inni z kolei zakładali, że skoro płacą mi za gotowanie, mogę też pełnić funkcję kamerdynera. Biorąc jednak pod uwagę pieniądze, które płaciła mi Mitzi, nie miałam nic przeciwko wnoszeniu na tacy niskokalorycznej kolacji o wysokich walorach smakowych w modnym azjatyckim stylu kuchni fusion.

Właśnie wyjmowałam z piekarnika bok choy, gdy nagle zadzwonił mój telefon, aż uderzyłam głową o szafkę. Sycząc z bólu, odstawiłam patelnię na płytę, szybko odrzuciłam połączenie i przyjrzałam się kapuście. Wybrałam najbardziej idealne liście, po czym ułożyłam je ostrożnie pośrodku białej porcelanowej misy, kończąc małą zieloną wieżę dokładnie w momencie, gdy rozległ się dźwięk minutnika przypominającego o krewetkach.

Ugotowane w wywarze *court-bouillon*, z leciutkim posmakiem tajskiego chili i cynamonu, nabrały różowego koloru i były wprost idealne. Ułożyłam trzy na szczycie kapuścianego trio (symetria, przede wszystkim symetria) i całość posypałam poszatkowaną dymką, marynowanym czosnkiem i szalotką, którą wcześniej mocno podrumieniłam na oleju z orzeszków ziemnych (sekret, którego nigdy nie wyjawię Pannie Liczącej Gramy Tłuszczu).

Ustawiłam misę na szylkretowej tacy, po czym nalałam do sosjerki rosół dashi, a do miseczki z kompletu wsypałam dokładnie trzy czwarte filiżanki aromatyzowanego limonką kaffir ryżu. Kontrola wielkości porcji jest kluczowa, aby zachować rozmiar zero w mieście zerowych rozmiarów. Już miałam zanieść tacę do jadalni, gdy znów rozległ się dźwięk mojego telefonu. Ponownie odrzuciłam połączenie i sprawdzwszy czas, zakląłam w duchu, bo była już osiemnasta trzydzieści dwie.

Moja pracodawczyni siedziała w salonie u szczytu stołu. Jadła samotnie, jak zwykle. Jej mąż przez cały czas pracował i chociaż poczułam do niej z tego powodu sympatię, uczucie to szybko wyparowało, gdy ostentacyjnie spojrzała na zegarek.

– Bardzo przepraszam za małe opóźnienie. Kapusta potrzebowała dziś nieco więcej czasu – zaszczębiotałam, odstawiając tacę i podchodząc do Mitzi z lewej strony.

– Za co, Roxie? Czymże są cztery minuty? Cztery minuty tu, siedem tam. Może po prostu poluzujemy zasady? – odszczebiotała, podczas gdy ja nalewałam rosół, prowadząc lejącą się strużkę po okręgu dokładnie w stronę środka.

Dobrze ci płaci. Bardzo dobrze.

Zaciskając zęby, rzuciłam uśmiech w stronę jej botokсового czoła i szybko zabrałam pustą sosjerkę. „Za co, Roxie?”. W rzeczy samej. Pomaszerowałam z powrotem do kuchni, aby dokończyć „deser” i kawę, zapakować śniadanie i lunch na następny dzień oraz posprzątać. W mojej głowie deser był pisany zawsze w cudzysłowie, jako że trudno mi było sobie wyobrazić, jak takim cudnym słowem można nazwać bezcukrowe ciasteczka wafłowe z mączki karobowej na kruszonym cytrynowym lodzie. Nie miałam nic przeciwko cytrynowemu lodowi czy ciasteczkom, które – powiedzmy sobie wprost – też potrzebowały cudzysłowu, nie był to jednak prawdziwy deser.

Jedyną rzeczą, co do której byłyśmy zgodne, był sposób, w jaki Mitzi piła kawę. Kona blend, ciemno palona, z jedną – i tylko jedną – łyżeczką pełnotłustej, zwykłej, smacznej, domowej bitej śmietany. Na tę jedną jedyną przyjemność pozwalała sobie codziennie. Hej, przecież nie mogę nikomu mówić, jak ma wykorzystać „zaoszczędzone kalorie”. Rany, sporo cudzysłowów jak na dziś.

Włączyłam wielofunkcyjny kitchenAid, mikser ze stali nierdzewnej. Gdy wyciągnęłam miskę z zamrażalnika, wlałam do niej nieco ponad połowę filiżanki pełnotłustej śmietany. Teraz butelka była prawie pusta – muszę ją dodać do listy zakupów. Co tydzień sporządzałam dla Mitzi taką listę i przygotowywałam jej gotowe posiłki na poszczególne dni. Dwa razy w tygodniu gotowałam na miejscu.

Dodałam do śmietany łyżeczkę wanilii z Madagaskaru i dokładnie dwie łyżeczki cukru. Ubijałam wszystko przez chwilę w mikserze, jednocześnie sprząając kuchnię i ignorując sygnał telefonu przypominający o dwóch połączeniach, których nie odebrałam wcześniej.

Zerkając na bitą śmietanę i nasłuchując odgłosów z jadalni, zaczęłam ubijać ziarna kawy na dokładnie jedno espresso. Nagle znów rozległ się dzwonek mojego telefonu, leżącego na blacie ze stali nierdzewnej, a gdy zobaczyłam, kto znów dzwoni, z hukiem zamknęłam klapkę drogiego

ekspresu Breville.

– Na miłość boską, czy mogę oddzwonić później?

– Cóż za miłe powitanie jedynej matki. – Usłyszałam jej śpiewny głos i sfrustrowana przymknęłam oczy.

– Witam cię, mamó. Jestem w pracy. Czy mogę do ciebie oddzwonić?

– To zależy. Oddzwonisz do mnie wieczorem?

– Postaram się – odpowiedziałam, mocując się z dyszą do spieniania mleka.

– Postarasz się?

– Dobrze, oddzwonię.

– Obiecujesz?

– Tak, obiecuję, że... Kurczę...

– Co się stało? Wszystko w porządku, Roxie?

– Tak. Mały wypadek w kuchni. Zadzwoń później. – Rozłączyłam się, patrząc w miskę.

Teraz musiałam wymyślić, jak wytłumaczyć Mitzi St. Renee, kobiecie, której styl życia zależał od pięknego wyglądu i idealnej sylwetki i której jedyną przyjemnością była wieczorna kawa, że zamiast puszystej bitej śmietany z resztki mleka zrobiłam... masło.

Zwolniona.

Zwolniona?

Zwolniona.

Przez MASŁO.

Siedziałam w samochodzie przed domem Mitzi, ukrytym wysoko między wzgórzami. Już wcześniej spakowałam noże, odebrałam ostatni czek, który podała mi idealnie wystylizowanymi żelowymi tipsami, i powoli ruszyłam w stronę dżipa wagoneera z 1982 roku.

Zwolniona. Przez masło. Nie powinnam była spuszczać z oczu śmietany. Tylko ona w ciągu paru sekund potrafi zmienić się ze sprężystych górki w maślane wzgórze.

Nagle znów się rozległ dźwięk mojego telefonu, a na ekranie pojawiła się twarz mojej matki: brązowe kręcone włosy zaplecione w warkocze, stokrotka za uchem. Drugie pokolenie hipisów. Woodstock, część druga.

Odziedziczyłam po niej włosy; oczy miałam po tacie, którego nigdy nie poznałam. Matka zawsze powtarzała, że to, w jakim jestem humorze, potrafi wyczytać z ich koloru: piwne, gdy jestem spokojna, lekko niebieskie, kiedy jestem smutna, odrobinę zielone, gdy padam z nóg. W tym momencie musiały mieć kolor selera.

Usłyszałam trzask frontowych drzwi i zobaczyłam idącą po podjeździe Mitzi. Pewnie chciała mi powiedzieć, że powinnam już jechać. Przekreśliłam kluczyk i pospiesznie odjechałam, pokazując jej na pożegnanie środkowy palec. Niezbyt profesjonalnie, ale nie musiałam się już martwić o to, co sobie pomyśli.

Przez całą drogę do domu, zjeżdżając ze wzgórz na drugą stronę Highland, gdzie domy były znacznie mniejsze, aż w końcu ustępowały miejsca blokowiskom wypełnionym do granic pełnymi nadziei młodymi pięknościami, mówiłam sama do siebie. Gdy podjeżdżałam pod swój blok, znów usłyszałam dzwonek telefonu. Znów.

– Naprawdę nie mogłaś poczekać, aż do ciebie oddzwonię? – rzuciłam, gdy tylko usłyszałam jej głos. Kalifornijskie prawo nakazujące korzystanie z zestawów głośnomówiących oznaczało dla mnie tyle, że musiałam teraz słuchać głosu mojej matki odbijającego się rykoszetem od każdego zakamarka w samochodzie. I to w wersji stereo.

– A kto wie, kiedy byś zadzwoniła? A ja nie mogę się doczekać, aż podzielę się z tobą nowiną! – krzyknęła, chichocząc z podniecenia.

Zaśmiałam się wbrew sobie. O mojej mamie wiele można powiedzieć, ale jej entuzjazmowi trudno się oprzeć.

– To musi być coś wielkiego, bo u was jest dość późno. Dlaczego nie śpisz? – Na wschodzie była już prawie dwudziesta trzecia, czyli mocno po czasie, kiedy matka zwykle kładła się spać.

– Oj, wyśpię się, kiedy umrę. Słuchaj, Roxie, muszę ci powiedzieć o czymś fantastycznym!

– Phish4 znów jedzie w trasę?

4 Amerykański zespół muzyczny.

– Roxie... – W jej głosie było słycać ostrzeżenie.

Aż przygryzłam wargę, by nie powiedzieć czegoś jeszcze bardziej złośliwego.

– Znalazłaś nowy gatunek kielków pszenicy i nie możesz usiedzieć z ra-

dości? – No cóż, przygryzanie wargi nie zawsze działa.

– Cieszę się, że się dobrze bawisz, śmiejąc się ze swojej matki i obrzucając ją pospolitymi żartami o hipisach. Jesteś dziś wyjątkowo skora do żartów – powiedziała, a w jej głosie dało się słyszeć nutkę zniecierpliwienia.

Musiałam odpuścić, tym bardziej, że to, iż mnie zwolniono, to nie była tylko jej wina.

– Co to za nowiny? – zapytałam słodko, zanim zdążyła zmienić temat i stwierdzić, że mój dzisiejszy humor może wynikać na przykład z niedoboru żelaza. Albo seksu. Typowa pogawędka matki z córką.

– Właśnie! Moje nowiny! Siedzisz?

– Tak, siedzę.

– Będę w telewizji!

– O, to świetnie. Czyżby wznowili *Craft Corner*⁵?

⁵ Amerykański program telewizyjny dotyczący rzemiosła, robótek itd. Nasze małe miasteczko w północnej części stanu Nowy Jork miało własny kanał telewizyjny i mama od lat zgłaszała tam swoje pomysły. Co jakiś czas, gdy akurat nie obcięli im budżetu o połowę, czyli do siedemdziesięciu pięciu dolarów, prosili ją, aby wystąpiła na żywo i pokazała, jak zrobić sweter, ceramiczne poidełko dla ptaków czy coś podobnego. Jej odcinek na temat papierowych latarni z opakowań po Jiffy Pop wywołał lawinę telefonów. Czyli aż trzy.

– Nie, nie *Craft Corners*. Słyszałaś o reality show *The Amazing Race*?

– Jasne. Czyżby Kanał 47 kręcił lokalną wersję? – zapytałam, skrecając na parking.

– To nie Kanał 47, słońce, ale prawdziwy reality show! Będę w programie *The Amazing Race*, tym prawdziwym!

– Czekał, co? – Wjechałam szerokim łukiem na swoje miejsce, niemal nokautując kubeł na śmieci.

– Słyszałaś! Zeszłej jesieni, gdy przyjechali do Poughkeepsie, miałam przesłuchanie do programu z ciocią Cheryl. I wybrali nas! Jedziemy w podróż dookoła świata!

– Okej, przestań krzyczeć. Mamo, poważnie, posłuchaj mnie... Halo? – Próbowałam coś wtrącić, ale się nie dało. Mama rzucała nazwami miast i państw, a z każdą sekundą jej głos stawał się coraz bardziej podekscy-

towany. Kair. Mozambik. Krakatau.

– Krakatau? Jedziesz na wulkan?

– Kto wie? Właśnie o to chodzi! Mogą wysłać nas wszędzie! Jadę na wyprawę!

– Z ciocią Cheryl? Przecież jej się udało zgubić nawet w nowym supermarkecie A&P. Co z niej będzie za pożytek na wyprawie?

– Oj, Roxie, nie bądź taką nudziarą – rzuciła matka, a ja poczułam, jak napinają mi się mięśnie ramion. Jak zawsze, gdy mówiła do mnie takim tonem.

Moja matka była wolnym ptakiem i za nic w świecie nie potrafiła zrozumieć, dlaczego jej córka jest taką tradycjonalistką. Tradycjonalistką, która od momentu, gdy skończyła czternaście lat, pilnowała, aby nie odłączono im prądu i gazu, a w spiżarni zawsze było coś do jedzenia. Mimo wszystko jednak cieszyłam się jej szczęściem.

– Przepraszam, to brzmi niesamowicie. Naprawdę, cieszę się razem z tobą – powiedziałam, wyobrażając sobie matkę i jej siostrę, jak próbują odnaleźć się na bazarze w Afryce Północnej. – Kiedy wyjazd?

– Właśnie, w tym rzecz, kochanie. Za dwa tygodnie.

– Za dwa tygodnie? A kto poprowadzi U Callahana?

– A jak myślisz?

Nie zrobiła tego... Nie, nie mogła pomyśleć, że opuszczę moją... Nie, nigdy by tego nie zrobiła... A jednak. Właśnie to zrobiła.

– Oszalałaś? Chcesz mnie wrobić w to miejsce? Tam nie ma nawet widelców!

– Wysłuchaj mnie, Roxie...

– Wysłuchać cię? Chcesz, żebym porzuciła karierę, która wreszcie zaczyna dokądś prowadzić, i przyjechała gotować w twojej zrujnowanej jadłodajni w Bailey Falls, podczas gdy ty pojedziesz sobie w jakieś pięprzone osiemdziesiąt dni dookoła świata wraz z całym oddziałem geriatrycznym?

– Nie wierzę, że właśnie nazwałaś mnie starą...

– Nie wierzę, że tylko to do ciebie dotarło! – wybuchłam. Siedziałam w samochodzie, słuchając z niedowierzaniem beczelnych wynurzeń własnej matki, gdy nagle przyszła wiadomość.

– Wytłumacz mi, jak to według ciebie ma zadziałać? Jak mam to zrobić?

– Zwyczajnie. Bierzesz urlop w pracy, przyjeżdżasz tu i prowadzisz jadłodajnię, kiedy mnie nie będzie.

Wzięłam głęboki oddech, po czym wolno wypuściłam powietrze.

– Urlop... – *Wdech. Wydech.* – Mam własną firmę, więc urlop oznacza koniec mojej działalności. Bezrobocie. Co mam powiedzieć klientom? Hej, znajdźcie sobie kogoś innego, kto będzie dla was gotować, bo ja będę miała pełne ręce roboty z tuńczyka na zadupiu?

– Już nie serwujemy potrawki...

– Musimy kiedyś porozmawiać o twoim wybiórczym słuchu – powiedziałam, słysząc, że znów przyszła jakaś wiadomość. – Mamo, muszę lecieć. Możemy...

– Nie możemy porozmawiać o tym później. Chcę wiedzieć, czy możesz to zrobić, czy nie.

– Nie możesz do mnie tak po prostu znieńacka dzwonić i prosić, bym...

– Nie byłoby znieńacka, gdybyś częściej do mnie dzwoniła – wtrąciła.

Wdech. Wydech. Nagle zrozumiałam, co to znaczy, że „w kimś się zgotowało”: poczułam, jak w żyłach tworzą mi się małe stresogenne pęcherzyki, trącąc się nawzajem i rozgrzewając mnie od środka. To już nie było gotowanie na wolnym ogniu, to było stopniowe podgrzewanie.

Przed duszeniem spróbowałam jeszcze jednej rzeczy.

– Mamo, chodzi o to, że chciałabym, abyś myślała rozsądnie. Nie mogę cię ratować za każdym razem, gdy wpakujesz się w tarapaty albo...

– Nie jestem w tarapatach, Roxie. Jestem...

– Może nie tym razem, ale chodzi o to samo, tyle że w ładnym opakowaniu i z podziękowaniami od załogi CBS6. To już na mnie nie działa.

6 Amerykański kanał telewizyjny.

– Zapłaciłam za twoje studia, Roxie. Dwa lata w Amerykańskim Instytucie Kulinarnym. Przynajmniej tyle mogłabyś teraz dla mnie zrobić.

Okej. Dość.

– Wiesz co? Nie. Nie zrobię tego – rzuciłam ze złością dokładnie w momencie, gdy przyszła kolejna cholerna wiadomość. – A za studia zapłaciłaś dzięki temu, że wygrałaś na loterii. Resztę pieniędzy roztrwoniałaś, co jest dość żałosne...

Mama z uporem milczała. To był ten moment, kiedy zwykle dawałam za wygraną, ale nie tym razem.

– Podczas gdy ty będziesz szukać sensu życia i skakać do basenu z rekinami u wybrzeży Ameryki Południowej z ciocią Cheryl, która – nawisem mówiąc – nie umie pływać, ja będę tutaj, w Los Angeles, zapracowując się na śmierć, starając się rozwinać karierę i opłacić prąd, żebym nie musiała mieszkać w samochodzie – warknęłam, słysząc dźwięk kolejnej wiadomości.

– Naprawdę myślisz, że każą nam wskoczyć do basenu z rekinami?

– Lepiej zapal trawkę, mamó! – rzuciłam i rozłączyłam się, czując, że się we mnie gotuje i zastanawiając się, jakim cudem ta kobieta mogła w ogóle pomyśleć, że rzucę wszystko i przyjadę do domu, by poprowadzić jej jadłodajnię. Nie do wiary! Miałam swoje życie, miałam klientów, miałam... Dobry Boże, kolejną wiadomość?

Spojrzałam na telefon. Sześć SMS-ów. Nie, siedem – właśnie przyszedł kolejny. Co się dzieje? Pierwszy był od Shawny, mojej klientki.

Roxie, w przyszłym tygodniu nie musisz jednak dla mnie gotować.

Hm, dziwne. Otworzyłam kolejną.

Przepraszam, że piszę w ostatniej chwili, ale muszę odwołać posiłki, które zaplanowałaś na następny tydzień i na kolejny. Skontaktuję się w przyszłości. Może.

Zaraz, że co? Miranda była moją drugą klientką i gotowałam dla niej od kilku miesięcy. Z polecenia... Mitzi. Cholera.

Otworzyłam kolejny SMS, potem kolejny. Okazało się, że wszystkie klientki, z którymi skontaktowała mnie Mitzi, właśnie zrezygnowały z moich usług. Wszystkie mnie zwolniły.

Przez MASŁO???

A może jednak przez palec?

Nienawidzę tego cholernego miasta!

W tym cholernym mieście liczą się tylko referencje, a ja przez cholerną Mitzi St. Renee stałam się właśnie kulinarnym pariasem. Tępe, plastikowe lale przy kasie zrobiły sobie z mojej kariery zabawę. Mentalność stada. Tych paru klientów, którzy zostali, korzystało z moich usług sporadycznie, z okazji jakichś uroczystości lub gdy pozwalał im na to ich napięty grafik.

Mimo że kochałam Kalifornię, naprawdę zaczynałam nienawidzić L.A. Można tu było zarobić świetne pieniądze, ale życie i ci wszyscy ludzie – czasami nie dawałam rady. A pieniądze można było zarobić duże do momentu, gdy można było je zarobić. Właśnie wydałam większość oszczędności na nowy silnik do dżipa i jeśli chodzi o płynność finansową, to byłam tymczasowo unieruchomiona.

Wszystkie te klientki, wszystkie te pieniądze, na które liczyłam, nagle zniknęły. Na myśl o tym, że będę musiała zaczynać od nowa, poczułam skurcz żołądka. W myślach przejrzałam listę, zastanawiając się, kto mógłby korzystać z moich usług bardziej regularnie, i naszły mnie czarne myśli.

Nagle usłyszałam dźwięk kolejnej wiadomości. Rany, czyżby jeszcze ktoś dołączył do maślanego gangu?

Będę w mieście w połowie przyszłego tygodnia. Daj znać, gdybyś potrzebowała towarzystwa.

Dzięki Bogu nie chodziło o nic kulinarnego, chociaż raz nam się zdarzył incydent ze słoikiem masła orzechowego... Nieistotne. Westchnąłam i weszłam do mieszkania. Mitchell był moim... hm. Nie był moim chłopakiem, to na pewno. Był moją... zabaweczką. Ostatni z okazji w kolekcji mężczyzn dobrych do kochania, ale nie do brania. Zaangażowanie emocjonalne? Brak. Długie spacerunki na plaży i życiowy partner? Nie. Spoczone, skręcone wokół siebie ciała, na telefon, bez żadnego zamieszania i bałaganu? Mówię, jak jest.

Żadnych pytań w stylu: „jak ci minął dzień, kochanie?” albo „hej, Roxie, przejdziemy przez to razem”. Jediną rzeczą, przez jaką chciałabym, żebyśmy razem przeszli, to ja przewieszona przez fotel, jego dłoń w moich włosach... Szkoda, że dziś go tu nie ma – to z pewnością by mnie zrelaksowało. W mojej głowie kłębiły się myśli, moja kariera wisiała na włosku, a prosto z Bailey Falls płynęło w moją stronę wielkie poczucie winy.

Potrzebowałam spokoju. Potrzebowałam ciszy. Rozejrzałam się po mieszkaniu, na które wiedziałam, że nie będzie mnie stać, jeśli nie odyskam każdej z moich klientek, i mój wzrok spoczął na butelce tequili Patrón. Poza spokojem i ciszą potrzebowałam jeszcze limonki...

Rozdział 2

Obudziłam się następnego – hm, by nie skłamać, powiedzmy, że popołudnia – z limonką na twarzy, leżąc w fotelu ze sztucznej skóry. Zerknęłam na zegar. Świetnie – dzięki tequili przespałam prawie cztery godziny, co oznaczało przespaną noc, zważywszy na to, że zazwyczaj sypiałam średnio po trzy. Mając okresy bezsenności od czasów szkoły podstawowej, już się przyzwyczaiałam.

Zataczając się lekko, weszłam do kuchni i na wpół przytomna sięgnęłam po kawę, starając się nie myśleć o tym, że zostałam wylana. Przez MAS... – oj, dajcie spokój. Ziewnęłam, czekając, aż kawa się zaparzy, i zabrałam się za jajecznicę z pomidorami, czosnkiem, szpinakiem i odrobiną śmietany. Starłam trochę sera pecorino, posypując nim swoje dzieło, po czym wyjąwszy z tosterka kawałek idealnie podpieczonej chałki, zabrałam kawę i podreptałam z powrotem na fotel.

Kiedy przeżuwałam śniadanie, moją uwagę przyciągnął leżący na stoliku magazyn, mała przyjemnostka okupiona poczuciem winy. Czasami, kiedy gotowałam, opierałam taki brukowiec na stojaku na przepisy i filetując kurczaka, nadrabiałam zaległości w kwestii tego, kto filetuje kogo w Tinseltown⁷. Osoba z okładki była moją klientką. A być może i dobrą znajomą?

⁷ Miejsce utożsamiane z Hollywood, przemysłem filmowym i światem celebrytów.

O Grace Sheridan usłyszałam po raz pierwszy wtedy, gdy cały świat koncentrował się na jej drugiej połowie, Jacku Hamiltonie. Ten niewiarygodnie przystojny brytyjski aktor był już od paru lat ukochanym dzieckiem mediów i gdy jego gwiazda zaczynała coraz mocniej świecić, prasa coraz częściej zaczynała spekulować na temat jego potencjalnych partnerek. Gdy świat się dowiedział, że jego dziewczyną, tajemniczą rudowłosą, jest aktorka Grace Sheridan, poruszenie w mediach zamieniło się w istną burzę, szczególnie kiedy oficjalnie ogłosiła światu, że są parą, biorąc go za rękę na czerwonym dywanie. Wiedziałam o tym wszystkim, czytając artykuły w Internecie, ale dopiero gdy zadzwoniła do mnie pewnego dnia z pytaniem, czy nie zechciałabym dla niej gotować w trakcie przygotowań do nowego sezonu jej telewizyjnego serialu, poznałam ko-

bietę z krwi i kości kryjącą się za okładkami magazynów.

Była zabawna, słodka i uwielbiała jeść. Dziś po południu miałam dla niej gotować. Cholera! Zupełnie zapomniałam o swojej ostatniej klientce, która przecież oczekiwała, że przygotuję kolację. W ciągu pięciu minut wyszorowałam twarz, pachy i inne zakamarki ciała. Wrzuciłam na siebie coś czystego. Chwyciłam noże i ruszyłam w pośpiechu na targ.

Od roku co jakiś czas gotowałam dla Grace, która była wielką miłośniczką jedzenia i kochała gotować, więc korzystała z moich usług tylko wtedy, gdy jej grafik stawał się napięty. Dwóch aktorów w domu, z których każdy pracuje do późna, i to nie tylko na planie... Dla jednych osobisty kucharz to wygoda, dla innych konieczność ratująca życie.

Grace szczerze wyznała w prasie, że ma problem z wahaniami wagi i że bardzo poważnie podchodzi do kwestii swojej figury. Jeśli zaś chodzi o Jacka, to od razu dodała, że jeszcze poważniej podchodzi do niego...

Gdy poznałam Hamiltona, zachowywał się jak złodziej, starając się ukraść swojej narzeczonej tyle pocałunków, ile ukradł marchewek z sałatki, nad którą właśnie pracowałam. Byłam nieco rozkojarzona bliskością gwiazdy takiego formatu, a że rozkojarzenie i nóż do obierania warzyw nie bardzo idą w parze, musiałam w końcu wziąć się w garść i ugotowałam tak niesamowitą kolację, że od tamtej pory bywałam ich osobistym szefem kuchni.

Z prędkością światła zrobiłam zakupy na targu, biorąc wszystko, co lubi Grace. Rukola. Endywia. Dymka. Cytryny. Stek hanger⁸. Topinambur. Szynka parmeńska. Gruszki bera boska. Cudny kawałek angielskiego sera cheddar. A że (dzięki Bogu!) Jack i Grace uwielbiali desery, co było nietypowe w mieście, gdzie desery nie były mile widziane, do koszyka wpadły jeszcze mąka, cukier, jajka i cudowne, wspaniałe masło.

⁸ Stek cięty z części przepony.

Godzinę później stałam w słonecznej kuchni należącej do dwóch wielkich gwiazd, nakładając łyżką ciasto do dwóch podłużnych foremek i wyganiając Grace z mojej części kuchni.

– Nie ma sensu, żebyś płaciła mi za gotowanie, jeśli sama wykonujesz połowę roboty.

– Jestem twoim sous chefem⁹ – powiedziała, gdy wyciągnęłam kuchenny stołek i kazałam jej na nim usiąść.

9 Drugi zastępca szefa kuchni.

– Usiądź, odpręż się i zostań po swojej stronie kuchni, a ja pozwolę ci to oblizać. – To mówiąc, uniosłam trzepaczkę.

– Dobrze, że Jack jeszcze nie wrócił. Zaraz zareagowałby na taki tekst – rzuciła ze śmiechem. – Chcę sobie poobliżywać, więc nie będę się ruszać.

Uśmiechnęłam się na myśl o tym, jak wielką mam kontrolę nad jedną z wielkich gwiazd dzięki trzepaczce. Dlaczego wszystkie moje klientki nie mogły być takie?

Na kilka minut zapanowała cisza. Grace przeglądała scenariusz, a ja zajęłam się w tym czasie ciastem cytrynowym. Cisza nie trwała jednak zbyt długo, bo w końcu Grace nie wytrzymała...

– Więc wszystkie zrezygnowały z twoich usług? Tak po prostu? – zapytała nagle, zerkając znad scenariusza.

Tym razem nie spuszczałam już oka z foremek.

– Nie powinnam była ci mówić... To bardzo nieprofesjonalne.

– Tak samo nieprofesjonalne, jak to, że Jack zaproponował ci trójkącik w puddingu z rodzynkami... Tacy właśnie jesteśmy, nieprofesjonalni.

Parsknęłam śmiechem. Pewnego razu zrobiłam tradycyjny angielski pudding, a Jack, jak na prawdziwego Angoła przystało, wprost nie mógł wyjść z podziwu. Był pod takim wrażeniem, że naprawdę zaoferował swoje ciało w zamian za prawdziwe angielskie przysmaki, które miałabym przygotować w przyszłości.

Grace była miła i serdeczna, ale mimo to nie powinnam się jej zwierzać. Gdzieś pomiędzy wypakowywaniem zakupów i obieraniem karczochów zgadła, że coś mnie martwi, i zanim się spostrzegłam, opowiedziałam jej całą historię.

– A więc twoja matka startuje w programie *The Amazing Race*, tak?

– Taaa. Beznadziejny pomysł.

– Nie powiedziałałabym. Widziałam ten program parę razy i był zabawny.

– Nie chodzi o to, że nie jest zabawny. Jest po prostu... hmm... – Zawałałam się, uderzając formami o blat, aby pozbyć się pęcherzyków powietrza. – Matka jest hipiską z lat osiemdziesiątych. Całkowicie porwała ją druga fala.

Grace pokiwała głową.

– Pamiętam. Muszę kupić kolczyki z pacyfą w Contempo Casuals10...
10 Amerykański dom towarowy założonych w latach sześćdziesiątych XX wieku.

– Właśnie. – Podałam jej obiecaną trzepaczkę, a ona zabrała się za obli-
zywanie. – Tyle że ona nadal tkwi w tamtych czasach. Powiedziała ci,
że jest wolnym ptakiem, ale ja mam na to inne określenie.

– Ekscentryczka?

– Tak. Nieodpowiedzialna. Chce dobrze, ale jeśli ktoś myś-li tylko
o tym, że Księżyc jest w siódmym domu, trudno żeby pamiętał, aby za-
płacić firmie energetycznej za prąd w prawdziwym domu. Na szczęście
miała mnie. Nie wspominając o niezliczonej liczbie „wujków”, którzy
kręcili się gdzieś obok.

– Ach – westchnęła Grace.

– To byli mili faceci, a ona po prostu nie potrafiła być sama. Zadbala
więc o towarzystwo. Zakochiwała się w każdym mężczyźnie, który się
nią zainteresował. Była przekonana, że każdy niezamężny facet, którego
spotkała, był Tym Jedynym. A przynajmniej Kolejnym Tym Jedynym.
A ja wiele razy byłam świadkiem sytuacji, gdy ci faceci w końcu odcho-
dzili, zostawiając za sobą jatkę. Płacz, krzyk, objadanie się słodyczami
i Van Morrison odtwarzany w kółko na gramofonie. A potem rozplywa-
nie się nad kolejnym facetem, który złapał się w jej hipisowskie sidła.

– A więc taka z niej romantyczka?

– Ty nazywasz to romantyzmem, ja współzależnieniem – rzuciłam, my-
jąc gruszki. – Ty nazywasz ją romantyczką, ja kimś, kto boi się samotno-
ści. Ty mówisz, że to romantyczne, ja pytam, dlaczego skazywać się na
kłótnie i cierpienie?

Właśnie dlatego podobały mi się jasne relacje oparte na seksie, bez miło-
ści. Mój problem z zasypianiem stał się świetnym wytłumaczeniem tego,
dlaczego mężczyźni nigdy nie zostawali u mnie na noc. Wystarczająco
trudno mi było zasnąć samej. Poza tym nie widziałam powodu, dla któ-
rego miałabym się niezręcznie gapić na faceta przez całą noc po tym, jak
już wyrobiliśmy normę ćwiczeń fizycznych, więc zwykle odsyłałam ich
do domu. Im to nie przeszkadzało, a ja unikałam komplikacji.

Grace przyjrzała mi się w zamyśleniu i było widać, że w jej głowie kłębi
się milion myśli.

– Okej, czyli macie inne podejście...

Potrząsnęłam głową.

– Poza tymi jej poszukiwaniami wiecznej miłości jedyną stałą rzeczą w naszym życiu była jadłodajnia.

– To wasza rodzinna jadłodajnia?

– Tak, mój dziadek otworzył U Callahana z tysiąc lat temu. Zaczęłam pracować tam na zmywaku, kiedy miałam jakieś dziesięć lat. Pokochałam tę robotę. Gdy dziadek zmarł, jadłodajnię przejęła mama. To nic szczególnego. Zwykłe miejsce spotkań w małym miasteczku.

– Brzmi świetnie.

– Bo to świetne miejsce. To właśnie tam zdałam sobie sprawę, że muszę, po prostu muszę zająć się gotowaniem zawodowo. Nigdy jednak nie chciałam prowadzić tej jadłodajni nawet przez chwilę. Masz pojęcie, ile kosztuje utrzymanie ledwo przynoszącej zyski rodzinnej restauracji? Zapomnij o wakacjach. Zapomnij o wolności. Zapomnij o spokojnym wieczorze. Nawet jeśli jesteś w domu, musisz odbierać telefony z problemami typu zepsuty mikser, przeciekająca lodówka albo złamany paznokieć kelnerki w sałatce. – Westchnęłam, wypuszczając całe napięcie, które pojawiało się za każdym razem, gdy nachodziły mnie myśli o rodzinnych stronach. – No i oczywiście zapomnij o jakiegokolwiek prywatności. W takim mieście jak Bailey Falls każdy wie o każdym wszystko. Jesteś tym, kim jesteś i nie dadzą ci o tym zapomnieć. Całe dzieciństwo spędziłam w cieniu ekscentryzmu mojej matki, czekając tylko, aż skończę osiemnaście lat i będę mogła się wyprowadzić z domu, aby wreszcie móc pobycć dzieckiem. A teraz moja matka wymyśliła, że tak po prostu wszystko rzucę i wrócę do domu... Jak mnie to wkurza!

– Widzę. Obralaś gruszkę do ogryzka – napomknęła delikatnie Grace. Istotnie, cała skórka leżała w zlewie, a obok znajdowała się reszta owocu.

– Bardzo przepraszam, to straszne... Porozmawiajmy o tobie. Co u ciebie słyhać? – zapytałam, po czym zajęłam się nową gruszką.

Grace rzuciła mi spojrzenie, które sugerowało, że jeszcze nie skończyłyśmy, ale nie zaprotestowała. Opowiedziała mi wszystko o nowym sezonie swojego serialu, a potem zdradziła kilka sekretów z planu nowego filmu *Czas*, który Jack właśnie skończył kręcić. Podróżujący w czasie

naukowiec bzykający kobiety w różnych epokach... Całkiem niezły pomysł na wieczór w kinie. Zanim skończyłam przygotowywać obiad, niemal zupełnie zapomniałam, że poza tą jedną cudowną klientką byłam teraz prywatnym kucharzem bez prywatnej kuchni.

Właśnie zdejmowałam stek z patelni, aby pozwolić mu nieco odpocząć, gdy w oknie z tyłu domu odbiły się światła samochodu, który właśnie skręcał na podjazd. Odwróciłam się i zobaczyłam, że twarz Grace nagle pojaśniała, a na jej policzki wystąpił lekki rumieniec. To był Jack. Wydała się taka szczęśliwa, że też musiałam się uśmiechnąć, nawet jeśli przez moment przypominała mi moją wiecznie chorą z miłości matkę. Rozejrzałam się po urządzonej w drewnie kuchni, z gigantyczną marmurową wyspą. Na ścianach nie było żadnych arcydzieł, a jedynie zdjęcia pary i ich przyjaciół. Nie było też żadnych aranżacji florystycznych, poza słoikami i bakelitowymi dzbankami, z których wylewały się kwiaty, co odróżniało ten dom od pozostałych, w których gotowałam. Jack i Grace byli prawdziwymi ludźmi. Tak bardzo brakowało mi prawdziwych ludzi.

Nie chciałam być jednak piątym kołem u wozu, zostając na resztę wieczoru z nimi, więc gdy tylko Jack wpadł przez tylne drzwi, zaczęłam się powoli pakować.

Już od progu krzyknął do swej narzeczonej:

– Chodź tu, Szalona! Czekałem, aby cię złapać... Och! Hej, Roxie. –

Uśmiechnął się leniwie znad rudych loków Grace, przytulając ją do siebie. – Zapomniałem, że dziś tu jesteś. Cudnie pachnie. Co to jest?

– Plastry steku hanger marynowane w odrobinie sosu z kolendry i soi, podane na liściach rukoli i endywii z pieczonym topinamburem skropionym sokiem z cytryny i posypanym serem pecorino – odpowiedziałam, niosąc talerze. – Dla ciebie, Jack, są jeszcze gruszki bera boska otulone szynką parmeńską, w towarzystwie dużego kawałka angielskiego sera cheddar, a dla ciebie, Grace, same gruszki.

– Dlaczego dla niej nie ma gruszek w wersji deluxe? – zapytał Jack, próbując posadzić sobie Grace na kolanach.

– Nie ma, bo za dwa tygodnie czeka mnie scena łóżkowa – odpowiedziała bez skrepowania, całując go w policzek i ledwo uciekając jego zachłannym dłoniom. – A ponieważ odmawiam sobie gruszek w wersji de-

luxe, dostanę później kawałek ciasta – dodała, zabierając się za sałatkę. – Poza tym mogło się też zdarzyć, że w międzyczasie oblizałam z ciasta kilka trzepaczek.

– Szkoda, że mnie przy tym nie było – wymamrotał Jack.

Pokręciłam głową i po cichu skończyłam sprzątać kuchnię, podczas gdy oni zajęli się obiadem. Obiadem, który bardzo im zresztą smakował.

Polałam ciepłą babkę piaskową cytrynowo-miodową polewą i zaczęłam się szykować do wyjścia, ale Jack i Grace poprosili, żebym została.

– Musisz zjeść trochę ciasta – powiedział Jack, sprawnie poruszając się po kuchni.

Hamilton z rękami pełnymi pudełek Tupperware: gdybym sprzedała takie zdjęcie kolorowym magazynom, już nigdy więcej nie musiałabym pracować.

– Nie mogę, ale dziękuję za zaproszenie. Muszę wracać do domu i przemyśleć parę spraw – powiedziałam, wkładając do etui ostatni z noży dokładnie w momencie, gdy zadzwonił mój telefon. Nieludzka godzina, czyli moja matka.

– Wszystko w porządku? – zapytał Jack, a w jego ciepłych oczach pojawiła się troska.

Zaskoczona poczułam, że do oczu napływają mi łzy. Przełknęłam ślinę.

– Wszystko w porządku. Odprowadzę ją – powiedziała Grace, biorąc mnie pod ramię i prowadząc do drzwi.

– Świetny obiad, Roxie, naprawdę fantastyczny. Jeszcze raz dzięki! – rzucił Jack i pogwizdując, zajął się przestawianiem rzeczy w lodówce.

Wyszłam na zewnątrz i wciągnęłam powietrze, walcząc ze łzami.

– Bardzo cię przepraszam. Nie wiem, co mnie naszło. – Pociągnęłam nosem i wytarłam delikatnie oczy, kierując się w stronę samochodu.

– Miałaś dzień do bani, to się zdarza. Pogadaj z mamą.

– Namówi mnie, żebym to dla niej zrobiła – powiedziałam, wkładając rzeczy do bagażnika.

– Nie chcę tego mówić, bo to może oznaczać, że opuści nas twoja babka, ale może potrzebujesz przerwy. Może to dobry pomysł... Wyjedziesz na jakiś czas z miasta, oczyścisz myśli.

– Jeśli wyjadę, zostawię wszystko.

– Już prawie straciłaś wszystkich klientów, Roxie. Oczywiście poza

nami, twoimi ulubieńcami.

– No tak... Wiesz dlaczego uwielbiam dla was gotować?

– Bo możesz sobie popatrzeć na Jacka?

– Wiadomo, ale poza tym brakuje mi gotowania prawdziwego jedzenia. Domowych posiłków. Niech kalorie będą przeklęte na wieki.

– Prawdziwe jedzenie w prawdziwym świecie, rozumiem. – Grace się roześmiała. – Zadzwoń do mamy, porozmawiajcie i podejmij decyzję. Nawet jeśli wyjedziesz, zawsze możesz wrócić.

– Oj, na pewno wrócę. Osiemnaście lat czekałam, żeby się wydostać z małego miasteczka. Nie ma mowy, żebym została tam na dobre – odpowiedziałam, potrząsając głową. – To dziura. Dwa tysiące trzydziestu mieszkańców.

– Wspaniale! Jeśli wrócisz – przepraszam, kiedy wrócisz – szepnę o tobie słówko tu i ówdzie. Znamy dziesiątki ludzi, którym przydałby się świetny kucharz. Wszystko się ułoży.

– Wracaj i zjedz trochę ciasta. Ukroiłam też dla ciebie. Dokładnie osiemdziesiąt pięć gram, nie więcej – powiedziałam, wsiadając do wagoneera.

– Zobaczymy – rzuciła, puszczając do mnie oczko.

Parę minut później byłam już w połowie drogi do domu, jadąc wzdłuż kanionu, i gdy tylko znalazłam zasięg, zadzwoniłam do matki.

Wysłuchałam jej, a następnie wróciłam do domu i patrząc na stos rachunków, zaczęłam się zastanawiać nad swoimi nieistniejącymi dochodami.

W końcu postanowiłam do niej zadzwonić.

– Roxie, jest już po północy...

– Przyjadę, mamó. Poprowadzę jadłodajnię. Oddasz mi swoją pensję. Zostanę tak długo, jak długo będziesz na tej swojej wyprawie dookoła świata z ciocią Cheryl. Ale potem jesteśmy kwita. Żadnych przysług. Nigdy. Jasne?

– Oczywiście! Dziękuję, moja fantastyczna córko! Kiedy przyjedziesz? Możesz przyjechać przed...

– Zadzwonię rano i wszystko ustalimy, dobrze? Wygrałaś, ciesz się. – Westchnęłam i rozłączywszy się, położyłam się na wznak na łóżku.

Cholera. Wracałam do domu.

Tydzień później podnajęłam mieszkanie, zapakowałam wagoneera i za-

komunikowawszy mojemu chłoptasiowi, że nie będzie mnie przez lato i że niestety będę musiała się obejść bez jego towarzystwa, pojechałam w prawo.

To znaczy: pojechałam na wschód.

Rozdział 3

Samotna jazda przez kraj może być nudna, szczególnie na początku. Przepraszam, Nevado. Przepraszam, Utah. Podoba mi się to, co macie światu do zaoferowania, hazard i The Osmonds¹¹, ale gdy człowiek nie ma pewności co do swoich wyborów, pustynia niekoniecznie jest dobrym miejscem na jazdę bez końca.

¹¹ Amerykańska grupa popowa.

Z drugiej strony pustynia jest idealnym miejscem, aby opuścić okna i zaśpiewać na całe gardło *Sweet Caroline*, mając za świadków jedynie kaktusy, piasek i myszołowa. Dodałam nawet wokal wspierający, dośpiewując z całych sił „ba ba ba” i zjeżdżając przy tym parę razy na drugi pas. Być może pustynia uderzała mi do głowy, trzymała jednak z dala ode mnie wspomnienia, które nachodziły mnie pomiędzy piosenkami. Myśląc o czasie, który miałam spędzić na wschodzie, i być może o spotkaniu przyjaciółek, Natalie i Clary, próbowałam sobie przypomnieć, kiedy ostatnio się widziałyśmy i co to był za etap w moim życiu.

Wyjechałam na studia do Amerykańskiego Instytutu Kulinarnego w Santa Barbarze przekonana, że to będzie armata, z której wystrzelę w dorosłość. Miałam w końcu zacząć żyć i pracować w sposób, który będzie mi odpowiadał. Miałam się skupić na sobie bez notorycznych tragedii mojej matki czy uczucia skrepowania, które towarzyszyło mi w czasach liceum i nie pozwalało rozwinąć skrzydeł.

Byłam żenująco nieśmiałym dzieckiem. Nie należałam ani do grupy tych usportowionych, ani do kujonów, dziwaków i mózgowców, więc żyłam na ziemi niczyjej. W szkole średniej nie ma koneserów jedzenia ani wiele dzieciaków, które spędzałyby weekendy na doprowadzaniu do perfekcji tartaletek z sera koziego czy organizowaniu degustacji oliwy z oliwek.

A ja robiłam i to, i to.

Byłam nieśmiała, koścista i czerwieniłam się, gdy tylko ktoś na mnie spojrzał. Na pierwszej poważnej randce ze studentem z wymiany zagranicznej z Finlandii jakoś sobie poradziłam dzięki przemyconej wódce i stanowi lekkiej nietrzeźwości. Spodobało mi się, gdy dotknął moich piersi, ale zaraz potem zwymiotowałam. Już nigdy więcej nie zadzwonił.

Raz w porze lunchu moje włosy wplątały się w zamek płaszcza i spędziłam pięć minut, próbując się uwolnić, zanim spokojnie (miałam nadzieję, że wyglądało, że spokojnie, aczkolwiek zupełnie się tak nie czułam) nie zajęłam się fasolką szparagową wymieszaną z migdałami i serem gruyère, którą przyniosłam z domu, próbując nie dostrzegać wzroku kolegów i koleżanek. Raz potknęłam się i spadłam ze schodów przed całą grupą, lądując ze spódnicą uniesioną aż do pasa. Innym razem zaznaczyłam na planie złe zajęcia fakultatywne i zamiast zapisać się na paradę kulinarnych przyjemności o nazwie Smaki świata, wylądowałam na zajęciach poświęconych debatom i spędziłam cały semestr, zerkając na minutnik i pocąc się nad kompromisem Missouri.

Kiedy tylko skończyłam szkołę, chciałam za wszelką cenę pozbyć się opinii osoby wiecznie podpierającej ściany i zdefiniować na nowo to, kim jest Roxie Callahan. Chciałam pokazać się światu. Piękno zaczyna nowej szkoły tkwi w tym, że nikt nie ma żadnych z góry przyjętych opinii na temat drugiej osoby.

W Amerykańskim Instytucie Kulinarnym poczułam, że wreszcie znalazłam swoje miejsce. Przebywałam z ludźmi podobnymi do siebie. Wszyscy tak samo emocjonowaliśmy się nowym opakowaniem francuskiego foie gras, śliniliśmy się na myśl o sezonowych truflach i aż promienieliśmy z podniecenia, ucząc się, jak karmelizować skórkę kurczaka do dekoracji.

A mówiąc o podnieceniu... Tak, pomówmy o podnieceniu. Był to stan, który bardzo przypadł mi do gustu. Szkoła kulinarna stała się prawdziwym kociołkiem do fondue, w którym mieszały się wszelkie seksualne żądze, a my tylko czekaliśmy, aby ktoś nas nadział i skonsumował. Wraz z wiarą w siebie spotęgowaną umiejętnością gotowania nabrałam też świadomości własnego ciała. Nadal byłam nieco koścista, ale dzięki paru dodatkowym kilogramom zdobyтым na pierwszym roku wreszcie pojawił się u mnie biust i słodki tyłeczek. Moje kręcone kasztanowe włosy stały się bardziej jedwabiste i sprężyste po kilku zabiegach wygładzających, a kalifornijski styl życia objawił się całoroczną opalenizną i piegami, które jako dziecko próbowałam wybielić sokiem z cytryny, a teraz były ładną oprawą dla moich oczu.

Miałam znajomych i niektórzy z nich byli nawet płci męskiej, co okazało

się całkiem zabawne. Pamiętając, jak moja matka piała z zachwytem nad każdym facetem, który był choć trochę podobny do Toma Sellecka (bez komentarza), ja zachowywałam się zupełnie na odwrót. Flirtowałam i odchodziłam, rozkoszując się nowo odkrytą bronią, dzięki której mogłam wejść w fizyczny, ale nigdy emocjonalny związek z każdym facetem, na którego miałam ochotę.

W końcu Roxie Callahan nie zamierzała iść tą samą drogą, co jej matka, wpadając z jednego związku w drugi, z dzieckiem na rękę i romanssem w wolnej dłoni, z obciążeniem w postaci zazwyczaj zadłużonej jadłodajni, czekając na kolejnego mężczyznę, który padnie do jej odzianych w buty Birkenstock stóp. Ja zamierzałam zrobić karierę.

I zrobiłam. Gdy tylko dostałam oceny od wykładowców, od razu rozwinęłam skrzydła. Dostrzegałam to, co dostrzegli i oni – wystarczyło parę ulepszeń, aby mój poziom gotowania wzniósł się na wyżyny. Aby to zrozumieć, trzeba wiedzieć, jak kropelka octu szampańskiego dodana w porę potrafi podkreślić całą recepturę, i jak ta sama kropelka dodana chwilę później może zamulić i przyćmić całkiem przyzwoite danie. Chodziło o perfekcję. Spędziłam godziny w pięknych kuchniach ze stali nierdzewnej, mieszając składniki, bawiąc się smakami i próbując tego, co z tych starań powstało.

Mimo że dobrze wiedziałam, co znaczy harówka w jadłodajni, wierzyłam, że gdy ktoś wyniesie gotowanie do poziomu sztuki, stanie się artystą, który ma czas na to, aby pracować nad swoim kunsztem. To nie była jednak do końca prawda. Pozycja szefa kuchni w restauracji z gwiazdką Michelin – co było celem każdego studenta szkoły kulinarnej – okazała się nie tym, czego oczekiwałam. Do moich zadań należało zatrudnianie pracowników, lista płac, umawianie spotkań z krytykami, przeglądanie ocen, dbanie o restaurację i zaplecze – no i jeszcze od czasu do czasu można się było zaszyć w kuchni i pogotować. Poczułam, że się pogubiłam: kochałam sam proces przygotowywania dań, ale zyskałam przekonanie, że praca w takiej restauracji – napięty grafik, gotowanie pod presją, żadnej wolności – nie jest dla mnie.

Zacisnęłam jednak zęby i skończyłam szkołę z wyróżnieniem. A potem przyszły pierwsze oferty. Niektóre dotyczyły stażu i pracy w kuchniach kilku najlepszych i najbardziej innowacyjnych restauracji w kraju i za

granicą, wiedziałam jednak, że nie będę tam szczęśliwa. Nie chodziło mi o prestiż czy sławę, ale o możliwość tworzenia. Nienawidziłam stresu związanego z codziennym funkcjonowaniem profesjonalnej kuchni, więc za radą pewnego profesora wybrałam spokojniejsze życie osobistego kucharza.

To była dobra decyzja. W takich warunkach mogłam pozwolić, aby moje dania mówiły same za siebie. Czasami dawałam klientom różne wskazówki, zdradzając sposoby na to, co zrobić, aby kruche ciasto zawsze wychodziło kruche, jak karmelizować, aby nie przypalić cebuli, jak kroić kurczaka. W czasach mięsa bez kości i skóry ludzie przed czterdziestką nie mieli okazji nauczyć się takich rzeczy. Bardzo mi się podobał ten element „uczenia”. To było coś ekstra, co mogłam im zaproponować, by czuli, że zatrudnienie osobistego kucharza jest nie tylko luksusem, ale również koniecznością.

Zostałam w Kalifornii, jeżdżąc po całym stanie, gdy tylko miałam na to ochotę lub gdy gdzieś pojawił się nowy klient. Santa Barbara, San Diego, Monterey, wreszcie Los Angeles. Wiele razy słyszałam, że dopiero po trzydziestce człowiek uczy się mówić „nie”, a że miałam lat dwadzieścia parę, moją odpowiedzią zawsze było „tak”. Zgadzałam się na nową pracę, nowe miasto, nowe doświadczenie. O ile nie było to coś nielegalnego (zasadniczo), niebezpiecznego (naprawdę) lub nie wiązało się z seksem analnym (nigdy), rzadko odmawiałam.

Sporadycznie odwiedzałam Bailey Falls, woląc raczej, aby to moja mama przyjeżdżała do mnie. Podobało mi się moje życie, podobała mi się nowa Roxie i za nic na świecie nie planowałam wrócić do Dziewczyzny Podpierającej Ściany.

Choć udało mi się uniknąć stresu związanego z pracą apodyktycznego szefa kuchni i dramatów, w których barmani sypiają z kelnerkami, nie udało mi się uniknąć stresu związanego z tym, że byłam odpowiedzialna za dopilnowanie ciągłości czeków. Utrzymywałam się wyłącznie z tego, że ktoś komuś mnie polecił i choć ciężko pracowałam na własną markę, nie miałam nadal żadnego zabezpieczenia. Nie dostawałam regularnej pensji. Nie miałam opłacanych świadczeń zdrowotnych, w tym opieki dentystycznej. Nie miałam możliwości awansu. Nie miałam rodziny. Rodziny w sensie zawodowym, czyli zespołu.

Myśl ta sprawiła, że wróciłam do rzeczywistości, która wyglądała tak, że właśnie przemierzałam kraj, aby wybawić moją matkę z opresji. Pogłośniłam radio i skupiłam całą uwagę na tym, by pozostać po właściwej stronie drogi.

Trzeciego dnia zatrzymałam się w przydrożnej restauracji, która głosiła wszem i wobec, że serwuje Najlepszy na Świecie Karczek. Wiedziałam, na czym polega marketing; każda restauracja na świecie rościła sobie prawa do jakiejś kulinarnej sławy: Najlepsze na Świecie Ciasto z Kremem Kokosowym, Najlepsze na Świecie Smażone Ogórki Konserwowe, Najlepsza na Świecie Scrapple¹²... Ta ostatnia była specjalnością naszej jadłodajni. Wystarczy przyjąć, że w skali ewolucji danie to plasuje się trzy szczeble poniżej szynki konserwowej... Doceniałam kunszt, z jakim ta spelunka umieściła swój karczek na wysokim billboardzie, a przy tym miałam ochotę na coś dobrego z grilla. Przejechałam już połowę stanu Kansas i byłam na tyle blisko Kansas City, że z powodzeniem mogłam założyć, że to rzeczywiście coś wyjątkowego.

¹² Mielona wieprzowina zapiekana z mąką kukurydzianą.

I tak było. Jak przystało na grill z okolic KC, słodko-ostry karczek podano w kawałeczkach ułożonych na rozkrojonej bułce. Mięso okazało się delikatne, ale nie za miękkie, a bukiet smakowy był idealnie zrównoważony.

Dodatki? Kawałeczki pieczonego na grillu wołowego mostka. Sugeruję przejechać pół kraju teraz, zaraz, aby zamówić choć jedną porcję.

Jadłodajnia w starym amerykańskim stylu pachniała chili, domowymi frytkami i tłuszczem; jego lekka woń utrzymuje się w powietrzu bez względu na to, jak dokładnie czyściłoby się kuchenne sprzęty. Całości dopełniała niemal niewidywana już w dzisiejszych czasach Flo¹³, niegdyś sztandarowa postać. Prosta, bezpretensjonalna Flo w rajstopach i z ołówkiem we włosach.

¹³ Fikcyjna sprzedawczyni o charakterystycznym wyglądzie.

– Coś jeszcze, słonko?

Uśmiechnęłam się do niskiej staruszki, która musiała przejść miliony kilometrów w tych swoich tenisówkach Reebok, nie poślizgnąwszy się na-

wet raz na rozgniecionym groszku.

– Nie, dziękuję. Dobrze, że poleciła mi pani placek. Był wyborny.

– Kwaśna śmietana. W tym tkwi sekret. – Uśmiechnęła się, kładąc na la-dzie rachunek. – Robi ogromną różnicę. I nie chodzi tu tylko o pieczone ziemniaki.

– Żartuje pani! – Uśmiechnęłam się szeroko, zachęcając ją, aby podzieli-ła się ze mną kawałkiem swej kulinarnej wiedzy.

Dwadzieścia minut później znów byłam w trasie, z pełnym żołądkiem, nowym przepisem na czekoladowo-kawowe ciasto i nagłą sympatią do starych jadłodajni.

Zanim przekroczyłam granicę stanu Nowy Jork, wszystko się jednak zmieniło. Miałam dość jazdy, dość sikania w zajezdniach dla ciężarówek i dość bycia w domu, choć technicznie rzecz ujmując, jeszcze nawet tam nie byłam. Dwie godziny później, gdy zaczęłam stopniowo i powoli piąć się drogą przez góry Catskill, czułam się już tak zmęczona i rozbita, że żadne ćwierkanie ptaków czy widok późnych tulipanów rosnących przy dwupasmówce nie były w stanie poprawić mi humoru. Wreszcie zjecha-łam z autostrady i wjechałam na główną drogę w Bailey Falls, gdzie uj-rzałam wiszący na budynku ratusza dziwny baner: za parę dni miała się odbyć parada z okazji Memorial Day¹⁴. Wszędzie było pełno rozkosz-nych czerwonych, białych i niebieskich chorągiewek przyozdabiających ganki i zwisających ze słupów telefonicznych i latarni, nie robiło to jed-nak na mnie większego wrażenia.

14 Amerykańskie święto państwowe upamiętniające poległych w trakcie odbywania służby wojskowej.

Niczym na autopilocie przejechałam obok rezydencji na Main Street, równie szykownych posiadłości na Elm i Maple, mniejszych, ale ślicz-nych jak z obrazka domków na Locust i Chestnut, cichego osiedla parte-rowych domów na obrzeżach miasteczka, przez tory kolejowe i z powro-tem na wieś. Tu domy stały w większej odległości od siebie; niektóre łą-czyły się z zabudowaniami gospodarskimi, a inne tonały w morzu za-rdzewiałych samochodów z wybitymi szybami od wieków stojących na ceglach.

W końcu skręciłam w długą, krętą drogę wysypaną żwirem, przykrywającym niezliczoną ilość dziur, wzdłuż której ustawiono skrzynki z kwiatami pomalowane na jaskrawe kolory: pomarańcz, fiolet i róż. Tu i ówdzie w skrzynki były wetknięte neonowe tablice z frazesami motywacyjnymi:

MNIEJ WOJOWANIA, WIĘCEJ PRZYTULANIA

KOBIETA POTRZEBUJE FACETA JAK RYBA ROWERU

JEST TYLKO DZIŚ

Byłam pewna, że ostatni cytat pochodził filmu *Rent* i odruchowo przewróciłam oczami. Podskakując na wyboistym podjeździe i czytając nowe tablice włożone pomiędzy stare, próbowałam zobaczyć matkę oczami innych. Wesołą. Pozytywnie nastawioną. Wieczną optymistkę. Sama nadal widziałam w niej kobietę w ogrodniczkach, z kwiatkiem za uchem, która przynosiła mi torbę z lunchem za każdym razem, gdy celowo zostawiałam ją w domu, mówiąc na forum całej klasy, żebym nie wyrzucała kielków fasoli, bo są źródłem błonnika, a ten jest przecież niezbędny dla zdrowia.

Upokarzające.

Wyjechałam z za ostatniego zakrętu na podjazd i ujrzałam przed sobą swój rodzinny dom. Mimo upływu lat nadal wyglądał tak samo. Jednopiętrowy, pokryty deskami i odchodzącą białą farbą. Szeroki ganek z przodu zapełniały na wpół ukończone obrazy, a na trawniku, który dawno nie widział kosiarki, leżały porozrzucane wiatraczki. Z boku elewacja nosiła znamiona przynajmniej trzech prób malarskich w trzech różnych kolorach, z których każda została przerwana w momencie, gdy coś innego przyciągnęło uwagę mojej matki. W innym miejscu były widoczne dziury w drewnie pozostawione przez pracowite dziecióły, niekiedy zamieszkiwane przez zaprzyjaźnione wiewiórki. W sumie zawsze miło się obudzić, słysząc tupot łapek gdzieś za ścianą.

Dom to jednak zawsze dom. Zaparkowałam samochód, wciągnęłam torbę na ganek i zaczęłam się zastanawiać, czy powinnam zapukać do drzwi

domu, w którym mieszkałam, odkąd skończyłam trzy dni.
„Pieprzyć pukanie” – pomyślałam i chwyciłam za klamkę.

Zamknięte.

Zapukałam.

Cisza.

Chyba ktoś raczy żartować!

Przeszłam szybkim krokiem przez patio na tył domu, mijając po drodze tablice nawołujące, aby się nie martwić, tylko cieszyć, i sięgnęłam po klucz, który leżał pod donicą przy tylnych drzwiach. Jeszcze raz zapukałam, po czym weszłam do środka.

Każdy dom ma własny zapach. Czuć go za pierwszym razem, gdy się do kogoś przychodzi. Czasami jest to ładny zapach, jak zapach cynamonu, świeżego prania, słodkich bułeczek z orzeszkami pekan i tytoniu do fajki. Niekiedy zapach jest brzydki: odświeżacz, kapusta, przyprawa curry, klatka z chomikiem, czerstwa pizza, martwy naskórek. (Jeśli ktoś kiedykolwiek był w męskim akademiku, pewnie zna tę woń. Jak już powiedziałam, każdy dom ma swój zapach...) I każdy taki zapach niesie ze sobą pewną historię. Zwykle nie czuje się zapachu własnego domu, chyba że wraca się po dłuższych wakacjach albo po kilku latach...

Jeden głęboki wdech i poczułam, że jestem w domu. Zapach grysiku owsianego, Boraxu i paczuli. Rozejrzałam się i zobaczyłam, że nic się nie zmieniło. Przy zlewie suszyły się te same szklanki z wesołego miasteczka Camp Snoopy, na ladzie stały te same białe-brązowe ceramiczne pojemniczki z motywem grzybów, a na ścianie wisiały te same stare talerzyki, poza brakującym z Rhode Island.

– Mamo! Jesteś w domu? – zawołałam, dobrze wiedząc, że jej nie ma. Czułam złość. Przejechałam cały kraj, rzuciłam pracę (w tej całej mojej złości przestałam zwracać uwagę na fakty) i wróciłam do miasta, aby ona mogła wyruszyć w tę swoją podróż dookoła świata, a jej nawet nie było w domu!

Wybiegłam na zewnątrz, wskoczyłam do auta i ruszyłam do centrum. Był poniedziałek rano i dokładnie wiedziałam, gdzie jest moja matka.

Wjechałam na parking za jadalnią i skręciłam w wolne miejsce obok

jej auta. Samochody o charakterystycznej drewnianej stylistyce były tradycją w naszej rodzinie i patrząc na jej kombi z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego, z rybką Darwina na zderzaku i wyblakłą, ale nadal niezerwaną naklejką „Głosuj na Mondale/Ferraro!”¹⁵, nie można było się pomylić.

15 Nawiązanie do wyborów prezydenckich w 1984 roku.

Chwycałam torebkę i wpadłam przez tylne drzwi do kuchni, trafiając prosto w samo serce akcji, której byłam świadkiem już z tysiąc razy. Latające bileciki. Dźwięk dzwonka. Biegający ludzie. Trzaskające drzwi do spiżarni, otwierane i zamykane, gdy tylko ktoś wchodził czy wychodził. Szatkowane warzywa. Ustawione na średnim ogniu garnki. Armia kelnerów ubranych w stylu retro (miałyśmy swoje własne Flo), wykrzykująca zamówienia i wynosząca dania w różowo-zielonych poliestrowych sukienkach, które idealnie pasowały do siedzeń. Był w tym pewien rytm. Było szaleństwo. Słyszeć też było śmiech – głównie mojej matki.

Stała w samym środku tej burzy rodem z filmu animowanego *Fantazja*. W pasie miała profesjonalnie przewiązany brudny fartuszek. Kręcone włosy z widocznymi siwymi pasemkami spięła w kok. Z szerokim uśmiechem wykrzykiwała zamówienia, roznosiła dania i wydawała specjalne rozkazy: „Dla stolika szesnaście potrzebuję dwa sadzone na śwince, jajecznicę z dwóch, kanapkę z wkładką i omlet z frytuniami!”. Gdy tylko mnie dostrzegła w całym tym chaosie, niemal od razu znalazłam się w jej niedźwiedzim uścisku, który zdmuchnąłby z boiska rozgrywającego. Przytuliłam ją, nie mogąc się powstrzymać od śmiechu, głównie z powodu tego, że w jednej minucie uszło ze mnie całe powietrze.

– Roxie, przyjechałaś wcześniej? Myślałam, że będziesz dopiero po południu albo nawet późnym wieczorem. Kiedy dotarłaś?

– Dopiero co... Zeszłej nocy byłam już tak blisko, że postanowiłam się nie zatrzymywać, tylko jechać dalej.

– Cieszę się, że odczytałaś moją wiadomość.

– Jaką wiadomość? – zapytałam, gdy odsunęła się nieco, aby na mnie spojrzeć.

– Na frontowych drzwiach. O tym, że pracuję dziś na porannej zmianie... Nie? Więc skąd wiedziałaś, że tu jestem?

- Zgadłam. I, mammo, nie było żadnej wiadomości.
- Ależ tak! Przykleiłam ją do drzwi, wychodząc rano, gdy... O kurczę, jest tutaj – powiedziała, potrząsając głową na widok kawałeczka papieru wyciągniętego z kieszeni fartuszka.

Roxie, pracuję dziś na rannej zmianie. Wpadnij do jadłodajni. Tak się cieszę, że przyjechałaś!

– No cóż, ale przyjechałaś! Tylko to się liczy! I wcale nie przyjechałaś za wcześnie, bo mamy pełne ręce roboty... Carla zadzwoniła dziś o czwartej rano, że jest chora, więc musiałam przyjechać, by otworzyć jadłodajnię, a jeden z chłopców pracujących na zmywaku zwolnił się w zeszłym tygodniu i jeszcze nie miałam czasu, aby znaleźć zastępstwo. Przywiozłaś fartuch?

– Czy przywiozłam... co? Mammo, jechałam całą noc i...

– Nie ma problemu. Możesz wziąć jeden z tych, które wiszą na wieszaku. Muszę wracać do pracy, ta fasola i tak już zbyt długo przeleżała w okienku. Porozmawiamy, jak się nieco uspokoi, dobrze? Dzięki, słonko! – krzyknęła, zwracając się głośno do Maxine, jednej z najdłużej pracujących kelnerek: – Ta fasola jest już prawie zimna! Zanieś ją w trymiga do siódemki!

– Zamknij się, Trudy! Cześć, Roxie! Świetnie, że znów jesteś w domu! – rzuciła Maxine.

Po chwili znów powrócił chaos, a ja stałam pośrodku tego wszystkiego, zastanawiając się, co właściwie przed chwilą zaszło.

– Pamiętasz, jak się obiera ziemniaki? Brakuje nam frytek, a chciałabym zdążyć przed lunchem – zaszczębiotała moja matka, popędzając mnie i kierując w stronę góry usypanej z worków z ziemniakami.

– Na miłość boską, wiem, jak się obiera ziemniaki – wymamrotałam gniewnie, zdając sobie sprawę, że już się w żaden sposób nie wymigam.

– Jeden mielony biegnący przez zieleninę z różanym czerwonym! – krzyknęła nagle mama, zwracając się w stronę lady.

– Szybciej byłoby powiedzieć burger z sałatą i pomidorem... – rzuciłam w stronę ziemniaków, które spoglądały na mnie beznamiętnie. Dosłownie spoglądały, bo te konkretne ziemniaki miały wypustki przypominające oczy.

Zdjęłam czysty fartuch z wieszaka. Chwyciłam ze stojaka najmniej tępy nóż, którym najtrudniej było się skaleczyć, i zaczęłam nalewać wodę do garnka. W jadłodajni serwowaliśmy steki z grubo ciętymi frytkami, na tyle dużymi, aby wypełnić bułkę od hot doga, jeśli ktoś miał takie życzenie. Nie znaczyło to jednak, że nie można zrobić z tego idealnego steku z idealnymi frytkami. Usadowiłam się więc z nożem w dłoni i zabrałam się za obieranie, cięcie i układanie idealnie jednakowych ziemniaków. Powycinałam oczy, poodcinałam zielone pędy i zatraciłam się w detalach. Słyszając wykrzykiwane zamówienia na lodowo-mleczne koktajle i szarlotki, próbowałam koncentrować się na cięciach, aby wszystkie ziemniaki miały idealne krawędzie, zanim trafią do wody.

Gdy mama wpadła zabrać pierwszą partię ziemniaków, przez dłuższą chwilę patrzyła z ciekawością, jak próbuję usunąć uparcie przylegającą skórkę.

– Te ziemniaki i tak wylądują w sosie albo w ketchupie. To nie muszą być dzieła sztuki, Rox.

– Kazałaś mi obierać ziemniaki, a ja obieram ziemniaki w taki sposób – odpowiedziałam, wrzucając kartofel do rondla.

– Włącz piąty bieg, inaczej nigdy się z tym nie uporamy – rzuciła, a ja przewróciłam oczami. – Widziałam to!

– I dobrze! – Wyjęłam kolejny rondel. – Piąty bieg...

Teraz dopiero czekało mnie wyzwanie: błyskawicznie zrobić idealne frytki. Odciełam się od hałasu i brzęku naczyń, po czym zabrałam się do dzieła. Moje dłonie były wszędzie, palce tańczyły, przycinając kartofle to tu, to tam, a rondel powoli wypełniał się ziemniaczanymi dziełami sztuki. Czas leciał, a ja wypełniałam rondel za rondlem, patrząc, jak worki powoli stają się puste.

Wtem jedna z kelnerek, witając się, poklepała mnie po ramieniu, co mnie tak wystraszyło, że upuściłam nóż za rondel. Nachylając się nad garnkiem, aby go dosięgnąć, straciłam równowagę i zachlapałam wodą całą bluzkę.

– Aj! – krzyknęłam, czując, że woda spływa mi w stronę brzucha. Wyrwana z frytkowego amoku, rozejrzałam się dookoła. Na wszystkich blatach stały rondle z frytkami. Może nieco przesadziłam...

– Na miłość boską, Roxie, nie potrzebujemy tylu frytek! – krzyknęła

moja matka, materializując się tuż przy mnie.

– Będą na jutro, a nawet na pojutrze – odpowiedziałam nieco zmieszana.

– W porządku, zrobię miejsce w spiżarni. Może umyjesz teraz trochę groszku cukrowego? – zapytała, stawiając z hukiem dużą miskę pełną strąków. – Odetnij końcówki i usuń włókniste części.

– Wiem, jak się przygotowuje groszek cukrowy – mruknęłam, napełniając miskę wodą. – Odetnij końcówki... Usuń włókniste części... No coś ty, poważnie?

– Zaczęłaś mówić do siebie w tym Hollywood? – rzuciła matka z przekąsem, wystawiając głowę zza drzwi i niemal obrywając strąkiem, którym w nią rzuciłam. Roześmiała się i zniknęła w kuchni, a ja westchnęłam, po czym znów zabrałam się do pracy. Jeszcze tylko to i drzemka...

Nagle poczułam mrowienie w karku i patrząc przez ramię, zrozumiałam dlaczego. W ciągu zaledwie paru sekund wydarzyło się równocześnie kilka rzeczy, choć mnie się wydawało, że to wszystko dzieje się w zwolnionym tempie.

1. Zaraz za mną stał facet.

2. Trzymał koszyk.

3. W koszyku były cudne orzechy włoskie.

4. Krzyknęłam, zaskoczona faktem, że za mną stoi.

5. Upuściłam miskę.

6. Strąki groszku wzbiły się w powietrze i poleciały we wszystkich kierunkach.

7. Niektóre wylądowały na jego butach.

8. Spojrzałam nieco powyżej butów. Wylądowały też na džinsach.

9. Spojrzałam wyżej. Wylądowały też na koszulce vintage z koncertu Fugazi¹⁶ i na zielonej flanelowej koszuli.

16 Amerykańska grupa indierockowa.

10. Spojrzałam w górę. Dwutygodniowa skudłacona broda koloru blond. Czyli wiejski hipster.

11. Podniosłam wzrok. Usta.

12. Spojrzałam na usta.

13. Patrzyłam na usta.

14. Wpatrywałam się w usta.

15. DAJ JUŻ SPOKÓJ...

16. Podniosłam wzrok znad ust.
 17. Dobrze, że spojrzałam ponad usta.
 18. Oczy i włosy były w komplecie. Włosy opadały mu niefrasobliwie na oczy w sposób, który zdawał się mówić: „Hej, laska. Mam groszek na butach, ale co tam, skoro mam te oczy i te włosy. Jest super”.
 19. Jego włosy były koloru libańskiej sałatki tabuli.
 20. Oczy miały kolor...
 21. Ogórków konserwowych?
 22. Fasolki szparagowej?
 23. Nie. Brokułów, które gotowały się na parze przez dokładnie sześćdziesiąt sekund. Jasne. Przenikliwe.
 24. Wstałam – i poślizgnęłam się na strąku groszku.
 25. Wpatrywałam się w niego, leżąc mu u stóp.
 26. Przez sekundę widziałam, jak unosi się koniuszek jego ust.
 27. Przez sekundę patrzył na mój lekko prześwitujący, mokry T-shirt, ale przyzwoitość nakazała mu odwrócić wzrok.
 28. Odłożył koszyk z orzechami i wyciągnął do mnie rękę. Była szorstka, pokryta odciskami. Teraz uniósł oba koniuszki ust.
 29. Chwyciłam go za rękę, aby wstać. I znów poślizgnęłam się na groszku. Nastąpiło zderzenie światów, gdy moja skóra otarła się o jego skórę. I nastąpiło zderzenie głów, gdy czołem uderzyłam w jego czoło.
 30. Jeden z moich strąków wpadł mu pod but.
 31. On też się przewrócił.
 32. A jego orzeszki rozsypały się po całej podłodze.
 33. Leżeliśmy spleceni nogami.
 34. A jego głowa wylądowała mi na... kolanach.
 35. W tej samej chwili groszek cukrowy stał się moim ulubionym warzywem.
- ***

Facet od orzechów miał na imię Leo, a wiem to stąd, że gdy moja mama wyjrzała zza rogu i ujrzała jego twarz w nogach swojej córki, krzyknęła: „Leo!” i podbiegła, by pomóc mu wstać. Jemu, nie mnie. Nigdy nie potrafiła się oprzeć przystojnemu mężczyźnie. A gdy już uwolniła go pomiędzy moich ud... o litości... on schylił się, aby pomóc mnie.

– Na miłość boską, Roxie, co ty wyprawiasz? – Matka podniosła mnie za ramiona i postawiła, jakbym była workiem mąki.

– Ja... ekhm... cóż...

– Myślę, że ją nieco zaskoczyłem, pani Callahan – wtrącił Leo miękkim, a zarazem zdecydowanym głosem. Jak to w ogóle możliwe? – Wszystko okej?

– Ja... ekhm... cóż... – Skąd to jąkanie? Ja się nie jąkam!

Uśmiechnął się, a w jego oczach pojawiło się rozbawienie połączone z ciekawością.

– Wszystko w porządku, prawda? Ojej, chyba jest ci zimno... Może się czymś okryj – rzuciła moja matka, patrząc na konkretną część mojego biustu.

Spojrzałam w dół i przypomniawszy sobie, że wszystko mi widać, szybko zasłoniłam ramionami mokre piersi, szczególnie że sutki stanęły na baczność, jakby właśnie doszły. Oto, panie i panowie, moja matka!

– Roxie, załóż czysty fartuch, a potem usiądź z Leo i napijcie się kawy. Masz czas na kawę, prawda, Leo? Przynajmniej tyle możemy ci zaoferować po tym, jak niespodziewanie wylądowałaś na podłodze!

Kawa nagle wydała mi się najlepszym pomysłem w historii wszystkich najlepszych pomysłów. Kawy? Tak, poproszę. Może położysz się jeszcze raz na mnie? Jeśli musisz...

– Przepraszam, pani C, ale nie mogę dziś zostać. Mam ciężarówkę pełną towaru, który muszę dostarczyć przed piątą. Czy mogę skorzystać z zaproszenia w innym terminie? – zapytał, posyłając mojej matce roztopiający serce uśmiech, a następnie kierując ten sam uśmiech w moją stronę.

– Na pewno wszystko okej?

Nawet bardziej niż okej. Zwykle nie trzęsły mi się kolana tylko dlatego, że jakiś przystojniak na mnie spojrzał, nawet jeśli moje piersi właśnie... doszły.

Spojrzałam na niego zza opuszczonych rzęs i przekrzywiwszy nieco głowę, rzuciłam mu uśmiech.

– Przepraszam za orzechy – powiedziałam i jakby nigdy nic skierowałam się w stronę spiżarni, lekko kołysząc biodrami.

Będąc już w środku, dałam sobie dziesięć sekund na nastoletni atak w stylu „właśnie spotkałam fajnego chłopaka” i akurat wykonywałam

pięścią gest zwycięstwa, gdy matka wsunęła głowę.

– Jak już skończysz, na podłodze leży sporo groszku, który sam się nie posprząta – powiedziała, rzucając mi znaczący uśmiech.

Czując na twarzy płonące rumieńce, pospiesznie wyszłam ze spiżarni.

Perspektywa spędzenia lata w rodzinnym domu właśnie stała się nieco bardziej znośna.

Rozdział 4

Jak tylko minęła pora lunchu, usiadłam w łoży w kącie, aby nieco odpocząć. Leo. Co to w ogóle za imię? I dlaczego przyniósł te wszystkie orzechy?

– Co tydzień przywozi mi orzechy, kochanie. Nasza jadłodajnia jest mu po drodze.

– Słucham? – zapytałam, odwracając się na krześle.

– Zapytałaś, dlaczego przyniósł te wszystkie orzechy. Rozumiem, że masz na myśli Leo, młodego mężczyznę, którego powaliłaś dziś rano na podłogę.

– Powiedziałam to na głos?

– Tak. Albo przez brak snu, albo na skutek uderzenia o podłogę coś się poluzowało. Tak czy inaczej, słyszą cię tylko siedzenia ze sztucznej skóry.

Usiadła obok mnie. Jadłodajnia była już zamknięta, a obsługa poszła do domu. Od poniedziałku do czwartku zamykaliśmy po lunchu, a od piątku do niedzieli zostawialiśmy do kolacji. Moje najlepsze wspomnienia były związane z popołudniami spędzonymi w jadłodajni, kiedy było cicho i spokojnie, a ja mogłam budować miasta z serwetników, podczas gdy matka wypisywała zamówienia i wystawiała faktury. Mogłam wtedy zjeść tyle ciasta, ile tylko udało mi się podkraść z kuchni.

Kiedy byłam mała, prawie codziennie zdarzały się takie ciche popołudnia – moja podstawówka była usytuowana ledwie parę przecznic dalej w górę ulicy i przychodziłam tu zaraz po ostatnim dzwonku. Odrabiałam pracę domową, mama nadrabiała zaległości papierkowe – tak nam mijało słoneczne popołudnie. Gdzieś pomiędzy szesnastą trzydzieści a siedemnastą trzydzieści pakowałyśmy się i wracałyśmy do domu, aby zdążyć przed „wujkiem”, z którym moja matka akurat się spotykała, bo miał wkrótce wpaść głodny na kolację. Wieczorami więc nieco ją traciłam z oczu, tak samo jak inne dzieci, które musiały dzielić się matką z ojcem, rodzeństwem, Stowarzyszeniem Rodziców i Nauczycieli czy jakąkolwiek inną osobą czy działalnością.

Matka spotykała się z miłymi, zabawnymi facetami, więc nie było konieczności kręcenia na tej podstawie kolejnego epizodu programu *Szko-*

ła, nigdy jednak nie zostawali na dłużej. Wiem, że kochała tatę. Jego zdjęcie stało na kominku od kiedy pamiętam, niezależnie od tego, jaki „wujek” akurat kręcił się w pobliżu. Ojciec zmarł, nim skończyłam rok. Od tamtej pory matka próbowała zaleczyć swój wielki żal kolejnym cierpieniem.

Bez względu na wszystko, popołudnia w jadłodajni zawsze były jednak miłe.

A teraz zaczęłam mówić do siebie. Byłam w mieście niecały dzień i już zaczynałam tracić zmysły.

– Nie tracisz zmysłów, kochanie – wtrąciła matka, a ja spojrzałam na nią szeroko otwartymi oczami.

– Czy to też powiedziałam na głos? – zapytałam, opadając na siedzenie.

– Co ty, do diabła, dodałaś do tej kawy?!

– Nie powiedziałaś, ale znam swoją córkę. Pewnie to małe miasto przyprawia cię o zawrót głowy, prawda?

– Być może – wyrwało mi się. Wpatrywałam się przez chwilę w cętkowaną ceratę na stole, po czym dodałam nonszalancko: – A więc po drodze dokąd?

– Że co?

– Powiedziałaś, że jest mu po drodze.

– Kiedy to powiedziałam?

– Minutę temu.

– Nie wydaje mi się.

– Mamo...

– Och, masz na myśli Leo i to, że jest mu do nas po drodze?

– To właśnie powiedziałaś. – Z jej pamięcią wszystko było w porządku, ale miała dziwne poczucie humoru. – A więc facet ma po drodze do...

– Po drodze do... kochanie? – zapytała niewinnie.

– Dobra, idę do domu...

– Oj, uspokój się. Zostań i dopij kawę. Tylko się z tobą drocę – powiedziała, kiwając, bym usiadła. – A zatem co byś chciała wiedzieć o mężczyźnie, który ma do nas po drodze? Choć przyznam, że ja wolę mówić o nim mężczyzna, który ma piękne oczy... Widziałaś jego oczy?

– Przyznaję, że mają ciekawy odcień zieleni – zgodziłam się, dobrze wiedząc, że w przeciwnym razie nic już z niej nie wyciągnę. – Kim on

jest?

– Pracuje na farmie Maxwellów i sprzedaje produkty lokalnym restauracjom. Co tydzień podrzuca jakieś specjały, w tym orzechy włoskie.

– To ta farma Maxwellów?

– Dokładnie ta.

– Czyli ktoś tam coś teraz uprawia?

– Zmienili całe to miejsce nie do poznania! Rozbudowali szklarnie, powiększyli sady, pola znów rodzą... Jest tam wprost cudnie.

– Kiedy to się stało?

– Ile cię tu nie było, Roxie? Świat nie stoi w miejscu tylko dlatego, że ktoś wyjechał. – Na jej twarzy nie było widać żadnych emocji, ale w głosie można było wyczuć nieco ostrzejszą nutę.

– Mam tego świadomość – odpowiedziałam, obracając filiżankę stojącą na spodeczku wokół własnej osi. Poczułam małe ukłucie żalu, że tak długo mnie tu nie było, ale szybko je zdusiłam, koncentrując się znowu na farmerze.

W tej części stanu farma Maxwellów była legendą. Co ja mówię: farma – cała rodzina Maxwellów była legendą, i to w każdej części stanu. Stary Nowy Jork. Stare pieniądze. Stara rodzina bankowców. Jeśli ktoś miał kredyt hipoteczny, to prawdopodobnie zaciągnął go w banku Maxwellów. Ktoś brał w leasing samochód? Gwarancja bankowa pochodziła zapewne z ich banku. Ktoś inwestował w fundusze inwestycyjne? Jeśli związane z giełdą, to rodzina Maxwellów z Nowego Jorku miała pewnie w tym udział.

Jak to zwykle bywa z bogatymi rodzinami, czasami lubią opuszczać swoje apartamenty na Manhattanie, domek w nadmorskim Hamptons czy w Palm Beach, aby wybrać się na starą dobrą wieś, gdzie mogą posmakować rustykalnego życia na farmie.

Słowo „farma” ma tu dość szerokie znaczenie. Słyszając je, każdy myśli o hektarach pola wokół rodzinnego gospodarstwa z czerwoną stodołą o spadzistym dachu, podobnego do tych widywanych w innych stanach. Być może pierwszym skojarzeniem będzie mieszkający w stodole kot. Może kura albo dwie. Jeśli ktoś ma miłe usposobienie, pewnie wyobrazi sobie nawet muczące krowy.

Osoby mniej romantyczne i nieco mocniej stąpające po ziemi będą mieć

zupełnie inny obraz. Setki hektarów pól z jednym typem upraw, prawdopodobnie kukurydzy czy soi, bez żadnych starych zabudowań czy stodoły. Być może nawet kiedyś tu były, ale zostały sprzedane w ramach scalania gruntów i pewnie je rozebrano lub pozostawiono na łaskę żywiołów. Być może stoi tam jedna duża stodoła, w sam raz na sprzęt rolniczy, ale zdecydowanie nie słychać żadnych krów.

Farma Maxwellów to jednak zupełnie inna historia. To obraz sielanki, gdzie sól tej ziemi cudownie łączy się ze słodkim wizerunkiem farmera w ogrodniczkach. Pod koniec dziewiętnastego wieku, gdy rodzina miała już ugruntowaną pozycję wśród nowojorskiej elity, kupiła duże połacie ziemi w dolinie rzeki Hudson. W tamtych czasach nie byli jedyni: rodziny Vanderbiltów, Rockefellerów i Carnegiesów też miały farmy. Ogromne areale ziemi, przepiękne posiadłości z kamienia z równie pięknymi kamiennymi stodołami, ścieżki konne, herbaciarnie, fontanny i altany... Zdarzało się, że w obrębie tych gospodarstw prowadzono nawet jedną czy dwie uprawy.

Z początku miejsce to miało stanowić schronienie przed trudami życia, które niesie za sobą posiadanie dużego majątku. Główna posiadłość i stodoły stały wysoko na skarpie, z której rozciągał się widok na rzekę Hudson. Olbrzymie kamienne budynki wykorzystywano głównie do trzymania bydła, jako że kiedyś było to prężnie działające gospodarstwo mleczne. Na polach prowadzono do pewnego stopnia uprawy – głównie warzywa i owoce – ale większą część areалу przeznaczono na rezerwat dzikiej przyrody. Niektóre pola zaorano i przygotowano dla myśliwych. Rodzina Maxwellów lubiła wydawać duże przyjęcia dla znajomych z miasta, podczas których panowie oddawali się pasji wypłaszania przepiórek i bażantów, a panie spacerowały po ogrodach, sadach i oranżeriach.

Maxwellowie przyjeżdżali do swojej posiadłości tylko parę razy w roku. W pozostałym okresie ziemią zajmowali się wynajęci rolnicy i konserwatorzy zieleni, których zadaniem było dopilnować, aby miejsce to zawsze było gotowe na gości z miasta. Po paru latach większa część ziemi leżała odłogiem, pola zalesiono, a w domu coraz rzadziej widywano właścicieli. Przypuszczam, że Maxwellowie znaleźli sobie inne miejsca, do których mogli uciec od miejskiego gwaru.

Rezydencja wraz ze stodołami tak bardzo podupadła, że w końcu stała się tylko opustoszałą posiadłością na obrzeżach miasteczka. W latach siedemdziesiątych historią rodziny zainteresowała się nowa pani Maxwell, która rozpoczęła prace restauratorskie. Nikt nie mieszkał tam przez dłuższy okres, ale co jakiś czas, na specjalne okazje, zjeżdżały się w okolice rezydencji wycieczki. Sama byłam tam w czwartej klasie. Poszliśmy na spacer na pola, aby podziwiać rozciągające się stamtąd widoki, posiadłość i całe to bogactwo.

Patrzyłam na niewykorzystane połącze pól, opustoszałe stodoły, zimny dom z kamienia ozdobiony kwiatami, ale pozbawiony ludzkiego ciepła, i za każdym razem było mi tego wszystkiego szkoda.

– Cóż, cieszę się, że wreszcie ktoś zrobił z tej ziemi użytek – powiedziałam.

– Zgadzam się.

– Czyli Leo rozwozi wszystkie te produkty? Wspaniale, naprawdę.

– Zgadzam się.

– Mają stoisko na targu?

– Tak.

– Może tam zajrzę. Targ nadal odbywa się w soboty, prawda?

– Uhm.

– Może dobrze byłoby sprawdzić, jakie mają sezonowe warzywa. Mogłybyśmy je wykorzystać w jadłodajni.

– Zgadzam się. – Moja matka popijała kawę, patrząc przed siebie rozmazonym wzrokiem. Pewnie myślami była już na wyprawie dookoła świata.

– Chodźmy do domu – rzuciłam. – Możesz mi zrobić trochę tej swojej zupy jarzynowej, a jak tylko zajdzie słońce, idę prosto do łóżka. – Podniosłam się i chwyciwszy torebkę, skierowałam się do wyjścia. Moje dzinsy były tak sztywne od zaschniętych plam z ziemniaków i wody po groszku cukrowym, że aż szeleściły przy chodzeniu, przypominając mi o małym incydencie na podłodze z udziałem słodkiego farmera z naszego prywatnego *Domku na prerii*.

– Czemu te twoje dzinsy tak nieznośnie szeleszczą? – zapytała matka.

Nic, powtarzam, absolutnie nic nie jest w stanie ujść jej uwadze, poza oczywiście ostatnimi powiadomieniami o zaległościach w płatnościach

firmy energetycznej, kwestią podatków od nieruchomości i koniecznością przedłużenia ważności prawa jazdy. Za nic w świecie nie przepuściłaby okazji, by wejść do kuchni w momencie, gdy jej córka leży rozkraczona na podłodze pod nieznanym mężczyzną trzymającym głowę na jej kolanach, w otoczeniu rozrzuconych orzechów i groszku cukrowego. Nie uszłoby też jej uwadze szeleszczenie dżinsów.

– To nic. Wracajmy do domu.

Sądzę, że zauważyła też rumieniec na mojej twarzy.

Mimo zmęczenia każda z nas wróciła własnym samochodem, dzięki czemu zyskałam kilka minut ciszy (po tym całym chaosie w jadłodajni prawie zupełnie zapomniałam, co to cisza), aby przemyśleć parę spraw. Najwyraźniej co nieco się w mieście pozmieniało i próbowałam sobie to wszystko teraz na spokojnie pooglądać.

Właściwie to było pięknie. Wystarczy tylko przejechać przez Bailey Falls, aby się przekonać, że nie ma ładniejszego miasteczka, niezależnie od pory roku. Jesień jak w północnej części stanu Nowy Jork? O nie! Ogniste odcienie pomarańcz, żółci i czerwieni, dywan z szeleszczących liści – tam tego nie ma. I zima, kiedy śnieg zalega kilometrami i wszystko zamiera; widać tylko gwiazdy, srebrzącą się poświatę i światło księżyca. Wiosna też jest nadzwyczajna: zaczynają kwitnąć jabłonie, a delikatne, ciepłe powietrze przepęlnia cudowny zapach rozwijającej się zieleni. Tak, długo można mówić o pięknie Bailey Falls.

Dlaczego więc tak bardzo nie chciałam wracać do domu i trwałam w postanowieniu, aby dać matce do zrozumienia, że mój powrót jest tylko tymczasowy? Nie, nie chodziło o robienie komukolwiek przykrości... Rozejrzałam się znowu po dziwnych, a zarazem słodkich zakamarkach. W Bailey Falls czułam się tak, jakbym traciła grunt pod nogami. To jakby wejść w kaloszach w błotnistą kałużę i wychodząc, zgubić je i zamoczyć stopy. To miejsce przypominało wir wodny, czarną dziurę zasysającą przestrzeń niczym z ilustracji Normana Rockwella, z której prawie nie sposób było uciec.

To było małe amerykańskie miasteczko, w którym, choć obecnie każdy wydawał się chcieć mieszkać, mnie niestety dane było dorastać, gdy jako

nieśmiała, głupiutka i nieporadna nastolatka byłam więcej niż gotowa je opuścić i ruszyć naprzeciw przygodzie. Mimo że nie mieszkałam tu od momentu, gdy skończyłam osiemnaście lat, to miasto było przez cały czas ze mną, niczym przyczepione z tyłu do spodni gumką recepturką, która niezależnie od tego, gdzie pojechałam, czy jak szybko uciekałam, w każdej chwili mogła się naprężyć i ściągnąć mnie z powrotem do domu. *Czeeeeść, Roxie... Tu twoja przeszłość...* Właśnie w taki sposób się tu teraz znalazłam.

Nie mogłam powiedzieć, że miałam złe dzieciństwo, ale musiałam szybko i dość wcześnie dorosnąć, przez co latami narastało we mnie poczucie niechęci. Klasyczny scenariusz, gdy dziecko musi stać się rodzicem.

Ekscentryczny rodzic i obowiązkowe dziecko. Niepokojąca, a niekiedy zabawna historia opowiedziana w wieczornym odcinku *Co ci zrobili twoi rodzice?* Zdawałam sobie z tego sprawę. Miałam świadomość swoich problemów i wiedziałam, że sięgają korzeniami daleko wstecz.

Szczególnie gdy mając dwadzieścia parę lat, musiałam nadal rozwiązywać problemy mojej ponadpięćdziesięcioletniej matki.

Mimo że byłam teraz Roxie z Kalifornii, gdzieś w środku się bałam, że to miejsce znów zmieni mnie w Roxie z Bailey Falls. Udało mi się odnaleźć siebie i nie chciałam znów żyć w mieście, które kojarzyło mnie jedynie jako córkę Trudy Callahan, tę, która tak często się rumieni.

Z drugiej strony mój powrót nastąpił w najlepszym możliwym momencie...

Okej – po prostu nie mogę pozwolić, aby ci ludzie zaszli mi za skórę. Zrobię to dla matki, ale potem koniec.

– Dobrze to ciasto. Naprawdę dobre. Na smalcu? – zapytałam matkę, która przywiozła do domu na deser kawałek placka.

– Proszę?

– Czy w cieście jest smalec?

Po kolacji wyszłam na zewnątrz, aby oczyścić myśli i zaczerpnąć świeżego powietrza, a ona oczywiście przyleciała za mną jak ćma. Wchodząc do domu, szybko zdałam sobie sprawę z tego, że marzenie o położeniu się do łóżka wraz z zachodzącym słońcem było marzeniem ściętej gło-

wy. Musiałam jednak przyznać, że powietrze w dolinie rzeki Hudson było wspaniałe – dużo lepsze niż w Los Angeles.

– Och, musiałabyś zapytać o to Katie, kochanie. Ona je piecze – odpowiedziała matka, nadziewając tylną częścią widelca resztki pozostałe na talerzu. Zjadła wszystko, co do okruszka.

– Zapytałaś ją kiedyś, dlaczego piecze tylko wiśniowe? – spytałam, skrupulatnie wyjadając okruszki z talerza. Ciasto naprawdę było pyszne.

– Nie.

– Czemu? Nie przyszło ci nigdy do głowy, że skoro placek wiśniowy jest taki fantastyczny, może warto upiec też inne, które byłyby tak samo dobre, jak nie lepsze? – drażyłam temat, oblizując widelec.

Matka tylko wzruszyła ramionami.

Nie wytrzymałam.

– Przecież prowadzisz tę restaurację! To twoja jadłodajnia! Czy właścicielka biznesu nie może zapytać kobiety od placków, czy nie mogłaby upiec ich więcej? – Dla podkreślenia swoich słów uderzyłam dłonią w podłokietnik drewnianego fotela, zrzucając na podłogę widelec.

Matka popatrzyła przez chwilę na mnie i na moją zaciśniętą w pięść dłoń.

– Jak bardzo jesteś zła?

– Dosyć – westchnęłam, odkładając talerz na podłogę. Jeśli wcześniej mówiłam, że nie mogę pozwolić, aby ktokolwiek zaszedł mi za skórę, to na niewiele się to zdało. Najwyraźniej była to drzazga wielkości słupa telegraficznego. – Ja tylko... – Położyłam głowę na stole, gdzie jeszcze sekundę temu leżał talerz.

– Powiedz, Roxie... – odezwała się matka.

– Jestem tu i będę pilnować tego fortu, kiedy ciebie nie będzie, jednak nie będę znów sprzątać twoich brudów. – Podniosłam głowę, patrząc na nią zmęczonymi oczami.

– Nie wydaje mi się, żeby pomoc w rodzinnej jadłodajni była sprzątaniami brudów. Nie w momencie, gdy mam szansę wystąpić w telewizji i spróbować czegoś naprawdę nowego i ekscytującego.

Zamknęłam oczy. Zaczynałam odczuwać efekty długiej jazdy i nie miałam ochoty na walkę.

– Zgadzam się, tym razem nieco inaczej to wygląda. Zazwyczaj nie po-

sługujesz się programem CBS, aby ściągnąć mnie do domu, kazać mi coś naprawić, gdzieś zadzwonić czy dosłownie ratować ci tyłek, gdy zalałaś piwnicę, zapominając zakręcić wodę. Mówię jednak o przyszłości. Gdy coś takiego znów się stanie, nie przybiegnę z pomocą. Mam własne życie, które muszę sobie jakoś poukładać. Robię karierę – albo przynajmniej staram się robić. Czy to jest jasne?

Matka otworzyła usta, po czym je zamknęła i znów otworzyła.

– Kiedy wracasz? – zapytałam cicho.

– Główny producent powiedział, że nie będę mogła się meldować. Ma to coś wspólnego z poufnością, ale w awaryjnych sytuacjach będę mogła się z tobą skontaktować i na odwrót, więc nie myśl, że...

– Kiedy wracasz? – powtórzyłam.

– To zależy od tego, jak mi pójdzie, jak pójdzie cioci Cheryl i czy utrzymamy się w programie do końca, więc...

Musiałam sięgnąć po dosłownie każdy możliwy gram cierpliwości, jaki miałam w zapasie, aby jeszcze raz spokojnie zapytać:

– Kiedy wracasz?

– We wrześniu. Jak dobrze pójdzie w Święto Pracy.

Trzy miesiące. Będę tu przez całe lato... Czy uda mi się nie zmienić w moje licealne alter ego?

Wyprostowałam się. Nie byłam już tamtą nieporadną dziewczynką.

Skończyłam Amerykański Instytut Kulinarny. W Los Angeles pracowałam jako osobisty kucharz. Byłam Roxie z Kalifornii, kucharką tak utalentowaną, że gdy raz przyrządziłam pudding z rodzynkami, sam Jack Hamilton miał taki wyraz twarzy, jaki widuje zwykle tylko Grace Sheridan w intymnych momentach.

Wzięłam głęboki oddech, przesunęłam się na środek i skinęłam potakująco głową.

– Okej. Całe lato. W porządku.

– Naprawdę? – zapytała mama, a na jej twarzy odmalowało się zarówno zaskoczenie, jak i uczucie ulgi.

Zmusiłam się do uśmiechu.

– Jestem pewna, że sobie poradzę. A teraz idę do łóżka. Jestem wykończona.

Położyłam się w moim łóżku z lat dziecięcych, otoczona wszystkim tym, co kiedyś dla mnie, nastolatki, miało wielką wartość. Zamiast plakatów z Justinem Timberlakiem i Edwardem Cullenem ustawiałam mały ołtarzyk dla Erica Riperta i Anthony'ego Bourdaina. Z tych dwóch można by było sporządzić niebiańską kanapkę, w którą każda kobieta z chęcią by się wślizgnęła. Sama, gdyby tylko poprosili, chętnie odegrałabym rolę seksownej szyneczki.

Zamiast pomponów cheerleaderki i zdjęć z balu maturalnego miałam w ramkach karty dań ulubionych restauracji w Nowym Jorku. The No-Mad. WD-50, The Shake Shack. Pok Pok NY. Union Square Café.

I oczywiście Le Bernardin – patrz wspomniana wcześniej kanapka à la Ripert/Bourdain...

Podczas gdy inne dziewczęta planowały, do jakiego żeńskiego bractwa będą należeć w przyszłym roku w college'u i jaką sukienkę założą na bal, ja marzyłam o kurkach, skorupiakach geoduck i o Amerykańskim Instytucie Kulinarnym w pięknej, słonecznej Santa Barbarze, oddalonej o lata świetlne od mojego rodzinnego miasta.

Teraz jednak znów tu byłam, w domu mojego dzieciństwa. Podciągnęłam kołdrę i uśmiechnęłam się, bo poczułam zapach lawendowego mydła, które mama robiła każdego lata, kiedy tylko za domem zakwitły mocno pachnące rabaty. Zapomniała zostawić mi na drzwiach wiadomość, ale dopilnowała, abym miała świeżą pościel.

Zgasiłam lampkę i obserwowałam znajome cienie. Poświata bijąca od starej szopy nadal wpadała przez tylne okno, sprawiając, że cekiny w niebieskiej wstędze, którą wygrałam w turnieju puddingowym na targach hrabstwa, lekko się mieniły. Na półce nad biurkiem nadal siedziały lalki. Ich kształty zmieniały się lekko w zależności od światła. Niebiesko-srebrne czekały, aż ktoś je znów ściągnie z półki. Za oknem było słychać cykanie świerszczy, które właśnie kończyły pierwszą wieczorną symfonię, wiedząc jednak, że to jedynie krótka przerwa przed ciągnącym się aż do świtu koncertem. Przewracałam się z boku na bok na podwójnym łóżku, czując spokój i zarazem melancholię płynącą ze świadomości, że nic się tutaj nie zmieniło.

Wszystkie te noce, które spędziłam w tym pokoju, walcząc, żeby odpo-

czać i zmusić się do przespania paru godzin, zanim włączy się budzik – teraz czułam się dokładnie tak samo. Wtem usłyszałam gwizd ostatniego pociągu z Poughkeepsie do Hudson. Dźwięk ogłaszający, że nocny skład zmierza na dworzec Grand Central, a zarazem oznaczający początek najbardziej samotnej części nocy. Wiedząc, że wszyscy inni już śpią, nie mogłam już udawać, że nie jestem jedyną osobą, która jeszcze nie zasnęła.

Nienawidziłam tego dźwięku.

Przekręciłam się na bok kolejny raz, czując, jak zaczyna wychodzić ze mnie zmęczenie. Nadal nie mogłam uwierzyć, że tu jestem.

Ale to tylko na lato. Potem przypomnę Grace Sheridan o jej obietnicy przedstawienia mnie paru miłym osobom, dla których mogłabym gotować.

A jeśli będę miała szczęście, w tym czasie może nawet znajdę sobie kogoś do towarzystwa.

Gdy obudziłam się następnego ranka, mojej matki już nie było. Cieszyłam się, że oficjalnie nie byłam jeszcze w pracy, jako że mój umysł nadal funkcjonował według czasu pacyficznego. Choć ze wszystkich sił starałam się pozostać czujna, znów pojawił mi się przed oczami duch licealnej Roxie, więc zadzwoniłam po posiłki. Dosłownie.

Z Natalie poznałyśmy się lata temu, gdy zaczęłyśmy studiować w Santa Barbarze. Obie miałyśmy po osiemnaście lat, byłyśmy tak samo szalone i znalazłyśmy się po raz pierwszy z dala od domu. To zrodziło między nami więź, a po jakimś czasie dołączyła do nas jeszcze jedna koleżanka, Clara, którą poznałyśmy pierwszego dnia na zajęciach z podstaw pieczenia i technik robienia ciasta. Ponieważ ani Natalie, ani Clara nie czuły takiej pasji do gotowania jak ja, rzuciły szkołę po pierwszym roku, ale to nie przeszkodziło nam pozostać blisko, nawet gdy dzieliły nas tysiące kilometrów. Natalie wróciła na Manhattan, a Clara do Bostonu.

Natalie odebrała po drugim sygnale.

– Co tam porabiasz, dziewczyno?

– To co zwykle. Gotuję. Ostrzę noże. Leżę w moim dziecięcym pokoju.

– Złapałaś jakąś dodatkową fuchę w Nowym Jorku?

– Złapałam fuchę w Bailey Falls – odpowiedziałam, przygotowana na pisk.

I nie pomyliłam się. Dziesięć sekund później nadal wibrował mi w uszach.

– Czekał, zaraz. Jesteś w Nowym Jorku? Kiedy? Jakim cudem? Kiedy? Czemu? Kiedy? Super! Kiedy? – Kolejny pisk. – Okej, okej... Prześnij wrzeszczyć i powiedz mi, co się stało!

– To nie ja wrzeszczę – przypomniałam jej ze śmiechem.

– Dobra, już się uspokajam. Gadaj, co się dzieje – rzuciła śpiewnym głosem. Właściwie całą Natalie można było określić jako dość „śpiewną” osobkę.

Opowiedziałam jej historię o maśle i SMS-ach, o cytrynowej babce i hollywoodzkich ciachach, o podróżach dookoła świata i ratowaniu tyłka mojej matce. Współczuła mi straty klientek, ale nie ukrywała podekscytowania wywołanego faktem, że byłam teraz tak blisko. Nawet jeśli tylko tymczasowo.

– Musisz jak najszybciej przyjechać do miasta! Albo ja mogę wpaść do ciebie. Rzadko mam okazję gdzieś się stąd ruszyć.

– Nat, po prostu nie szukasz okazji. – Urodzona i wychowana na Manhattanie Natalie uważała, że kraj kończy się na West Side Highway i zaczyna znów dopiero w miejscu, gdzie koła samolotu dotykają lotniska LAX w Los Angeles. Sporadyczny wyjazd na „wieś” oznaczał wycieczkę do Bridgehampton.

– Tym bardziej powinnam więc ruszyć się z wyspy i cię odwiedzić. Zresztą po tym, jak przez tyle lat słuchałam, jak narzekasz na swoje rodzinne miasteczko, okazja, aby zobaczyć cię w twoich stronach, jest warta biletu na Metro North.

– Zachowaj sobie ten bilet. Albo nie, lepiej mi go wyślij. Już nie mogę się doczekać powrotu do cywilizacji. Jeśli założę duży kapelusz z opadającym rondem i będę się rozwodzić na temat aromaterapii, kiedy się spotkamy, od razu przywiąż mnie do torów.

– Rox, duże kapelusze z opadającym rondem są znów jak najbardziej modne – odpowiedziała szybko Natalie. – Nie obniżaj własnej wartości.

Masz w sobie więcej z hipiski, niż myślisz.

Odchrząknęłam głośno w odpowiedzi.

– I nie, nie może być tam aż tak źle. Przynajmniej jesteś teraz w tej samej strefie czasowej. Nie ma tam niczego – albo nikogo – interesującego? A tak w ogóle, to kiedy przyjechałaś?

– Właśnie mijają dwadzieścia cztery godziny – odpowiedziałam. – I niewiele z tego czasu przeznaczyłam na spanie, więc moja retrospekcja może być po części złudzeniem, ale miałam jeden ciekawy incydent na zapleczu w jadłodajni... – urwałam, odpływając myślami do orzechów. – I? – Natalie domagała się szczegółów.

Opowiedziałam jej więc o Leo i o tym, że ma nas po drodze, pomijając parę bardziej wstydlivych szczegółów związanych z wodą z ziemniaków.

– Ooooo, chłopak na lato. Dobrze się zapowiada! – zapała Natalie i zanuciła swoją wersję *Summer Nights* z filmu *Grease*.

– No, no, siostró, moje stanowisko co do randkowania się nie zmieniło. Nie chodziło o to, że wołałam numerki na jedną noc, raczej... kilka numerków, aby poznać ciało faceta i jego upodobania oraz dać mu poznać swoje, ucinając jednak spotkania, zanim mogłoby się między nami zrodzić coś poważnego. Tak było łatwiej. Prościej.

– Tak, ale nie będziesz mieć zbyt wiele wolnego czasu latem, więc może Leo mógłby dotrzymać ci towarzystwa? – Oczami wyobraźni widziałam, jak znacząco unosi brwi.

– Kto wie? Nadal najważniejsza jest dla mnie moja kariera, a jeśli potrzebuję się odprężyć, zawsze mam jakiegoś gościa w pogotowiu. Żadnych zobowiązań, żadnych oczekiwań. Czysta zabawa.

– Mówisz jak facet.

– Jeśli facet bzyka laski na prawo i lewo, to zachowuje się po prostu jak facet, ale jeśli dziewczyna bzyka facetów, to zachowuje się jak dziwka, tak?

Tak pewnie pomyśleliby ludzie mieszkający w Bailey Falls. Znów przyszła mi do głowy myśl, czy aby nie popełniam jakiegoś dużego błędu, ale Natalie jak zwykle wiedziała, jakiej odpowiedzi potrzebuję.

– W sumie myślę, że to świetny pomysł – powiedziała. – Jakoś to pośkladasz. Po prostu wymyśl, jak znów na niego wpaść.

– Bez sensu, że w ogóle na ten temat rozmawiamy. Jest więcej spraw w moim życiu, na których muszę się skupić. A teraz powiedz, co u cie-

bie. Złamałaś komuś serce?

Rozmawiałyśmy przez godzinę i w końcu poczułam, że już się rozbudziłam i powoli dochodzę do siebie. Poczułam też wyrzuty sumienia, że nie wykorzystuję każdej chwili, aby jak najlepiej przygotować się do prowadzenia jadłodajni, zanim moja matka odjedzie w stronę zachodzącego słońca. Obiecałam więc Natalie, że się do niej odezwę, jak tylko trochę ogarnę to miejsce, po czym skończyłyśmy rozmowę.

Rozdział 5

Kilka kolejnych dni spędziłam na ponownym wdrażaniu się w pracę rodzinną jadłodajni, podpytując matkę o wszystko, co musiałam wiedzieć. Kim byli sprzedawcy, kiedy składa zamówienia, kto miał klucze i mógł wszystko pozamykać, kiedy odbywały się dostawy i czy na pewno, ale to na pewno, była przekonana co do koncepcji dań dnia? Niestety była, aczkolwiek nie powiedziała, że nie mogę spróbować czegoś nowego.

Zmierzając w stronę roboczego blatu, usłyszałam nagle, jak ktoś wymawia imię Leo. Pomiedzy kuchnią a pomieszczeniem dla kelnerek, gdzie trzymały dodatkowe serwetki czy plasterki cytryny do mrożonej herbaty, było okienko. Niezauważona przez nikogo podeszłam bliżej. Sandy i Maxine zawsze wiedziały wszystko o wszystkich i znały lokalne plotki, a ja chciałam jak najwięcej się dowiedzieć o Leo, by za wszelką cenę się zrehabilitować, gdy go zobaczę następnym razem. A przynajmniej jakoś podtrzymać zwykłą rozmowę.

– On jest, cholera... On jest... cholera! – rozplywała się Ruby.

Maxine od razu przyznała jej rację.

– Wiem, co masz na myśli. Widziałaś ogórka, którego przyniósł w zeszłym tygodniu? Oj, pomyślałam sobie to i owo.

– Dziewucho, myślisz, że gdyby Roy miał tak dużego ogórka, to bym go zostawiła?

– Coś ty! Ale dobrze wiesz, że lepiej ci bez niego.

– To prawda. Wiem też, że nie widziałam, aby Leo z kimś się spotykał.

Może po prostu czeka na tę jedyną.

– I myślisz, że tą jedyną mogłaby być pięćdziesięciosiedmioletnia kelnerka z Bailey Falls?

– Masz rację. Ale gdybym była o trzydzieści lat młodsza, rzuciłabym się na niego.

Maxine prychnęła.

– Musiałabyś być co najmniej o trzydzieści lat młodsza. Ogórek takich rozmiarów mógłby cię teraz zabić.

– To dopiero byłaby śmierć!

Żadnej dziewczyny. Hmm... Muszę być czujna za każdym razem, gdy jakiś dostawca wejdzie tylnymi drzwiami. Naturalnie po to, by się zreha-

bilitować.

Prawdopodobnie tylko dlatego znalazłam się na targu w sobotę rano. Prawdopodobnie, bo z drugiej strony chciałam się też rozejrzeć i sprawdzić, kto ma najlepsze produkty i ceny. Jakby nie było, moją specjalnością była perfekcja.

Przyznaję, że być może rozglądałam się też za kimś o pewnym kolorze oczu i pewnych silnych i sprawnych dłoniach. Chciałam z nim porozmawiać jak dorosły z dorosłym. Rzeczywiście, był na targu, i ustawiła się do niego największa i najdłuższa kolejka, co mnie wcale nie zaskoczyło. Zauważyłam też, jak bardzo zmienił się targ od czasu, gdy byłam mała. Wtedy prowadziła go moja matka i paru hipisów na haju, sprzedających lokalne produkty na długo przed tym, zanim nastąpiła na nie moda. Stało tu dosłownie parę stolików z ogromnych pomidorami, słoikami Jam Lady (najlepszy dżem na świecie) i jajkami. Targ odbywał się na parkingu za kościołem metodystów i zwykle nie przyciągał tłumów. Jednocześnie spacerowało tam nie więcej niż dziesięć osób, łącznie ze sprzedającymi, co zazwyczaj kończyło się tym, że po jakimś czasie handlarze zasiadali na przyczepach swoich ciężarówek i dojadali karmelowy popcorn.

Teraz to miejsce aż wrzało! Targ przeniesiono na skraj miasta, do starej stodoły, która była starsza niż samo miasteczko i pamiętała czasy, gdy tereny w okolicy rzeki Hudson zajmowały tylko pola. Miała wysoki sufit z widocznymi belkami i krokwią z białego dębu, i z pewnością nadal mogła służyć za dobre miejsce do potańcówek. Teraz jednak odbywał się tam targ farmerów z Bailey Falls, a wewnątrz znajdowały się ustawione na stałe budki miejscowych sprzedawców.

W każdej budce na stoliku wyeksponowano nazwisko farmera i produkty, które miał w ofercie. Wszędzie można było znaleźć późną młodą kapustę; na każdym straganie były rzepa, kapusta sarepska oraz sałaty. Marchewki w niezliczonej liczbie odcieni wypadały z koszy prosto w dłonie klientów. Jeden farmer trzymał talerz z pokrojoną rzodkiewką, którą można było zanurzyć w miękkim maśle i posypać gruboziarnistą solą. Warzywa korzeniowe, cebulka dymka, czosnek i pędy czosnku, cudowne rarytasy dostępne tylko późną wiosną... Do tego smukłe i miękkie szparagi, błagające o to, aby je zblanszować i podać z oliwą. Wcze-

sne truskawki, jeszcze z szypułkami, kwaskowaty rabarbar...

Targ farmerski nie był jednak tylko źródłem warzyw i owoców. Na dobrym targu można dostać wszystko. Jajka, kurczaki, wieprzowina, kiełbaski, wołowina – wszystko produkowane lokalnie. Obeszłam stragany, aby się zorientować, czego mogłabym spróbować, zatoczyłam krąg i znalazłam się dokładnie w miejscu, od którego zaczęłam.

Jako że Leo był naszym dostawcą, nietaktem byłoby się nie przywitać. Wykorzystując sposobność, jaką gwarantuje anonimowość w tłumie, dokładnie mu się przyjrzałam. Miał przynajmniej metr dziewięćdziesiąt wzrostu, był wysoki, szczupły i wyglądał na kogoś, kto raczej więcej pływa i biega niż gra w piłkę. Miał łagodny uśmiech i chętnie obdarzał nim wszystkich dookoła. Obserwowałam, jak rozmawia z ludźmi, jak przystaje, by podać komuś rękę i jak obchodzi ladę, aby pomóc starszemu zanieść koszyk do samochodu. Widząc to, nie mogłam powstrzymać uśmiechu. Czyli wiejski hipster był nie tylko seksowny, ale i słodki. Cóż za śmiertelna mieszanka.

Właśnie miałam dołączyć do kolejki, aby się przywitać, gdy nagle usłyszałam, że ktoś mnie woła. Bardzo przystojny facet.

Chad Bowman?

O rany, Chad Bowman, kapitan drużyny pływackiej! Chad Bowman, przewodniczący klasy maturalnej. Chad Bowman, okrzyknięty Najprzystojniejszym i Odnoszącym Największe Sukcesy Chłopakiem w Szkole. Chad Bowman, który właśnie zmierzał w moją stronę.

Ostatni raz widziałam go na rozdaniu świadectw, gdy podpisał moją kronikę szkolną, by zaraz potem oddalić się z Amy Schaefer, najładniejszą dziewczyną w szkole, zapewne na małe bara-bara. Niewykluczone, że mogłam się wówczas nieco ślinić na jego widok.

– Roxie? Jasna cholera, Roxie Callahan! – krzyknął, chwytając mnie nagle w niedźwiedzi uścisk i dosłownie zwalając z nóg. – Nie widziałem cię od... o rany... od rozdania świadectw?

Pachniał kremem do opalania, miodem i czymś jeszcze, czego nie potrafiłam nazwać. Czyżby był to zapach sukcesu? Perfekcji? Dobrego życia? Niewiarygodnej lekkości, którą daje poczucie, że jest się przystojnym? Świadomości tego, kim się jest, czego się chce i jak to osiągnąć? Taki facet jak on nie przyjmuje odpowiedzi odmownej i nie wie, co to znaczy

nieśmiałość czy zdenerwowanie. Wie natomiast, jak być świetnym. Zanim postawił mnie znów na ziemi, zaciągnęłam się jeszcze raz zapachem króla szkoły średniej, czekając, aż się pojawi jego piękna żona z pytaniem, dlaczego przytula jakąś miejscową w T-shircie z napisem „Bez kremu nie ma deseru”.

– Chad, świetnie cię widzieć. Co u ciebie? – wydusiłam. Nie, nie jękałam się już. Wróciła Roxie z Kalifornii!

– Dobrze, a nawet bardzo dobrze – odpowiedział, uśmiechając się szeroko. Boże, nawet zęby miał idealne. – A co u ciebie? Co tu robisz?

– Pomagam mamie. Wyjeżdża z miasta na jakiś czas, aby...

– ...wziąć udział w programie *The Amazing Race*! Słyszałem! – krzyknął, oglądając się przez ramię, pewnie na żonę.

– Założę się, że rozpowiedziała to już połowie miasta – westchnęłam, napawając się chwilą w słońcu w towarzystwie CHADA BOWMANA. Zerknęłam mu przez ramię, ciekawa, czy ujrzę drobną brunetkę, czy wysoką blondynkę.

– Rozpowiedziała połowie miasta, a ta połowa rozpowiedziała drugiej połowie. – Zaśmiał się, machając do kogoś za moimi plecami. – Roxie, chciałbym, żebyś poznała...

Odwróciłam się, żeby wreszcie zobaczyć...

– ...mojego męża.

A więc jednak padło na wysokiego blondyna.

Skończyło się na tym, że popijałam kawę w małej kawiarence w stodole w towarzystwie Chada Bowmana i jego równie uroczego i przystojnego męża, Logana O'Reilly'ego. Założę się, że dla jakiejś dziewczyny znać on dokładnie tyle samo, co Chad kiedyś dla mnie, ale choć w liceum trzęsłabym się z nerwów, siedząc przy stole z najfajniejszymi chłopakami w szkole, teraz czułam się zaskakująco spokojna i odprężona. Być może uda mi się jednak nie zatracić nowej siebie.

– Jestem zaskoczona tym, jak dobrze mi się z tobą rozmawia – przyznałam, biorąc duży kęs bajgla. Precle z Zachodniego Wybrzeża nie mogły się równać z tymi tutaj, ani trochę.

– A dlaczegóż to? – zapytał Chad, patrząc na mnie zmieszany wzro-

kiem.

– To przecież ty, Chad Bowman! – odpowiedziałam krótko, zlizując odrobinę kremowego serka z kciuka.

– No i?

– Byłeś najpopularniejszym chłopakiem w szkole, a teraz siedzę i z tobą rozmawiam, jakbym sama była jednym z tych niegdyś lubianych dzieciaków! Gdybyśmy teraz byli w liceum, pomyślałabym, że chcesz, abym ci pomogła z zadaniem domowym, co też jest niedorzeczne, zważywszy na to, że należałeś do National Honor Society¹⁷. Poważnie, jak wiele łask może spłynąć na jednego faceta?

¹⁷ Amerykańskie stowarzyszenie, w którym członkostwo było zależne od kilku kryteriów, w tym wyników w szkole średniej, co wpływało na uzyskiwane stypendia.

– Oj, wiele – rzucił szybko Logan, prowokując mnie do śmiechu.

– Pamiętam, że byłaś wtedy dość nieśmiała – powiedział Chad, ignorując komentarz Logana, mimo rumieńców napływających mu na policzki.

– To tak, jakby powiedzieć, że ty byłeś dość przystojny. Na szczęście wyrosłam z tego, choć muszę przyznać, że wjeżdżając wczoraj do miasta, zaczęłam się denerwować, czy ta cała moja przeszłość nie wróci do mnie ze zdwojoną siłą. *Ależ skąd. Jedyne z siłą powalającą na podłogę pełną orzechów i groszku cukrowego...* – A co u ciebie słyhać? Co robiłeś po skończeniu liceum?

– Wszystko naprawdę dobrze się poukładało. Przeprowadziliśmy się tu znów z miasta jakiś rok temu.

– A ty skąd jesteś, Logan? – zapytałam.

– Z Iowa, ale potem mieszkałem na Manhattanie.

– Jest różnica.

– Ogromna. Chad przywiózł mnie tutaj, abym poznał jego rodziców. Zobaczyłem, jak wygląda życie nad rzeką Hudson i zrozumiałem, że to miejsce, w którym chcę mieszkać.

– Właśnie remontujemy dom przy Maple. – Chad włączył się do rozmowy. – Pamiętasz ten różowy na rogu?

– Ten z firankami powiewającymi z powybijanych okien? – zapytałam, krzywiąc się na to wspomnienie.

– Ten sam. Powinnaś go teraz zobaczyć. Bardzo się zmienił. W przy-

szłym tygodniu wydajemy przyjęcie połączone z malowaniem. Musisz wpaść!

– Przyjęcie z malowaniem?

– Tak. Położyli już gładź szpachlową, a w tym tygodniu będą szlifować podłogi. Teraz czas na malowanie – wyjaśnił Logan. – Wpadnij.

Uśmiechnęłam się i podniosłam bajgla w geście solidarności.

– Jasne.

I tak oto umówiłam się na randkę z Chadem Bowmanem. I jego mężem. Oczyma wyobraźni od razu zobaczyłam, jak może wyglądać randka tych dwóch przepięknych mężczyzn, ale szybko odsunęłam tę myśl na bok, zostawiając ją na jakąś samotną noc.

Rozmawialiśmy jeszcze przez pół godziny, plotkując o czasach licealnych, o mieście i ogólnie o wszystkim. Chad wyjechał do Syracuse, a następnie na studia do Nowego Jorku, gdzie uzyskał dyplom MBA. Pracował właśnie w jednej z firm finansowych na Wall Street, kiedy u konkurencji poznał Logana. Zaczęli się spotykać, zakochali się w sobie i zdecydowali się przenieść na północ. Zainwestowali oszczędności i otworzyli firmę doradztwa finansowego. Dziś niegdyś popularny Chad Bowman pomagał starszkom w kwestii planów emerytalnych.

– A więc wróciłaś z L.A., aby poprowadzić jadłodajnię podczas nieobecności matki. Zostajesz tylko na lato czy...

– Czy jest tu jakiś herold albo donosiciel? – zapytałam, rozglądając się teatralnie dookoła.

Chad zwinął swoje menu w rulonik i przyłożył sobie do ust niczym megafon.

– Nie udawaj. Czyżbyś zapomniała, jak szybko wieści się rozchodzą w tym mieście? Na przykład jakim cudem udało ci się złapać między nogi samego farmera Leo?

Niemal zakrztusiłam się herbatą.

– Ciszej! – szepnęłam przerażona.

– Proszę cię... Wkurzyłaś tym wszystkie samotne panie w mieście, nie mówiąc o połowie mężatek. Wszyscy są ciekawi, jak tego dokonałaś, i to już pierwszego dnia po powrocie! – krzyknął Chad, a Logan pokiwał głową.

– Poważnie, przestańcie. Poślizgnęłam się, upadłam i pociągnęłam go za

sobą. Nic o nim nie wiem, poza tym, że słyszałam, iż pracuje na farmie Maxwellów...

– Pracuje? – przerwał mi Logan.

– Tak, co oczywiście jest super. Aż dziw bierze, że ci błękitnokrwieści bogacze pozwolili, aby ziemia leżała odłogiem przez lata. Cóż za strata! Więc dobrze, że on tam pracuje i pomaga tej rodzinie zrobić coś dobrego, a nie tylko siedzieć i liczyć pieniądze.

Przez moment panowała zupełna cisza.

– Zachciało im się farmy! Ha! Nikt z Maxwellów przecież nie ubrudziłby sobie rąk robotą. To by dopiero było...

Przestałam na moment mówić, aby wziąć łyk herbaty, gdy nagle w swym polu widzenia ujrzałam dwie dłonie. Zniszczone pracą i... brudne? Dłonie położyły na stoliku mały koszyczek pełen... groszku cukrowego.

O rany... Spojrzałam na Chada i Logana, którzy wyglądali na żywo rozbawionych. Cholera.

Westchnęłam, po czym odwróciłam się powoli i zobaczyłam stojącego za mną Leo, który wyglądał na równie rozbawionego jak moi towarzysze.

– Masz na nazwisko Maxwell, prawda? – zapytałam, patrząc mu w oczy.

– Tak – odpowiedział, ostentacyjnie machając przede mną brudnymi rękami. – I przyniosłem ci trochę groszku cukrowego. Zebrałem go własnymi błękitnokrwistymi dłońmi – rzucił i popatrzył na mnie figlarnie. Chwyciłam koszyk z groszkiem, wstałam i już miałam się odwrócić, aby go przeprosić za poprzedni dzień i złośliwe komentarze, gdy nagle potknęłam się o nogę krzesła i poleciałam jak długa, uderzając czołem w klatkę piersiową Leo, powalając go na podłogę i rozsypując groszek. Wyglądało to dokładnie tak samo, jak poprzednim razem, tylko że teraz wylądowałam prosto na nim, z twarzą pomiędzy jego udami. Oczywiście.

Chad Bowman, dokładnie Ten Chad Bowman, i Logan O'Reilly, dokładnie Ten Logan O'Reilly, zaczęli głośno klaskać. I robić zdjęcia telefonami.

To, co nastąpiło w ciągu następnych paru chwil, działo się w zwolnionym tempie. Nagle mocne, spracowane dłonie podniosły mnie i odgarnęły mi włosy z twarzy. Potem ujrzałam unoszący się koniuszek ust i oczy,

które spoglądały na mnie badawczo. Siadając, jęknął, niewątpliwie dlatego, że moje sparaliżowane ciało nadal na nim bezwładnie leżało. Zaśmiał się, otrzepując groszek, który przyczepił mu się do umięśnionej klaty i rzucił mi figlarne spojrzenie, patrząc, jak rozglądam się spanikowana, próbując wymyślić, jak wyjść z tej sytuacji z odrobiną godności.

Czułam, że wszyscy na nas patrzą. Znałam te twarze i ci ludzie znali mnie. Mając świadomość, że w Bailey Falls w sobotni poranek nikt nie ma nic lepszego do roboty, niż plotkować o córce Trudy, tak samo niezdarnej jak zawsze, wiedziałam, że historia o tym, co właśnie się wydarzyło, obiegnie całe miasto w niespełną godzinę. Hipiska i Dziwaczka. Leżąc na podłodze w niezręcznym uścisku z niebywale przystojnym facetem, czułam, że moje dawne ja każe mi natychmiast uciekać, ukryć się i udawać, że to się nigdy nie stało.

Pieprzyć to całe gadanie.

– A więc chciałeś zwalić mnie z nóg za sprawą swojego groszku? – zapytałam, wyciągając strąk z jego jasnych włosów i obracając go między palcami. Naturalnie w dalszym ciągu na nim leżałam.

– Można tak powiedzieć, choć technicznie rzecz ujmując, to ty już dwa razy zwałaś mnie z nóg. Może powinniśmy spróbować z jakimś innym produktem spożywczym? – To mówiąc, spojrzał na mnie ciepło, a zarazem lekko wyzywająco. Chyba w coś ze mną grał.

Okej, farmerze, zagrajmy więc...

Oparłam brodę na wyciągniętej dłoni, tak jakbym siedziała przy biurku.

– Na stoliku mam jeszcze połowę bajgla. Możesz się poczęstować.

– Zanim zjem twojego bajgla, powinniśmy jednak zostać sobie oficjalnie przedstawieni, nie sądzisz?

Zwilżył językiem dolną wargę, a ja prawie zrobiłam to samo, czując, że mogłabym lizać tę jego wargę bez końca.

– Roxie.

– Leo.

– Chyba umrę! – krzyknął Chad.

Zerknęłam w górę i skrzywiłam się lekko, widząc, że moi towarzysze obserwują nas rozbawieni, co w sumie było zrozumiałe, biorąc pod uwagę, że cali byliśmy w groszku.

Czar prysł i podnieśliśmy się z podłogi, zbierając przy okazji rozsypane

warzywa. Leo pomógł mi wstać, przytrzymując mnie w pasie pół sekundy dłużej, niż było potrzeba. Spojrzeliśmy na naszą dwuosobową publiczność, która choć nie kiwnęła palcem, aby nam pomóc, przez cały czas obserwowała nas bacznie z szerokimi uśmiechami na twarzach.

Zerknęłam na swój talerz.

– Właściwie to została mi ledwie ćwiartka bajgla, ale powiedz słowo, a będzie cały twój.

– Spasuję – rzucił Leo, unosząc brew. – Tym razem.

– Czy mogę przynajmniej postawić ci kawę w ramach przeprosin za ten wszystkie upadki?

Leo spojrzął za siebie, w stronę stoiska farmy Maxwellów, do którego nadal stała długa kolejka.

– Powinienem wracać. Sobotnie poranki zawsze są pracowite. – Wyglądał na szczerze zmartwionego. – Może innym razem?

– Jasne. Będę tu przez całe lato – odpowiedziałam, po raz pierwszy nie czując z tego powodu irytacji.

Leo uśmiechnął się szeroko, po czym skinął moim towarzyszom głową na pożegnanie i ruszył przez tłum. Z westchnieniem opadłam na krzesło, dzióbiąc bajgla.

– Wiesz... on jest wolny – wymamrotał Chad, zmuszając mnie, abym spojrzała na niego znad talerza.

– Nie jestem zainteresowana, ale dziękuję – powiedziałam skromnie. – Wy i kelnerki z jadłodajni... Od nich też dostałam dokładnie taką samą informację.

Co prawda nie wiedziały, że mi ją przekazują, ale to nieważne...

– Nie chodzi na randki – dodał Chad beznamiętnie.

– Świetnie, bo ja też nie – mruknęłam, patrząc, jak Leo oddala się w stronę swojego stoiska.

– Jasne.

Żaden nie powiedział już nic więcej, więc odwróciłam wzrok od pośladków Leo, które nawiasem mówiąc, były idealne, i spojrzałam na moich kumpli od bajgli.

– No dobra, poddaję się. W ogóle nie chodzi na randki? A skąd to wiecie?

– Nie był na żadnej od momentu, gdy tu przyjechaliśmy – powiedział

Logan.

– I dlatego tak wiele pań okupuje jego stoisko na targu. Tu nie chodzi tylko o warzywa – dodał Chad.

– Nie zauważyłam...

– Popatrz na swój nos! Właśnie nieco się wydłużył – rzucił Chad, patrząc na mnie z rozbawieniem.

– No, może zauważyłam, że kolejka do niego jest nieco dłuższa niż do innych – przyznałam.

– Dłuższa... – mruknął Logan.

– Przestań! – Z trudem udało mi się stłumić śmiech.

– A tak gwoli ścisłości, mówiąc, że on nie chodzi na randki, nie miałem na myśli, że on... no wiesz... – rzucił znacząco Chad.

– Być może, ale nie obnosi się z tym – wtrącił Logan.

Udało mi się nic nie powiedzieć, ale pod stołem zacisnęłam pięści tak mocno, że poczułam, jak paznokcie wbijają mi się w skórę. Popatrzyliśmy wszyscy w stronę stodoły, na stoisko, gdzie Leo właśnie zagadywał osiemdziesięcioletnią panią Sherman, niegdyś członkinię zespołu tanecznego The Rockette i lokalną Elizabeth Taylor. Czy już wspominałam, że jej pełne nazwisko brzmiało Kitty Chase Bocci Billings Cole Billings Hobbs Sherman? Tak bardzo lubiła pana Billingsa, że wyszła za niego dwa razy, a teraz, jak to w tańcu, próbowała odbić Leo, który dokładnie w tym samym momencie uniósł wzrok i spojrzawszy na mnie, uśmiechnął się zmieszany.

– Hmm – mruknęłam, rozkoszując się chwilą i kęsem bajgla. Czyżbym właśnie znalazła towarzystwo na lato? Zawsze miałam fantazje związane z farmerami, co mi zapewne pozostało po oglądaniu powtórek *Domku na prerii*. Na Almanzo Wildera¹⁸, ten farmer to prawdziwy przystojniak...

¹⁸ Bohater filmu *Domek na prerii*.

Pożegnałam się z Chadem i Loganem, po czym ruszyłam do jadłodajni, gdzie miałam pracować w porze lunchu. A więc Leo nie chodzi na randki, tak? Jadąc, zaczęłam nucić pod nosem: *Summer lovin', had me a blast...*

Wszystkie myśli związane z latem wyparowały w momencie, gdy tylko wjechałam na parking za jadłodajnię i zobaczyłam matkę ze ścierką stojącą w tylnych drzwiach, z szerokim uśmiechem na twarzy.

- I jak było na targu? – zapytała rozbawionym głosem.
 - Dużo warzyw – odpowiedziałam, czując, że moje policzki zalewa czerwień i zastanawiając się, jakim cudem już się o wszystkim dowiedziała.
- Małe miasteczka...

Rozdział 6

Przez kilka kolejnych dni każde znaczące i ukradkowe spojrzenie przypominało mi o tym, jak w małych miasteczkach uwielbia się plotkować. Mama codziennie raczyła mnie jakąś inną zabawną historyjką, którą gdzieś usłyszała. W niektórych wersjach to ja popchnęłam Leo za stragan z groszkiem cukrowym i powaliłam go na ziemię, a potem próbowałam wmusić w niego bajgla i za nic nie chciałam przyjąć odmowy. Inni twierdzili, że widzieli mnie na tyłach targu, jak pomagałam mu pakować warzywa i przyłapali mnie z jego ogórkiem w dłoni. Ten wątek najbardziej mi się podobał.

I podczas gdy moja matka próbowała za wszelką cenę ustalić, czy będę w stanie się nie zbłąźnić, gdy Leo będzie w pobliżu, ja za wszelką cenę usiłowałam przygotować wszystko w jadłodajni w taki sposób, aby nikt nie odczuł jej wyjazdu. Jednocześnie musiałam stawić czoła pytaniom ze strony zaintrygowanego otoczenia, które chciało wiedzieć, jak to jest być osobistym kucharzem w L.A. „Czy oni w ogóle jadają coś poza kiełkami fasoli?” „Spotkałaś kiedyś Jennifer Aniston?” „Czy to prawda, że wszędzie widuje się gwiazdy filmowe, nawet na stacji benzynowej?” Najwyraźniej emeryci oglądają w dzisiejszych czasach sporo programów typu *Access Hollywood*...

Pewnego dnia, mieszając mięso mielone i starty ser Velveeta na zapiekanekę z serem i kalafiozem, rzuciłam:

– Mamo, mogłabyś korzystać z niesamowitych serów. Niektóre z nich można dostać nawet tuż za rogiem. Dlaczego przez cały czas używasz velveety?

– Ludzie mają przyzwyczajenia, Rox – odpowiedziała, ścierając kapustę na surówkę coleslaw i wrzucając ją do majonezowego sosu. – Nie możesz być taką jedzeniową snobką.

– Używanie prawdziwego sera czyni ze mnie jedzeniową snobką?

– To i sposób, w jaki przewracasz oczami, patrząc, jak przyrządzam sałatkę – rzuciła. Nawet nie musiała się odwracać, żeby zgadnąć, że rzeczywiście to zrobiłam.

Spojrzałam na nią.

– Znam świetny przepis na tę surówkę. Może mogłabym kiedyś spróbo-

wać?

– Zdajesz sobie sprawę, że ten przepis dostałam od mojej matki, a ona od swojej, prawda?

– Wiem i wiem też, że ludzie ją uwielbiają. Pomyślałam tylko, że może mogłybyśmy spróbować czegoś nowego i...

– Hej, Albert! – zawołała matka do starszego pana siedzącego przy ladzie.

– Co tam nowego, Trudy? – odpowiedział, nie podnosząc oczu znad gazety. Albert przychodził tu każdego popołudnia, zostając jeszcze po lunchu, aby poczytać w spokoju dowcipy.

– Jaki jest twój ulubiony dodatek do dań?

Przewróciłam oczami nad kupką startego sera Velveeta.

– Coleslaw – odpowiedział, na co ona odwróciła się do mnie i uśmiechnęła triumfująco.

– Cześć, Albert! – zawołałam.

– Co słyszeć, Roxie?

– Gdyby w menu pojawiły się nowe dodatki, na przykład inny rodzaj surówki coleslaw, spróbowałbyś?

– Jasne, lubię wszystkie – odpowiedział, nie podnosząc nawet na chwilę oczu znad gazety.

Triumfujący uśmiech mojej matki zmienił się w wyszczerzony grymas.

– Albert? – zawołała głosem, z którego aż ciekło od aspartamowej słodyczy.

– Tak, Trudy?

– Czy zgadzasz się, że choć od czasu do czasu można spróbować czegoś nowego, to jednak człowiek ceni sobie stałość? I że lubi dostać to, co lubi i kiedy lubi?

– Oczywiście – rzucił Albert.

Matka aż puchła z dumy, ścierając kapustę.

– Albert! – zawołałam.

– Roxie?

– Czy zgadzasz się z tym, że czasem popadamy w rutynę i zamawiamy te same potrawy tylko dlatego, że jesteśmy do nich przyzwyczajeni? I że gdyby ktoś zaproponował nam coś nowego, mogłoby się to okazać dokładnie tym, czego szukamy?

– Jasne!

W tym momencie główka kapusty uderzyła z hukiem o ladę, burząc kupkę sera.

– Albert! – zawołała moja matka.

Albert miał już jednak najwyraźniej dość.

– Możecie przestać? Czytam dowcipy. Gdybym chciał słuchać kłótni, zostałbym w domu z żoną!

Matka ze złością odłożyła filiżankę na spodeczek i wróciła do ścierania kapusty i sera.

– No dobra, możesz sobie parę rzeczy pozmienić – powiedziała kilka minut później.

– Dzięki.

– Kto wie, może temu miejscu przyda się nieco świeżej krwi.

– Mamo...

– Gdy przejęłam ten lokal po twoim dziadku, w menu były ozorki. Wyobrażasz sobie?

– Mamo...

– Więc gdy nastala moja kolej, zatrzymałam oczywiście parę starych przepisów, ale dodałam kilka rzeczy, ulepszyłam, a z czasem przerobiłam całe menu...

– Mamo, ja tu nie zostanę – powiedziałam cicho, przechodząc na drugą stronę lady, żeby mnie dobrze widziała. – Jestem tu tylko do końca lata, tyle.

Wydawało mi się, że chce coś jeszcze powiedzieć, ale tylko kiwnęła głową.

– Albert, chcesz jeszcze kawy? – zawołała.

– Myślałem, że już nie zapytasz...

Stłumiłam śmiech, patrząc, jak idzie, żeby z nim porozmawiać, ani na chwilę nie przestając mieszać serowego sosu. Wtem zawibrował mój telefon. Zaproszenie na Facebooku. Od Chada Bowmana! Tego Chada Bowmana! Szybko dodałam go do znajomych i równie szybko dostałam od niego wiadomość:

Impreza z malowaniem w piątek wieczór. Zapraszamy! Zabierz stare ciuchy i jakiś alkohol, a my zapewnimy farby i jedzenie! Pozdrawiamy!

Chad i Logan.

Super.

Zawsze zazdrościłam dziewczynom, które potrafiły wejść do pokoju i nie znając ani jednej osoby, od razu poczuć się jak w domu. Widziałam, jak Natalie zaprzyjaźnia się od razu z prawie wszystkimi z naszej grupy. Potrafiła rozmawiać z każdym i z każdym rozmawiała. Clara była cichsza, poważniejsza, ale i tak dość szybko nawiązywała kontakty. Widocznie większość ludzi miała gen odpowiedzialny za umiejętność prowadzenia niezobowiązujących rozmów.

U mnie ta zdolność nie była niestety wrodzona, ale udało mi się ją nabyć. Z dala od domu nauczyłam się tego od moich nowych przyjaciół i teraz potrafiłam pójść na imprezę, gdzie nikogo nie znałam, i czuć się dobrze, a nawet dobrze się bawić. W ten sposób poznałam kilku panów do towarzystwa. Nie byłam specjalnie rozrywkowa, ale ścian nie podpie-
rałam.

Niekiedy jednak fakt, że wszystkich na imprezie się zna, może być gorszy od sytuacji, kiedy nie zna się nikogo, byłam więc nieco zdenerwowana, gdy w piątek wieczorem podjechałam pod dom Chada. Znałam w tym mieście każdą rodzinę, każdego dzieciaka i jego kuzyna; wszyscy znali też mnie, bo jako dziecko zaczęłam wygrywać jeden kulinarny konkurs za drugim. W przeciętnej amerykańskiej szkole rzadko kto interesuje się takimi rzeczami jak różnica pomiędzy cynamonem z Wietnamu a cynamonem z Kambodży, i choć Chad był z tych „milszych” popularnych dzieciaków, niektórzy z jego znajomych dopuszczali się wobec mnie pewnych złośliwości. I ci niektórzy mogli tu dzisiaj być.

Cieszyłam się, że mnie zaprosili. Czyniło to perspektywę spędzenia lata w domu nieco ciekawszą, aczkolwiek skłamałabym, gdybym powiedziała, że podchodząc do drzwi, nie czułam się trochę jak dawna Roxie. Powtarzałam sobie, że to, co było, to przeszłość, a teraz jest inaczej. Poza tym miałam ze sobą swój słynny toskański dip z białej fasoli, z odrobiną cytryny i czosnku oraz z mocnym akcentem – ciętymi na ukos *crostini*. Będzie dobrze. Wzięłam głęboki oddech i zadzwoniłam.

Drzwi otworzył Logan i uśmiechnąwszy się, uściśnął mnie mocno, po czym wziął dip i wręczył mi kubek z pędzlem. I tak oto znalazłam się na Imprezie Najpopularniejszych Dzieciaków w Szkole. Owszem, było tam sporo osób, które pamiętałam, ale wszyscy cieszyli się, że mnie widzą. Pytali, czy nadal gotuję i wyrażali podziw, że skończyłam jedną z najlepszych szkół kulinarnych w kraju. Zazdrościli mi też życia w Los Angeles, które nadal było postrzegane jako ekscytujące, fajne i odjazdowe, aż „czacha dymi, koleś!”. Nikt nie wiedział, że przez MASŁO zrujnowałam swoją karierę, za to wszyscy byli pod wrażeniem tego, że robię coś, czego większość ludzi nigdy by nie zrobiła. To budziło ciekawość.

Moje życie nigdy nie wydawało mi się specjalnie trudne czy pełne przygód. Robiłam po prostu to, co robiłam, więc gdy teraz odkrywałam, że ludzie mają mnie za odważną, bo zdecydowałam się zrobić coś innego niż reszta, pomyślałam, że może faktycznie robię coś niezwykłego.

Gdy poczułam się swobodniej, rozejrzałam się po domu. Był to duży budynek w stylu wiktoriańskim, o nieco kanciastej bryle, ale pięknym wnętrzu. Na parterze przyciągały wzrok przepiękne okna, boazeria i olbrzymi kominek z wbudowanymi półkami na książki po obu stronach. Kuchnię niedawno odnowiono, a Chad zdradził mi, że gdy zburzyli wiekową wnękę, aby zyskać więcej przestrzeni, znaleźli wycinki ze starych gazet sprzed stu lat. W tym domu było czuć niezwykłą atmosferę.

Każdemu przydzielono jakieś pomieszczenie do malowania. Ja wylądowałam na trzecim piętrze, gdzie znajdowała się olbrzymia zaadaptowana powierzchnia strychowa, z małym pomieszczeniem z boku.

– Rany, to wygląda jak wieża! – zawołałam.

– Prawda? To moja ulubiona część domu. Reszta strychu będzie służyła jako drugi salon, ale pomyślałem, że to pomieszczenie przerobię na swój gabinet – powiedział Chad.

– Jest piękne. Bardzo mi się podoba! Jaki kolor tu chcesz?

Chad otworzył puszkę z farbą i pokazał mi najgłębszy, najbardziej aksamitny odcień niebieskiej szarości, jaką kiedykolwiek widziałam.

– Wiem, że mówi się, iż tak małych pomieszczeń nie powinno się malować na ciemne kolory, ale pomyślałem, że będzie przytulnie.

– Myślę, że będzie idealnie – powiedziałam, rozkładając folię. – A teraz proszę wyjść i pozwolić mi się zająć malowaniem gabinetu.

– Owocnej pracy, siostró! Przyjdzie tu jeszcze kilka osób. Wyślę też kogoś, żeby pomalował resztę strychu, abyś nie była tu sama zbyt długo – rzucił, po czym zszedł na dół.

Przygotowałam farbę i zaczęłam malować, gdy wtem usłyszałam, że ktoś wchodzi po schodach. Odwróciłam się z uśmiechem, aby przywitać nowego członka zespołu. To był Leo. Najwyraźniej do trzech razy sztuka, bo po ostatnich dwóch spotkaniach wypełnionych przewracaniem się i rozrzucaniem groszku tym razem wreszcie udało mi się odwrócić i na niego popatrzeć. Farmer faktycznie był dość przystojny.

Miał cudownie szerokie ramiona i oczy, dla których warto było umrzeć. Zielone, tak bardzo zielone, i wpatrzone we mnie z figlarnym błyskiem. Wszedł i od razu wziął się do roboty. Nie było w nim przy tym żadnej protekcjonalności; człowiek ten zwyczajnie znał swoją wartość. Widać było ten charakterystyczny Maxwellowski sznyt, który na początku był ukryty gdzieś pod powierzchownością chłopaka od dostaw. Ubrany w koszulę w kratę za dziesięć dolarów, z rolexem submarinerem na przegubie, rozejrzał się, oceniając, kalkulując i wartościując to, co widzi. Czyżbym miała przed sobą Richiego Richa¹⁹ z ręką do kwiatów?

¹⁹ Bohater filmów *Życzenie wigilijne Richiego Richa* i *Gwiazdkowe życzenie Richiego Richa*.

– Hej, to przecież dziewczyna od groszku! – rzucił po chwili, odkładając wałek i kuwetę.

– O nie, nie, zostań lepiej tam, gdzie teraz jesteś – poleciłam.

– Czemu?

– Żartujesz? – zapytałam, patrząc na dzielące nas pole minowe: pootwierane puszki z farbami, wałki, pędzle... – To może się źle skończyć.

– Racja – przyznał, zrzucając kurtkę i wieszając ją na drabinie. – Myślę jednak, że zaryzykuję.

– Niemal wzięłam cię gwałtem publicznie, to dopiero było ryzykowne – powiedziałam, krzyżując ręce i kołysząc biodrami.

Zanim do mnie dotarło, co właśnie powiedziałam, Leo wybuchnął śmiechem.

– Skąd tyś się wzięła?

– Z L.A. – odpowiedziałam, wykonując niedbały gest ręką i brudząc się farbą na piersiach.

Teraz śmiał się jeszcze głośniejsze, aż musiał przytrzymać się ściany. Nie zamierzałam mu mówić, że dopiero co ją pomalowałam.

– A więc skąd znasz Chada i Logana? – zapytał, podnosząc pędzel.

– Chodziłam z Chadem do szkoły, a Logana dopiero poznałam. A ty?

– Biorą udział w programie CSA organizowanym na farmie. Zwykle widuję ich raz w tygodniu, gdy przyjeżdżają po swoją skrzynkę.

– CSA, CSA... Coś mi to mówi. – Zmarszczyłam czoło, zastanawiając się nad znajomo brzmiącą nazwą. – No jasne! Community Supported Agriculture, tak? Też mamy tego typu programy w Los Angeles, właściwie w całej Kalifornii. Nigdy nie brałam w nich udziału. Jak to działa?

– To właściwie całkiem proste. Przed sezonem grupa ludzi wpłaca ustaloną wcześniej kwotę, w zamian za co co tydzień dostają skrzynię pełną świeżych warzyw i owoców prosto z pola. Farmer dostaje pieniądze z góry, co bardzo pomaga przy ustalaniu budżetu, a klient dostaje rabat na cotygodniowe dostawy, płacąc tym samym mniej, niż gdyby kupował na targu, i znacznie mniej, niż gdyby kupował w zwykłym sklepie spożywczym.

Błysk w jego oku zdradzał, jak bardzo podoba mu się opowiadanie o tym, czym się zajmuje. Dla mnie też był to fascynujący temat, tym bardziej że zawsze chętnie rozmawiałam o kwestiach związanych z jedzeniem. Teraz jednak ciężko mi było się skoncentrować, zważywszy na to, jak blisko mnie stał i jak bardzo był przystojny. Sama myśl o tym, z jaką pasją mówi o swojej farmie...

– Czyli Slow Food – wtrąciłam, nie zdając sobie sprawy z tego, że właśnie pocieram znacząco wałek malarski.

– Hmm, bardzo *slow*. – Zmrużył oczy, po czym powoli zbliżył się do mnie. Stał tak blisko, że gdyby moja koszula nagle się odpięła i spadł mi stanik, pewnie byłby w stanie doprowadzić mnie do orgazmu samym dotykiem ust na mych piersiach.

Nagle sobie przypomniałam, po co tu przyszłam: pomóc w malowaniu, więc zajęłam się pospiesznie powierzonym mi zadaniem.

Stojąc w małym pokoju, malowaliśmy z Leo ściany, wsłuchując się w śmiechy i wesołe rozmowy dobiegające z drugiego pomieszczenia. Tu jednak, w tym malutkim gabinecie, było spokojnie, poza niespokojnymi feromonami odbijającymi się od ścian.

Zwracaliśmy się do siebie tylko pytaniami w stylu: „Czy możesz wyprostować tę ceratę?”, „Czy masz jedno z tych mieszadeł?” albo „Czy to wydaje ci się wystarczająco rzadkie?”, ale za każdym razem, gdy w tym pustym pomieszczeniu nasze spojrzenia się spotykały, czułam dreszcz. Napięcie było tak duże, że gdy Leo się nagle odezwał, aż podskoczyłam. – Twoja mama powiedziała, że pracujesz jako osobista kucharka w Kalifornii. Mówiła mi, że gotujesz eleganckie potrawy dla eleganckich ludzi – rzucił, nakładając warstwę farby wzdłuż parapetu. – Jest z ciebie bardzo dumna.

– Naprawdę? Powiedziała, że jest dumna?

– Nie, ale wydawała się dumna.

– Uhm.

– Zostajesz w domu tylko przez lato, a potem wracasz do eleganckiego świata? – zapytał.

Pokiwałam powoli głową. O, świetny początek, aby mu powiedzieć: „Tak, przyjechałam na lato i jesienią wracam do Kalifornii, więc jeśli, no wiesz, chcesz dotrzymać mi towarzystwa...”. Faceci zwykle uwielbiają taką gadkę. Żadnych zobowiązań, czysta zabawa. Już otworzyłam usta, aby to wyartykułować, gdy on wrócił do tematu, nie dając mi nawet szansy powiedzieć ani słowa.

– L.A. jest świetne, ale na co dzień wolę Bailey Falls. – Zobaczył grymas na mojej twarzy. – Nie zgadzasz się?

– Nie przepadam za małymi miasteczkami – odpowiedziałam. – Każdy tu wie wszystko o każdym. Każdy zna przeszłość każdego.

– Wszyscy się o siebie troszczą.

– Wszyscy plotkują o sobie nawzajem.

– Niektórzy powiedzieliby, że to urocze.

– A niektórzy, że to wkurzające. – Zaśmiałam się, potrząsając głową. – Słuchaj, naprawdę rozumiem, na czym polega urok tych małych miast, ale to po prostu nie moja bajka.

– A więc jasne światła, duże miasto? – zapytał, stając nagle obok mnie z wałkiem niebezpiecznie zbliżającym się do mojego.

– Coś w tym rodzaju – odpowiedziałam, czując, że serce coraz szybciej mi kołacze. – Czasami miło jest być twarzą w tłumie.

– Niemożliwe – mruknął, a ja spojrzałam mu w oczy, niemalże słysząc

uderzenia własnego serca. – Na pewno tylko twarzą?

Moje serce właśnie przyspieszyło dwukrotnie, a tętno oszalało. Z łatwością mogłabym teraz go zaskoczyć nagłym pocałunkiem, ale zamiast tego poruszyłam się niezdarnie i zamrugałam. Stojący przede mną facet był jak najbardziej w moim typie – przystojny, wyluzowany, zabawny, a mimo to sprawiał, że... się denerwowałam, i to bardzo. Musiałam odzyskać nad sobą kontrolę.

Przedtem jednak musiałam coś wyjaśnić.

– Jeszcze raz przepraszam za tę uwagę o twojej rodzinie, którą rzuciłam ostatnio na targu – powiedziałam zakłopotana. – Nie miałam tego na myśli... Nawet nie znam twojej rodziny. Wiem tylko tyle, co reszta miasta.

– Zamrugałam, obserwując, jak na jego twarzy pojawia się jakiś dziwny, wcześniej niewidziany grymas. – Naturalnie, jesteście bogaci, jesteście starą nowojorską rodziną i tak dalej, macie też dużo ziemi... Teraz ty tu pracujesz i wydaje się, że podchodzisz do tego z taką samą pasją jak ja do gotowania. No i jesteś seksownym farmerem, z pewnością niesamowitym człowiekiem... – Cholera, powinnam się przymknąć.

– Roxie?

– Uhm?

– Wydajesz się dziwna, ale zdecydowanie... – W jego głosie dało się wyczuć rozbawienie.

– Zdecydowanie co? – Spojrzałam na niego.

Nigdy w życiu nie miałam ochoty nikogo zniewolić. Pocałować? Jasne. Zobaczyć nago? Oczywiście. Ale gdy spojrzałam mu w oczy, poczułam nagłą żądzę. Jego usta, szyja, klatka piersiowa, brzuch i wszystko to, co znajdowało się pod tymi wytartymi džinsami... Do tego miałam wrażenie, że on czuje to samo.

Gdyby w tym samym momencie nie nadszedł Logan z informacją, że robimy przerwę na coś do jedzenia, kto wie, czy by do czegoś nie doszło.

– Zdecydowanie – powtórzył Leo z uśmiechem.

Zabrałam się za sprzątanie swojej części, podczas gdy Logan z podziwem rozglądał się wokół.

– Ależ wy jesteście szybcy. Może chcielibyście zająć się teraz tą gigantyczną oszkloną werandą na parterze?

– Właściwie to ja muszę iść. Czeka mnie jutro długi dzień – powiedział

Leo i wytarł pozostałości farby w koszulę, unosząc ją lekko i odsłaniając fragment swojego idealnego brzucha. Przeszedł mnie dreszcz i chyba nawet lekko westchnęłam.

Logan zauważył moją reakcję, ale Leo na szczęście nie. Szybko odwróciłam się do ściany, by ukryć rumieniec. Podczas gdy Leo i Logan byli zajęci rozmową, ja próbowałam sobie wmówić, że to tylko brzuch, nic ciekawego. Opalony brzuch, to na pewno. Co prawda opalony, płaski i pokryty delikatnym meszkiem, ale tylko brzuch.

Usilnie starając się przekonać samą siebie, zdałam sobie nagle sprawę, że czuję lekkie mrowienie na skórze. Instynktownie wiedziałam, że Leo stoi za mną.

– Miło się z tobą pracowało, Roxie.

– Wzajemnie, Leo. Dobra robota.

Dobra robota? Boże!

– A więc dobrej dalszej roboty – rzucił z uśmiechem. – Na pewno jeszcze się zobaczymy.

– To małe miasto. Może znów na mnie wpadniesz ze swoimi orzeszkami...

Leo odwrócił się, potrząsając głową, a gdy schodził na dół, usłyszałam jeszcze, że się śmieje. Nie miałam serca mu powiedzieć, że cały tył koszuli ma w farbie.

Uśmiechnęłam się do Logana i poklepałam go energicznie po ramieniu.

– Umieram z głodu. Chodźmy coś zjeść!

Rozdział 7

Tydzień szybko upłynął i zanim się zorientowałam, pomagałam matce pakować się do wyjazdu. Producenci przekazali jej listę rzeczy, których nie mogła ze sobą zabrać, w tym telefonu i laptopa. Musiała być całkowicie odcięta od tego, co się działo w domu, i chociaż doprowadzało mnie to do szału, cieszyła się perspektywą „wyłączenia”. Przejrzała wraz ze mną spis spraw do załatwienia, upewniła się, że mam wszystko, co potrzebne, do poprowadzenia jadłodajni przez lato, po czym oznajmiła, że jest gotowa do wyjazdu.

Cecha, która najbardziej mnie w mojej matce denerwowała, była równocześnie tą, którą najbardziej w niej podziwiałam: umiejętność poddania się chwili. Dla dorastającej nastolatki posiadanie tak rozkosznie nieprzejmującego się niczym rodzica było niesamowicie frustrującym doświadczeniem. Wtedy chciałam mieć matkę, która pilnowałaby, abym odrobiła zadanie domowe, podpisywałaby usprawiedliwienia i zgody, i pakowała by mi lunch na wycieczki szkolne. Zamiast tego jej niezwykła, acz dość niepraktyczna natura nakazywała budzić mnie w środku nocy, bym nie przespała deszczu meteorytów, czy mówiła, żeby śpiewać kolędy w lipcu, gdy mknęłyśmy autostradą, bo akurat musiała dotrzeć na targ antyków w Albany, o którym właśnie gdzieś przeczytała.

Ta sama natura pozwalała jej się cieszyć perspektywą wyprawy, na którą właśnie się wybierała, i sprawiała, że widziała w tym przygodę. Przyglądałam się, jak się kręci po kuchni, szukając pałeczki, aby wpiąć ją do koka, w oczekiwaniu na samochód, który miał ją zabrać na lotnisko. Cio-cia Cheryl mieszkała w Dayton w Ohio i miały się spotkać w Nowym Jorku. Jako że była niska, krępa i zrędliva, mogły stworzyć całkiem niezły telewizyjny duet.

– Potrzebujesz jeszcze czegoś? Masz numery telefonów do wszystkich pracowników na wypadek, gdybyś musiała się z nimi skontaktować. Znalazłaś te papiery ubezpieczeniowe w stosiku papierów, które pokazałam ci na biurku?

– Tak. Wszystko jest w porządku, mamo. – Byłam gotowa, żeby przejąć kontrolę.

– I pamiętaj, jeśli będzie ci się wydawać, że lodówka przecieka, podłóż

pod spód parę ścierek i będzie dobrze. Tak się zdarza wtedy, gdy jest naprawdę ciepło, a wiesz, jak czasami bywa w lipcu – powiedziała, przechodząc obok i roztaczając wokół woń neroli i mięty. Mama uwielbiała olejki eteryczne. Hm, czyżby to była lekka nutka szaławii muszkatołowej? Być może nieco się denerwuje.

– Wszystko mam pod kontrolą – rzuciłam, wręczając jej paszport, który dopiero co odłożyła i którego teraz nie mogła znaleźć.

– Och, dziękuję, słonko... – Rozległ się dźwięk klaksonu, a matka aż podskoczyła. – Och! Samochód przyjechał. Już czas! – krzyknęła i rzuciła się do frontowych drzwi. Nie mogłam się powstrzymać od śmiechu, patrząc na jej ożywienie i pomagając jej włożyć torby do bagażnika. Miałam wątpliwości co do tego, czy ktoś inny będzie podróżować ze starym wojskowym plecakiem z wyszytym na boku hasłem „Siej kwiaty, nie przemoc”.

– Masz też zamiary na producentów, więc jakby co, dzwoń do nich, dobrze?

– Jasne. Nie martw się.

Przestała wkładać bagaże i spojrzała na mnie.

– Nie martwię się, że sobie nie poradzisz, Roxie. Tym nigdy się nie martwię.

– Więc jedź i baw się dobrze. Będę tu na ciebie czekać – zapewniłam, poklepując ją po ręce.

Przytuliła mnie mocno i przez chwilę stałyśmy objęte.

– Ty też się zabaw trochę tego lata. Rozerwij się, dobrze?

– Dobrze, mamó.

– I zakładaj rękawice. Ten stary piec potrafi być wredny.

– Jasne.

– Stosuj olejek przeciwko owadom, gdy będziesz się wybierać do lasu.

– Jasne.

– Nakładaj krem do opalania, jeśli pójdziesz popływać w jeziorze.

– Jasne.

– Pamiętaj o prezerwatywie, jeśli będziesz uprawiać seks z farmerem.

– Jasne. Jezu, mamó!

Zachichotała, po czym usiadła z tyłu i posławszy mi całusa, powiedziała, że mnie kocha. Następnie poinstruowała kierowcę, aby zabrał ją na przy-

godę życia, i odjechała. Stałam, potrząsając z niedowierzaniem głową. Naprawdę!

Czując, że palą mnie uszy i policzki, weszłam do środka i rozejrzałam się dookoła. Miałam akurat dzień wolny i dokładnie wiedziałam, jak go spędzę. Sprzątając.

Lubiłam sprzątać, a rupieciarnia doprowadzała mnie do szału, zabrałam się więc za układanie, wyprostowywanie, odkurzanie i zamiatanie. Nic nie wyrzuciłam, jako że nie był to mój dom, ale uporządkowałam i pochowałam większość rzeczy i niepotrzebnych staroci. Jak tylko skończyłam z salonem, zajęłam się kuchnią, czyszcząc na błysk podłogi i blaty. Wynosząc do stodoły naręczę pudełek, omiotłam spojrzeniem ogród i doszłam do wniosku, że przydałoby się mu porządne plewienie, co postanowiłam zostawić sobie na popołudnie. Donice z jednorocznymi roślinami przedstawiały istny obraz nędzy i rozpaczy. Poplątane kapryfolium kluczyło między krzewami róż gęsto upstrzonymi kwiatami, ale jeszcze gęściej kolcami.

Gdy ciągnęłam wycięty wiciokrzew do śmietnika, coś nagle przyciągnęło moją uwagę: zaparkowana za rzędem zmierzwionych sosen stara przyczepa Airstream, coś, co będąc od zawsze częścią ogrodu za domem, stało się po prostu niezauważalnym elementem scenerii.

Należała do mojego dziadka, który jeździł z nią po całym kraju na prawdziwe hipisowskie wyprawy. W końcu Woodstock leży niedaleko Bailey Falls. Kiedy odszedł, przyczepa stała porzucona. Zawsze było coś ważniejszego, na co trzeba było wydać dodatkowo zarobione pieniądze, więc w końcu stała się tylko rdzewiejącym gratem w ogrodzie za domem, który w końcu stał się niezauważalny.

Dziś jednak go zauważyłam. Zawsze uważałam, że te stare przyczepy są na swój sposób piękne. I tak oto Rózia Nitowaczka²⁰ podeszła bliżej, aby mu się przyjrzeć. Przyczepę, która w połowie była porośnięta chwastami i przechylała się na bok na łysych oponach, zamieszkiwały teraz zapewne niezliczone stworzenia. Postanowiłam, że któregoś dnia zajrzę do środka, ale jeszcze nie dziś.

²⁰ Amerykańska ikona kultury z lat czterdziestych.

Wróciłam do ogrodu, a po skończonej pracy udałam się na zasłużony odpoczynek. Po ponad tygodniu słuchania gderania mojej matki dom wydał

mi się teraz duży i pusty.

Kolejny dzień, kolejne urwanie głowy w porze śniadaniowej. Nazajutrz, pracując na pierwszej kierowniczej zmianie w jadłodajni, musiałam mieć oczy i uszy szeroko otwarte. Niemal wszyscy pracowali tu od wielu lat i miejsce to było w stanie samo o siebie zadbać, ale wiedziałam, dlaczego moja matka chciała, aby ktoś sprawował nad tym wszystkim pieczę. To było jej dziecko, to było dziecko jej ojca, i miała nadzieję, że kiedyś stanie się też moim dzieckiem, niezależnie od tego, ile razy powtarzałam, że prędzej świnie zaczną latać. Tym jednak postanowiłam zająć się przy innej okazji, bo na razie musiałam zająć się śniadaniem. Weszłam więc w rolę kucharki rozbijającej jajka i podrzucającej tosty do jajecznicy z dwóch na chlebowej tratwie.

Gdy zrealizowałam falę zamówień, wysłuchiwałam plotek od zamawiających, przypaliłam sobie trzy palce, pogodziłam dwie zwaśnione kelnerki i ugasiłam mały pożar, zwyczajnie przeszłam przez porę śniadaniową i kolejny raz znalazłam się na samym krańcu restauracyjnej hierarchii, biorąc się za obieranie ziemniaków.

Koncentrując się na idealnych kształtach frytek, prawie nie usłyszałam, jak otwierają się tylne drzwi. Tym razem jednak farmer był na tyle cwany, że się zaanonsował, zanim doszło do kolejnej tragedii.

– Jesteś uzbrojona?

Spojrzałam przez ramię i zobaczyłam uśmiechającego się z przekorą Leo. Odpowiedziałam mu takim samym uśmiechem i podniosłam rękę do góry, trzymając ziemniaka w jednej i obieraczkę w drugiej dłoni.

– Jestem. Lepiej nie podchodź – odpowiedziałam poważnie i wskazałam głową koszyk leżący na skrzynkach, które trzymał w dłoniach. – Nie wierzę, że przyniosłeś orzechy na kartoflaną wojnę.

– Przyznaję, że ostatnim razem okazały się dość powalającą mieszanką – powiedział, podchodząc do mojego stanowiska pracy i odstawiając skrzynki. – A może to była pozytywnie powalająca mieszanka... Zależy od punktu widzenia.

– Punkt widzenia jest ważny – dodałam, odkładając obieraczkę. Stał bliżej mnie, niż się spodziewałam, że stanie, i przez moment zatraciłam

się w tych jego niewiarygodnie zielonych oczach, tak jasnych i przenikających mnie na wskroś. – A więc co mi dziś przyniosłeś?

Nie spuszczać ze mnie wzroku, uderzył lekko w stos skrzyneczek.

– Sałata, kilka rodzajów, w tym nowa czerwona odmiana. Sporo fenkułów i czosnku. Pory, seler i wielka, gruba brukiew. I coś specjalnego!

Pierwsze truskawki. – Mówiąc to, podniósł powoli małą papierową torebkę leżącą na samej górze. Na jej dnie leżała garść okrągłych truskawek, czerwonych, upstrzonych pachnącymi zielonymi listeczkami.

– Mmm. – Wciągnęłam ich zapach. – Pachną latem.

– Prawda? – zapytał, wyciągając jedną. – Próbujemy w tym roku nowej odmiany, truskawek o smaku brązowego cukru. Na razie nie ma ich wiele, ale to najśłodsza truskawka, jakiej kiedykolwiek próbowałem.

– Tak?

– No już, spróbuj – powiedział, podając mi owoc.

– Nie przyjmuję słodczy od obcych.

– To nie słodczy, a my nie jesteśmy obcy. Już coś razem zmalowaliśmy.

– I leżeliśmy też razem kilka razy...

– Dokładnie. – Skinął głową, wyciągając truskawkę w moim kierunku. – Włóż ją do buzi.

– Dokładnie to powiedziała by obcy – rzuciłam, ale posłusznie otworzyłam usta.

Położył mi truskawkę na języku, mrużąc oczy, gdy delikatnie westchnęłam.

– Ta truskawka jest naprawdę świetna...

– No myślę – odpowiedział. Patrzyliśmy na siebie dokładnie dwie sekundy dłużej, niż było trzeba, po czym wróciliśmy do rozmowy.

– A o co chodzi z tymi orzechami włoskimi? – zapytałam, spoglądając na kosz.

– Mamy stary zagajnik i zawsze pełno tam orzechów. W pewnym momencie zacząłem dołączać je do dostaw, a ludziom się spodobało.

Nagle przyszedł mi do głowy świetny pomysł.

– Zrobię ciasto orzechowe! Nie robiłam go od lat, a z tej ilości orzechów, które mi przyniosłeś, mogłabym zrobić nawet dwa.

– Mam wrażenie, że wiele naszych rozmów kręci się wokół orzechów...

Twardy orzech do zgryzienia – skwitował.

Przechyliłam głowę, dryfując myślami od wizji grubej polewy z lukru do stojącego przede mną bardzo przystojnego farmera.

– Zgadzasz się. Może jakoś można to zmienić?

– Chcesz wpaść obejrzeć moją farmę?

– Jasne. Przynieść trochę ciasta orzechowego?

Skinął potakująco głową, a ja pozwoliłam, aby włożył mi do ust jeszcze jedną truskawkę.

Summer lovin', happened so fast...

Jak tylko minęła pora lunchu, wyjęłam foremki i zabrałam się do pracy. Przepis znalazłam kiedyś w starej kościelnej książce kucharskiej, którą kupiłam na pchlim targu, gdy jeszcze byłam w szkole. Chodziłam na takie targi i wyprzedaje rzeczy używanych w poszukiwaniu właśnie tego typu znalezisk – szczególnie starych książek kucharskich na kiermaszach dobroczynnych i imprezach kościelnych. Zwykle były dość zniszczone, ale zawierały przepisy, które wygrywały walkę z czasem. Pieczenie, kurczaki i kluseczki, mostek wołowy – nadal się to jadało, i to nie bez powodu. Sama uwielbiałam desery, a najbardziej ciasta. Dobre, tradycyjne ciasta, jak przekładany tort kokosowy. Ciasto koliber. Piernik. Orzechowiec.

Od razu znalazłam w książce kucharskiej przepis na ciasto orzechowe, gdyż była to najbardziej zniszczona kartka. Strony z plamami i śladami po łyżkach były tymi, z których najczęściej korzystano, więc było wiadomo, że znajdujące się na nich przepisy są dobre. I ten nie był wyjątkiem. Dołączony do pierwszej książki kucharskiej metodystów przez panią Myrę Oglesby z Latrobe w Pensylwanii, przepis na ciasto orzechowe znajdował się w jej w rodzinie od pokoleń. „Moja matka korzystała z orzechów włoskich z drzewa swojej matki, które zbierała ręcznie i rozłupywała przy kominku”.

Uwielbiałam to sobie wyobrażać i uwielbiałam tę książkę kucharską, całą w plamach po tłuszczu i czekoladzie. Uwielbiałam myśl, że ktoś jakiś sto lat temu siedział przy kominku i rozłupywał orzechy. Każdy przepis można było studiować niczym detektyw, starając się znaleźć jakieś wskazówki dotyczące ludzi, którzy go stworzyli. Czy w przepisie

chodziło o margarynę czy o masło? Margarynę czy oleomargarynę? Oleomargaryna – często byłam w stanie oszacować pochodzenie przepisu na podstawie tego jednego słowa. Czasem udawało mi się znaleźć pudełko ze starymi przepisami, które zawierało ręcznie zapisane karty. Ludzie kiedyś naprawdę potrafili pisać! I to kursywą! Celowo!

To było urocze, choć nieco frustrujące, gdy czytałam w przepisie: „dwie łyżki wanilii, odmierzając ją starą, niebieską, emaliowaną łyżką”, „trzy krople octu z zielonej flaszeczki”, „dodać tyle soli, żeby szczypało w twarz wujka Elmera”. Miary zrozumiały tylko dla członków konkretnej rodziny.

Ciasto orzechowe było ulubionym wypiekiem Myry Oglesby, moim również. Zwarty, słodki, przełożony trzema warstwami tort, upstrzony orzechami i cynamonem... Zaskakiwały posmak maślanki i drobinki kokosu porozrzucane w cieście, ale punktem kulminacyjnym była wyśmienita polewa z białek i kremowego masła.

Dekorując boki ciast posiekanymi orzechami, spojrzałam przez duże frontowe okno jadłodajni i zobaczyłam, że zrobiło się już prawie ciemno. Ależ ten czas leci! Szybko włożyłam placki do staromodnej gablotki obok kasy, którą desery zamieszkiwały od lat trzydziestych, i zgasłam światła. Wychodząc przez frontowe drzwi i czując delikatny zapach letniego wieczoru, zatrzymałam się nagle oszołomiona pięknem miasteczka. Czyżbym przez te wszystkie lata po prostu o tym zapomniała? Powoli zapalały się latarnie, co jeszcze dodawało blasku poświacie zachodzącego za starym wiązem słońca. Ulice wyglądały na poplątane, jak w większości małych miast na północnym wschodzie, bo powstały w miejscu starych indiańskich szlaków, traktów pocztowych, a nawet ścieżek dla krów. Miasto zbudowano u podnóża gór Catskill, a niektóre z najstarszych domów wzniesiono na samych wzgórzach. Ich piętrowe werandy schodziły teraz wzdłuż głównej drogi.

Spędziłam cały dzień w jadłodajni, więc teraz z przyjemnością obchodziłam okolicę, wciągając zapach tego szczególnego czerwcowego wieczoru, kiedy nawet powietrze wydawało się przynosić ulgę zmęczonym rękom i nogom. Dzieci biegały, jeździły na rowerach i krzyczały w ten typowy, bez troski sposób. Ich cały świat sprowadzał się do tego, aby namówić mamę na kupno lodu na patyku. Przeszłam przez dzielnicę Locust

i poszłam dalej wzdłuż rzeki, patrząc, jak się mieni odcieniami złota i pomarańczy. Poczułam lekko bagnisty zapach wody, która choć czysta, miała mętny kolor za sprawą mulistego błota.

To miasteczko naprawdę było cudowne, jeśli naturalnie ktoś lubi miejsca, gdzie życie zamiera o dwudziestej.

Następnego dnia, zaraz po zamknięciu jadłodajni, udałam się prosto na farmę Maxwellów, niosąc kawałek orzechowego ciasta, gruby jak mój biceps. W lasach było widać kalmię szerokolistną i aronię, a gdzieś tam sosny przerzedzały się na tyle, że odsłaniały skały pod poszyciem. Jadąc, podskakiwałam radośnie i nuciłam pod nosem wiadomy utwór z filmu *Grease*, czując na ciele przenikające przez szyby samochodu promienie słońca. Miałam wrażenie, jakbym wybierała się właśnie na szkolną wycieczkę na farmę, z tą tylko różnicą, że tym razem miałam być oprowadzana przez samego farmera.

I to przystojnego farmera.

Mogłam więc nieco popuścić wodze fantazji. Jako mała dziewczynka wiele razy czytałam *Domek na prerii* i uwielbiałam wszystko, co dotyczyło tej niewielkiej rodziny i trudów osadniczego życia. Podziwiałam fakt, że rodzice zostawili Laurę i Mary same, podczas gdy sami udali się do miasta... na kilka godzin! Miały po sześć i osiem lat, a mimo to potrafiły rozpalić ogień, wydoić krowy i zszyć kołdrę z dziewięciu kawałków materiału!

Gdy nieco podrosłam, często wchodziłam na starą kanapę mamy i razem z nią oglądałam powtórki serialu, wyśmiewając Nellie Oleson i zastanawiając się, jak to jest mieć ojca, który płacze na zawołanie.

Gdzieś w trakcie szóstego sezonu pojawił się pewien farmer i odmienił życie Laury, a także małej Roxie Callahan. Almanzo był moją pierwszą miłością. Silny, szczupły i śliczny jak z obrazka. Wzdychałam wraz z Laurą za każdym razem, gdy jechał powozem przez miasto. Nawet już jako dorosła kobieta często w nocy skakałam po kanałach i gdy wyświetlali akurat odcinek *Domku na prerii*, oglądałam go, aby sprawdzić, czy przypadkiem nie pojawi się Almanzo. A gdy się pojawił... Powiedzmy, że gdybym akurat tej nocy jechała sama takim powozem, mógłby stać się

pomocnym kompanem.

W dzisiejszej nocnej fantazji, panie i panowie, rola Almanzo Wildera przypadła Leo Maxwellowi.

Jadąc w stronę farmy Maxwellów i podskakując na dziurach, aż zadrżałam. Mmm, podskakując... To tylko podsycalo ogień w mojej głowie.

Przy podjeździe zauważyłam ogromny szyld: właśnie dojechałam na farmę Maxwellów. Kamienne filary podtrzymywały z dwóch stron dębowe belki, na których od zawsze, widniało nazwisko rodziny. Sądzę, że jeśli ktoś ma więcej pieniędzy niż ktokolwiek inny, umieszczenie nazwiska na skrzynce pocztowej po prostu mu nie wystarcza.

Posiadłość wychodziła na wiejską drogę i zjeżdżając na podjazd, wjeżdżało się prosto w tunel drzew. To robiło wrażenie. Olbrzymie dęby wznosiły się dumnie wysoko nad drogą i tworzyły sklepienie ze swych koron i koron swych braci po drugiej stronie, łącząc się gałęziami i osłaniając przed promieniami słońca, które rzucały pstrokate cienie. Co jakiś czas pojawiały się znaki wskazujące drogę do innych miejsc na terenie posiadłości. Szlaki spacerowe, skrócić w lewo. Angielski labirynt, jechać prosto. Staw, skrócić tutaj. Trzymałam się głównej drogi, podziwiając ogrom posiadłości. Za zielonym tunelem oddzielającym prawdziwe życie od życia bogaczy znajdował się inny świat.

To tu, to tam przez ścianę tunelu przebijało się światło. Przez te małe „okienka” można było dostrzec łąkę albo zabudowania gospodarcze. Za ostatnim zakrętem była farma, która jednak nie przypominała tych widywanych w drodze przez Kansas, Missouri czy Iowa. W większości były niezadrzewione, porośnięte równymi rzędami kukurydzy czy soi, tu zaś ujrzałam eksplozję kolorów. Małe pola i rośliny wszelkich kształtów i rozmiarów. Pomiedzy nimi krzaki i karłowate drzewa. Ludzie klęczeli w błocie, robotnicy z koszami ostrożnie zbierali fasolę, ktoś rozkładał ściółkę na dopiero co obsianej grządce. W pewnym momencie musiałam się nawet zatrzymać, aby przepuścić przechodzącą przez drogę kury. Główna rezydencja stała na szczycie wzgórza, które było najwyższym punktem w promieniu wielu kilometrów, dzięki czemu wyglądała jak dystygowana staruszka patrząca na wszystko z dystansu. Znaki skiero-

wały mnie na parking przy rezydencji. Spojrzałam w stronę olbrzymiej kamiennej stodoły, gdzie Leo miał na mnie czekać. I czekał, zdecydowanie wyróżniając się wzrostem spośród grupy skautów.

Pomachał do mnie, a ja poczułam, że w moim żołądku poderwał się nagle mały, malutki motylek. Odmachałam i chwyciwszy kawałek ciasta, który dla niego przywiozłam, ruszyłam przez podwórze. Stodoła została zbudowana na planie niemal idealnego U; otaczała główny dziedziniec. Zbudowane z kamieni polnych ściany były w połowie drewniane i wznosiły się na wysokość dwóch pięter. Przez otwarte okna, których skrzydła pomalowano na jasnoczerwono, było widać szerokie belki. Niegdyś pomieszczenia na siano, dziś mieściły biura i klasy, jako że farma Maxwellów była nie tylko prężnie działającym gospodarstwem, lecz także szkołą. Miałam nadzieję, że dowiem się czegoś więcej na ten temat w trakcie dzisiejszej wizyty.

Słyszając chłopięcy śmiech, odwróciłam wzrok od ustawionych w oknach skrzynek z kwiatami, które opadały kaskadą, i spojrzałam w stronę grupki skupionej wokół Leo. Chłopcy podskakiwali i krzyczeli, gdy podnosił coś, co wyglądało na łątki, wołając każde z dzieci po imieniu. Zbliżywszy się, usłyszałam, że śmieje się wraz z nimi.

– Słyszę cię, Owen. Ty też dostaniesz naszywkę za aktywność, nie martw się. Kto jeszcze? Proszę, Jeffrey, zasłużyłeś, bo zebrałeś największego bakłazana, jakiego mieliśmy w tym roku! Kto jeszcze? Zobaczmy... O rany, nie możemy przecież zapomnieć o Matthew. Proszę, bracie. Jesteście najlepsi!

Jego śmiech był naprawdę zaraźliwy i idąc przez pokryty żwirem dziedziniec, uśmiechałam się szeroko, patrząc z zachwytem na jego wysokie kości policzkowe, zakrzywioną dolną wargę, gdy się śmiał, i zielone oczy, które gdy tylko się we mnie wpatrywały, uwalniały motyle w moim brzuchu.

No i jeszcze ta broda... Co sprawiało, że wyglądała na hipsterską? Długość? Kształt? Bliskie skojarzenie z flanelą i Mumfordami²¹? Byliśmy jakieś osiemnaście metrów od tradycyjnych odmian pomidorów. Czy to dodawało mu wiarygodności jako hipsterowi?

21 Mumford & Sons – angielski zespół folkrockowy..

Nie przepadałam zbytnio za zarostem starszym niż dwudniowa seksowna

szczecinka, ale podobała mi się prawdziwa broda Leo. Nawet bardziej niż podobała; pragnęłam jej dotknąć. Czy drapała? Czy była miękka? Czy była szorstka? Chciałabym zobaczyć brodę i całą resztę pomiędzy swoimi udami, i to mając na sobie zdecydowanie mniej ubrań niż podczas poprzednich spotkań...

Mój oddech stał się szybszy wraz z kolejną fantazją: spocone nagie ciała i zaciśnięte dłonie. Ależ gorąco! Chryste, farmer działał na mnie fizycznie – w sumie dobrze, bo potrzebowałam fizyczności – gdy więc ujrzałam, jak podnosi zwężający się z jednej strony kabaczek, który przypominał mi coś bardzo, bardzo konkretnego, musiałam zamaskować jęknięcie kaszlem.

– Wszystko w porządku? – zapytał, gdy w końcu do niego dołączyłam.

– Tak. Dlaczego pytasz? – rzuciłam, obciągając lekko swój T-shirt. Powietrza, potrzebuję powietrza...

– Brzmiało to trochę tak, jakbyś...

– Kaszlałam – wtrąciłam i szybko zmieniłam temat. – Upiekłam ciasto orzechowe z polewą – rzuciłam i wepchnęłam mu w dłonie białe pudełko.

– Wow, naprawdę zrobiłaś ciasto? – zapytał.

– Cóż, upiekłam je do jadłodajni. Reszta się dziś sprzedała.

– Dobrze?

Uśmiechnęłam się szeroko.

– Zajebicie dobre.

Leo przymknął oczy i pokręcił lekko głową, a ja zdałam sobie sprawę, że właśnie zgorszyłam skautów.

– O kurwa... – wymamrotałam, po czym zaraz zakryłam usta dłonią.

Leo tylko parsknął i zwrócił się znów do chłopców:

– Hej, Jason, nie masz jeszcze odznaki, nie? Roxie, może zanieziesz ciasto do lodówki w sklepie?

Szybkim krokiem wycofałam się w stronę sklepu. Nie miałam pojęcia, jak rozmawiać z dziećmi, ale byłam pewna, że przeklinanie było na jednym z pierwszych miejsc na liście tego, czego nie należy robić. Poprosiłam kogoś, aby włożył ciasto do lodówki, po czym wzięłam głęboki oddech i postanowiłam wrócić do Leo.

– Nie wiedziałam, że spędzasz dziś czas z kolegami – powiedziałam,

wskazując głową skautów.

– Właściwie to prawie codziennie ktoś nas odwiedza. Wycieczki szkolne, nowi stażyści, grupka...

Nagle ktoś pchnął Leo w moją stronę – to skauci zaczęli przepychankę, kłócąc się o naszywkę. Prawie straciłam oddech, gdy na mnie wpadł, sprawiając, że musiałam walczyć o powietrze. Znów znalazłam się w jego ramionach, ale tym razem na stojąco, przykryta jego ciałem, niemal się w niego wtulając. Pachniał FANTASTYCZNIE.

Wokół nas ćwierkały radośnie ptaki, szczekały psy i kłócili się skauci, ja jednak myślałam tylko o jego dłoniach trzymających mnie mocno w pasie. Ręce, które z początku podtrzymywały mnie dla równowagi, teraz przesunęły się lekko, skradając się pod moją koszulkę i dotykając moich pleców nieco powyżej krzyża.

I zaraz, czyżby to były moje dłonie? Te przylegające mocno do jego klatki piersiowej? Przesuwały się wyżej i wyżej, okrążając jego niewiarygodnie twarde mięśnie i brnęły ku górze, za szyję, gdzie natknęły się na łaskoczące koniuszki włosów... I te jego zielone oczy, z których biły żar... i ciekawość... Nagle podniosłam się na palcach, a moje piersi cudownie przylgnęły do jego...

– Zaraz kopnę cię w jaja! – wrzasnął jeden ze skautów, a ja natychmiast odskoczyłam od muskularnej klatki Leo. I jego ust uniesionych w półuśmiechu. I jego głowy, którą kiwał teraz potakująco, jakby mówił: „O tak, dokończymy później”.

Uwielbiałam dokańczać.

Rozdział 8

Najpierw musiałam jednak zwiedzić okolicę, więc jak tylko skauci odjechali, udałam się na prywatną wycieczkę. Tylko ja, Leo... i siedemnaście innych osób, które też chciały zobaczyć główną i najważniejszą farmę prowadzącą szkolenia z organicznych upraw w dolinie rzeki Hudson. Niektórzy pewnie pomyślą, że musiało mi być trudno skoncentrować się na takich rzeczach, jak poplon czy płodozmian, gdy jeszcze przed chwilą trzymałam ręce w słodkich włosach koloru blond, ale trzeba przyznać, że Leo okazał się świetnym przewodnikiem.

To, co zrobił z ziemią przez te kilka lat od chwili jej przejęcia, było rewelacją. Posiadłość przeobraziła się z gospodarstwa w wielkie przedsiębiorstwo zatrudniające nie tylko całoroczny zespół, lecz także stażystów, którzy chętnie słuchali tego, czego uczył ich Leo. W ciągu dwugodzinnej wycieczki po posiadłości dowiedziałam się więcej na temat prowadzenia organicznej farmy opartej na zrównoważonym rozwoju niż przez całe swoje życie.

– Więc gdy zacząłeś zmieniać pola z powrotem w... jak to nazwałeś? – zapytał jeden z uczestników wycieczki.

– Ugory to pola wyłączone na jakiś czas z użytkowania – opowiadał Leo. – Wydaje się, że takie pole w naturalny sposób się odnawia i ponieważ to prawda, ale gdy ziemia leży odłogiem przez wiele lat, niewiele się dzieje. Więc gdy zaczęliśmy tu pracować, musieliśmy cały ten teren zorać, spulchnić glebę, obrobić ją, a następnie zasiać rośliny na zielony nawóz na polach, na których chcieliśmy prowadzić uprawy.

Kilku znudzonych chłopców bawiących się iPhone'ami, idąc noga za nogą za swoimi rodzicami, zachichotało.

– Zielony nawóz? Czy to coś w rodzaju warzywnego gówna? – zapytał jeden.

– Nie, na gówno przychodzi czas później. – Leo odbił piłeczkę i poklepał chłopaka po plecach, wskazując głową telefon.

– Będiesz przez cały czas grać na tym czymś?

– Hm, nie...

– Świetnie. A więc, wracając do gówna...

– Zaraz, to jest prawdziwe gówno? – zapytał inny chłopiec, patrząc

z niedowierzaniem na swojego kolegę.

– Koleś, to przecież farma. Pełno tu gówna – rzucił z powagą Leo, po czym wszyscy uczestnicy wycieczki, jak na zawołanie, podnieśli dyskretnie nogę, sprawdzając szybko podeszwy swoich butów. – Zielony nawóz to rośliny poplonowe, które siejemy, aby wprowadzić nieco azotu do gleby. Koniczyna jest też świetna dla krów, co akurat dobrze się składa, bo zaraz obok znajduje się farma mleczna. Właściciel jest moim znajomym i pomagamy sobie. Oferuję pastwisko, a Oscar czworonożne maszyny do gówna...

– Do gówna? – dopytywały dzieci.

Leo pokiwał głową.

– Naturalny sposób, aby zapewnić dobre plony.

Wszyscy pokiwali głowami, zgadzając się, że to ma sens.

– Zwykle nie prowadzimy takich gównianych rozmów na tak wczesnym etapie wycieczki, ale co jakiś czas zdarza się w grupie ktoś, kto nie potrafi przejść nad słowem „nawóz” obojętnie, bez śmiechu. Zrozumiała sprawa – powiedział Leo, poklepując chłopca po ramieniu. – Kto chce zobaczyć kompost?

Chłopcy zapomnieli o swoich iPhone’ach na resztę wycieczki, a ja podsłuchałam, jak jeden z nich powiedział ojcu, że Leo jest super.

Spacerowaliśmy po wzgórzach, wzdłuż żywopłotów i ścieżek kluczących między polami. Widzieliśmy rosnące na grządkach warzywa niemal każdego rodzaju. Fasola ozdobna pięła się pionowo wzdłuż zielonych drewnianych słupków, tworząc coś na kształt namiotu zwisającego nad delikatną kocimiętka, która miała odstraszać szkodniki. Marchew rosła na przemian z porem, który przyśpieszał jej wzrost i chronił przed połyśnicą marchwianką. Co jakiś czas zatrzymywaliśmy się, aby skosztować kwitnącego szczypiorku i pierwszych malutkich żółtych pomidorów, posadzonych wzdłuż krzaczków fioletowej bazylii.

Zwiedziliśmy szklarnię z niezliczoną liczbą pojemników z sadzonkami na różnych etapach wzrostu. Malutkie sadzonki pomidorów rosły obok olbrzymich główek sałaty masłowej. Spędziliśmy też trochę czasu na polach, które choć zostały na razie celowo wyłączone z użytkowania, trudno było nazwać uśpionymi. Stojąc wysoko na wzgórzach, patrzyliśmy na stodoły i rezydencję pośród morza zieleni.

Właśnie opuszczaliśmy jedno z pól, gdy pojawiły się trzy traktory, ciągnąc coś, co wyglądało jak... wychodki.

– To się nazywa zgranie w czasie! Oto kury – powiedział Leo. – Jeśli popatrzyście na to pole i porównacie je z tym obok, to co zobaczycie? –

Spojrzał na nas, zachęcając dzieci do odpowiedzi.

Na polu po mojej lewej pasły się owce. Nieco dalej na lewo rozciągało się pole z wypożyczonymi krowami. A na polu, gdzie właśnie staliśmy?

Traktory się zatrzymały. Pracownicy odpięli domki, wypuszczając na pole kury. Piękne, duże, z lśniąącymi piórami, przechadzały się wolno po falującej trawie. Trawa, hmm...

Spoglądałam to na jedno pole, to na drugie.

– Przenosisz zwierzęta, żeby same kosiły trawę! – krzyknęłam.

Leo popatrzył prosto na mnie, a jego twarz pojaśniała. To była prawidłowa odpowiedź. Poczułam, że w żołądku robi mi się gorąco i że to ciepło wychodzi na zewnątrz.

– Dokładnie tak: zwierzęta koszą za nas trawę. – To mówiąc, Leo wskazał krowy. – Na tym polu rosną smaczne rośliny poplonowe typu trawa alfalfa z domieszką koniczyny. Krowy pasą się, przycinają trawę do wysokości kolan, po czym przenosimy je na następne pole.

– A na to wchodzi owce, tak? – zapytałam, wskazując mięciutkie śnieżnobiałe kuleczki.

– Kolejna dobra odpowiedź, Roxie – rzekł Leo, stając dokładnie naprzeciw mnie.

Przez moment rozkoszowałam się dźwiękiem swojego imienia w jego ustach, a przez następną chwilę wyobrażałam sobie, jak powtarza to imię kolejny raz, i jeszcze jeden. I na naprawdę niegrzeczną sekundę zapomniałam w ogóle o swoim imieniu w jego ustach, wyobrażając sobie na jego ustach siebie.

I właśnie w tym momencie on oblizwał wargi. Swoje wargi. A ja poczułam, że między nogami robi mi się przyjemnie ciepło. Nie było to już po prostu słodkie ciepło. To była czysta żądza.

– A co robią kury? – zapytał jeden z uczestników tej małej wycieczki.

Leo nic nie odpowiedział, bo akurat patrzył na mnie.

– Dlaczego wypuszczacie kury za owcami? – dopytywała ta sama osoba. Zacisnął szczęki, a ja wstrzymałam oddech.

– Kury? – powtórzył mężczyzna.

Już miałam powiedzieć facetowi zafascynowanemu kurami, gdzie dokładnie go mamy, gdy na Leo wrócił na ziemię.

– Kury kończą to, co zaczęły krowy i owce – odpowiedział. – I tak po kolei, wszystkie nawożą pole. Kury pomagają dokończyć spulchnianie gleby i żywią się insektami, dzięki którym stają się grube i szczęśliwe w całkowicie naturalnym i bezstresowym środowisku. Potem znoszą jajka z żółtkami tak pomarańczowymi, jakich nigdy jeszcze nie widzieliście. I to właśnie na kurach kończy się nasza wycieczka.

Leo ruszył w dół wzgórza, w stronę rezydencji, a cała grupa posłusznie podreptała za nim. Słuchałam, jak opowiada, w jaki sposób sami mogą pomóc lokalnym społecznościom lub jak mogą włączyć się do działań farmy, jeśli są z tych okolic. Czyżbyśmy nagle przyśpieszyli? Najwyraźniej, bo wydawało się, że do miejsca, skąd ruszyła wycieczka, prowadzi nas dużo szybciej. W pewnej chwili złapał mnie za łokieć i zwrócił się do reszty osób:

– Dziękuję, że nas dziś odwiedziliście. Mam nadzieję, że podobała się wam wycieczka. Jeśli ktoś jest zainteresowany kupnem czegokolwiek, co uprawiamy na farmie, w tym jajek o pomarańczowych żółtkach, o których wam wspominałem, powinien wstąpić do Lisy do sklepu.

To mówiąc, pomachał wszystkim na pożegnanie, drugą ręką trzymając mnie blisko siebie. Moje serce zaczęło bić szybciej, gdy poczułam uścisk jego dłoni na łokciu. Cóż za szczęściarz z tego łokcia! Czy ten mały kawałek ciała ma jakąś nazwę? Koniecznie muszę sprawdzić.

– O co chodzi, panie farmerze? – wymruczałam, przysuwając się nieco bliżej i ocierając biustem o jego rękę. Teraz i moja pierś była szczęściarą.

– Nie chciałem, abyś uciekła z resztą stada. Chciałem ci coś pokazać – szepnął w odpowiedzi i uśmiechnął się, nadal kiwając głową i machając. Gdy grupa odeszła, poprowadził mnie przez dziedziniec na tyły kamiennej stodoły.

– Och, parking pracowniczy – zauważyłam, gdy tylko weszliśmy w cień rzucany przez budynek. Stały tam zaparkowane samochody z plakietkami farmy.

– A więc to jest zaplecze za kurtyną, gdzie odbywa się ta cała magia, tak? Dzięki, że mi pokazałeś...

– Taka z ciebie mądrała, co? – zapytał, puszczając mój łokieć i wchodząc do czarnego wranglera. – Otworzyłbym ci drzwi, ale wyjąłem je zeszłej wiosny i jeszcze nie zdążyłem na powrót zamontować.

– Może uda ci się na jesień? – rzuciłam, gramoląc się do środka. – I tak, taka właśnie ze mnie mądrała. Dokąd... – Ledwie zdążyłam zapiąć pas, gdy ruszył z miejsca.

Pojechaliśmy prowadzącą za kamiennymi stodołami bitą drogą, która była pokryta żwirem, ziemią i drobnymi kosteczkami. Podskakując przy dewastującej nerki prędkości, jakoś udało mu się nie zjechać z drogi i podłączyć iPoda do deski rozdzielczej, która pierwotnie posiadała na wyposażeniu magnetofon. Wiem to stąd, że moja matka nadal ma podobny. I tak się złożyło, że włączył akurat jeden z jej ulubionych albumów.

– U2? – zapytałam, trzymając się dla bezpieczeństwa uchwytów.

– O tak – odpowiedział. – Najlepszy zespół na świecie.

Gdzieś tam na tym świecie moja matka musiała właśnie podskakiwać z radości, wykonując pięścią gest zwycięstwa jak z filmu *Klub winowajców*.

– Moja matka słuchała tego albumu godzinami, kiedy byłam mała.

– Miała ulubiony utwór? – zapytał, skręcając na kolejną bitą drogę, która biegła wzdłuż pól.

– Dziewiąty – odpowiedziałam. Znałam listę utworów z płyty *Achtung Baby* na pamięć. Uśmiechnęłam się, słysząc bębny, i czekałam na uczucie irytacji, które zawsze towarzyszyło myślom o mojej matce, ale nic takiego się nie pojawiło.

– Fajna piosenka – powiedział, wystukując rytm na kierownicy. Ja też stukalam do taktu, trzymając się mocno na ostrych zakrętach. Złapałam go na tym, że mi się przygląda, a on posłał mi szeroki uśmiech. Słońce wisiało nisko nad horyzontem. Wyglądało jak duża czerwona kula, na której tle mocno odznaczały się rośliny. Nawet nie wiedziałam, że posiadłość sięgała aż tak daleko. Rozejrzałam się po wspinających się ku górze łodygach kukurydzy, falującej pszenicy i... zaraz, co to?

– To życica.

– W sensie żyto, na chleb?

– W sensie trawy. Świetna jako roślina ozima, poplon czy pasza dla bydła, bo planuję później wprowadzić zwierzęta na to pole. Pod koniec se-

zону skoszę ją na siano i sprzedam kilku gospodarstwom mlecznym w okolicy.

– Na przykład Oscarowi z farmy obok? – zapytałam.

– Czyli ktoś mnie słuchał! – zażartował, ale zanim zdążyłam zareagować, wykonał kolejny szalony skręt i już jechaliśmy w stronę lasu.

– Gdzie my, do cholery, jedziemy?

– Tam – odpowiedział, pokazując na drogę.

Parsknęłam.

– Można się poczuć jak w bajce. Zabierasz mnie do lasu, i takie tam.

Mam nadzieję, że nie zwabisz mnie do domku z piernika i nie spróbujesz mnie zjeść, co?

– Nie dzisiaj – rzucił, patrząc na mnie z ukosa.

Moja reakcja była natychmiastowa.

– Ojej, jaka szkoda – powiedziałam niskim głosem, na co on od razu zwolnił. – Żartowałam! Nie patrz na mnie oczami z *Dzieci kukurydzy*... – powiedziałam ze śmiechem, odsuwając się jak najdalej.

– Spokojnie, już jesteśmy.

– Gdzie? – Znajdowaliśmy się w całkowicie niezidentyfikowanej części lasu.

Obszedł dżipa i sięgnął, aby odpiąć mi pas. Uwalniając mnie, musnął delikatnie wewnętrzną stronę mojego uda, a ja głośno wciągnęłam powietrze. Słyszając to, odwrócił się w moją stronę. Jego oczy zdawały się czytać ze mnie jak z otwartej książki. Zmarszczyłam czoło, próbując się zasłonić, ale jego dłoń leżała na moim udzie. *O rany*.

– Gdzie jesteśmy? – powtórzyłam.

– Chodź, Groszku – powiedział, biorąc mnie za rękę i wyciągając przez drzwi bez drzwi. Gdy tylko stanęłam na ziemi, puścił moją rękę, ale ja nadal ją czułam. Nie wspominając o rozkosznym cieple, które z pewnością musiało zalać moje policzki, gdy nazwał mnie Groszkiem. O cholera, a więc coś się zaczynało.

Ruszyliśmy ledwo widoczną leśną ścieżką. Przeszliśmy może dziewięćdziesiąt metrów, gdy nagle się zatrzymał, a ja prawie wpadłam na jego plecy.

– Na co patrzymy? – szepnęłam.

– Czemu szepczesz? – zapytał cicho.

– Nie wiem – rzuciłam szeptem. – Nie odpowiedziałeś mi na pytanie.

– Jest po drugiej stronie tego dużego drzewa. – To mówiąc, wskazał drzewo, które rzekomo zasłaniało coś ciekawego.

– Leo, ciężko mi to przyznać, ale jeśli jest tam coś, co powinnam widzieć, to niestety tego nie widzę.

Przyciągnął mnie do siebie i pochylił lekko w dół, niemal kładąc mi podbródek na ramieniu. Jedną ręką wskazał kierunek, a drugą skreślił mnie w biodrach, szeptał mi do ucha:

– A teraz widzisz?

Teraz widziałam. Gdy tylko wygrałam batalię z motylami w brzuchu, które podniosły wrzawę, gdy przylgnął do moich pleców, zobaczyłam ruiny domu stojącego na rozpadających się kamiennych fundamentach. Zamiast ścian rosły drzewa, a podłoga na drugim piętrze już lata temu się zapadła. Komin z kamieni polnych przechylał się niepewnie, nadając kształt tylnej części ściany, a ściany frontowej zwyczajnie nie było.

– Wow...

– Wiesz, co rośnie wokół tego domu, prawda? – zapytał z ustami tuż przy moim prawym uchu.

Litości! Uwielbiałam, gdy tak stał zaraz za mną. Mogłabym się przyzwyczaić.

– Nie.

– Twoje orzechy włoskie. – To mówiąc, pchnął mnie lekko na ścieżkę, przesuwając dłoń z bioder na plecy. – Nie mam pojęcia, czy drzewa rosły tu jeszcze przed tym, jak zbudowano ten dom, czy pojawiły się, gdy go opuszczono.

– Niesamowite – powiedziałam, zachwycona tym, że właśnie oglądam drzewa, dzięki którym powstało moje pyszne ciasto. Leo skinął głową, zgadzając się ze mną. Lubiałam wiedzieć, skąd pochodzą produkty, których używałam w kuchni.

Pozwoliłam mu się poprowadzić w stronę domu, stąpając ostrożnie pomiędzy pokruszonymi kamieniami i powalonymi konarami. Promienie słoneczne przebijały przez korony drzew, tworząc tunel pełen różnych odcieni zieleni.

– To też należy do ciebie, tak?

– Technicznie rzecz ujmując, to własność rodziny, ale tak. Nawet nie je-

steśmy jeszcze w połowie rezerwatu – powiedział, podchodząc do powykręcane drzewa.

Przez moment myślałam z zachwytem o tym, od jak dawna te ziemie do nich należą.

– A więc to jest orzech włoski, tak? Nigdy bym nie zgadła.

– Sam bym nie wiedział, gdyby nie to, że przyszedłem tu raz jesienią i znalazłem wszystkie te łupiny na ziemi. Obok głównych sadów mamy jeszcze jeden zagajnik, ale i tak co roku przychodzimy tutaj na orzechy.

– A dom? Zbudowała go twoja rodzina? – zapytałam, patrząc na kamienne fundamenty.

– Nie sądzę. Sprawdziłem kilka starych map oraz plany posiadłości, i wygląda na to, że to część starej farmy opuszczonej na długo przed przyjazdem Maxwellów. – Gdy wypowiadał swoje nazwisko, słychać było lekką nutkę goryczy, zanim jednak udało mi się o cokolwiek zapytać, odwrócił się w moją stronę. – Pomyślałem po prostu, że może ci się tu spodoba.

– Tu jest ślicznie. Cicho i spokojnie. Tam, gdzie teraz mieszkam, też można znaleźć spokojne miejsca, ale dość długo trzeba do nich jechać.

– Byłem w L.A. wiele razy. „Spokój” to nie pierwsze słowo, które mi się kojarzy z tym miastem.

– Hmm – mruknęłam, opierając głowę o drzewo i spoglądając na jego koronę. Zieleń przechodziła z jednego odcienia w drugi, liście i konary przeplatały się, kołysząc na wietrze, powiew nie dochodził jednak do miejsca, w którym stałam. Leo stał oparty o swoje drzewo, a ja o swoje, i tak napawaliśmy się spokojem oferowanym przez las. Wciągnęłam mocno zapach kruchych liści i trawy, po czym wypuściłam powietrze, robiąc długi i powolny wydech.

– Czy to było westchnienie mówiące „ale nuda”? – zapytał.

Potrząsnęłam głową.

– Oczywiście, że nie. To było westchnienie mówiące „co za miły dzień”. Idealna pogoda, idealna temperatura, idealna sceneria. Udało mi się nawet dowiedzieć, skąd się biorą orzechy. Po tym, jak wyglądały ostatnio moje dni w L.A., właśnie tego było mi teraz trzeba.

– Westchnienia na koniec miłego dnia – powtórzył, odpychając się od drzewa i idąc powoli w moją stronę.

– Westchnienia na koniec cudownego dnia – dodałam.

– Aż tak? A skąd ta zmiana z miłego na cudowny?

Był już na tyle blisko, że mogłam dojrzeć nieco wyblakły odcień rudego w zaroście okalającym jego szczękę, małą dziurkę w T-shircie, żyły po wewnętrznej stronie opalonego przedramienia i siłę, która musiała spoczywać w tych jego dłoniach.

– Cudowny dzień może zaraz się zamienić w niesamowity – odpowiedziałam, obejmując drzewo i patrząc na niego spod opuszczonych rzęs. Teraz byłam Roxie z Kalifornii. – Szczególnie gdy tak się skradasz.

Na jego twarzy pojawił się uśmiech, który nie był uśmiechem zaprzyjaźnionego farmera, a raczej seksownego pirata. Nagle znalazł się tuż przy mnie.

Tak, nadszedł czas, aby nieco rozkręcić ten letni romans. Stałam w lesie, oparta o drzewo, z rękami z tyłu i wypiętym biustem, czyli w międzynarodowej pozie „pocałuj mnie, głupku”. Wyglądałam jak galion. On zmierzał powoli w moją stronę, wpatrując się we mnie rozpalonym wzrokiem i kusząc – seksowny, niebezpieczny nieznajomy.

I nagle nadleciała ona – ogromna pszczoła, podskakująca na niewidzialnej kwiatowej autostradzie. Zabrzęczała mi obok ucha i dając nura wzdłuż mojej szyi, zaśmiała mi się prosto w twarz, po czym wleciała między moje piersi.

Natychmiast, w napadzie szaleństwa, zaczęłam machać rękoma, krzyczeć i okładać się po klatce piersiowej. Zdarłam z siebie koszulkę, aby dostać się do pszczoły, i zaczęłam biegać wokół drzewa, bijąc się po biustonoszu i wydzierając na cały głos.

– Roxie? Roxie! Co ty, do cholery...

– Pszczooooooooooooooooo!aaaaaaa! – krzyczałam, gdy chwycił mocno za ramiona, próbując – choć bez przekonania – nie patrzeć na moje piersi, które niemal powyskakiwały z miseczek biustonosza.

– Okej, uspokój się. Nie użądli cię, jeśli zachowasz spokój...

– Właśnie, że użądli! Pszczoły to małe paskudy! – wrzeszczałam, trzęsąc się niczym Charo²² na scenie.

²² Hiszpańsko-amerykańska aktorka i gitarzystka flamenco.

– Masz alergię na jad pszczół?

– Nie!

– No więc przestań się wić!

– Nie!

– Proszę, uspokój się.

– Spieprzaj! – rzuciłam, gdy pszczoła zabręczała mi pod stanikiem. –
Pszczooooołaaaaa!

Mój prymitywny instynkt wziął w końcu górę i jedynym ratunkiem wydała mi się ucieczka, więc wspięłam się po Leo niczym po słupie totemicznym. Wchodząc mu na ramiona, otarłam się brzuchem o jego wargi, a następnie owinęłam mu nogi wokół głowy, przyciskając udami uszy, a plecami przywierając do drzewa. Opierając się o korę, z krzykiem na ustach, znów zaczęłam okładać swój biustonosz. Pszczoła popatrzyła na mnie i posłała mi gniewne spojrzenie.

Choć nigdy wcześniej nie użądliła mnie żadna pszczoła, zawsze panicznie bałam się wszelkich bzyczących owadów. W przeszłości zdarzyło mi się wychodzić z przyjęć i jeść grillowane potrawy w domu, a raz nawet odmówiłam trzymania kwiatów na weselu w ogrodzie – wszystko z powodu małego brzęczenia.

Pacnęłam jeszcze parę razy swój biust, aż wreszcie udało mi się ją ogłuszyć. Pszczoła wyleciała, zataczając się parę razy pijanym zygzakiem i rzuciwszy mi przez swe pszczele ramię nienawistne spojrzenie, odleciała do zajęć, które były na jej głowie zanim napatoczyła się jakaś wariatka.

– Ojej – rzuciłam, ciągle roztrzęsiona.

– Co się stało? – doleciał mnie głos z dołu.

Nagle sobie przypomniałam gdzie jestem, co się stało i gdzie właśnie znajduje się twarz Leo. Spojrzawszy w dół, odgarnęłam mu piaskowe włosy z czoła i spojrzałam w jego wpatrujące się we mnie oczy.

Ojej, ależ mi było wstyd.

– Bardzo przepra...

– Poszt czę na szemie. – Usłyszałam niewyraźną odpowiedź i szybko odsunęłam się do tyłu, w stronę drzewa, uwalniając jego usta.

– Proszę? – zaszczębiotałam, starając się zbagatelizować całą sytuację.

– Powiedziałem, że... – zaczął, chwytając moje dłonie – postawię cię na ziemi. – Podrzucił mnie lekko, aby się spode mnie wydostać, i złapał mnie miękko w powietrzu.

Znalazłam się w jego ramionach, bez koszulki, z włosami pełnymi kawałków kory i czerwonym dekoltem. Był brudny od błota z moich butów, którego ślady zostawiłam, gramoląc się mu na ramiona. Ciężko oddychając, trzymał mnie mocno w pasie w bezpiecznej odległości.

– Jesteś jak człowiek demolka, co? – zapytał, kręcąc głową.

Zdmuchnęłam parę kosmyków z twarzy.

– Bum!

Całe szczęście, że się z tego wszystkiego potrafił śmiać.

Odwrócił się szarmancko, gdy zakładałam koszulkę, co było słodkie, zważywszy na to, że już sporo się napatrzył. Ruszyliśmy z powrotem do samochodu.

– O co chodzi z tymi pszczołami? – zapytał.

– Pszczołami? Gdzie?! – zawołałam, robiąc unik. Moje serce przyspieszyło na samą myśl o tym, że żadna zemsta pszczoła wróciła.

– Spokojnie, już jej dawno nie ma.

– To dobrze – powiedziałam, sprawdzając stanik.

– Pewnie przekazuje właśnie swoim koleżankom, aby trzymały się w lesie z dala od pewnej pani w samej bieliźnie.

– Hej! – zawołałam, dając mu lekkiego kuksańca. – Pani w biustonoszu. Pokręcił głową i zaśmiał się głośno.

– Dość już kontaktu z naturą. – Położył mi dłoń na plecach i lekko popchnął mnie w stronę drogi.

Nastała cisza, wokół nie było słyhać nic poza szelestem stóp na poszyciu. Spojrzałam na niego, na jego niemal całkiem zacienioną twarz. Dość długo byliśmy w lesie i zaczęło się robić ciemno. Wszędzie zaczęły się pokazywać świetliki, mieniając się to tu, to tam. Spędziliśmy dziś wspólnie większą część popołudnia, a zdawało się, że tylko chwilę.

– Pomijając pszczoły, dziękuję, że mnie tu dziś przywiozłeś. I jeszcze raz przepraszam za tę całą wspinaczkę. I krzyki.

– Następnym razem mniej krzyczenia. Wspinaczka była w porządku, tylko powinnaś mnie ostrzec – odpowiedział, uśmiechając się łagodnie.

W końcu dotarliśmy do dżipa.

– Wspinam się! – ogłosiłam przezornie, podnosząc wysoko nogę i wsiadając do środka. Stał jeszcze chwilę przy samochodzie, więc znów miałam okazję, by mu się przyjrzeć.

– Coś się stało, Leo?

– Zostajesz tu tylko na lato, tak? – zapytał, patrząc mi prosto w oczy. Poczułam, jak przechodzi mnie dreszcz. Może będzie łatwiej, niż myślałam, jeśli obydwójce chcemy tego samego.

– Uhm.

Nachylił się do mnie, łapiąc się jedną ręką uchwyty nad moją głową, a drugą podtrzymując deskę rozdzielczą. Zakleszczona pomiędzy jego silnymi ramionami spojrzałam mu prosto w oczy. Koniuszki ust uniosły mu się w podstępny uśmiech.

– W takim razie powinienem chyba się pośpieszyć.

I wtedy poczułam jego usta na swoich, tak ciepłe i delikatne... Patrzyłam na niego szeroko otwartymi oczami, szukając jego wzroku. Podekscytowana i ośmielona tym nagłym rozwojem akcji, przylgnęłam do jego warg. Pocałunek był krótki, za krótki, i zanim zamknęłam oczy i zdażyłam oddać się rozkoszy, odsunął się, oblizując usta i uśmiechając niczym kot z *Alicji w Krainie Czarów*.

– Hej, wracaj tu! – rzuciłam, muskając kciukami jego kości policzkowe. Przyciągnęłam jego usta do moich, rozkoszując się dotykiem jego ciała. Czułam lekkie łaskotanie brody, szorstkiej i zarazem miękkiej. Podobała mi się, nawet bardzo. Już wiedziałam, że szybko zacznę jej pożądać... Nachyliłam się do pocałunku, podnosząc się nieco z fotela i muskając jego wargi. Pocałowaliśmy się znów, a potem jeszcze raz, przywierając do siebie z lekko wybuchową mieszanką pasji wywołanej dotykiem naszych ust i delikatnych, zaczepnych muśnięć. Całując go, westchnęłam, a on odsunął się lekko, a gdy próbowałam podążyć za jego wargami, roześmiał się.

– Czy to było westchnienie „co za nuda”?

– Żartujesz? To było westchnienie „proszę o więcej”. – To mówiąc, pocałowałam go znów w usta.

– „Proszę o więcej pocałunków”? – zapytał, a w jego oczach pojawiło się rozbawienie.

– Uhm. – Powoli pokiwałam głową, składając pocałunek na jego czole, nosie, brodzie i w końcu na jego ustach. – Czy tak kończy się każda wycieczka po farmie?

– Powiedziałbym, że to pierwszy raz. – Roześmiał się, nachylając się

nade mną i zapinając mi pas.

– To dobrze – odpowiedziałam, patrząc, jak obchodzi dzipa i wsiada od strony kierowcy. – Lubię być oryginalna.

– Oj, zdecydowanie jesteś – skwitował, włączając silnik i rzucając mi seksowny uśmiech.

Nic nie mogłam poradzić, że napięły mi się palce u stóp. Ruszyliśmy w stronę rezydencji. Gdy odprowadził mnie do samochodu, raz jeszcze pocałował mnie na pożegnanie.

W drodze do domu przejrzałam swoje albumy w poszukiwaniu *Achtung Baby*. Zapomniałam, jak fantastyczna to muzyka.

Rozdział 9

Gdy następnego ranka budzik zadzwonił o wpół do piątej, pierwszym, co przyszło mi na myśl, były powody, dla których powinnam udusić własną matkę. O czwartej trzydzieści siedem miałam ich już siedemnaście: wszystkie przemyślane, żeby trudno było mnie oskarżyć. Przed czwartą pięćdziesiąt siedem siedziałam już jednak w samochodzie, z mokrymi włosami zwiniętymi w kok i kubkiem kawy w dłoni, gotowa stawić czoła rzeczywistości pełnej firmowych dań i firmowych Flo.

Nienawidziłam tak wcześnie wstawać. Nie było nic gorszego niż konieczność zwleczenia się z łóżka przed wschodem słońca, i to tylko po to, by wyczyścić separatory i posiekać siedemdziesiąt główek sałaty lodowej. Tak wyglądało moje życie od chwili, gdy skończyłam jedenaście lat do końca szkoły średniej. Codziennie to samo. Między innymi dlatego wybrałam zawód osobistego kucharza: zawsze znalazło się coś nowego i ekscytującego, czym można się było zająć – nowe karty dań do wymyślenia i nowe kubki smakowe do wodzenia na pokuszenie. Żadnej nudy.

Jadąc do miasta, wyrzuciłam te myśli z głowy. Patrząc, jak słońce powoli wyłania się zza gór, jęczałam i narzekałam na wczesną porę przez całą drogę do jadłodajni. Było jednak coś cudownego w zapachu powietrza o tak wczesnej porze, szczególnie latem, więc opuściłam szyby. Mimo że zapowiadali na dziś deszcz, na razie niebo było bezchmurne i nic na to nie wskazywało.

Ziewnęłam, wjeżdżając na swoje miejsce parkingowe za jadłodajnią. W nocy wyjątkowo źle spałam. Czy to dlatego, że w snach co chwila pojawiał się podchodzący do mnie powoli farmer? Pojawiał się i znikał... Cóż, tak było. Dotknęłam swoich ust, przypominając sobie dotyk jego warg i uśmiechając się tajemniczo, otworzyłam drzwi od zaplecza. Przed ósmą miałam już przygotowane warzywa na cały dzień oraz sześć porcji doskonałej pieczeni, którą należało wrzucić do pieca w porze lunchu. Właśnie odkrzykiwałam coś w kierunku Maxine i Sandy, bo prosiły o „cztery na dwóch nieściętych sadzonych i dwa razy smażone, nieścięte”. Smażyłam jajka do dziewiątej, kiedy przyszedł Carl, po czym poszłam do chłodni poszukać czegoś na jutrzejsze danie dnia. Środa od za-

wsze była Dniem Gulaszu Wołowego, ale pomyślałam, że może przygotuję coś innego. Jeżeli Albert był skłonny spróbować czegoś nowego, inni stali klienci też mogli być otwarci. Co prawda modyfikowanie gulaszu to nie to samo co negocjacje nad traktatem pokojowym, ale to mogło być moje małe zwycięstwo.

Zostawiłam drzwi chłodni uchylone, aby się nie zatrzasnąć, a potem rozejrzałam się po półkach, od razu zauważając bałagan.

– Carl, dasz sobie radę sam? Chciałabym tu poukładać – powiedziałam.

– Jasne, Roxie. Dam sobie radę – odparł pogodnie.

Wiedziałam, że wolał pracować sam. Był tu od zawsze. Nawet moja matka nie była pewna, jak długo. Jedno z moich najwcześniejszych wspomnień to moment, gdy nalewa wodę na blachę, aby ją wyczyścić. Lubiłam z nim pracować. Był cichy, nie dawał się wciągać w problemy kelnerek i nigdy nie stracił nad sobą panowania.

Wróciłam do kuchni i wzięłam bluzę.

– Zawołaj mnie, gdy będę potrzebna – rzuciłam i wróciłam do chłodni, po drodze zabierając jeszcze z haczyka podkładkę z kartkami do pisania i zabrałam się za spis inwentarza.

Prowadziłam ewidencję i układałam wszystko w taki sposób, aby podobne artykuły leżały w podgrupach. Produkty białkowe po jednej stronie, warzywa i owoce po drugiej. Wybór dań nie był zbyt wielki (stek Salisbury, zapiekany kurczak, burgery), więc świeżych produktów było naprawdę niewiele. Robiąc porządek, zaczęłam się zastanawiać, w jaki sposób wykorzystać to, co widzę. Pochłonęło mnie bez reszty obliczanie ilości ziemniaków potrzebnych na frytki i zapiekanekę z fenkułu, gdy nagle usłyszałam pukanie.

– Jeszcze chwilka, Carl, i będę cała twoja! – zawołałam, odkładając podkładkę z kartkami i otwierając na oścież drzwi.

– Dlaczego nagle poczułem się zazdrosny o Carla? – To był Leo.

– Co ty tu robisz? – zapytałam. – To przecież nie jest dzień dostaw.

– A uwierzysz mi, jeśli powiem, że miałem do przywiezienia parę buraków?

– To zależy od buraków. Co tam jeszcze masz?

– Co masz na sobie? – zapytał, podchodząc bliżej.

Cofnęłam się w stronę sałaty.

- To – rzuciłam i rozchyliłam bluzę.
- No to super – skwitował, robiąc jeszcze jeden krok w moją stronę, wkładając mi dłonie pod bluzę, a potem kładąc je niżej, na biodrach.
- Tak naprawdę wcale nie przywiozłeś buraków, co? – zapytałam, po czym położyłam mu dłonie na klatce piersiowej, przesunęłam je wyżej i splotłam na jego karku.
- Przywiozłem – wymruczał, a jego kciuki powędrowały pod mój T-shirt. – Przywiozłem rozpalone do czerwoności buraki.
- O rany! – parsknęłam, ale moje parsknięcie szybko zmieniło się w pomruk rozkoszy, gdy dotknął nosem mojej szyi. – I co jeszcze mi przywiozłeś?

Popatrzył na mnie tak, że na moich policzkach pojawił się lekki rumieniec.

- Waham się, czy powinienem powiedzieć.
 - Co przywiozłeś? – zapytałam, potrząsając go lekko za ramiona. Raz jeszcze wtulił głowę w moją szyję.
 - Naprawdę wielką cukinię – odpowiedział nieśmiało, a ja odrzuciłam głowę, ogarnięta pustym śmiechem. Tymczasem on przesunął ustami wzdłuż mojej szyi, składając pocałunki w okolicy ucha.
 - Zabieram więc swoje buraki i idę do domu – szepnął, a ja przestałam się śmiać, gdy tylko poczułam, że liże moją skórę.
 - O nie, zadałeś sobie tyle trudu, żeby przywieźć mi cukinię... Muszę przynajmniej ją zobaczyć.
 - Dobijasz mnie – mruknął, nie przestając całować mojej szyi. Po chwili odsunął się, ale przyciągnęłam go z powrotem.
 - Powinieneś zostać jeszcze minutkę – powiedziałam, odwracając głowę, aby mógł trafić w mój czuły punkt, a przynajmniej w jedyny czuły punkt odsłonięty w tej chwili. – O tak, zdecydowanie powinieneś zostać jeszcze minutkę... albo siedem minutek.
- Odpowiedział pocałunkiem w obojczyk.
- Czy to jest jakaś restauracyjna wersja gry Siedem minut w niebie²³? Czuję się jak nastolatek.

23 Gra podobna do gry w butelkę.

- Zaraz poczujesz się nim jeszcze bardziej – powiedziałam, wyginając się w jego stronę i przyciskając piersi do jego klatki. – Moja mama wyje-

chała. Wpadniesz dziś wieczór na kolację?

– Teraz zaczynamy mówić do rzeczy – wyszeptał w stronę ramiączka od stanika, które lekko przesunął, aby złożyć kilka małych pocałunków na skórze. Moje ramię było w siódmym niebie. Dotknął moich włosów i odgarnął je z ramion, wciągając mocno ich zapach.

– Czy ktoś ci kiedyś powiedział, że pachniesz miodem?

– To by zdecydowanie tłumaczyło obecność pszczół...

Podniósł głowę.

– Zdajesz sobie sprawę, że gdy tylko wypowiedziałas to słowo, całe twoje ciało zamarło?

Westchnęłam.

– Naprawdę wierzę, że bez pszczół ten świat zginie, ale pszczoły to małe paskudy.

Leo osunął głowę na moje ramię.

– Jesteś zakręcona.

Uśmiechnęłam się.

– Ale nadal masz ochotę spróbować tego miodu, co?

Jęknął.

Jakieś sześć i pół minuty później przeczesał ręką zmierzwione przeze mnie włosy i wyprostował fałdy koszuli, a potem wyszedł z chłodni, rzucając na odchodnym:

– Okej, a więc będę przywozić buraki tak długo, jak długo będą dostępne.

Wiedziałam, że chciał się upewnić, że ludzie wiedzą, iż przyjechał tylko w interesach – nie we własnym interesie – ale nie mogłam przestać chichotać.

Dziś wieczorem miał do mnie przyjechać. Na kolację. Rzadko siadałam z mężczyzną do stołu, aby zjeść coś, co wcześniej przygotowałam, ale biorąc pod uwagę to, jak dużo produktów mi przywoził, oraz to, jak mało prawdopodobne było to, aby mogło połączyć nas coś więcej, kolacja wydawała się dobrym pomysłem. Poza tym podobał mi się pomysł gotowania dla niego. Chciałam to dla niego zrobić.

Odczekałam parę minut. Zapięłam bluzę i sprawdziłam, czy moje usta nie są zaczerwienione. Jasna cholera, facet wiedział, jak całować.

Gdy wróciłam do kuchni z podkładką w rękę, wszystko toczyło się jak

zawsze – świat wcale nie stanął w miejscu. Nadchodziła pora lunchu i moja ciekawość co do zawartości koszyka, który przyniósł Leo (musiałam zobaczyć, jak duża jest ta cukinia...), musiała poczekać. Przygotowując gulasz, zdałam sobie sprawę z tego, że jestem ciekawa tej drugiej strony tego faceta. Przypuszczałam, że jest bardzo interesująca. Odpłynełam myślami, zastanawiając się również nad jego... tylną stroną, która zdecydowanie była urocza.

Myślałam o tym przez cały lunch i jeszcze godzinę później, piekąc czerwone buraki. Miałam kilka pomysłów na to, co ugotować na dzisiejszą kolację, a buraki miały być motywem przewodnim. A mówiąc o motywie przewodnim: w końcu udało mi się zerknąć do koszyka, który mi zostawił, i zobaczyć słynną cukinię. Powinien zostać aresztowany za paradowanie z czymś takim po mieście. Naprawdę.

Gdy tylko zamknęłam jadłodajnię, zabrałam buraki i pojechałam kupić resztę potrzebnych produktów. Zważywszy na bliskość Amerykańskiego Instytutu Kulinarnego w Hyde Parku, miejsce to zawsze kojarzyło mi się z wyszukаныmi smakami i wymagającymi podniebieniami, ale biorąc pod uwagę rozwój gotowania opartego o lokalne produkty, liczba sklepów sprzedających miejscowe i domowe wyroby znaczenie wzrosła. Ostatnie lata spędziłam, rozsmakowując się w produktach oferowanych przez dolinę rzeki San Joaquin, słynącą jako jeden z najlepszych rejonów rolniczych w Stanach. Dostęp do lokalnie uprawianych warzyw i owoców brałam za oczywistość. Tutaj jednak wszystko było domowe po nowojorsku. W dolinie rzeki Hudson od zawsze mieszkali ludzie sprawiający, że czułam się tutaj jak w domu. Weźmy hipisów i bogaczy, dodajmy nieco tradycji, odrobinę błękitnej krwi, a także pokaźne wsparcie miastowych biznesmenów, którzy przyjeżdżali tu na weekend, i oto mamy: eklektyczny tygiel.

Nie dziwiło mnie, że na głównej ulicy mojego miasta sklep z ubraniami z najwyższej półki sąsiadował ze sklepem sprzedającym kryształ wrażliwy z obietnicą zyskania wewnętrznego światła i spokoju. Agent nieruchomości ze zdjęciami „gospodarstw” za miliony dolarów w oknie wystawowym miał biuro tuż obok spelunki reklamującej piwo za dolara

i skrzydełka po dwadzieścia pięć centów. Szukałam jednak rzeźnika, sklepu z serami, piekarni i punktu sprzedającego wszystko – od sprzączek do paska za dwa dolary po domowe ogórki konserwowe za dziewięć. Och, i sklepu z winami. Wstawić się musującym trunkiem lokalnej produkcji, opartym na idei zrównoważonego rozwoju? Dlaczego nie! Chętnie poproszę o następny kieliszek.

Spędziłam popołudnie, zaglądając do sklepów i witając się z ludźmi, których nie widziałam od lat, a także uzupełniając swoją spiżarnię. Tak wiele rzeczy zostawiłam w L.A., zabierając ze sobą jedynie te niezbędne, jak ciuchy, kosmetyki do makijażu, noże, pałeczki, skrobaczkę, bambusowy koszyk do gotowania na parze, garść szafranu.

Wypełniłam bagażnik wagoneera świeżym pumperniklem, butelkami dojrzałego octu balsamicznego i lokalnym boczkiem wędzonym na drewnie klonowym. Kupiłam przyprawy, masę świeżych ziół i kostkę najbardziej śmierdzącego stiltona, jaki udało mi się znaleźć, sprowadzanego przez miejscowego producenta serów. W sklepie z serami był duży wybór produktów z pobliskiej mleczarni i mogłam się założyć, że Leo wie całkiem sporo na temat tamtejszych krów.

Buszując po sklepach, przypomniałam sobie o kilku rzeczach, o których opowiadał naszej grupie podczas wycieczki po farmie. To, czym się zajmował, właściwie nie różniło się niczym od tego, jak prowadzono rodzinne farmy sto lat temu, z tą różnicą, że robił to na większą skalę. Powiedzenie, że „co razem rośnie, dobrze do siebie pasuje”, słyszałam wiele razy. Czasem dotyczyło dobierania win do potraw, ale częściej wybierania ziół i podobnych dodatków. Weźmy pomidory i bazylię. Wszyscy wiedzą, że wspaniale razem smakują, ale od Leo dowiedziałam się także, że te dwie rośliny lepiej rosną, gdy się je zasadzi obok siebie – ma to coś wspólnego z glebą i konkretnym szkodnikiem (ciężko było mi się skupić, gdy o tym opowiadał, bo klęczał, a spodnie opinały się na tym jego słodkim tyłeczku...). Zasadniczo chodziło o to, że pomidory i bazylię zasadzone obok siebie nawet lepiej smakują. Matka Natura wie, co robi. Spacerując między regałami, coraz mocniej zaczęłam sobie uświadamiać, co do siebie pasuje i kto co produkuje. Miło było znaleźć zwyczajnego rzeźnika, który nie tylko potrafił mi powiedzieć, która sztuka mięsa jest tego dnia najlepsza, lecz także – gdy wspomniałam, że potrzebuję

nieco świeżo mielonej wieprzowiny – potrafił odciąć kawałek polędwicy i zmielić ją dla mnie osobiście. Ów rzeźnik miał na imię Steve. Steve – mój nowy rzeźnik.

Po drodze do samochodu przyłapałam się na tym, że podśpiewuję pod nosem i przez ten jeden jedyny moment poczułam, że stęskniłam się trochę za domem. Za moim miastem.

Teraz nie miałam jednak czasu się nad tym zastanawiać. Szybko ruszyłam w stronę domu matki – w końcu wieczorem przychodził do mnie mężczyzna. Całe szczęście, że zdążyłam posprzątać...

Rozdział 10

Po paru godzinach pracy otworzyłam wszystkie okna, aby wpuścić do domu nieco popołudniowej bryzy. Znów pomyślałam o Leo. Lubiłam przebywać w jego towarzystwie i cieszyła mnie perspektywa ujrzenia go nago, ale przede wszystkim chciałam go poznać i dowiedzieć się, co lubi.

Co pomyśli o moim malutkim rodzinnym domu? Nie wstydziłam się tego, skąd pochodzę, ale wywodziliśmy się z radykalnie różnych środowisk.

Nie mogłam się jednak zbyt długo dusić we własnym sosie, tym bardziej że naprawdę czekało mnie robienie sosu. Zmieszałam sok z cytryny Meyera, estragon, oliwę z oliwek i szczyptę soli i polałam sosem prze-grzebki, które zdobyłam dziś na targu rybnym – kolejna nowość w mieście. Włożyłam je do lodówki, po czym udekorowałam stiltona paroma wczesnymi czereśniami. Zabrałam się za obieranie upieczonych wcześniej buraków.

Byłam w połowie krojenia, gdy usłyszałam samochód wjeżdżający na podjazd. Zerknęłam zza zasłony i ujrzałam parkującego w chmurze kurzu dżipa Leo. Nawet pod koszulą było widać mocno zarysowane mięśnie farmera, napinające się z każdym krokiem, i jego silne plecy, aczkolwiek wcale nie sprawiał wrażenia atletycznego mięśniaka. Był ucieleśnieniem niesamowitej, uczciwie wypracowanej siły. Widziałam, jak ciężko pracuje na farmie. A mówiąc o niesamowitym – najwyraźniej zdecydował się zrezygnować z roboczego połączenia T-shirtu i flaneli na rzecz odjazdowej białej koszuli na guziki i wygodnych dżinsów.

Nadal miał cudnie zmierzwioną, choć teraz elegancko przystrzyżoną brodę, którą chciało się całować, choćby po to, aby poczuć lekkie mrowienie. Na samą myśl o tym, jak by to było być dziewczyną, do której wracałby co noc, poczułam, jak z góry na dół przebiega mnie dreszcz. Rany! A to skąd się wzięło?

Otrząsnęłam się, wychyliłam głowę przez okno i zawołałam:

– Drzwi są otwarte! Wejść do środka!

Z przyjemnością patrzyłam, jak cała jego twarz pojaśniała na dźwięk mojego głosu. Kto by pomyślał!

– Witam panią – rzucił, trzymając butelkę wina. – Nie byłem pewien, co szykujesz, więc zdecydowałem się na rieslinga z... Boże, zamordowałaś kogoś dziś popołudniu?

Zaśmiałam się, dzierżąc w dłoni ostatniego buraka, którego akurat kro-
iłam, i zademonstrowałam mu swoje czerwone ręce.

– Ktoś przyniósł mi dziś buraki i ten sam ktoś dokładnie wie, co takie buraki mogą zrobić z rękoma, gdy się z nimi zadrze.

– Gdybym opowiedział dowcip o tym, jaki to burak z tego kogoś, śmia-
łabyś się?

– Tak sędzę – skwitowałam, zdmuchując pasemko włosów, które opadło mi na twarz.

Przez moment Leo stał, patrząc na mnie wyczekująco.

– Czy coś przegapiłam?

– Nie śmiejesz się – powiedział, odkładając wino i podchodząc bliżej.

– Czekałam na dowcip – odparłam, jeszcze raz zdmuchując pasemko włosów z twarzy. Nie miałam odwagi zrobić tego palcami, bo bałam się, że sok z buraka zabarwi wszystko, czego się dotknę.

Zaśmiał się, marszcząc uroczo policzki.

– Zostawmy to. Mogę ci w czymś pomóc? – Nachylił się i odsunął pa-
semko włosów z mojej twarzy, zakładając je pieczołowicie za ucho. –
Lepiej?

– Lepiej – przyznałam. – Jesteś głodny?

– Jak wilk – rzucił, podchodząc jeszcze bliżej. – Wygłodzony. – Położył mi dłoń na karku i przesunął ją wzdłuż, koniuszkami palców dotykając lekko mojej skóry. Jego dotyk był ciepły, a zarazem ciężki. – Czy mogę cię pocałować w taki sposób, byś nie zaburaczyła mi całej koszuli?

– Na pewno możesz spróbować – odpowiedziałam, pozwalając, aby mnie do siebie przyciągnął. Ręce trzymałam blisko ciała, starając się go nie pobrudzić, podczas gdy on mnie całował – powoli i słodko. Były to lekkie, krótkie muśnięcia, najpierw z jednej strony, potem z drugiej. Za-
nim pocałował mnie w sam środek ust, stałam już na palcach, aby być jak najbliżej, przez cały czas trzymając brudne ręce przy sobie. Objął dłońmi moją twarz i kciukami, lekko i delikatnie niczym piórko, dotknął kości policzkowych. Jeśli dziś w chłodni zrodziły się żar i pasja, teraz to była namiętność gotowana na wolnym ogniu.

Całował mnie wzdłuż szyi, a gdy dotarł do płatka ucha, musiałam go ostrzec, że moje ręce zaczynają żyć własnym życiem.

– Jeśli chcesz ustrzec koszulę przed zniszczeniem, lepiej przestań, zanim będzie za późno – mruknęłam, opuszczając głowę i uderzając nią parę razy o jego klatkę piersiową.

– Do twojej wiadomości: koszula wcale mnie nie obchodzi – odpowiedział, gdy się oswobodziłam i wróciłam do deski do krojenia.

– Teraz mi to mówisz? – Skończyłam kroić buraka. I umyłam ręce, zabrałam się za sałatkę. Ułożyłam liście cykorii na dwóch talerzach, a na nich położyłam kawałki purpurowego buraka, garść orzechów włoskich od Leo (rzucił mi aprobujące spojrzenie) i rozdrobnioną fetę. Całość skropiłam przypominającym syrop octem balsamicznym, dodając nieco oliwy z orzechów włoskich, odrobinę soli i pieprzu, a na koniec kilka gałązek pietruszki.

Gdy dekorowałam sałatkę, Leo opowiedział mi o jednej ze świń z tradycyjnej hodowli, która uwolniła się z zagrody i o tym, jak spędził popołudnie, biegając po lesie ze stażystami i próbując pojmać uciekinierkę.

– Szkoda, że tego nie widziałam... – Nakrywałam do stołu, podczas gdy Leo zabrał się za otwieranie wina, które przyniósł.

– Wpadnij znów, to pokażę ci świnię. Są kapitalne.

– A hodujesz je na...

– Mięso. Boczek. Kotlety. Wszystko.

Odwróciłam się do kuchenki, zamierzając usmażyć przegrzebki. Wcześniej podsmażyłam trochę boczku i teraz czekał posiekany, gotowy do wrzucenia w ostatnim momencie.

– Mogę cię o coś spytać?

– Jasne – odpowiedział, nalewając wino do kieliszków.

– Czy to nie dziwne uczucie, przyjaźnić się ze zwierzętami, które potem masz zamiar zabić? Czy przywiązujesz się do nich?

Wysunęłam dłoń nad patelnię, aby sprawdzić temperaturę. Dodałam kropelkę wody, obserwując, jak olej skwierczy i strzela. W sam raz. Gdyby był za gorący, przegrzebki mogłyby się spalić. Gdyby był za zimny, ugotowałyby się na parze.

– Hm, nie jestem pewien, czy słowo „przywiązanie” jest właściwe. Jakby ci to wytłumaczyć, by nie zabrzmieć bezdusznie... – Podszedł i stanął

obok mnie, obserwując, jak smażyć przegrzebki. – Podczas wycieczki opowiadałem, że wszystko na farmie jest po coś, pamiętasz? Zwierzęta żyją tam tak bezstresowo, jak to tylko możliwe, i to nie tylko ze względów humanitarnych, które bardzo leżą mi na sercu. Lepiej dla mnie i dla całej farmy, gdy kury, owce, świnie i krowy żyją na mojej ziemi w jak najbardziej naturalny sposób. Kiedy przenoszę owce na pole, pasąc się, dotleniają glebę. Ich odchody to naturalny nawóz. One natomiast korzystają, jedząc przez całą dzień koniczynę pod cudownym niebem i biegając, gdzie tylko chcą. To niewiarygodnie szczęśliwe zwierzęta.

– Tak, wydawały się szczęśliwe – powiedziałam, obserwując przegrzebki. Powstrzymałam się od mieszania, wiedząc, że im dłużej pozwolę im skwierczeć, tym mocniej się skarmelizują i będą smacznie lepkie.

– Aż trudno uwierzyć, o ile lepsze są kotlety wieprzowe z mięsa świnicy żyjącej w lesie, tarzającej się w błocie, sypiającej w cieniu i żyjącej pełnią życia. Staramy się produkować jak najwięcej się da, stawiając na różnorodność i jakość. Wszystko polega na równowadze, czyli na czymś, czego sam nadal się uczę. – Mówił z taką pasją, że całe jego ciało brało udział w naszej dyskusji.

Sprawdziłam jeden z przegrzebków – od spodu był podpieczony i cudownie gotowy. Szczypcami przewróciłam pozostałe na patelni.

– Ciekawe, czy to był szczęśliwy boczek – rzuciłam, biorąc talerz z mięsem, które wcześniej obsmażyłam.

– Gdzie go kupiłaś?

– W mieście. Steve, mój nowy ulubiony rzeźnik, mi go polecił.

– W takim razie to bardzo szczęśliwy boczek – skwitował. – Jest od Maxwellów.

– No proszę. – Uśmiechnęłam się szeroko, patrząc, jak napawa się dumną. I słusznie. Wydawało się, że wreszcie robił to, co należało.

Przegrzebki potrzebowały jeszcze chwili, aby dojść z drugiej strony, więc odwróciłam je, po czym podniosłam lekko patelnię.

– Lepiej się odsuń – ostrzegłam, wlewając łyżkę brandy. Płomienie dziko zatańczyły, a następnie szybko zgasły. Czyżbym się popisowała? Może odrobinę... Miło było gotować dla kogoś, kogo... się właśnie poznawało. Pozwoliłam, aby brandy przez chwilę podgrzewała się delikatnie na patelni, a następnie dodałam masło i wrzuciłam boczek. Obracając patelnię,

dokończyłam sos i polałam nim ułożone na talerzu przegrzebki, posypując całość świeżo ściętym szczypiorkiem.

– A zatem jestem gotowa zjeść ten szczęśliwy boczek i te zdecydowanie przeszczeniwe przegrzebki, a także buraczki, bardzo szczęśliwe, że mogą być tu dziś z nami.

– Wyglądają niesamowicie. Dziękuję, że to wszystko przyrządziłaś. Powiedziałbym, że się zrewanżuję, ale stwierdzenie, że jestem w kuchni do niczego, nawet w jednym procencie nie oddaje faktycznego ogromu zniszczeń, które mogłyby się stać moim udziałem.

– Jeśli mi pomożesz w przykuchennym ogródku mamy, nauczę cię paru podstawowych przepisów. Co ty na to? – zaproponowałam, zanim zdążyłam to przemyśleć. Zwykle nie uczyłam facetów gotować. Nie tak to działało. Z drugiej strony, co złego mogło się stać?

Leo położył talerze na stole, po czym spojrzał na mnie z błyskiem w oku.

– Myślę, że to będzie bardzo pracowite lato.

Buraczki były dobre, przegrzebki pyszne, wino świetne, a farmera aż chciało się wylizać do czysta. Jedząc, rozmawialiśmy, a on wychwalał wszystko, co miało na tyle szczęścia, że dostało się do jego cudownych ust. Nigdy wcześniej nie byłam zazdrosna o liść endywii. Pomiedzy fantazjami udało mi się o nim trochę dowiedzieć. Trochę, bo nie mówił o sobie zbyt wiele.

Wystarczyło go zapytać o płodozmian, a opowiedziałby więcej. Słyszac hasło „Slow Food”, potrafił wygłosić prawdziwe kazanie, dając świadectwo swej wiary w ten nowy ruch. A jednak zapytany o rodziców i o to, jak się tu znalazł oraz jak często widywał kogoś z rodziny, od razu zamykał się we własnej skorupie. Dzięki Bogu za Chada, Logana i Maxine, największą plotkarę wśród kelnerek!

– Ale nie wychowałaś się tutaj. Pamiętałabym – rzuciłam, opierając się na krześle i pozwalając, aby Leo nalał mi jeszcze jeden kieliszek wina. Nie byłam jeszcze wstawiona, aczkolwiek kontury pokoju zaczynały leciutko się zlewać.

– A czemu miałabyś pamiętać? – zapytał, wlewając sobie resztę wina.

– Żartujesz? Gdy znów otworzono farmę, wszyscy o tym mówili. To tak jak z królową: jeśli na maszcie wisi flaga, jest w domu.

– Maxwellowie... To tak ludzie nas postrzegają, prawda? Jako nazwisko?

– Westchnął i wziął łyk wina. Nagle wydał mi się bardzo zmęczony.

– Cóż, łączy się ono z pewną pozycją społeczną. – Przesunęłam dłonią po koronce obrusu. – Zawsze się zastanawiałam, czy macie też coś wspólnego z tymi ludźmi od kawy.

– Dalekie pokrewieństwo. Nasza rodzina to bankierzy. To znaczy, reszta rodziny. Ja już się tym nie zajmuję – powiedział, obserwując moje palce.

– A ty się urodziłaś i wychowałaś tutaj, prawda? Dlaczego wyjechałaś? – zapytał, zmieniając temat tak szybko, że aż musiałam potrząsnąć głową, by się skupić. – Poza oczywiście takimi powodami jak światła reflektorów i czar dużego miasta.

– Urodziłam się tu i tu się wychowałam. Jestem z Bailey Falls w każdym calu. Wyjechałam po skończeniu szkoły, bo chciałam, aby znalazło się we mnie coś jeszcze poza Bailey Falls. Wiedziałam, że nie znajdę tego, jeśli tu zostanę.

– A myślałaś, że co się stanie, jeśli zostaniesz?

– Moja przyszłość była właściwie zapisana w księgach tego miasta. Miałam odziedziczyć jadłodajnię i prowadzić ją przez resztę życia. A ja chciałam mieć coś z życia. Po prostu trochę pożyć.

– Nie chciałaś jadłodajni?

– Masz pojęcie, jak trudno założyć nowy kapelusz, gdy każdy w twojej rodzinie z góry zakłada, że będziesz chciał nosić ten sam, co oni? – zapytałam, znów czując na sobie ciężar obowiązku, który towarzyszył mi kiedyś przez cały czas. Obowiązek zajmowania się wszystkim, w tym moją matką.

Leo zmarszczył brwi.

– Na Manhattanie jest bank wielkości drapacza chmur z moim nazwiskiem.

Przez moment siedzieliśmy w ciszy, nasłuchując tylko kapania wody z kranu. Oczywiście, że miał pojęcie o tym, co czułam. Nie powiedział już nic więcej, ale wydawało się, że cisza mu nie przeszkadza, a ja nie miałam zamiaru go już o nic wypytywać.

Popijałam wolno wino, aż w końcu w kieliszku zrobiło się pusto.

– No więc tak, wyjechałam do szkoły kulinarnej w Kalifornii.
Leo wydawał się zadowolony, że znów zaczęliśmy rozmawiać na mój temat.

– Nawet jeśli Amerykański Instytut Kulinarny był tuż za rogiem?

– To fantastyczna szkoła, jedna z najlepszych, ale jest tutaj, a ja chciałam być tam.

– Konkretnie w Kalifornii? – zapytał.

– I tak, i nie. Intrygowało mnie Zachodnie Wybrzeże, bo było po drugiej stronie świata. Przynajmniej z mojego punktu widzenia. Poza tym podobało mi się tamtejsze życie – podobała mi się pogoda, ludzie, szczególnie w Santa Barbarze. Myślę, że podobało mi się tam, bo to nie było tu.

– Ale tu jest wspaniale – powiedział. Wyglądał na zdezorientowanego. – Wydaje się, że cudownie tu dorastać.

– Mówisz jak ktoś, kto zdołał już trochę pożyć – odpowiedziałam ze śmiechem. – A ty gdzie się wychowałeś?

– W większości na Manhattanie. Urodziłem się tutaj, ale do szkoły chodziłem już tam, przez osiem klas. Potem wyjechałem.

– Do prywatnego liceum?

Skinął smutno głową, przewracając oczami.

– Niech zgadnę: Andover?

– Exeter.

– Ooooo, a więc wiosłowałaś jedną z tych łodzi, tak?

– Pytasz, czy byłem z drużynie wiosłarskiej?

– W drużynie! No tak!

– Byłem – rzucił, patrząc na moją nieskrywaną radość z lekkim zmieszaniem i rozbawieniem. Zanim jednak miałam szansę zapytać go o cokolwiek związanego z tym tematem, szybko zmienił kierunek rozmowy.

– A więc dlaczego tak bardzo chciałaś stąd uciec?

– Powiedzmy, że moja matka miała wielu facetów i postawmy w tym miejscu kropkę.

Na twarzy Leo pojawiło się lekkie przerażenie.

– Zaraz, masz na myśli... Czy oni...

– Nie, nic z tych rzeczy! Chodziło o to, że... moja matka wierzy w miłość od pierwszego wejrzenia.

– Cóż, to dość... romantyczne.

– To wykańczające! – rzuciłam, chowając twarz w dłoniach i zerkając na niego przez palce. – Każdy nowy facet był tym jedynym, jej bratnią duszą, całym światem. A nawet jeśli w środku tego nowego romansu zdarzyło się jej nie zapłacić rachunków za prąd i nie miałyśmy światła, to co z tego? Prawdziwa miłość wszystko pokona, prawda?

– Prawdziwa miłość versus prąd?

– Cóż, to akurat zdarzyło się tylko raz, ale były podobne sytuacje. Raz opuściła moje szkolne przedstawienie, bo Bob miał akurat zawody ciągników. Innym razem nie mogłam wziąć do szkoły babeczek, bo Chuck zjadł wszystkie w środku nocy. Najgorsze były jednak rozstania. Co chwila spotykała księcia z bajki, a gdy ten odchodził, pozostawiał za sobą ruiny i zgliszcza. Za każdym razem kończyło się to emocjonalną masakrą, a mimo to gdy tylko pojawił się kolejny rycerz w lśniącej zbroi, robiła dokładnie to samo.

– Wydaje się typem...

– Wariatki?

– Chciałem powiedzieć: beznadziejnej romantyczki – dokończył, unosząc brwi. – Domyślam się, że ten gen nie został ci przekazany?

– Nie za bardzo – skwitowałam, potrząsając głową. – Miłość powoduje zamęt, ból i emocjonalny drenaż. Nie wydaje mi się, że gra jest warta świeczki. – Leo przyglądał mi się uważnie: czas zmienić temat. – Ale my tu bla, bla, bla, nudy, nudy, nudy... Porozmawiajmy o twojej drużynie. Już sobie wyobrażam, jak wiosłujesz bez koszulki... O tak, podoba mi się!

Leo uśmiechnął się szeroko.

– Czyżby?

– O tak. Opowiedz mi więcej o swoim wiosle. Jaką pozycję zwykle wybierałeś? – dopytywałam, żywo zainteresowana. Chciałam dodać do swojej fantazji nieco realistycznych szczegółów.

Roześmiał się.

– Nie masz pojęcia o wiosłarstwie drużynowym, co?

– Wiem, że jeden facet stoi na końcu i coś mówi.

– Sternik?

– Uwielbiam, jak tak mówisz! – westchnęłam, udając, że mdleję. Zachęcona jego śmiechem zeskoczyłam z krzesła i usiadłam mu na kolanie.

Zdziwił się, ale ciągle wydawał się rozbawiony. – Proszę, mów mi więcej takich słów jak „sternik”...

– To profanacja jednej z najstarszych tradycji amerykańskich szkół średnich i nie mogę na to pozwolić – powiedział, podczas gdy ja, wiercąc się, zmusiłam go, aby odsunął się lekko od stołu i zrobił mi nieco miejsca, dzięki czemu mógł mnie objąć w pasie, przesuając kciukami delikatnie po mojej skórze.

– „Profanacja” nie brzmi tak dobrze jak „sternik” – droczyłam się. – Proszę o więcej słów z eleganckich liceów, jak Izod czy Perrier.

– Z jakiego rocznika są ci licealiści? – zapytał, obserwując z rozbawieniem, jak bawię się guzikami jego koszuli.

– Rocznik sternika. – Nachyliłam się i potarłam policzkiem o jego brodę.

– Mówiłam już, jak bardzo lubię twoją brodę?

– Nie, ale dziękuję. Choć myślałem o tym, aby ją zgolić.

– Jeszcze tego nie rób, bo najpierw chcę czegoś spróbować. – Przesunęłam dłońmi po jego zaroście, mierzwiąc go lekko palcami.

– A czego? – zapytał, odsuwając nieco krzesło, co wykorzystałam, aby się podnieść i przerzuciwszy nogę, usiadłam okrakiem na jego kolanach.

– Nie mogę ci powiedzieć. Jeszcze nie teraz – szepnęłam, czując ciepło rozpalające mi policzki.

Ujął moją twarz w dłonie.

– Czyżbyś się rumieniła? Ciekawe, o czym myślisz...

– Ciii – rzuciłam ze śmiechem, po czym zakołysałam się lekko w przód, wysuwając do przodu biodra i wyginając się w tył. Na jego rozbawionej twarzy natychmiast pojawiło się skupienie. – A czemu jeszcze się nie całujemy?

– No właśnie... – odpowiedział, po czym mocno mnie pocałował. To był gorący pocałunek. Gdy tylko poczułam jego język, rozchyliłam usta – i jeszcze bardziej... uda.

Całował mnie powoli. Nieznośnie, wykańczająco, podniecająco.

Uwielbiam się całować. I uwielbiam to, do czego zwykle całowanie prowadzi, a ten pocałunek z Leo szczególnie mi się podobał. Te początki, gdy wszystko jest nowe i ekscytujące, gdy cały świat sprowadza się do słodkich, muskających się ust i cichych westchnień. Wówczas gwiazdy blakną, a Ziemia przestaje się kręcić. W którą stronę się odchylisz?

W którą stronę odwrócę szyję? Czy to możliwe, że czuję twoje palce? Moja skóra ożywa. Mój nos właśnie dotknął twojego, a ty wydałeś ci-
chutkie westchnienie, które dla mnie jest najbardziej erotycznym odgło-
sem na świecie. I jeszcze ten cudowny zapach twoich włosów...

Całowałam go, a on całował mnie. Siedząc w kuchni w moim domu, ca-
łowaliśmy się przez tysiąc lat. A przynajmniej przez dobrych piętnaście
minut. To dość długo, biorąc pod uwagę, że tylko się całowaliśmy...

A może właśnie nie dość długo? Żadnych manewrów pod koszulą czy
poniżej paska, żadnego kołysania. Tylko pocałunki. Ręce trzymałam na
jego ramionach i we włosach, a on swoje na moich biodrach i troszkę na
pośladkach. Wyjątkiem był ten cudowny moment, gdy ujął moją twarz
w dłonie, przesuwając kciukami delikatnie po kościach policzkowych
i odwracając mi delikatnie głowę, aby obcałować moją szyję.

Czułam, jak jego język powoli, leniwie, nie śpiesząc się i działając cuda,
przesuwał się coraz głębiej wzdłuż mojego, sprawiając, że przeszedł
mnie dreszcz. Ten dreszcz był niczym fajerwerki z piosenki Katy Perry:
rozbudzał moje ciało i sprawiał, że pragnęło, potrzebowało jego dłoni.

Jeśli taki efekt potrafiły wywołać jego usta, aż strach pomyśleć, co mo-
gła zrobić reszta jego ciała. Poczułam ogień żądz wzbierający w krwio-
biegu i grożący pożarem, który mógł się rozprzestrzenić na całe ciało.

Odsunęłam się od niego. Moje wargi były nabrzmiałe, a okolice ust pie-
kły od dotyku jego brody. Odchyliłam głowę lekko w tył, nadal unosząc
się niczym na fali, i czując, że moje ciało dokładnie wie, co robić, nawet
jeśli mój umysł nie do końca pojmował, co właściwie teraz czułam.

A miałam wrażenie, że płynę, lekka, ogłupiona, podchmielona samą
obecnością farmera. Jakby właśnie się działo coś epickiego, coś nadzw-
yczajnego. Leo nachylił się do mnie i przesunął ustami wzdłuż mojej szyi,
lizając i ssąc skórę. Dotarł do guzika mojej koszuli i odpiął go ostrożnie
kciukiem, a potem odpiął kolejny.

Spojrzał na mnie pociemniałymi, przymrużonymi oczami, rozniecając
we mnie pożądanie. Uniósł brew, a gdy skinęłam głową, zaczął mi deli-
katnie ściągać koszulę z ramion, odkrywając kawałeczek koronki. A gdy
tylko się nachylił, ledwie dotykając ustami miejsca nad piersiami, już
wiedziałam, gdzie chciałam, aby się znalazł – i o czym musimy jeszcze
porozmawiać, zanim do tego dojdzie... Zatracając siebie i swoje palce

w jego włosach, wymruczałam niskim głosem:

– Leo?

– Mmm? – zapytał, przesuwając ustami po mojej szyi.

– Pamiętasz, o czym rozmawialiśmy wcześniej? O miłości od pierwszego wejrzenia, związkach, księciu z bajki?

– Uhm – przytaknął, kierując na mnie żarzący się wzrok. – Książę z bajki, jasne. Chciałaś zobaczyć mój miecz.

Wiedziałam, że się szeroko uśmiecha. Dotknął ustami obu moich piersi. Zachichotałam wbrew sobie, ale zaraz potem wzięłam się w garść i przyjąłam ton dorosłej kobiety.

– Wiesz, że zostajesz tu tylko na lato, prawda?

– Mam tego świadomość. Wiedziałaś o tym, że masz piega między...

– Mam tego świadomość – skwitowałam, wzdychając i czując, jak moja skóra cała się napina i lekko drży. – Ale lato...

– Tak, zostajesz na lato. Tylko na lato. Powtórzyłaś to wiele razy. Gdy przyjdzie wrzesień, zamienisz się w dynię czy coś w tym rodzaju?

Uśmiechnęłam się, ale zaraz potem znów przybrałam poważny wyraz twarzy.

– Powtarzam to, bo lubię, gdy wszystko jest jasne, tak aby później nie było nieporozumień. Musisz wiedzieć, że ja się naprawdę nie angażuję. Tak właściwie, to w ogóle się nie angażuję.

Przestał mnie całować i robić inne cudowne rzeczy, i popatrzył na mnie. Naprawdę na mnie popatrzył. Wydawało się, jakby próbował mnie rozgryźć, wyczytać, co tak naprawdę myślę, a czego nie mówię. I mimo że odbywałam już wcześniej podobne rozmowy z mężczyznami, tym razem poczułam... wyrzuty sumienia. Zanim jednak zdążyłam sobie to przemyśleć, Leo kiwnął głową, po czym wrócił do całowania mojego obojczyka, a ja przestałam czuć się winna. Ale jak tylko jego usta coraz mocniej zaczęły pieścić moją skórę, a moje biodra zaczęły mocniej dociskać do jego bioder... zadzwonił telefon.

Mruknęłam, odchylając się w stronę stołu.

– Musisz odebrać? – zapytał, przesuwając dłońmi wzdłuż mojego ciała i przyciągając mnie do siebie, przyciągając jeszcze bliżej. *Tak, jeszcze bliżej!*

– Nie sądzę – odpowiedziałam, zanurzając ręce w jego włosach. Były

gęste, jedwabiste i naturalnie owijały się wokół moich palców. Byliśmy cicho, czekając, aż po trzech dzwonekach włączy się wreszcie poczta głosowa. Oddychaliśmy równo; moja klatka piersiowa unosiła się w jego rytmie.

Nachyliłam się, aby pocałować go w czubek głowy, a on jęknął.

– Powinnaś to powtórzyć – wymruczał.

– Co takiego? – zapytałam, powtarzając pocałunek.

– To – odparł, całując mój dekolt zaraz nad biustem. – Dzięki temu mogę zobaczyć wszystko pod bluzką.

Śmiejąc się, pacnęłam go lekko w plecy, jednocześnie wbijając delikatnie paznokcie i przesuwając dłońmi w kierunku jego ramion. W odwecie ścisnął mnie mocniej w talii, a ja poczułam mrowienie w miejscach, w których mnie dotykał.

Wtedy znów zadzwonił telefon. Na miłość boską...

Spróbowałam dosięgnąć komórki, nie schodząc z jego kolan, ale się nie udało, więc zesłam. Zrobiłam dwa kroki do przodu i wróciłam się po jeszcze jeden pocałunek. Nachylił się i pożądlawie pocałował mnie osiem razy, a potem jeszcze pięć, aż w końcu telefon przestał dzwonić.

Trzydzieści pocałunków miało się właśnie zmienić w magicznych dwadzieścia siedem, gdy wtem moja komórka zadzwoniła po raz trzeci. Posługując się kciukiem niczym łomem, musiałam dosłownie oderwać swoje usta od jego ust.

– Lepiej, żeby gdzieś się paliło... – rzuciłam, podnosząc wreszcie telefon. Nie znałam tego numeru.

– Czy rozmawiam z Roxie Callahan? – odezwał się męski głos po drugiej stronie.

– Tak, przy telefonie.

– Dobry wieczór, jestem ze straży pożarnej.

Nie, nic się nie paliło. Miejscowy oddział straży odbierał także telefony od agencji ochrony, a ta otrzymała powiadomienie, że tylne drzwi do jadalni są otwarte, a alarm wyje jak szalony. Już miałam buty na nogach i prawie wyjeżdżałam, gdy udało im się skontaktować z Carlem. Był na liście kontaktowej i pojechał wszystko sprawdzić przede mną.

Okazało się, że wiatr obluzował stary zamek, nic poważnego się nie stało. Leo zaproponował, że pojedzie ze mną do jadłodajni, aby jeszcze raz rzucić okiem, ale Carl powtórzył, że wszystko jest w porządku i że rano trzeba zadzwonić po ślusarza.

Leo położył mi dłoń nisko na plecach i skierowaliśmy się w stronę jego pikapa. Czułam ciężar jego ręki i dotyk – ciepły i... uspokajający? Cholera, dla mnie nawet uczucie spokoju nosiło znamię pożądania, więc niby dlaczego nie?

– Dziękuję za dzisiejsze zaproszenie. Powiedziałbym, że przegrzebki były punktem kulminacyjnym, ale myślę jednak, że tak naprawdę to daniem wieczoru...

– Jeśli powiesz, że buraczki, to...

– Oczywiście, że daniem wieczoru była możliwość zerknięcia ci pod bluzkę – odpowiedział ze śmiertelnie poważnym wyrazem twarzy. – Aczkolwiek buraczki też były świetne.

– Poczekaj, aż zajmę się twoją cukinią – rzuciłam, puszczając do niego oczko.

– Niebezpieczny z ciebie zawodnik, co? – zapytał, obejmując mnie lekko i patrząc mi w oczy. Księżyc był w pełni i świecił jasno, rzucając długie cienie na trawę. W jego blasku to Leo zdawał się niebezpieczny.

Nie odpowiedziałam, a zamiast tego przysunęłam jego twarz do mojej i pocałowałam go jeszcze raz.

Rozdział 11

Parę dni później, zaraz po mojej południowej zmianie, do jadłodajni wszedł tanecznym krokiem Chad Bowman.

– I co tam, ideale nastolatek? – zapytałam, gdy usiadł na jednym z barowych stołków.

– Co tam u ciebie, fanko ideału nastolatek? – skwitował, prowokując mnie do śmiechu.

– Przyłapałeś mnie. Myślę, że na drugim roku znałam na pamięć cały twój plan zajęć. Wiedziałam dokładnie, o której porze i którym korytarzem się przemyknąć, aby choć na ciebie zerknąć – przyznałam, pokazując ręką, jak mocno biło mi serce.

– Ja też tak robiłem na drugim roku, ale ja przemykałem korytarzami dla trenera Whitmore’a.

– Ooo, niezły obiekt westchnień – odparłam, myśląc o trenerze szkolnej reprezentacji koszykówki, który nosił najbardziej obcisłe i najbielsze spodenki sportowe, jakie można było sobie wyobrazić. Wytarłam ładę i rzuciłam okiem na zegarek Chada.

– Czas zamykać! – Wykonałam pięścią gest radości i ruszyłam do frontowych drzwi. – Obiekty licealnych westchnień mają specjalne prawa, więc możesz tu posiedzieć, podczas gdy ja będę sprzątać.

– Nie zostanę długo. Wpadłem na kawałek ciasta. Słyszałem plotki, że po stu latach jadłodajnia zaczęła wreszcie serwować coś więcej niż placzek z wiśniami. – To mówiąc, wyciągnął szyję, aby zerknąć do pustej gablotki z deserami.

– Dobrze słyszałeś, ale wszystko dziś sprzedałam, za wyjątkiem... – Pośpieszyłam do kuchni, po czym wróciłam i podsunęłam mu pod nos talerz z dwoma kawałkami ciasta karmelowego.

– Boże, wyglądają niebiańsko – szepnął, a ja nie mogłam zaprzeczyć. Ciasto było wysokie: trzy warstwy miękkiego, puszystego biszkoptu w kolorze kości słoniowej, o lekko cierpkim posmaku maślanki złamanym odrobiną wanilii z Madagaskaru. Pomiędzy warstwami chowała się masa z domowego karmelu, którym polałam też górę i boki, dzięki czemu wierzch ciasta zrobił się kruchy i lśniący.

– Miałam zabrać je dziś do domu, ale chyba wolę posiedzieć za ladą

z obiektem moich licealnych westchnień i popatrzeć, jak wkłada widelec do tych swoich idealnych ust.

– Powiedziałbym, że mógłbym się tym stwierdzeniem poczuć nieco zaniepokojony, ale pragnę tego ciacha – rzucił, nie spuszczać oczu z talerza.

– Masz ochotę na filiżankę kawy? – Roześmiałam się, stawiając przed nim talerz i łapiąc dwa widelce.

– A co to kawa? – zapytał zahipnotyzowany.

– No dobra – rzuciłam ze śmiechem, podając mu widelec. Bardzo lubiłam patrzeć, jak ludzie jedzą i rozkoszują się moimi daniami. Sama jednak potrzebowałam kawy. Zanim napełniłam filiżankę, połowa jego ciasta już zniknęła.

– Jak to się nazywa? – zapytał z pełnymi ustami, a ja nachyliłam się, starłam mu kciukiem okruszki z brody i zlizalam je z palca. Aż zmarkotniał na widok tej jawnej kradzieży.

– Południowy tort karmelowy.

– Od dziś to ulubione ciasto Chada Bowmana.

– Zrozumiano – odpowiedziałam, zabierając się za swój kawałek.

Piekąc je poprzedniej nocy, nie przypuszczałam nawet, że zrobi taką furorę. Przygotowałam cztery ciasta, a zostały mi tylko te dwa kawałki, zaczęłam się więc zastanawiać, jak zostałyby przyjęty włoski tort kremowy. Byłam przyzwyczajona do nieustannego testowania i modyfikowania przepisów, a teraz byłam skazana na przyrządzenie spaghetti z klopsami, które było w menu od czasu, gdy przyszłam na świat. Istniało ryzyko, że jeśli nie spróbuję czegoś nowego, zanudzę się tu na śmierć.

Westchnęłam, próbując karmelowego ciasta. Był to jeden z tych przykładów, gdy stary przepis nadal wychodził tak samo dobrze, jak w dniu, gdy go spisano. Zmieniłam tylko dwie rzeczy: dodałam maślanek dla uzyskania lekkiego posmaku goryczki i wykorzystałam prawdziwe ziarna wanilii zamiast ekstraktu. Był to więc ten sam przepis, tylko nieco ulepszony. Westchnęłam jeszcze raz, czując na języku słodycz karmelu.

– Dobrze – przyznałam, a Chad tylko pokiwał głową, bo usta miał pełne ciasta. Wokół panowała cisza, przerywana jedynie pobrzękiwaniem widelców, gdy dojadaliśmy okruszki.

– A więc jak się mają sprawy z farmerem? – zapytał Chad, po tym, jak

wylizał talerz do czysta. Wcześniej zrobiłam to samo z miską, w której przygotowywałam polewę.

– Z jakim farmerem? – zapytałam niewinnie, pospiesznie wynosząc talerze do kuchni, aby nie zobaczył moich rumieńców.

– Z jakim farmerem! – parsknął. – Ależ z ciebie słodkie niewiniątko.

– Ach, z tym farmerem... Sądzę, że wszystko u niego w porządku.

– Słyszałem, że ponoć widziano, jak parę dni temu odjeżdżał w nocy spod twojego domu. Skomentujesz to jakoś?

Rzuciłam w niego ściereczką.

– Skąd się biorą te wszystkie plotki? Najpierw ciasto, a teraz to.

– Mój mąż lubi o sobie myśleć jako o małomiasteczkowym dziennikarzu pracującym dla gazety „Jego Piątkowa Dziewczyna”. – Roześmiał się, udając, że z zacięciem pisze coś na klawiaturze. – Rozgryzę tę historię, zobaczycie!

– Jestem nieciekawą osobą, jeśli chodzi o plotki – odparłam, ścierając okruszki i łapiąc cukierniczkę, by ją napełnić cukrem z olbrzymiego worka.

– Oj, nie sądzą, aby to była prawda. Nieśmiała Roxie Callahan przyjeżdża z Krainy Czarów z chochlą w dłoni na ratunek rodzinnej jadłodajni i pewnej nocy znajduje coś jeszcze – poza chochlą – czego może się chwycić – rzucił, ciągle udając dziennikarza.

– Jesteś pokrecony. Zawsze taki byłeś? – zapytałam, podając mu pojemnik z solą i wskazując solniczki.

– Zawsze. Dawniej jednak ukrywałem to pod futbolowym kaskiem – odparł, zabierając się do pracy.

– Słodko wyglądałeś w tym kasku. Zresztą bez kasku też – westchnęłam, mrugając do niego zalotnie.

– Jasne, jasne... Nie zmieniaj tematu. Co z tym farmerem?

– Nie zmieniam tematu. Hej, zobacz, co znalazłam wczoraj w nocy! – krzyknęłam, podnosząc słoik, znaleźzisko z piwnicy. Sprzęt do wekowania leżał i zbierał kurz od czasu, gdy wyjechałam, więc przyniosłam kilka słoików na górę, aby umyć je w zmywarce. Miałam wielką ochotę na marynowane zielone pomidory.

– Zmieniasz temat, a ja tylko chcę wiedzieć, kiedy dostaniesz mu się do ogrodniczek.

- Naprawdę wątpię, aby Leo nosił ogrodniczki. Jasna cholera, myślisz, że nosi?!
- Będziesz pędzić bimber w tych wszystkich słoikach? – zapytał, patrząc, jak wystawiam naczynia na ladę.
- Będę robić przetwory.
- Wiesz, jak robić pikle?
- Jestem kucharką, pamiętasz? – rzuciłam, wskazując na siebie. – Mam nawet gdzieś taką śmieszną wysoką czapkę.
- Naucz mnie. Logan marudzi, że powinniśmy się nauczyć przyrządzać takie rzeczy.
- Takie rzeczy jak pikle? – zapytałam.
- Pickle, galaretki, rzeczy w słoikach. – To mówiąc, wsypał sól do kolejnej solniczki. – Często ogląda serial *The Walking Dead*.
- Chyba nie do końca łapię związek pomiędzy zombie a galaretką.
- Gdyby nastąpiła apokalipsa zombie i nie byłoby jedzenia, ktoś w końcu musiałby zacząć robić takie rzeczy. Tylko że nikt już nie wie, jak to się robi, może poza hipisami i kucharzami. A jakie są szanse, że uda im się przeżyć i nie zostaną zjedzeni? – Mówił o tym wszystkim, napełniając solniczki, tak jakby był to zupełnie naturalny temat.
- Ty za to jesteś przekonany, że razem z Loganem przetrwacie? I nie zostaniecie zjedzeni?
- Właśnie. Obaj biegamy, a Logan uprawiał też w szkole szermierkę, więc będzie jak ta zajebista laska z mieczami... A jak wróci do domu po ciężkim dniu zabijania zombie, będzie czekała na niego kanapka z masłem orzechowym i galaretką.
- I ogórki konserwowe na zakąskę? – Zmarszczyłam czoło, próbując nadążyć za jego tokiem myślenia.
- Dokładnie! – rzucił i spojrzał na mnie znad solniczek.
- Hm... – Nie bardzo wiedziałam, co mam odpowiedzieć.
- To co, nauczysz nas?
- Jasne – odpowiedziałam. – Z chęcią. Ze względu na zombie. – Musiałam kupić na targu trochę octu. Ciekawe, czy Leo ma koper albo zioła? Nagle zadzwonił mój telefon. Hmm, mówisz o farmerze i masz farmera... To znaczy telefon od farmera.
- Masz zioła? – zapytałam go od razu.

– Gdybym miał maryskę... – odpowiedział Leo niskim głosem, urywając w połowie zdania.

– Może da się załatwić, właśnie robię przetwory. – Zaśmiałam się, tłumiąc atak dreszczy i szybko koncentrując się znów na temacie. – Potrzebuję koperku.

– Pikle, co? A zatem może cię zainteresuje, że lada dzień powinny być pierwsze małe ogórki.

– Najbardziej interesuje mnie twój ogórek – wymruczałam do telefonu, starając się zniżyć głos. Chad Bowman siedział z lejkiem przy uchu, próbując się nim posiłkować, by coś usłyszeć.

Leo parsknął.

– Jak się cieszę, że przeszliśmy wreszcie od orzeszków do ogórków.

– Och, jestem pewna, że niedługo znów przyjdzie czas i na orzeszki.

– A co to za odgłosy? – zapytał Leo. W jego głosie było słychać niepokój.

– Przepraszam. Jeden z klientów właśnie spadł z krzesła – odpowiedziałam, potrząsając głową, gdy Chad znów wyłonił się zza lady, z oczami wielkimi jak talerze. Uniosłam palec do ust, nakazując, aby siedział cicho. – A tak poza orzeszkami, to co tam słychać?

– Zabawne, że wspomniałaś o ziołach i koperze, bo właśnie dzwoniłem, aby zapytać, czy nie chciałabyś dołączyć do programu CSA. Mogłabyś przyjeżdżać po swoją skrzynkę albo sama wybierać warzywa. Zwykle nie pozwalam tego robić, ale w twoim przypadku...

– Znam osobiście farmera. – Uśmiechnęłam się szeroko i pacnęłam Chada w rękę, gdy zaczął udawać, że dwie solniczki się całują.

– Mogłabyś lepiej poznać farmera. – Głos Leo stał się niższy, jakby bardziej żarliwy. A mówiąc o żarliwości...

– Kiedy miałabym wpadać?

Chad zagryzł mocno ścierkę, po czym natychmiast ją wypluł, czując smak wybielacza, w którym wcześniej ją prałam.

– Hm, myślę, że powinienem powiedzieć coś w stylu... często. Ciągle?

– Dobry chłopiec.

– Jutro?

– Mogłabym wpaść zaraz po południowej zmianie – wymruczałam, a on się roześmiał.

- Jesteś niebezpieczna – powiedział, po czym się rozłączył.
- Śmiejąc się do siebie, odwróciłam się i zobaczyłam, że Chad w rozsypanej na ladzie soli napisał palcem „O MÓJ BOŻE”.
- Zdecydowanie ty to będziesz sprzątać – rzuciłam.

Rozdział 12

Następnego popołudnia znów pojechałam na farmę Maxwellów, ale tym razem oczekiwałam znacznie więcej. Cieszyłam się perspektywą zbierania warzyw, przystąpienia do programu i oczywiście całowania. To ostatnie cieszyło mnie najbardziej.

Nie widziałam Leo od tego wieczoru, gdy przyszedł na kolację – gdy straż pożarna przerwała nam coś, co zaczynało między nami iskrzyć. Przez cały czas byłam zajęta pracą w jadłodajni – dwie zmiany, wymiana zamka w tylnych drzwiach, wdrażanie się w nowy w styl gotowania w profesjonalnej kuchni. Na przedramieniu miałam nowe ślady po poparzeniu, bo mocowałam się z pieczeniem, do tego plaster na kciuku, który pomyliłam z marchewką... i częste napady dziewczęcego śmiechu, gdy wchodziłam do chłodni. Nawet teraz na myśl o tym musiałam stłumić chichot.

Gdy przyjechałam na farmę, pola i parking były pełne ludzi. Wzięłam kawałek piernika, który zabrałam dla Leo z jadłodajni, i ruszyłam przed siebie żwirową drogą. To był dzień, kiedy ludzie z programu przyjeżdżali po swoją część zbiorów; skinęłam głową, witając parę znajomych osób. Było już późne popołudnie, ale słońce mocno świeciło na bezchmurnym niebie. Niektórzy kręcili się wokół samochodów, niemal robiąc sobie piknik z owoców i warzyw prosto z ogródka. Dzieci bawiły się z kotami mieszkającymi w stodole, rodzice rozmawiali. W powietrzu było czuć sielankową atmosferę. Znałam to uczucie, ale nigdy wcześniej nie doznałam go... tak od środka. Jako że moja rodzina prowadziła najpopularniejszą jadłodajnię w mieście, można było przypuszczać, że czuje się częścią większej społeczności, jednak dopiero teraz, gdy parę znajomych twarzy uśmiechnęło się do mnie i kilkoro poznanych przy jakiejś okazji osób mi pomachało, poczułam się trochę jak ktoś, z kogo to miasto mogło być dumne. Interesujące...

Ludzie wychodzili z głównej stodoły, niosąc wielkie kosze pełne wszelkiego rodzaju produktów: kartonów z jajkami, zawiniętymi w papier serem i orzechami. Uśmiechając się, weszłam do środka.

Leo stał w samym centrum, pomiędzy tymi wszystkimi ludźmi, a patrząc na niego, kolejny raz uderzyło mnie to, jak bardzo jest przystojny. I nie

tylko mnie, sądząc po twarzach stojących obok kobiet. Właściwie to poczułam dziwną chęć, aby je spoliczkować... Leo rozmawiał swobodnie ze wszystkimi, którzy przychodzili po swoją skrzynkę, pytając o dzieci, doradzając, co połączyć z czym i zdradzając, co będzie w skrzynkach za parę tygodni.

Kobiety chłoneły każde jego słowo. Był miły, miał ciepły uśmiech, a jego bicepsy były wprost spektakularne. Podwinął rękawy T-shirtu z Beastie Boys, odsłaniając opaloną skórę, co w połączeniu z lekko opadającymi wytartymi džinsami wyglądało niezmiernie. Gdy podnosił skrzynię z rabarborem z paki pikapa i podwinęła mu się koszulka, odsłaniając nieco ciała, zobaczyłam, jak jedna z kobiet musiała wachlować się liściem sałaty rzymskiej.

Leo popatrzył nad głowami zabranych i wzrokiem odnalazł mnie w tłumie. Uśmiechnął się, ale inaczej: unosząc koniuszek ust w ten seksowny sposób, który sprawiał, że nagle przyspieszał mi puls. Przywołał mnie ruchem ręki, a ja, przechodząc obok pani od sałaty, od razu poczułam, że od tego wyróżnienia czerwienieją mi policzki.

– Cześć, Groszku – powiedział niskim głosem, wskazując na stronę, gdzie leżały drewniane skrzynki, a mnie znów skoczyło tętno.

– Cześć, Almanzo. – Tylko to byłam w stanie z siebie wydusić. A to ponoć ja jestem niebezpieczna.

Nachylił się w moją stronę.

– *Domek na prerii?*

– Przyłapana. Jesteś fanem?

– Mam młodszą siostrę. Latem zmuszała nas do zabawy w domek na prerii w wielkiej stodole – odpowiedział z błyskiem w oku. – Chowasz coś za plecami? – zapytał, a ja z dumą wyjęłam ciasto, które dla niego przywiozłam.

– To dla mnie?

– Wydawało mi się, że smakowało ci ciasto orzechowe, więc pomyślałam, że może zasmakuje ci też coś pikantniejszego – odpowiedziałam na tyle głośno, aby usłyszała mnie pani od sałaty rzymskiej. Oj, z pewnością usłyszała.

Uśmiechnął się szeroko, podnosząc rożek pergaminu i zaglądając pod spód.

– Ładnie pachnie.

– A smakuje jeszcze lepiej – sprecyzowałam, mrugając do niego. Pokiwał głową, po czym włożywszy ciasto do stojącej za stołem lodówki, odwrócił się i spojrzał na mnie wyczekująco.

– Jesteś gotowa?

– Tak sądzę, choć nie do końca jestem pewna, co będziemy robić.

Kłamaczucha. Wiadomo, na co dziś liczysz.

– To proste – rzucił, wychodząc zza stoiska ze skrzynkami. – Idziemy na zakupy. Zastąp mnie, dobrze? – zwrócił się do stojącego obok niego chłopaka, poklepując go po plecach i wręczając mu podkładkę z notesem.

Po drodze pokazał mi wielkie chłodziarki stojące za pracownikami.

– W zależności od wielkości zamówienia, które zdecydujesz się złożyć, możesz dostać wszystko, na co akurat jest sezon. Niektórzy wolą mniejszy pakiet – tylko główne produkty i czasami coś specjalnego, jak grzyby czy pomidory w puszcze. Inni wybierają pełen pakiet i wówczas co tydzień dostają również produkty białkowe. Czasem to wieprzowina, a czasem wołowina. Zawsze są dostępne kurczaki, albo w całości, albo już podzielone. Zazwyczaj mamy też jajka, a czasami ser.

– Robicie własny ser? – zapytałam zaskoczona.

– My nie, ale współpracujemy z innymi farmami z okolicy, aby zapewnić pełen wachlarz produktów. Naszym partnerem jest Oscar Mendoza, który prowadzi mleczarnię na farmie obok i dostarcza ser, mleko, masło i podobne produkty dla naszych klientów.

Rozglądając się dookoła, zauważyłam kilka koszy z dużymi butelkami pełnymi mleka i mniejszymi, z gęstą, ciężką śmietaną, a także z zapakowanym w papier masłem. Wszystkie produkty były oznakowane etykietami mleczarni Bailey Falls.

– Wydaje się, że członkowie programu nie muszą chodzić do sklepu – skomentowałam. Pewnie kiedyś właśnie tak musiały wyglądać zakupy.

– Do tego dążymy. Tak, można wyżywić rodzinę, bazując wyłącznie na lokalnych produktach – odpowiedział z dumą. – Supermarkety nadal są potrzebne i tego nic nie zmieni, lubimy jednak myśleć, że to, co robimy, jest tak samo wygodne i że z czasem stanie się tańsze niż zakupy w tradycyjnych sklepach.

– No i oczywiście zna się faceta, który to wszystko uprawia – dopowiedziałam, czując, że coraz bardziej mi się podoba pomysł przygotowywania dań z produktów, które Leo wyrwał z ziemi własnymi rękami. Oczywiście przeczuwałam, że tego lata będę mieć osobisty dostęp do tych rąk, ale i tak ogólna wizja tego programu przyprawiła mnie o miły dreszczyk. No i te jego usta... Cholera, gdzie są te liście sałaty rzymskiej? Potrzebuję powietrza!

Myśląc o ustach, zobaczyłam, że Leo uśmiecha się w ten swój zawadiacki sposób.

– O czym teraz myślisz? – zapytał.

– Naprawdę? O jedzeniu.

– Tylko o jedzeniu?

– I o twoich ustach – przyznałam.

Otworzył szeroko oczy, po czym szybko znów je zmrużył.

– Chodź tu. – Położył koszyk i przyciągnął mnie do siebie, w stronę zagłębienia w ścianie. Przyłgnął ustami do moich ust, całując, liżąc i skubiąc wargi. Oboje ciężko oddychaliśmy.

– Gdybym powiedziała, że myślałam nie tylko o twoich ustach, co by było? – zapytałam, biorąc oddech pomiędzy jego żarliwymi pocałunkami.

– Kłopoty – odpowiedział, spoglądając w lewo. Zbliżało się w naszą stronę kilka osób. – Chodź, napełnimy twój koszyk...

– Mam wrażenie, że to jakiś farmerski szyfr na coś o wiele zabawniejszego niż wykopywanie warzyw, ale będę grzeczna. – Roześmiałam się, wygładzając sukienkę. – To chyba dobra pora, żeby ci powiedzieć, że wybieram pełen pakiet.

– Mówisz i masz. – Puścił do mnie oko, po czy chwycił mój koszyk i poprowadził mnie na pole.

Szliśmy wzdłuż grządek, a ja zachwyciałam się wszystkim, co rosło: cytrynowym szczawiem i szykownym fenkułem, małutkimi bakłażanami, japońską odmianą w biało-purpurowe pasy. W tym tygodniu każdy dostawał młodą sałatę, nieco więcej truskawek o smaku brązowego cukru, trochę rabarbaru i młodziutkie jeżyny. W głowie sprawdzałam przepisy, rozmyślając, czego jeszcze będę potrzebować, aby urozmaicić domowe kolacje i co mogłabym wykorzystać w jadłodajni.

Leo pokazał mi różne charakterystyczne miejsca, jak na przykład to, gdzie obrabiając nieużytki, znaleźli stuletnią puszkę po kawie pełną starych jednocentówek. Pokazał mi studnię za próchniejącymi drewnianymi deskami, teraz zabezpieczoną ogrodzeniem, której używano w celu nawadniania rabat z ziołami. Korzystając ze starych planów, które znalazł na strychu, jeszcze z czasów, kiedy ogrody planowano zgodnie ze ściśle określonymi założeniami, ułożył grządki w ten sam sposób.

– W tamtych czasach wszędzie sadzono nagietki, bo świetnie odstraszały insekty – wytłumaczył, gdy szliśmy między rabatami. – Chciałaś kopek, tak?

– Tak. Zamierzam zrobić z tych małych ogóreczków i zielonych pomidorów, które zebraliśmy, pikle na wypadek ataku zombie – odpowiedziałam.

– Czy powinienem wiedzieć, co to znaczy? – zapytał, klękając i zrywając garść koperku.

– Oby nie. Chad mnie poprosił, bym nauczyła go, jak robić pikle.

W weekend po zamknięciu jadłodajni mają wpaść z Loganem. Trudniej wytłumaczyć tę część z zombie...

– Chcą się nauczyć, jak robić pikle? – zapytał z niedowierzaniem Leo, po czym związał koper sznurkiem. – Tyle wystarczy?

– Doskonale – odpowiedziałam. Wręczył mi go niczym bukiet, a ja wchodząc w rolę, z rozpędu go powąchałam. Nic nie pachnie tak jak świeże zioła. – Zdziwiłbyś się, jak wiele osób chce wiedzieć takie rzeczy. Najpopularniejszymi zajęciami dla dorosłych na Uniwersytecie Kalifornijskim są te z robienia przetworów. Wielu moich klientów brało w nich udział. Wszystkie te przepiękne, plastikowe kobiety, które mają forsę jak lodu, uczą się, jak zrobić pikle za pięćdziesiąt centów.

– Poważnie?

– O tak. Ten twój ruch Slow Food to powrót do lokalnych produktów, uprawa ziemi i zrównoważony rozwój, ale oprócz tego jest to coraz popularniejszy trend żywieniowy. A nikt nie zna się lepiej na trendach niż żony z L.A. Ma to jednak sens, szczególnie że ludzie z naszego pokolenia nie wiedzą, jak się robi takie rzeczy.

– Takie rzeczy?

– Pikle. Przetwory. Zaprawy. Ale także robótki ręczne. Jeśli urwie mi się

guzik, jestem ugotowana. Moja mama potrafi szyć, ale mnie się nigdy nie chciało nauczyć. Poza tym mama i tak jest w mniejszości – większość kobiet w dzisiejszych czasach tego nie potrafi, a ostatnie osoby, które posiadały tę sztukę, to kobiety sprzed dwóch pokoleń. Twoja mama potrafi szyć?

Leo odrzucił głowę i się roześmiał.

– Słodka jesteś.

– Właśnie o tym mówię. Założę się jednak, że jej mama potrafiła. I nie chodziło tu wcale o pieniądze. Po prostu ludzie kiedyś wiedzieli, jak się takie rzeczy robi, a teraz już nie.

– Zajęcia dla dorosłych. Interesujące – powiedział Leo po chwili namysłu, pocierając brodę. – Mógłbym przyjść na te z piklowania?

– To nie będą prawdziwe zajęcia – odpowiedziałam, bawiąc się łydyżkami kopru. – Ale pewnie, tak. Jeśli masz ochotę...

– Mam ochotę.

Przesunęłam palcami po miękkich, zielonych ziołach, czując na skórze ich jedwabisty dotyk. Podobało mi się to, co powiedział, nie spodobał mi się natomiast ostrzegawczy odgłos brzęczenia, który nagle usłyszałam przy uchu.

– Nie! Nie, nie, nie! – wrzasnęłam, upuszczając koperek oraz koszyk i uciekając przez pół pola, zanim Leo zdążył się zorientować, co się stało.

– Rox! Hej, Rox! – krzyczał za mną, ale ja biegłam jak oszalała. – Roxie!

Obejrzałam się i odkrzyknęłam:

– Mówiłam ci, że pszczoły to małe paskudy! – Oglądając się przez ramię, nie zauważyłam pozostawionego na ziemi koszyka i runęłam ja dłu-ga, lądując w zaoranej ziemi.

Leo podbiegł do mnie parę sekund później i pochylił się, szybko sprawdzając, czy nic mi nie jest.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

– Jasne – westchnęłam, zakrywając twarz rękami. – Naprawdę boję się pszczoł.

Rozsunął mi palce, chwycił mnie za dłonie i mocno wciągnął powietrze.

– To musi być ten miód.

Wstrzymałam oddech, mając pełną świadomość każdego miejsca na skórze, którym się stykaliśmy. Siedzieliśmy na ziemi, otoczeni przez zielen. Wydawało się, że jesteśmy praktycznie odcięci od świata i cholernych pszczoł – tylko ja, mój farmer i podwinięta sukienka.

Nachylił się nade mną, puszcżając moje dłonie, aby odgarnąć mi włosy z czoła.

– Wiesz, co się dzieje, gdy użądli cię pszczoła?

– Następuje koniec świata – odpowiedziałam szybko, a on posłał mi znaczące spojrzenie.

– To tylko użądlenie, nic więcej. Trochę boli, czasem bardziej, czasem mniej, ale po chwili przestaje.

Uniosłam się na łokciu, celowo naruszając jego przestrzeń.

– Wolałabym, żeby żadna mnie nie użądliła. – I wtedy go pocałowałam. Moje usta musnęły jego usta raz i drugi. Już przygotowywałam się na trzeci, gdy wtem usłyszałam jakiś hałas.

Leo mruknął, ale przyciągnął mnie do siebie, kradnąc jeszcze jeden pocałunek.

– Jeśli nie chcemy, aby popołudniowa wycieczka przyłapała nas na tarzaniu się w kocimietce, to lepiej się zbierajmy.

– No tak... – Słyszcząc zbliżające się głosy, z ociąganiem pozwoliłam, aby pomógł mi wstać, a potem wróciliśmy, idąc jakieś czterdzieści pięć metrów, do miejsca, skąd dałam nura w pole, rozrzucając po drodze warzywa.

Leo pomógł mi wszystko pozbierać i zdążył ukraść jeszcze jednego całusa, zanim na wzgórzu pojawiła się wycieczka. Pomachaliśmy do nich i odeszliśmy w przeciwnym kierunku.

Spacerowaliśmy powoli z jednego pola na drugie, rozmawiając o wszystkim. Opowiadał ciekawe rzeczy o posiadłości, zadając pytania na temat tego, jak mogłabym wykorzystać różne produkty z farmy. Śmialiśmy się przy tym tak bardzo, że aż sama byłam zdziwiona.

– To fantastyczne, że tyle wiesz na temat historii tego miejsca – zauważyłam, gdy udaliśmy się w kierunku stodoły. Słońce powoli chowało się za horyzont, a od strony wzgórz dochodził nas tylko szum wiatru i świergot ptaków. Dłonie miałam brudne od kopania w ziemi, a paznokcie były zielone od upartego pasternaku.

– Nie przyjeżdżaliśmy tu za często, chyba że latem – powiedział, zatrzymując się i spoglądając na duży dom, który rysował się na tle zachodzącego słońca. Po drugiej stronie szerokim korytem płynęła niespiesznie rzeka Hudson. – Spędzałem tam godziny, biegając po lesie i bawiąc się z psami. – Leo wskazał jakiś punkt. – Na drugim końcu posiadłości jest strumyk i nie zliczę, ile strzałek wodnych znalazłem na jego brzegach. Gdy wracałem do domu, ku przerażeniu matki i jej przyjaciółek byłem zwykle cały brudny i pogryziony przez piaskowe pchły.

– Moja matka często robiła błotny basen, gdzie potem siedziałyśmy i robiłyśmy błotne ciastka. W upalne lato miło było posiedzieć w chłodnym błocie. Zawsze mówiła, że błoto jest dobre na skórę i że „wszystkie dzieci powinny się nieco zabawić, szczególnie małe dziewczynki”.

– Wyobrażam to sobie. – Roześmiał się, biorąc mnie za rękę i oglądając moje brudne paznokcie. – A więc to by się jej spodobało.

– Byłaby wniebowzięta – przyznałam, gdy odwrócił moją dłoń i przesunął kciukiem wzdłuż linii miłości. Zadrzałam. – Założę się, że twoja mama uważa, że cała ta zabawa w błocie w końcu się opłacała. Spójrz, jakie to cudowne miejsce...

Przesunął palcem wzdłuż kolejnej linii biegnącej do środka dłoni, po czym spojrzał gdzieś w dal.

– Chodź, zobaczmy, czy zostały jeszcze jakieś jajka.

Nie wspomniał już więcej o matce, a ja nie pytałam. Skierowaliśmy się w dół wzgórza, w kierunku stodoły. Leo niósł mój koszyk i co jakiś czas dotykaliśmy się rękami, co było bardzo miłe.

Zostało jeszcze kilka kartonów z jajkami, które ku mej radości, mieściły nie tylko piękne egzemplarze w brązowe cętki, ale i parę o jasnoniebieskich skorupkach. W mojej skrzynce znalazł się także duży kawałek sera z farmy, kilogram świeżego masła, hodowany w okolicy pstrąg i dwie kury do pieczenia. Do tego dołączono trochę grubo siekanego boczku z farmy Maxwellów, choć musiałam przyznać, że osobiście wolę Maxwella we własnej osobie...

Gdy skończyliśmy, parking był już prawie pusty. Nastął zmierzch i Leo zegnał się z ostatnimi klientami, podczas gdy ja udałam się na kraniec

starej stodoły, gdzie kiedyś składowano produkty mleczne, i przyjrzałam się olbrzymiemu kamiennemu silosowi. Teraz była tu ławka do czytania i półka z książkami, a na ścianie powieszono oprawione zdjęcia pokazujące historię farmy. Stałam w wejściu, podziwiając ogrom pracy, jaki w to włożono.

Słyszałam, jak Leo życzy dobrej nocy kilku pracownikom farmy, a po chwili dobiegł mnie odgłos jego kroków, które zatrzymały się tuż za mną. Przeszłam przez dębowe wrota silosu, a on podążył za mną. Gdy tylko zamknęły się za nami drzwi, zapanowała cisza. I ciemność.

– A więc co było pierwsze, stodoła czy silos? – zapytałam, spoglądając na kamienne ściany. Cztery silosy o idealnie cylindrycznym kształcie sięgały prawie trzech pięter, przez co były widoczne z każdego miejsca na farmie.

– Stodoła – odpowiedział Leo, zmierzając w moim kierunku.

Odsunęłam się lekko, zatrzymując wzrok na kamiennych ścianach. Nie patrzyłam na farmera, który teraz stał tuż za moimi plecami.

– I powiedziałaś, że kiedy zbudowano stodołę? – zapytałam, przysuwając się bliżej zaokrąglonego muru.

– Czyżbyś nie słuchała w trakcie wycieczki?

Przesunęłam palcami po polnych kamieniach, wyczuwając zagłębienia pomiędzy nimi. Mimo że było dziś ciepło, były chłodne.

– W większości słuchałam – przyznałam.

– W większości? – zapytał.

Zadrżałam lekko, i to nie z powodu zimnej, kamiennej ściany. Czułam bijące od niego ciepło i choć jeszcze się nie dotknęliśmy, moja skóra już płonęła.

– Byłam nieco... – Wciągnęłam mocno powietrze, gdy silnymi dłońmi odgarnął mi włosy z ramion, odsłaniając pokrytą piegami skórę. – ...rozkojarzona – dokończyłam niepewnie.

Nachylił się i wsunął mi twarz we włosy, a ja poczułam, jak zaczyna rozpalać się we mnie żądza. Świadomość, że druga osoba czuje taki sam pociąg, to jedno, ale świadomość, że ten pociąg jest odczuwany równocześnie, to już zupełnie inny stopień wtajemniczenia. Musnął nosem moje ramię, a ja oparłam dłoń na kamieniu, rozsuwając szeroko palce.

Gdy pocałował mnie w zagłębienie pomiędzy ramieniem a szyją, poczu-

łam się zamroczona. Ciepłymi i wilgotnymi ustami przesuwiał wzdłuż mojej szyi, kęsając mnie delikatnie i dotykając w niewiarygodnie zmysłowy sposób.

Położył mi dłonie na biodrach i przesunął je w górę, muskając skórę odsłoniętą przez wycięcie w sukience. Wygięłam się w tył, w odpowiedzi na bliskość jego ciała, a on kolejny raz przysunął się do mojej szyi, oddychając tuż przy moim uchu.

– Jeśli nadal chcesz rozmawiać o terminach budowy i historycznej wadze tego miejsca, z chęcią o wszystkim ci opowiem... – szepnął, całując mnie wzdłuż szyi.

Odwróciłam głowę, aby ułatwić mu zadanie, z którym i tak najwyraźniej nie miał żadnych problemów.

– Lubię historię – odpowiedziałam lekko zachrypniętym głosem.

– Historia... – rzucił, dotykając ustami miejsca, w którym można było wyczuć mój puls. Jestem pewna, że w tym momencie nawet moje serce chciało być bliżej jego ust. – ...ma swój czas.

– Lubię też terażniejszość. – Wreszcie udało mi się wsunąć dłonie w jego włosy. – Terażniejszość może być równie interesująca.

W terażniejszości dłonie Leo przesuwają się akurat wzdłuż mojego ciała, obejmując szeroko rozwartymi palcami moją klatkę piersiową i leciutko muskając miejsce zaraz pod biustem. Przestałam oddychać i martwić się tym, że nie wiedziałam, ile osób może stać za tymi ciężkimi dębowymi drzwiami, które choć niesamowicie grube, mogły być niewystarczające, aby powstrzymać moje krzyki, jeśli tylko Leo dotknąłby mnie tam, gdzie najbardziej pragnęłam.

Każda część mojego ciała drżała pod silnym dotykiem jego palców, gdy przesuwiał je w stronę piersi. Westchnęłam, czując, jak koniuszkiem małego palca muska mój sutek. Westchnęłam, gdy wygięłam się w tył i poczułam go na sobie z tyłu, tak silnego, mocnego i... twardego. Westchnęłam, gdy zębami skubnął mnie tuż za uchem, czując, jak jego zęby, język i ta słodka szczecinka drażnią lekko moją skórę. Westchnęłam, gdy odsunął dłoń od moich piersi, aby odgarnąć mi włosy i przekrzywił mi głowę na bok, odsłaniając podstawę szyi. Jęknęłam, gdy zaczął mnie całować, przesuwając się w dół, między łopatki, i liżąc skórę wzdłuż kręgosłupa w drodze powrotnej.

On. Lizał. Mój. Kręgosłup.

Tej nocy nie mogłam zasnąć, ale przewracałam się z boku na bok z innego powodu niż zwykle. Wiatr ustał, a noc była ciepła i parna. Otworzyłam wszystkie okna i włączyłam wiatrak, próbując wymusić jakiś ruch powietrza. Kręciłam się w łóżku, bo było mi gorąco, nie mogłam spać i byłam cała rozpalona po tym, jak Almanzo Wilder niemal mnie przeleciał w ponadstuletnim silosie. Na dodatek z pewnością bym mu na to pozwoliła, gdyby nie to, że niemal przyłapała nas na gorącym uczynku grupa zwiedzających.

Przewróciłam się na brzuch, chowając twarz w poduszce i śledząc obrazy przelatujące przez mój rozpalony umysł, gdy jego dłonie podniosły mi sukienkę do połowy ud. Wypuściłam głośno powietrze i przekręciłam się na bok. W mojej głowie właśnie wyświetlał się miniseriał, w którym Leo, a raczej jego broda, łaskotał moją skórę wzdłuż kręgosłupa, schodząc ustami aż do linii, w której zaczynała się moja sukienka, a potem kierując się z powrotem ku mojej szyi. Rzeczona sukienka była jedną z moich ulubionych, ale nawet gdyby ją wtedy rozdarł i rzucił niedbale na podłogę, modliłabym się, aby to samo zrobił z moim biustonoszem i resztą bielizny.

Leo lizał mój kręgosłup.

Sapnęłam i przekręciłam się na plecy, przyciągając do siebie prawą nogę, a lewą wyprostowując. Chciałam poczuć jakiś lekki przewiew, trochę powietrza, które przyniosłoby nieco ulgi mojej rozpalonej głowie, co chwila podrzucającej mi nowe migawki: spocone ciała brykające radośnie na warzywnych grządkach i robiące niegrzeczne rzeczy na oczach podglądających pomidorów.

Jak się pisze ulga?

Po prostu dotknij się.

Cóż, gdy kobieta musi, kobieta musi...

Zacisnęłam lewą pięść nad głową, a moje ciało zwinęło się w kłębek. Zmusiłam się do rozluźnienia, rozwierając palce i poruszając nimi lekko. Pokręciłam nadgarstkiem, przesuwając dłoń w dół, po białym prześcieradle, i muskając rozpaloną skórę.

Zmierziłam lekko koronkę, czując gęsią skórę, i wsunęłam rękę pod materiał, wyginając się pod własnym dotykiem.

Leo lizał mój kręgosłup.

Jęknęłam, a moje sutki natychmiast stwardniały, stając się bardziej wrażliwe i czujne. Podciągnęłam koszulkę, odsłaniając piersi. Lewą ręką przesunęłam po skórze, a prawą wsunęłam pod bieliznę.

Lizał mój kręgosłup.

Dlaczego akurat to wywoływało we mnie takie emocje? Były przecież inne części ciała, bardziej tajemne, doskonałe i zdecydowanie bardziej intymne. Chyba że to właśnie kręgosłup stał się moją nową strefą erogenną. A może całe moje ciało stało się nową strefą erogenną? Być może cała stałam się strefą erogenną Leo Maxwella.

Tymczasem jednak tu, na miejscu, byłam tylko ja, dotykająca... mmm. Wstrzymałam oddech, czując, jak całe moje ciało ożywa. W podbrzuszu czułam narastające pożądanie, przeszywające mnie na wskroś. Jakie odgłosy wydaje, gdy dochodzi? Czy drży, silny i milczący, czy jęczy, wypowiadając moje imię, przesuwał dłoń tam i z powrotem po swoim twardym jak skała...

Fantazjowałam o tym, jak wygląda, gdy sam się dotyka, podczas gdy sama się dotykałam? Ależ to było seksowne.

Płonełam. Przesunęłam palce w dół. Byłam śliska i mokra. Niemal wygięłam się w łuk, przesuwał biodra za ruchem własnych palców, szukając tej idealnej równowagi, napięcia i... *O rany, ale dobrze!* Jęczałam jego imię, balansując tuż nad krawędzią i czując, jak w podbrzuszu narasta żądza...

Piii.

Zerknęłam na telefon. Przyszła wiadomość, a na ekranie wyświetlało się imię Leo. Byłam niezadowolona, bo mi przerwał, ale na wszelki wypadek wolałam sprawdzić, czy aby nie przesłał mi zdjęcia zwycięskiego... koguta.

Podniosłam telefon.

Stoję na zewnątrz.

Och...

I słyszę cię.

Jezu...

Wypowiedziałaś moje imię.

O rany!

Wpuść mnie.

Rozdział 13

Zbiegłam ze schodów i otworzyłam drzwi na oścież. Stał w ogrodzie, wpatrując się w moje okno. Jezu, on naprawdę widział, co robiłam...

Wyszłam na werandę w samej bieliźnie, a gdy zamknęły się za mną drzwi z siatką na owady, spojrzał w moją stronę.

Otworzył szeroko oczy, rejestrując to, jak wyglądam: prawie w negliżu i zaróżowiona po wcześniejszych wybrykach. Przeskoczył ogródek w trzech susach, a potem zrobił jeszcze jeden krok i przycisnął mnie do drzwi.

Powinnam była wiedzieć, że ten facet mnie wykończy.

– Co tu robisz?

– Nie mogłem spać – odpowiedział, obejmując mnie ramionami i wsuwając nogę między moje uda. – Nie mogłem przestać o tobie myśleć. – Nachylił się do mojego ramienia i zaczął całować mnie wzdłuż szyi. Zatrzymał się na ustach, a nasze wspólne oddechy się zespoliły. Chwyciłam go za biodra, przysuwając się bliżej i czując, jak iskrzy między nami.

– Ja też o tobie myślałam – szepnęłam, a on wsunął głębiej nogę, dotykając mnie udem tak, że aż wstrzymałam oddech.

– Słyszałem...

Pocałował mnie mocno. Przywarliśmy do siebie, muskając się zębami i podążając za ruchem swych głów to w jedną, to w drugą stronę. Gdybym tylko mogła wejść do jego ust, na pewno bym to zrobiła.

– Roxie? – przerwał, odsuwając usta na krótką sekundę. Natychmiast przysunęłam się do niego. Nie chciałam ich zgubić.

– Mmm? – wydusiłam z siebie.

– Cholera – jęknął, gdy znów przyciągnęłam jego biodra do swoich. – Chcę cię zobaczyć.

– Mnie? – zapytałam, wyginając się w stronę drzwi. – Co chciałeś zobaczyć?

Pociągnął za ramiączko mojej koszulki.

– To – rzucił i pocałował mnie między pierśmi. – Ciebie. Całą ciebie. – Mówił do mojej skóry, a ja czułam na sobie jego ciepły oddech.

I tak każdy mój zmysł wypełnił się Leo. Na plecach czułam drapanie drewnianych drzwi, gdy przylgnął do mnie biodrami, dociskając i napie-

rając coraz mocniej. Przeszedł mnie dreszcz, mimo gorącej nocy. Patrzyłam, jak światło bijące ze stodoły oświetla jego profil: cudowne kości policzkowe, zmierzwiłone włosy i tę seksowną, drapiącą brodę, którą czułam teraz pomiędzy piersiami. Zębami podciągnął mi koszulkę, aby zrobić sobie miejsce. Słyszałam jego głęboki jęk, gdy lizał mój pepek. – Pachniesz jak miód, a smakujesz jak raj – mruzczał, a ja słyszałam jego szorstki głos jakby przez mgłę. Wtedy wstał i zaczął powoli obcałowywać moją szyję, kawałek po kawałku.

Zapomniałam, jak się nazywam. Zapomniałam, jak on się nazywa. Wiedziałam tylko, że w plecy wrzyna mi się gałka od drzwi, a pomiędzy udami mam coś, co gałkę przypomina, i zanim się spostrzegłam, znów wspinałam się na Leo, jakbym była do tego stworzona.

Nagle gałka pomiędzy moimi nogami się poruszyła; teraz to była bardziej kołatka, jaką można zobaczyć przy wrotach w naprawdę wielkich kościołach. Leo przesunął mi prawą rękę po udzie, wsunął ją pod nie i podciągnął moją nogę na biodro. Czując na wewnętrznej stronie uda jego szorstką, twardą od odcisków dłoń, było mi tak dobrze, że aż zachciało mi się płakać. Póki byłam jeszcze w stanie mówić, podniosłam mu głowę i spojrzałam w oczy.

– Jeśli do tego dojdzie, a potrzebuję tego... – urwałam, bo choć przestał mnie całować, jego biodra nadal na mnie napierały, a jego dotyk tam na dole zniewalał moje zmysły. Powoli poruszyłam biodrami, które wydały się aż boleć z żądz.

– „Potrzeba” to ciekawe słowo – wymruczał, zakołysawszy powoli biodrami. – Człowiek potrzebuje jedzenia. Potrzebuje wody. Potrzebuje schronienia.

– Seksu. Seks też jest potrzebny – wydyszałam, gdy przesunął ustami, aby skubnąć mnie lekko w szyję. Jedną rękąż – jedną ręką! – sprawnie zerwał ze mnie koszulkę. Zamrugałam, patrząc, jak ciuszek z lycry ląduje w strzępach na podłodze. Znów zamrugałam. Jasna cholera...

– Właśnie zmierzałem do seksu – odpowiedział i tą samą dłonią rozpiął mi biustonosz, zarzucając go sobie na ramię. Jego oczy płonęły, gdy tak na mnie patrzył, przemawiając już tylko do moich piersi. – Pomyślałem, że słowo „potrzeba” jest ciekawe, bo właśnie teraz potrzebuję zobaczyć twoje cycki bardziej niż cokolwiek innego na świecie. I nie jest to nic

w stylu „chciałbym” albo „byłoby świetnie”. Potrzebuję zobaczyć twoje cycki.

Wybuchłam śmiechem, wypełniając parną, gorącą noc głupią radością, którą było widać także w jego oczach, gdy tylko spojrzał na mnie, unosząc nieco kącik ust.

Zadomowiłam się w jego wprawnych, silnych dłoniach, w których moje ciało czuło się jak w domu. *W domu? Robi się niebezpiecznie.*

– Cieszę się, że akceptujesz nasz układ – powiedziałam, unikając jego spojrzenia. Dlaczego to słowo tak dziwnie brzmiało? Tak odległe, jakby bez związku. Samotnie?

Czułam na sobie jego spojrzenie i zmusiłam się, aby na niego popatrzeć. Przyglądał mi się uważnie przez kilka sekund, a ja poczułam, że moja stanowczość zaczyna kruszeć. Wtedy jednak skinął głową i znów zajął się moją skórą, całując mnie łapczywie, gorliwie i pożądliwie, a ja podałam mu się całkowicie.

Nagle leżeliśmy na progu, częściowo w domu, częściowo na werandzie.

I gdzie podziała się moja bielizna? Wszystko kręciło się wokół Leo, jego dłoni, jego warg, jego ust i tego miejsca zaraz nad jego pupą, gdzie idealnie mieściła się moja pięta. Cudownie było czuć jego skórę na swojej.

Zaraz, gdzie się podziała jego koszula? Wygięłam się w łuk, a on dotykał mnie językiem, dłońmi, szeroko rozwartymi palcami. Uniosłam biodra, czując drapanie jego brody. Zaraz, gdzie się podziały jego dzinsy?

To była wieczność. Pięć sekund. Nie mam pojęcia, w jaki sposób znaleźliśmy się na podłodze nadzy. Pamiętam tylko, że szepnął:

– Mam prezerwatywę.

– To bardzo aroganckie, że zakładałeś taki scenariusz – szepnęłam.

– Czy to źle?

– No coś ty. Sama mam jedną w portfelu na wypadek, gdybyś chciał właśnie tego.

– Długo tego nie robiłem – wyszeptał.

– Nic nie szkodzi.

– Nie wiem, jak długo jeszcze wytrzymam.

– A więc pieprz się ze mną jak szalony – rzuciłam.

Jęknął, a ja westchnęłam. W końcu wszedł. Był twardy i mocny, a ja czułam ciepło i wilgoć. Cały czas na mnie patrzył, nie pozwalając, abym

spuściła wzrok i uciekła od tej bliskości. Balansował we mnie przez wieki, a ja wstrzymywałam oddech, słysząc, jak dyszy, i – jasna cholera – czułam się tak, jakby cały świat zwolnił, a następnie przestał się kręcić. Był tylko on. Wchodził we mnie wolno i głęboko, a ja czułam, jak moje serce dosłownie pulsuje wokół niego.

W końcu zamarł i przez chwilę się nie ruszał. Podniósł się nade mną, przytrzymując się na swych silnych rękach po dwóch stronach mojej głowy, i spojrzał na mnie, a na jego twarzy pojawiło się uczucie ulgi i coś, co przypominało smutek. Wtedy jednak uniósł koniuszek ust i w jego oczach znów rozpalila się żądza. Naparł na mnie biodrami i przykrył moje ciało swoim, a ja owinełam mu nogi w pasie.

– Jasna cholera, Roxie... – jęknął.

Kochaliśmy się jak opętani.

W środku nocy, pod osłoną ciemności i przy cudownym odgłosie zabijania komarów, leżeliśmy na werandzie z rozrzuconymi nogami i rękami, opierając bezwładnie głowy o siebie, a nasze dłonie przesuwaly się powoli wzdłuż naszych ciał. Byłam zadowolona i zaspokojona.

Nagle Leo dał mi klapsa w pośladek.

– A to co? – zapytałam, podnosząc głowę.

– Komar. – Uśmiechnął się, pokazując mi swoją dłoń.

– Fúj. – Skrzywiłam się, odsuwając jego rękę i wycierając ją o podłogę werandy.

Drewniane panele to nie do końca najwygodniejsze miejsce na pierwszy raz, ale czy coś bym zmieniła? Nic a nic, za nic w świecie. Będę z dumą nosić znamię po gałce od drzwi na udzie... A teraz leżałam wtulona w jego ramiona, z jedną nogą nadal owiniętą wokół jego pasa. To byli *Szybcy i wściekli*, czyli coś zupełnie przeciwnego, niż można się było spodziewać po sposobie, w jaki Leo żył na co dzień. Nie mogłam jednak narzekać. Okrążyłam dziś Ziemię trzy razy i to wystarczyło, aby stwierdzić, że w łóżku był prawdziwym mistrzem. W łóżku i w przypieraniu do muru...

Wtuliłam się w jego szyję, czując ciepło. Opis jego zapachu jako zapachu ziemi wydaje się zbyt banalny, a jednak tak właśnie pachniał – tro-

chę jak wzrastające rośliny, jak piasek i łupki ilaste, no i jak mydło Lava²⁴. Na klatce piersiowej miał trochę włosów, co mi się podobało. Nie było to nic w stylu porno z lat siedemdziesiątych, ale w epoce męskiej depilacji miło było znaleźć nieco futerka pod klasycznymi koszulkami z koncertów.

24 Marka mocnego mydła do rąk.

To, co miał między nogami, to zupełnie inna bajka. Tego nie było trochę. Znów poczułam, jak porusza się, ocierając o mój pośladek. Odwróciłam się lekko, aby na niego spojrzeć, i zobaczyłam, że mnie obserwuje rozleniwionym wzrokiem.

– Powinienem cię podnieść z tej werandy – wymruczał.

Pokiwałam energicznie głową.

– I zanieść do łóżka?

W odpowiedzi jednym ruchem przerzucił mnie sobie przez ramię, po czym wniósł mnie do domu.

– Myślałem, że nigdy nie zaproponujesz. – Rozejrzał się w poszukiwaniu schodów. – Którędy?

Roześmiałam się i wskazałam mu drogę stopą. Trzymając mnie mocno między udami, ruszył w kierunku stopni.

– Mam nadzieję, że masz ochotę na drugą rundę, bo tym razem będzie powoli.

– A słyszałeś, żebym wcześniej narzekała?

– Tak tylko mówię. Nie planowałem, że będziemy się kochać na werandzie przed domem – rzucił, całując mnie w prawy policzek i biegnąc (rany, naprawdę biegł!) po schodach.

– Jeśli nie planowałeś, że będziemy się kochać, to czemu zawdzięczam tą późnonocną wizytę? – Zachichotałam, wskazując stopą mój pokój.

– Oj, planowałem się z tobą kochać. – Upuścił mnie na łóżko, od którego się odbiłam. – Jedyne część z werandą nie była planowana.

– Skąd wiedziałeś, że cię wpuszczę? – zapytałam, moszcząc się w pościeli, ciągle naga. W końcu miałam przed sobą jeszcze długi dzień.

Leo, też nagi i też z perspektywą długiego dnia, nachylił się nade mną, pocałował mnie między piersiami i jęknął.

– Miałem nadzieję, że pozwolisz mi się z tobą pieprzyć. – Jeszcze raz mnie pocałował. – A potem, gdy usłyszałem, co się tam na górze dzie-

je... Rany, Groszku. Pieprzyłaś mnie sama, bez mojej pomocy. Przyzwoitość nakazywała choć się zarumienić. Rumieniłam się za każdym razem, gdy na niego wpadałam. Rumieniłam się na myśl o jego brodzie i o wszystkich tych miejscach, gdzie chciałam, by mnie nią łaskotał. Czasami rumieniłam się też, gdy mówił o swoich orzeszkach. Ale teraz, gdy rumieniec był uzasadniony, złapałam go po prostu za szyję i przyciągnęłam do siebie, całując powoli, słodko i długo, a gdy włożył mi w usta język, cała zadrżałam. Pierwsze żądze zostały zaspokojone i teraz miałam ochotę zbadać teren, rozsmakować się w poznawaniu jego ciała i w tym, jak na mnie reaguje. Opadliśmy na łóżko, tuląc się do siebie leniwie. Powietrze, choć nadal ciężkie, bez cienia wiatru, teraz wypełniały odgłosy naszych cichych pocałunków i uporczywego skrzypienia łóżka, na którym się kotłowaliśmy.

– Chyba mam trochę WD-40 w dziapie – mruknął Leo, a ja się roześmiałam.

Przewrócił mnie i położył sobie na brzuchu, a ja pocałowałam jego jabłko Adama.

– Myślisz, że tego nie próbowałam? To łóżko po prostu już tak ma. Taki piskacz.

– Z ciebie też jest mały piskacz. – Przesunął mnie wyżej, skubiąc lekko zębami. Gdy przygryzł sutek, aż pisnęłam. – Widzisz?

– To był skowyt, nie pisk – zaprotestowałam, dysząc, gdy tylko zaczął mnie znów skubać. Piszczalam, łóżko trzeszczało, a farmer śmiał się wtulony w moje piersi.

– Jak tylko zaczęłaś krzyczeć na tę biedną pszczołkę, wiedziałem, że wyszczekana z ciebie babka.

Usiadłam, udając obrażoną i krzyżując ręce na nagich piersiach.

– Do twojej wiadomości: mnie i tamtej pszczole były pisane kłopoty, jak tylko postawiłam stopę w lesie. Pszczoły zawsze wiedzą, że się zbliżam.

– Chciałbym zobaczyć, jak się zbliżasz – wymruczał, przesuwając dłońmi wzdłuż moich ud i starając się posadzić mnie na sobie okrakiem. – Nadal nie mogę uwierzyć, jak się cała spinasz na sam dźwięk słowa „pszczoła”. Czujesz, jak napięte są teraz mięśnie twoich ud na moich biodrach? Jesteś jak dziadek do orzechów.

– Naprawdę chcesz teraz rozmawiać o pszczołach? – zapytałam.

– Nie. – Przesunął się wzdłuż mojego ciała. – Ale wezmę sobie trochę tego miodku.

– Miodku? Och...

Poddałam się całkowicie dotykowi jego ust, które przesuwały się wzdłuż mojego brzucha, zatrzymując się tylko po to, aby polizać lekko miejsce zaraz pod pępkiem. Jego wargi składały małe pocałunki, przesuając się od jednego biodra do drugiego, a ręce podróżowały po moim ciele, drażniąc piersi. Wstrzymałam oddech i wygięłam się pod jego dotykiem.

Przesunął się, muskając nosem górną część ud. Od tygodni fantazjowałam o jego brodzie pomiędzy moimi nogami.

Oparł podbródek parę centymetrów od miejsca, w którym tak pragnęłam, aby się znalazł. Wypchnęłam biodra, a on pocałował mnie zaraz nad tym newralgicznym miejscem. Jęknęłam, zamykając oczy. Moja skóra była napięta – wystarczył jeden dotyk. Całe ciało stało się jednym żarzącym się płomieniem. A jednak...

– Pamiętasz tamtą noc w twojej kuchni? – zapytał. Moje oczy niemal wyskoczyły z orbit. Podniosłam się na łokciach i spojrzałam na niego. Znow oparł na mnie brodę i wyglądał naturalnie, zupełnie nie przejmując się tym, że właśnie znajduje się na skrzyżowaniu dróg „Proszę, tak, proszę” i „Na miłość boską!”.

– W kuchni? – powtórzyłam, starając się powstrzymać od kolejnego pisku. Powoli stawałam się uzależniona od jego dotyku i właśnie teraz, gdy był już tak blisko, a jednak tak daleko, dostałam lekkiego pomieszania zmysłów.

To było niesamowite...

Przede wszystkim jednak doprowadzało mnie to do szaleństwa.

– Gdy przygotowałaś dla mnie kolację, usiadłaś mi na kolanach i zrobiłaś się tak samo czerwona, jak te buraki, które ci przyniosłem. Mówiłaś coś o mojej brodzie? – To mówiąc, pochylił się nad TYM MIEJSCEM. – Chyba mówiłaś, że chciałabyś czegoś spróbować, zanim ją zgołę?

– Naprawdę? Hm, nie pamiętam. – Nonszalancko ugięłam kolana i – ups – uderzyłam go TYM MIEJSCEM. – Ups...

Uśmiechnął się, a na widok tego uśmiechu moje kolana same od siebie odskoczyły. Mogło się to skończyć tylko w jeden sposób.

– Zaskoczyłaś mnie tym, że nie pamiętasz. Cokolwiek doprowadziło cię

wtedy do tych rumieńców, zdawało się czymś bardzo konkretnym w twojej głowie. – To mówiąc, pochylił się i przesunął nosem po mojej skórze, przez dolinkę i kilka małych kotlin, aż wreszcie dotarł na miejsce. Oddychałam ciężko. Celowo przesunęłam piętami po jego ramionach, próbując sprawiać wrażenie może nie do końca nonszalanckiej, ale...

– Na pewno nie pamiętasz? – zapytał z ustami ledwie parę centymetrów od centrum mojego wszechświata.

– Być może... coś... tam... pamiętam... – odpowiedziałam, czując uderzenie ciepła. Muskał mnie samym oddechem, a ja nabierałam coraz większej pewności, że mogłabym żyć samym powietrzem, pod warunkiem że byłoby to powietrze Leo.

– Powiedz, a ja to zrobię – rzucił, muskając ustami moje usta.

Przeszłam już etap gry wstępnej, więc gdy tylko wsunął pożądlive ręce pod moje uda i oparł sobie moje nogi na ramionach, przytrzymując biodra, aż pisnęłam.

– Potrzebuję twoich ust! – krzyknęłam, a on posłuchał.

Czując pierwsze muśnięcie języka, osunęłam się na poduszki, a gdy skubnął mnie zębami, aż wyrzuciłam poduszkę z łóżka. Słyszając jego jęk, wychyliłam się tak bardzo za łóżko, że wyciągnęłam spod siebie prześcieradło z gumką, a gdy przysunął mnie sobie mocniej do ust, wtulając we mnie twarz i liżąc mnie z pasją, poczułam, jak jego broda łaskocze najdelikatniejsze fragmenty moich ud. To było cudowne.

Warte każdego pisku, który z siebie wydałam.

– A więc kim są ci dwaj starsi panowie?

– Starsi panowie? – zapytałam, nie wiedząc, dokąd zmierza to pytanie.

– Nad biurkiem – odpowiedział, mając na myśli tablicę z wycinkami z gazet. – W sumie jeden wygląda znajomo.

– To Ripert i Bourdain. Znani kucharze.

– To brzmi jak jakiś francuski serial policyjny.

Roześmiałam się.

– Anthony Bourdain był przez wiele lat szefem kuchni na Manhattanie.

Teraz prowadzi kilka programów o podróżach i jedzeniu. Eric Ripert

prorowadzi restaurację Le Bernardin, także w...

– To dlatego wygląda znajomo.

– Może wyglądać znajomo. Występuje w telewizji chyba od zawsze.

Leo potrząsnął głową.

– Nie, ten drugi facet. Le Bernardin jest ulubioną restauracją mojego ojca. Moi rodzice mają tam stałą rezerwację i bywają tam przynajmniej dwa razy w miesiącu.

Gdzieś na świecie głowy kilku małych kuchcików właśnie pękały z niedowierzania. Sam fakt, że ktoś mógł regularnie chodzić do Le Bernardin, nawet tylko raz w miesiącu, był nie do pojęcia – a dwa razy? Przynajmniej dwa? To była najbardziej dekadenccka część tego całego stwierdzenia.

Powstrzymałam wybuch zazdrości i skorzystałam z okazji, aby popatrzeć sobie na Leo od tyłu. Miał chyba najśłodszy tyłeczek, jaki kiedykolwiek widziałam. Okrągły i jędrny, jak dwie gałki seksu. Podeszły, to znaczy Leo podszedł, do frontowego okna i wyjrzały na zewnątrz.

– Wreszcie zerwał się wiatr.

– Tak?

– Nasze ubrania latają po całym ogrodzie.

Roześmiałam się i zaczęłam się podnosić.

– Nie, leż. Ja je pozbieram.

– W porządku – odpowiedziałam, podchodząc do niego. – A ja zrobię nam coś do jedzenia. – To mówiąc, klepnęłam go w te jego seksowne pośladki i zesłam na dół.

Wkrótce mieliśmy znów na sobie kilka warstw ubrań, a ja obracałam patelnię z gorącą oliwą i czosnkiem. Leo zerkał mi przez ramię, podglądając, co robię. W samych džinsach, ze zmierzwionymi włosami, wyglądał seksownie prowokująco.

– Ładnie pachnie.

– Najbardziej na świecie lubię zapach czosnku dokładnie dwadzieścia sekund po tym, jak się dostanie na gorącą patelnię – odpowiedziałam, wciągając nosem mocny zapach. Następnie dorzuciłam nieco czerwonej papryki, a na palniku z tyłu zagotowałam wodę i wrzuciłam do niej kilka garści linguini. – Na blacie leży połowa bagietki. Oderwiesz parę kawałków? Talerze są w tamtej szafce – rzuciłam, machając drewnianą łyżką.

Technicznie rzecz ujmując, to była łyżka mojej mamy, a wcześniej Mildred, siostry mojej babci. Odeszła wiele lat temu, ale łyżka pozostała – odbarwiona za sprawą miliona sosów i lekko skrzywiona z jednej strony po latach mieszania.

Przez te wszystkie lata, gdy sama używałam jej do mieszania, wiele razy zastanawiałam się nad tym zakrzywieniem. Ile razy ciocia stawiała w tej kuchni, mieszając niedzielny sos albo przygotowując porcję tłuczonych ziemniaków i upewniając się, że dodała właściwą ilość masła i mleka? Ile razy gotowała, mimo że była wykończona? Ile razy, mieszając tą łyżką, krzyczała na wujka Freda? Ile razy wykorzystała ją, aby zaakcentować jakieś stwierdzenie, wymachując nią dla podkreślenia wagi czegoś, czego słuszności była pewna? Czy kiedykolwiek rzuciła nią w złości? Czy podjęła jakąś ważną życiową decyzję, mieszając tą starą łyżką? Podczas gdy ja roztrząsałam te wszystkie kwestie, przepiękny mężczyzna niepostrzeżenie objął mnie w pasie i przysunął do siebie, patrząc, jak mieszam.

– Ładnie pachnie – powtórzył. – I wcale nie mówię o jedzeniu. – Wtulił nos w zagłębienie mojej szyi, mocno wciągając zapach. – Pachnie miodem. Mógłbym być pszczołą.

– Czyżbyś na mnie leciał? – zapytałam, śmiejąc się z własnego dowcipu i wyciskając w dłoni sok z cytryny.

– Ten miodowy zapach, którym jest przesiąknięta cała twoja skóra, doprowadza mnie do szaleństwa – wymruczał, a ja poczułam jego gorący oddech. – Nie potrafię trzymać rąk z dala od ciebie. Zupełnie jakby żyły własnym życiem. – Przesunął wargami po zewnętrznej stronie mojego ucha, wsuwając mi dłonie pod koszulkę. Dotyk jego twardych, szorstkich palców, zniszczonych od ciężkiej pracy, wydawał mi się zupełnie naturalny. Naturalny i zarazem niesamowity.

Przywarłam do niego biodrami.

– Myślę, że wiem, kto może sterować tym życiem. – Niewiarygodne, że po tym wszystkim, co wydarzyło się na werandzie i na górze, znów był gotów i że wystarczyłoby małe zaproszenie, jedno małe ściśnięcie...

Zamiast tego jednak ścisnęłam cytrynę. Unikając jego wędrujących rąk i bardzo zdeterminowanych bioder, wrzuciłam na patelnię garść świeżo posiekanej pietruszki, po czym nałożyłam na talerze duże porcje lingu-

ini, mieszając tak, aby makaron dokładnie pokrył się niebiańskim sosem.
– Weź talerze.

Zmarszczył czoło i dał mi małego klapsa, po czym poszedł nakryć do stołu. Chwilę później na stole leżały talerze z makaronem. Leo usiadł, a ja stanęłam obok, ścierając na wierzch nieco świeżego pecorino Locatelli. Nagle objął moje udo i przesunął dłoń w stronę biodra. Uwielbiałam dotyk jego rąk bardziej niż cokolwiek innego, i to nie tylko w trakcie seksu, odsunęłam jednak tę myśl.

– Proszę, spróbuj – powiedziałam, dodając jeszcze odrobinę sera.

Obserwowałam, jak nawija makaron na widelec i podnosi go do ust.

Przeżuł kęs, po czym zamknął oczy z rozkoszy. Tego właśnie pragnie każdy kucharz. To, co sama zrobiłam, co stworzyłam własnymi rękami, dawało mu rozkosz, a niski, gardłowy jęk, który słyszałam już godzinę wcześniej, gdy mój język zrobił akurat coś, co naprawdę mu się spodobało, jeszcze to podkreślił. Smakowało mu moje linguini.

Usiadłam na krześle zadowolona, choć sama jeszcze nic nie skosztowałam. Trzeba oddać mu sprawiedliwość – dzisiejszej nocy to on zaspokoił mój głód więcej razy, niż mogłam zliczyć. *Aglio e olio* to była tylko wiosienka na seksownym torcie.

Jedliśmy w ciszy, przerywanej tylko przez odgłos stukania widelców i mlaskanie przy wciąganiu makaronu. Moja mama zawsze mawiała, że aby sprawdzić, czy danie jest dobre, wystarczy sprawdzić, czy goście milczą: jeśli tak, to im smakuje. Miałam okazję obserwować, że tak istotnie jest. Leo wzdychał co jakiś czas, pomiędzy poszczególnymi kęsami, i uśmiechał się, gdy nasze spojrzenia się spotykały. Poza tym jednak oddał się całkowicie jedzeniu. Miło było siedzieć z nim w lekko przyciemnionym świetle kuchni, dotykając się sporadycznie kolanami czy stopami. W środku nocy jedliśmy wspólnie, w milczeniu, kolację, która była tak samo intymnym doznaniem, jak to, które wcześniej przeżyliśmy piętro wyżej.

Nawinał ostatnie linguini na widelec i spojrzał smutno na makaron.

– W mieście był kiedyś kucharz, który zwykł gotować na wielu przyjęciach moich rodziców. Często przyrządzał coś takiego. – Przyjrzał się dokładnie widelcowi. – Nie dokładnie to samo, bo nie pamiętam, by było tam coś zielonego. – To mówiąc, wziął ostatni kęs i głośno jęknął: – Ja-

sna cholera, jakie to dobre! Tamto danie było dobre, ale to jest lepsze. Tamto nieco inaczej smakowało. Trochę jak, sam nie wiem, orzeszki? To możliwe?

– Pewnie było tam anchois – odpowiedziałam, wciągając ostatni kawałek makaronu.

Skrzywił się.

– Nie, nie lubię anchois.

– Tak jak większość ludzi, chociaż pewnie jadłeś je więcej razy, niż ci się wydaje. Sama je często dodaję do makaronu. – Leo nie wyglądał na przekonanego, więc ciągnęłam dalej: – Sztuka polega na tym, aby włożyć je wcześniej na patelnię, jeszcze przed czosnkiem. Te rybki są tak małe i cienkie, że od razu się rozpuszczają w gorącej oliwie. Stąd posmak orzechów, o którym mówiłeś.

Leo ciągle wyglądał na nieco zaskoczonego i trącąc mały kawałek czosnku pozostawiony na talerzu, dokładnie sprawdził, czy aby nie zostały na nim jakieś kawałki ryby.

– Nieważne... No i ten kucharz przychodził zawsze, aby przyrządzić coś ekskluzywnego dla gości, a jak już wszystko było gotowe, szykował dla mnie garnek jakiegoś makaronu. Czasami dorzucał coś ekstra, jeśli miał akurat kraba, homara czy coś podobnego. I przysięgam, to było niewiarygodnie pyszne. – Na wspomnienie makaronu z dzieciństwa Leo aż się uśmiechnął.

– Urządzali wiele przyjęć? – zapytałam, zastanawiając się, jak wygląda przyjęcie u Maxwellów.

– Przez cały czas – odpowiedział, a wyraz jego twarzy zmienił się w jednej chwili, gdy wspomnienie makaronu wyparło coś innego. – W mieście zawsze byli jacyś znajomi, w interesach albo na wakacjach. Zawsze były też jakieś sprawy do omówienia i inne tego typu bzdury. Moja rodzina prawie nigdy nie jadała wspólnie. Rodzice byli u znajomych albo znajomi byli u nas. Ale żebyśmy byli tylko my? Sami? Nieczęsto to się zdarzało. Wiele wieczorów spędziłem z siostrą Lauren. I z Angią.

– Drugą siostrą?

– Z nianią. Gabriela przychodziła rano, a Angia zostawała popołudniami i wieczorami. – Mówiąc to, uśmiechnął się, ale po chwili na jego twarzy znów pojawił się ten smutek. Może stereotyp „biednego bogatego

chłopczyka” był jednak prawdziwy?

– A gdzie jest teraz twoja siostra? – zapytałam.

– Nadal jest w mieście i pracuje z moim tatą. Kieruje naszym międzynarodowym oddziałem. Niezbyt często ją widuję.

– Kiedy my organizowałyśmy w domu przyjęcia, robiłyśmy własne lody, a ten, z kim akurat spotykała się moja matka, grillował hot dogi albo kiełbaski. Ktoś przynosił sałatkę ziemniaczaną, a my zaopatrywałyśmy wszystkich w surówkę coleslaw z jadłodajni. Czekać, aż wszystko będzie gotowe, dorośli rzucali podkową. Lepkie palce, użądlenia komarów, częściowo spalone hot dogi i wystarczająco dużo oranżady Kool-Aid, aby przyciągnąć każdą mrówkę na wschód od rzeki Hudson prosto do naszego ogrodu.

– Brzmi świetnie – rzucił Leo.

Przypomniałam sobie tamte leniwe dni. Pałące słońce i wszystko w jasnych kolorach. Cały świat sprowadzał się do obdartego kolana czy przytrzaśniętego palca. Nagle zdałam sobie z czegoś sprawę.

– Właściwie to masz rację. – Rozejrzałam się po kuchni: porysowane linoleum, odchodząca farba, mój wzrost zaznaczony na framudze drzwi. Przesunęłam stopą pod stołem i nakryłam nią jego stopę.

Znów siedzieliśmy w milczeniu, teraz jednak była to inna cisza, jakby cięższa. Każde z nas wydawało się pogrążone we własnych myślach. On pewnie wspominał dzieciństwo wypełnione nianiami i ekstrawaganckimi przedmiotami. Ja myślałam o dzieciństwie pozbawionym ekstrawagancji, ale za to wypełnionym miłością. Nie zdawałam sobie wcześniej sprawy z tego, jakie bogate miałam życie.

Teraz jednak cały mój świat sprowadzał się do ciepłej stopy leżącej pod moją. Gdy Leo podniósł się i wziął mnie w ramiona, a potem poprowadził na górę, na skrzypiące podwójne łóżko, nawet nie pomyślałam, aby mu powiedzieć, jak to miałam w zwyczaju, o bezsenności i problemie z zasypianiem przy kimś. Po prostu pozwoliłam, aby się do mnie przytulił na łyżeczkę. Tej nocy przespałam jeszcze pięć godzin.

Rozdział 14

Pięć godzin snu to luksus, a jeszcze większym luksusem było to, co nastąpiło potem. Na ramieniu poczułam dotyk miękkich ust, a na rozgrzanych piersiach cudownie szorstkie dłonie, a potem – och! – Leo wszedł we mnie od tyłu.

Pracując w jadłodajni, raz po raz wracałam do tego wspomnienia, próbując skupić się na steku i jajkach, podczas gdy jedynym, o czym myślałam, były jego oczy wpatrujące się w moje, gdy kochaliśmy się na werandzie przed domem. Nalewałam kawę, przewracałam burgery, robiłam wszystko, co mogłam, aby nie myśleć o poprzedniej nocy – i o tym, że właściwie po raz pierwszy w życiu spałam z mężczyzną. W sensie drzemki.

Miałam całe ręce w kruchym cieście, zupełnie o tym nie myśląc, gdy nagle do lady przysunął się Chad Bowman. Wyglądał tak, jakby właśnie wybierał się do Montauk na łódki: granatowe spodenki, stylowe białe buty Sperry i łososiowa koszulka polo. Nie różowa, nie brzoskwiniowa, nie w kolorze zachodzącego słońca i nie pomarańczowa. Łososiowa, jak Boga kocham! Brakowało tylko sweterka z dzianiny – a nie, jednak nie brakowało... Przewiązał go pieczołowicie na swych szerokich barkach. Całości dopełniały srebrne okulary pilotki.

– Wyglądasz jak z żurnala – skwitowałam, ciągnąc go za postawiony kołnierzyk. Stojący na baczność kołnierzyk. – Dzwonili właśnie z J. Crew25. Chcą cię na stronie.

25 Amerykański producent i sieć sklepów odzieżowych.

Wypiął się dumnie, a jego opalona skóra aż się zaróżowiła od moich pochwał.

– Jak to mówi królowa Beyoncé, już taki się urodziłem. – Zerknął na mnie, uśmiechając się z lekką wyższością, po czym zaczął mi się uważniej przyglądać.

Odruchowo przygladziłam włosy i wyprostowałam fartuszek. Czyżby zauważył? Czyżby się domyślał? Z pewnością nie...

– Mmm, hmm... – zanucił, usadawiając się na krześle przy barze i rzucając mi znaczące spojrzenie.

– Co? – zapytałam, znów poprawiając fartuszek.

– Oj, dobrze wiesz, panno zakochana w farmerze.

– Nie jestem zakochana w farmerze! – zaprotestowałam na tyle głośno, aby w całej jadłodajni zapadła cisza, co właściwie nigdy się tu nie zdarzało. Klienci znieruchomieli z widelcami zawieszonymi w powietrzu i z otwartymi ustami wpatrywali się we mnie. Jestem przekonana, że właśnie wyobrażali sobie mnie nago.

Sądząc po błysku w oczach Chada, on właśnie wyobrażał sobie nagiego Leo.

Zalała mnie fala wstydu i poczułam, że się czerwienię. Nie lubiłam, gdy moje sprawy osobiste były wyciągane na forum i byłam pewna, że Leo też tego nie lubił.

– Mmm, hmm. – Chad schował się za menu, które aż się trzęsło od jego cichego śmiechu.

– Nie plotkuj, Bowman – szepnęłam, na siłę prostując zęby widelca i układając go przed nim wraz z podkładką. – To po prostu... to zupełnie nie tak. – Rozejrzałam się, aby sprawdzić, czy inni jeszcze patrzą. I słuchają.

Dziewięćdziesiąt dziewięć procent klientów jadłodajni wróciło do swoich śniadań. Byli zajęci jedzeniem oraz plotkowaniem i przekazywaniem wieści drogą telefoniczną kolejnym uszom w mieście. Tylko jeden starszy pan siedzący przy barze wypalał właśnie wzrokiem dziurę w koszuli Chada. Czy on coś do niego miał?

– Nie zwracaj uwagi na świętoszków, skarbie – rzucił Chad, odwracając mnie w swoją stronę. – To Herman. – Uśmiechnął się i podniósł filiżankę w stronę Hermana, który zdawał się rozdrażniony faktem, iż nagle znalazł się w centrum uwagi, i odstawivszy z furią swoją filiżankę, rzucił na ladę kilka banknotów, po czym wybiegł z jadłodajni. Niestety, po drodze nie dostał drzwiami za swoją postawę.

– Dobry znajomy, jak widzę. – Oparłam się łokciami o ladę naprzeciw Chada. Mimo że zbagatelizował całe zajście, wiedziałam, że go dotknęło. – Często się z tym spotykasz? Z takimi nienawistnymi spojrzeniami? Miałam nadzieję, że powie, że nie, że większość ludzi jest tolerancyjna i że tylko niektórzy to dupki. Szczególnie w tym mieście, gdzie połowa firm wywieszała flagi w kolorach tęczy.

Chad poruszył się na krześle.

– Nie, tu się to zwykle nie zdarza. Między innymi dlatego właśnie zdecydowaliśmy się przeprowadzić. Teraz jestem w stanie sobie poradzić z takimi reakcjami, ale gdy byłem młodszy, zaraz po szkole średniej, tego typu sytuacje mnie wykańczały. – Uśmiechnął się. – Wtedy wpadłbym w panikę i nic bym nie powiedział. Dopiero po godzinie miałbym z siebie dobrych odzywek.

To wyznanie ukazało mi Chada w zupełnie nowym świetle. Nie wyobrażałam sobie, jak ciężko skrywać tak duży sekret i udawać, że jest się kimś innym niż w rzeczywistości.

– Szkoda, że w szkole nie miałam o tym pojęcia. Miałbyś kogoś, z kim mógłbyś porozmawiać.

– Zakończmy już ten temat – rzucił szybko. – Chcę poznać wszystkie szczegóły dotyczące ostatniej nocy!

– Telefon do ciebie, Rox! – zawołał ktoś z kuchni, a ja uśmiechnęłam się z ulgą.

– Wydaje mi się, że muszę odebrać...

Chad podniósł dwa palce i wskazał nimi swoje oczy, a potem mnie, dając mi do zrozumienia, że wie, iż coś jest na rzeczy i że będzie mnie obserwować.

Uśmiechnęłam się i podniosłam słuchawkę telefonu wiszącego na ścianie.

– Tu Roxie.

– Witaj, Roxie. Tu pani Oleson z biura burmistrza.

– O, dzień dobry pani Oleson. Jak się pani miewa?

Chad uniósł brwi. Pani Oleson od zawsze pracowała w biurze burmistrza, niezależnie od tego, kto akurat zajmował to stanowisko, i nic, co działo się w mieście, nie działo się bez jej wiedzy czy udziału. Była zupełnie jak pani Harriett Oleson z Walnut Grove... Znów pozwoliłam sobie na kilkusekundową fantazję z Almanzo w roli głównej.

– Roxie, jesteś tam?

– Tak, oczywiście. Czym mogę służyć, pani Oleson?

– Jestem w małych tarapatach, skarbie, i mam nadzieję, że mi pomożesz.

– Zrobię, co w mojej mocy. O co chodzi? – zapytałam nieco speszona, ale zarazem zaintrygowana.

– Cóż, wiesz, że zawsze przynoszę ciasto za lunch z paniami, ale tym ra-

zem się przeliczyłam. Linda i Evelyn bardzo zachwalały ciasto orzechowe, które jadły u ciebie w zeszłym tygodniu, więc zastanawiam się...

– Chciałaby pani ciasto orzechowe?

– Właściwie to potrzebowałabym cztery. A może... mogłabyś upiec też coś innego? Ciasto orzechowe już jadły, więc pomyślałam, że mogłybyśmy je zaskoczyć czymś nowym – powiedziała ciszej, a w jej głosie było słycać nutkę tajemniczości. – W zeszłym tygodniu Eleanor upiekła swoje słynne ciasto biszkoptowe, więc teraz muszę podnieść poprzeczkę.

– Coś nowego – powtórzyłam, patrząc z niepokojem na pustą gablotkę. Nie martwiłam się tym, jak upiekę więcej ciast, tylko tym, jak bardzo tego chcę. – Na kiedy je pani potrzebuje?

– Na jutro?

Znów spojrzałam na gablotkę. Rano było w niej osiem ciast, każde pokrojone na osiem kawałków. Teraz zostały okruszki.

Czy w ogóle chciałam to zrobić? Powinnam raczej zapytać, czy dam radę to zrobić i po prostu dorzucić tę jedną rzecz do i tak już wypełnionego grafiku.

– O czym dokładnie pani myślała? – zapytałam, sięgając do kieszeni fartuszka Maxine, która właśnie przechodziła obok, po żółty bloczek zamówień. Zmarszczyła czoło, zerkając na mnie spod koka w stylu lat sześćdziesiątych. – Tego też potrzebuję. – Przybrałam przymilny ton, wyciągając długopis z utrwalonej lakierem fryzury, a Maxine pacnęła mnie w pupę ścierką.

– Marchewkowe? – powtórzyłam za panią Oleson. – Tradycyjne?

Z orzeszkami? – Na myśl o ponownych zakupach u Leo aż zakreśliło mi się w głowie. Mogłabym zrobić polewę serową. Widziałam pojemniczki z serem z pobliskiej mleczarni na farmie Maxwellów. Co jeszcze mogłabym tam zdybać? A może on by mnie zdybał? Może dokończyły to, co zaczął tamtego dnia w silosie...

Cholera, przecież rozmawiałam przez telefon!

– Ciasta będą gotowe na jutro rano – rzuciłam nieco zmieszana.

Dopiero co się rozłączyłam, gdy do jadalni weszła rodzina Scottów: mama, tata, dwoje dzieci i trzecie w drodze, gotowe wyskoczyć na świat lada dzień.

– Siadajcie! – zawołałam, wychylając się zza lady, aby zobaczyć, czy

gdzieś jest wolny boks albo stolik. Było jedno miejsce, do którego pani Scott była w stanie jakoś się dostać.

– Wygląda na to, że ktoś zaczyna zdobywać popularność w tym mieście – rzucił Chad znad menu.

– Nawet nie wiem, czemu udajesz, że czytasz jadłospis. Zawsze zamawiasz to samo. Pastę z tuńczyka, sałatkę ziemniaczaną i colę o smaku wiśniowym. – Przewróciłam oczami i klepnęłam go lekko w czoło kartą.

– Wie, co zamawiają jej goście, słynie ze swoich wypieków, zdecydowanie nie kocha się w farmerze... Cudowne lato Roxie Callahan – rzucił Chad.

Znów go pacnęłam w czoło, nie próbując już ukryć uśmiechu.

Przekazałam jego zamówienie do kuchni i zaczęłam przeglądać jedną ze starych książek kucharskich, które mama trzymała za barem. Stara Betty Crocker z lat pięćdziesiątych była pełna amerykańskich klasyków: biszkopt, anielskie ciasto, diabelski tort, kokosowy przekładaniec, babka piaskowa... I wtedy natrafiłam na istną kopalnię pomysłów: część poświęconą europejskim deserom. Tiramisu, tort szwarcwaldzki, pavlova, irlandzka kawowa pianka... Już zabierałam się za czytanie o ilości alkoholu w cieście czekoladowym z pianką, gdy do baru podszedł pan Scott.

– Boże, nie widziałem cię od dwudziestu lat! – krzyknął i wskazał irlandzką szarlotkę pod chmurką, ciasto bezowe mocno zakrapiane whiskey. Jabłka słodzone cydrem i cukrem, z sokiem z cytryny, pod pierzynką ze słodkiej, lekko rumianej bezy.

Pan Scott pochylił się nad książką kucharską. Wyglądał tak, jakby zaraz miał dostać ślinotoku.

– Będiesz to piec? – zapytał z nadzieją w głosie.

– Nie wiem, może... Nigdy wcześniej tego nie piekłam – skwitowałam, wiedziałam jednak, że mogę upiec to ciasto z łatwością, a regularnie wpadający klienci z pewnością w nim zasmakują. Hmm, to nie była pora na jabłka, ale wkrótce miały się pojawić brzoskwinie. W głowie zaczęłam już zmieniać przepis: może mniej cynamonu i odrobina burbonu? Czy Leo miał brzoskwinie? Słodkie, pociągające brzoskwinie i słodki, pociągający Leo...

„Zajęcia z robienia pikli à la zombie” – właśnie taki napis widniał za frontową szybą jadłodajni, oparty o prawie czterdziestolitrowy plastikowy słój, co zdaniem Chada stanowiło najwyraźniej wyższy poziom artyzmu.

– Jest ironicznie, jest domowo, jest idealnie! – powiedział, pokazując mi tabliczkę i zmuszając mnie do tego, bym pozwoliła mu ją wywiesić. Im bardziej próbowałam mu wyjaśnić, że ciężko to nazwać zajęciami, tym bardziej on nalegał. I tak oto znalazłam się w otoczeniu desek do krojenia, ogórków, czosnku i słoików, oczekując na rozpoczęcie pierwszych zajęć. W jadłodajni było cicho. Światła z przodu pogaszono i wyłączono szafę grającą, a w powietrzu unosiło się tylko ciche brzęczenie lodówek.

Ziewnęłam, opierając się o bar. Poprzedniej nocy udało mi się przespać tylko trzy godziny, a był to bardzo długi dzień. Jedna z głównych kucharek zachorowała, więc musiałam stać przy grillu na zmianie śniadaniowej i obiadowej. Bolały mnie plecy i ramiona, a do tego poparzyłam sobie palce.

Najdziwniejszy w tym wszystkim było jednak to, że mimo tego wszystkiego czułam się... szczęśliwa. Miałam za sobą ciężki dzień, zrobiłam wszystko, co trzeba, dosłownie gasząc pożary i upewniając się, że każda wychodząca osoba była ukontentowana jakością lunchu. Dziś przygotowałam nową wersję zupy pomidorowej. Zamiast zwykłych pomidorów z puszki użyłam świeżych, które najpierw upiekłam z bazylią i odrobiną trybuli, po czym zmiksowałam. Dodałam *crème fraîche* zamiast mieszanki śmietany i mleka, a potem grzanki z chałki wraz z serem *gruyère* i czarnym pieprzem. Czy udało nam się sprzedać całą zupę przed jedenastą? Być może. Czy mieliśmy dużo zamówień na tę zupę na wynos? Tak! Tony!

Oprócz szczęścia poczułam również... spokój. Poczułam, że gdzieś przynależę. Wydawać by się mogło, że to zupełnie naturalna reakcja, bo w końcu byłam u siebie, a jednak nigdy wcześniej tak się nie czułam. A jeśli dodać do tego wszystkiego... motyle w brzuchu?

Nie, to nie to.

Szumy w sercu?

Jestem pewna, że pod względem kardiologicznym nic mi nie dolega.

Niestrawność?

Przy moim żołądku z żelaza? Raczej niemożliwe.

A więc co?

Nadzieja? Radość? Ciekawość?

Niestrawność. To na pewno to. Za dużo grzanek.

Od grzanek dostaje się motyli w brzuchu?

Mmm, hmm...

Zastanowiłam się nad tym przez chwilę, trzymając w dłoni ogórek, co naturalnie przywiodło inne skojarzenia, których nie miałam jednak czasu zgłębić, jako że właściciel ogórka, którego miałam nadzieję trzymać, właśnie wszedł przez frontowe drzwi, szukając mnie wzrokiem. To stąd te motyle...

Gdy tylko Leo zobaczył, co trzymam w ręku, na jego twarzy zaraz pojawił się uśmiech. W tej samej chwili w jadłodajni zaczęło brakować powietrza, a ja przestałam dostrzegać cokolwiek poza jego twarzą, oczami, uśmiechem... i oczywiście ogórkiem. Sekundę później zdałam sobie sprawę, że wpadłam w tarapaty.

Facet był niesamowity.

Był prawdziwy, słodki i miły. Wiedział, jak przedostać się przez każdą możliwą szczelinę w mojej zbroi, by dostać się do serca.

Jedzenie.

Orgazmy.

Jedzenie.

Był słodki.

Jedzenie.

Był silny.

Orgazmy.

O rany!

Był dowcipny.

Był troskliwy.

Był miły.

Nie bał się uświnić sobie rąk.

Nie bał się rozmawiać o świństewkach.

A co najbardziej zaskakujące: już czułam, że brakowało mi go w łóżku.

– Cześć, Groszku – rzucił. – Co tam planujesz dla tego ogórka?

Oficjalnie miałam ripostę. Oficjalnie dowcipnie się przekomarzałam w luźniej atmosferze flirtu. Oficjalnie unieszkodliwiłam wszystkie motylki, na tyle odważne, aby zamachać skrzydłami gdzieś w środku. A nieoficjalnie? Samo uczucie, że jestem czymś Groszkiem, wywoływało na mojej twarzy szeroki uśmiech. Nic dowcipnego nie padło z moich ust, które były zbyt pochłonięte uśmiechaniem się. A potem uśmiech zamienił się w pocałunek: jeden, dwa, trzy. Niemal przeskoczyłam przez ladę i o mały włos nie rzuciłam się na Leo niczym jakaś głupiutka panienska z któregoś z filmów Nicholasa Sparksa, padając w jego silne ramiona i całując go tak, jakby ktoś groził, że zabierze mi już na zawsze jego usta.

Objął mnie nieco zaskoczony, a ja wtuliłam w niego twarz. Natychmiast obsypał mnie pocałunkami, dotykając wargami czoła, kości policzkowych, koniuszka nosa i w końcu znowu ust. Po chwili posadził mnie na barze, rozwarł moje nogi i stanął między moimi udami. Objęłam go nogami, zaplatając mu je wysoko na plecach, a on nachylił się nade mną i położył głowę na moich piersiach, chwytając mnie mocno za biodra.

– Doprowadzasz mnie do szaleństwa, Groszku – jęknął.

– Powiedz tak do mnie jeszcze raz, a odwołam zajęcia z piklowania. – Przesunęłam dłońmi po jego włosach, ugniatając lekko skórę i dostając w zamian pomruk zadowolenia.

– Groszek? Czy to tak na ciebie działa? – zapytał, a ja przysunęłam jego głowę bliżej swojej.

– Koniec. Zajęcia odwołane. – Już miałam mu powiedzieć, aby zamknął drzwi i wziął mnie tu i teraz, gdy usłyszałam dobiegający z tyłu odgłos klaskania w stylu filmów z lat osiemdziesiątych.

– Brawo. Czy wszystkie zajęcia będą się zaczynać w ten sposób?

W drzwiach stali Chad i Logan. Trzymali ogórki.

Osunęłam się na klatkę piersiową Leo, wciągając głęboko jego mocny zapach i wydechając swą frustrację wywołaną faktem, że tak brutalnie nam przerwano. Gdy podniosłam wzrok, Logan wykonywał właśnie na ogórku gest zdecydowanie nie w stylu dżentelmena. Parsknęłam śmiechem wbrew sobie, a Leo pomógł mi zejść z lady i stawić czoło malutkiej widowni.

– Gotowi na piklowanie?

Zdecydowanie byli gotowi na piklowanie, więc piklowaliśmy. Gdy już przestali żartować na temat ogórków, okazali się zaskakująco pojętnymi uczniami. Słuchali poleceń, więc w dziewięćdziesiąt minut udało nam się zrobić kilka słoików. Dobrze się przy tym bawiłam i przy okazji sobie przypomniałam, jak bardzo lubię uczyć ludzi podobnych rzeczy. Leo przez cały wieczór nie opuszczał mnie ani na krok, odpierając niezbyt subtelne pytania Chada na temat tego, co nas łączy, i za każdym razem inteligentnie zmieniając temat. Dla Chada to było frustrujące, a dla mnie zabawne. Zastanawiałam się, do czego by doszło, gdyby Chad i Logan się nie pojawili... nieważne. Rozkoszowałam się wieczorem w towarzystwie tych pięknych mężczyzn i perspektywą, że jednego z nich być może zobaczę nago. Zajęcia z robienia pikli à la zombie zakończyły się niekwestionowanym sukcesem, zwracając przy tym uwagę kilku przechodniów. Bo jak można się nie zatrzymać, czytając taki napis? Mimo że drzwi były zamknięte, nie powstrzymało to ludzi od zagłędania do środka przez okno.

– Powinniśmy zorganizować więcej takich zajęć! Chcę tyle pikli, aby starczyło na całą zimę – ogłosił Logan, przyklejając etykietkę na swoich ogórkach do hamburgerów.

– Te pikle trzeba trzymać w lodówce, więc będą dobre tylko przez parę miesięcy. Jeśli chcecie przechowywać je dłużej, to już zupełnie inna para kaloszy. Trzeba je najpierw trochę pogotować, tak jak w przypadku galaretki czy dżemu.

– Tak! Zróbmy dżem! – rzucił entuzjastycznie Chad.

– Spokój na sali! – powiedziałam, patrząc, jak Leo próbuje stłumić śmiech. – Oczywiście, możemy zrobić dżem, ale nie dzisiaj. – Uśmiechnęłam się, widząc ich entuzjazm, gdy podniosłam kilka słoików z własnymi piklami – małe ogóreczki w pikantnej zalewie z ostrą papryką i odrobinką miodu – i ruszyłam w stronę lodówki.

– To może uda się w przyszłym tygodniu? O tej samej porze i w tym samym miejscu? – zapytał Logan, a ja skinęłam głową.

– Właśnie pojawiły się jeżyny, a za tydzień będą maliny – powiedział Leo. – Uwielbiam dżem malinowy...

– Wiesz, jak zrobić mus jabłkowy? – zapytał Chad, sprząając swoje stanowisko pracy. – Moja niania robiła taki mus zawsze w październiku,

a ja codziennie po szkole zjadałem pół bochenka chleba z tym musem. Możemy coś takiego przyrządzić?

– Nie możemy, przykro mi...

– Dlaczego nie? – I wtedy w jego oczach pojawił się szelmowski uśmiech. – A jeśli założę moją starą kurtkę z drużyny sportowej?

Na dźwięk tego słowa zza lodówki od razu wysunęła się głowa Logana.

– Roxie, niech założy kurtkę! Jest niesamowicie seksowna.

– Oj, pamiętam. Niestety, mus jabłkowy robi się jesienią.

– No i? – dopytywał Chad.

– Nie będzie mnie tu jesienią – powiedziałam cicho, czując na sobie wzrok Leo. Ciekawe, że można fizycznie poczuć czyjś wzrok z drugiego końca pokoju... – Wyjeżdżam, jak tylko moja mama wróci. Pamiętacie? W kuchni zapanowała cisza, a wesoły nastrój gdzieś się ulotnił.

– Poza tym Pani Marmoladka by mnie chyba zabiła, gdyby się dowiedziała, że uczę was robić dżem. Nie mogę zabrać jej klientów od musu jabłkowego... Ale bym się nasłuchiwała. Nigdy by mi tego nie wybaczyła.

– Raczej się nie nasłuchasz, bo cię tu nie będzie. Za to my ci możemy nie wybaczyć.

Przewróciłam oczami.

– No dobra, koniec zajęć. Następnym razem dżem, o tej samej porze i w tym samym miejscu – powiedziałam, zmuszając się do wesołego i lekkiego tonu.

Chad pokiwał głową, przyciągnął mnie do siebie i przytulił na pożegnanie.

– Fajnie było. Dzięki za pikle. – Pocałował mnie lekko w czoło, po czym pomógł Loganowi wyjść ze słoikami.

Zostałam sama z Leo, który spuścił wzrok, gdy tylko się odwróciłam.

– Wezmę miotłę i pomogę ci sprzątać – powiedział, kierując się w stronę pomieszczenia gospodarczego.

Nic nie mogłam powiedzieć, aby złagodzić to nagłe napięcie, bo przecież naprawdę miałam wyjechać. Mój pobyt tu, to, co tu robiłam, to wszystko było tylko na lato.

Leo zabrał się za zmiatanie, a ja za wycieranie baru. Parę minut później zaczęliśmy gawędzić o owocach, z których niedługo będzie można robić przetwory. Rozmowa była luźna i wesoła, a luźna i wesoła w tym kon-

tekście oznacza, że była wyzuta z wszelkich oczekiwań. Żadnych zobowiązań, żadnych pretensji i zdecydowanie żadnych łez. Dlatego gdy na pożegnanie pocałował mnie lekko w czoło, wcale nie poczułam tego podejrzanego szczypania pod powiekami ani nie zauważyłam, aby trzęsła mi się choć troszkę broda.

Zamknęłam jadłodajnię i wróciłam do domu, nie mogłam jednak zasnąć. Oficjalnie był to przecież tylko przelotny romans, a przelotny romans nie przewiduje żadnych klauzul co do miejsca, gdzie druga osoba spędza noc.

Tak jak mówiłam, zakończyło się luźno i wesoło.

Rozdział 15

Nie mogłam uwierzyć, że to już prawie 4 lipca. Wydawało mi się, że dopiero co przyjechałam, ale powiewające wszędzie chorągiewki wyraźnie wskazywały na to, że połowa lata już za nami.

Mogłabym przysiąc, że to miasto angażowało się w chorągiewkowy biznes bardziej niż jakiegokolwiek inne w kraju. Jak tylko nadchodziło jakieś święto państwowe, można było się założyć o słodką szarlotkę, że Bailey Falls przyodzieje czerwone, białe i niebieskie barwy. Dziwaczna tradycja, ale mimo wszystko urocza.

Kończąc pracę, wsiadłam do swojego starego, dobrego amerykańskiego wozu i ruszyłam środkiem starej, dobrej amerykańskiej głównej ulicy, myśląc o tym, jakby to było kochać się ze starym, dobrym amerykańskim farmerem, trzymając w dłoniach zimne ognie. Właśnie w taki sposób zamierzałam obchodzić tegoroczne święto.

Rozmyślałam nad tym przez moment, machając mijanym po drodze znajomym. Byli to ludzie, których kiedyś znałam, których poznałam na nowo i zupełnie nowe twarze, które dopiero co pojawiły się w moim życiu. Znałam imiona niektórych i zwykle pamiętałam, co zamawiają.

O, na przykład Pan Jajecznicza na Żytnim Toście, który właśnie wychodził ze sklepu z narzędziami, trzymając opaski zaciskowe. Ciekawe, czy planował je wypróbować na Pani Grysik na Odtłuszczonym Mleku bez Rodzynek. Założę się, że nie lubi rodzynek, ale lubi malinki...

Termometr na ścianie banku informował, że są niemal trzydzieści dwa stopnie, więc cieszył mnie lekki wiaterek wpadający przez okno. Włączwszy radio, usłyszałam *Mysterious Ways* i uśmiechnęłam się na myśl o tym, że stacja ze starymi przebojami puszcza *Achtung Baby*. Moja matka zwariowałaby, gdyby się dowiedziała. Gdzie mogła być teraz? W Brazylii? We Włoszech? W Minnesocie? Gdziekolwiek była, miałam nadzieję, że się dobrze bawi.

Po drodze do domu zobaczyłam parę nastoletnich dziewczyn zmierzających do lasu za budynkiem szkoły średniej; niosły ręczniki i piłkę plażową. Wiedziałam już, gdzie spędzę resztę popołudnia. I z kim.

Przyspieszyłam, zatrzymując się tylko na moment, aby wysłać SMS:

Możesz dziś powagarować?

Niemal natychmiast odpisał:

A będziesz nago? Mogę wziąć pod rozwagę jedynie propozycję nagiego wagarowania.

Bardzo możliwe. Bierz się w garść i po prostu rób swoje.

Czy to nie cytat z Lśnienia?

W takim razie musisz poważnie potraktować moją propozycję. I nie zwracaj uwagi na siekierę za moimi plecami.

Masz szczęście, że lubię niebezpieczne kobiety. Kiedy?

Teraz. Zamień motykę na gatki do pływania. Będę za piętnaście minut.

Gatki? Zaintrygowałaś mnie.

Na tyle, aby powagarować?

Daj mi 20 minut, coś na przegryzkę i umowa stoi.

Robi się.

I ma być nago. Pamiętaj: nago.

Zrobię, co w mojej mocy.

Założyłam bikini, upewniając się, że zawiązałam podwójne supełki, zabezpieczenie przed Leo. Znalazłam przenośną lodówkę i włożyłam do niej lód, piwo i kanapki, które przygotowałam sobie wcześniej na kolację. Zabrałam również stary przenośny odtwarzacz płyt należący do mamy. Był wielki, kwadratowy i miał mnóstwo pokręteł, przycisków i suwaków, czyli był to dokładnie taki sprzęt, jaki powinien towarzyszyć każdemu na wagarach nad wodą.

Każde miasto w okolicy gór Catskills miało jakiś naturalny zbiornik wodny albo leżało w pobliżu jakiejś wody. Było tu wiele strumyków, rzek, stawów i małych jezior, a skoro była woda, grzechem byłoby się nie wykąpać. W taki sposób jako dzieci radziliśmy sobie tutaj z wysokimi temperaturami w lecie i w takich okolicznościach jako nastolatki nauczyliśmy się francuskich pocałunków.

W okolicy Bailey Falls nie brakowało świetnych miejsc, w których można było popływać, a staw The Tube był moim ulubionym. Położony na skraju hotelu Bryant Mountain House, przypominał małe źródło z sadzawką, która łączyła się z większym jeziorem w granicach obiektu.

Przejrzysta, zimna woda, skaliste dno, a także wiele wystających skał dla odważnych i chętnych do skoków – w upalny dzień można tam było znaleźć nieco chłodu i właśnie w to miejsce chciałam dziś zabrać Leo.

Gdy podjechałam pod kamienną stodołę, zdałam sobie sprawę, że nadal właściwie nie wiem, gdzie on mieszka. Powiedział, że nie korzysta z rezydencji, bo oprowadzają po niej wycieczki i jest to bardziej rewir jego matki, gdy przyjeżdża z wizytą. Odniosłam wrażenie, nie zdarza się to zbyt często. Gdzie więc spędzał noce? Na terenie posiadłości były domki gościnne, które zaadaptował na akademiki dla stażystów biorących udział w programie szkoleniowym, ale sam raczej tam nie mieszkał...

Zanim zdażyłam się nad tym dłużej zastanowić, zobaczyłam go na drodze. Był wyższy niż reszta grupy, a jego blond włosy mieniły się w słońcu. Z każdym dniem stawały się jaśniejsze.

Pożegnał się z grupą, z którą akurat rozmawiał, po czym podbiegł do mojego dżipa.

– Ależ jesteś tajemnicza – powiedział, podchodząc do okna. Popatrzył w lewo, w prawo (czy przypadkiem nie po to, aby się upewnić, że nikt nie patrzy?) i nachylił się, aby mnie pocałować. Raz, dwa, trzy razy. – Dokąd jedziemy, Groszku?

W tym momencie moje palce u stóp odruchowo się napięły i niechcący nacisnęłam pedał gazu. Śmiejąc się, odsunął ręce od auta i podniósł je w pojednawczym geście.

– Wsiadaj – rzuciłam. – I zapnij pasy.

– A więc to tutaj przyprowadzałaś chłopców, aby się z nimi zabawiać, gdy byłaś młodsza.

Skęciliśmy z głównej drogi w stronę lasu, a następnie na wydeptaną ścieżkę, gdzie mój wagoner ledwo się mieścił bez łamania wystających to tu, to tam gałęzi. Cieszyłam się, że w miejscu, gdzie zaparkowałam, nie było innych samochodów. Przeszliśmy jakieś kilkaset metrów dalej na polanę leżącą nad najczystszy i najzimniejszy stawem w promieniu kilkuset kilometrów.

Woda wypływała z podziemnego źródła, a następnie przebijała się przez skałę pod spodem, tworząc ten piękny mały basen okolony wielkimi, nierównymi głazami, z których jedne były ostre i spiczaste, a inne płaskie niczym gigantyczne patery. Jeziorko miało owalny kształt i przypominało tubę, stąd nazwa. Ponieważ było mniejsze niż inne popularne kąpieliska w pobliżu, zwykle nie było tu tłoczno.

Dziś mieliśmy je tylko dla siebie.

Gdy tak staliśmy, podziwiając je z góry, wreszcie dotarło do mnie to, co wcześniej powiedział. Popatrzyłam w jego rozbawione, figlarne oczy, które czekały z niecierpliwością na moją odpowiedź.

– Nigdy nie przyprowadzałam tu chłopców, proszę pana. Ani po to, żeby się z nimi zabawić, ani po nic innego. – To mówiąc, dałam mu klapsa.

– Oj, ciężko mi w to uwierzyć. – Droczył się ze mną, rewanżując takim samym klapsem. – No dalej, mnie możesz powiedzieć. Nastoletnia Roxie z tymi swoimi legendarnymi zdolnościami kulinarnymi musiała urządzać nie lada pikniki, kusząc chłopców kąpielą na golasa.

Zastanowiłam się nad tym przez moment. Przepiękna wizja... Porwać obrus w biało-czerwoną kratę i rozłożyć go na trawie, pośród dzikich kwiatów, a potem siedzieć na nim z Chadem Bowmanem, karmiąc się nawzajem przecierem jabłkowym, pogryzając małe kanapeczki i rozmawiając o... czymkolwiek, o czym mogliśmy wtedy rozmawiać.

Ciężko było sobie siebie wyobrazić z niegdysiejszym numerem jeden wśród chłopaków, podczas gdy mój obecny numer jeden stał tuż obok.

– Nie byłam taka – skwitowałam, przyciągając go do siebie i kładąc sobie jego dłonie nisko na plecach. Wsunął mi ręce do tylnych kieszeni spodenek, jak to robili na klipach w MTV w czasach, gdy puszczała tam jeszcze klipy. – Byłam nieśmiała. Wolałam obserwować innych i trzy-

mać się z boku. Dopiero gdy wyjechałam z Bailey Falls, stałam się bezwstydną. – Skubnęłam jego brodę zębami, a on w odpowiedzi ścisnął mnie dwa razy za pośladki. – A mówiąc o bezwstydnicy, chętnie popracuję nad niezapomnianymi wspomnieniami. Zainteresowany?

W odpowiedzi dostałam mocny, palący pocałunek. Tak, był zainteresowany.

Schodziliśmy ostrożnie skalistą ścieżką, a on zachowywał się jak prawdziwy rycerz, podając mi pomocną dłoń, która za każdym razem nieuchronnie lądowała na moich pośladkach. Czasami niby niechcący ocierał się o moją pierś, na co nie reagowałam ze zbyt wielkim oburzeniem. Po prostu nie byliśmy w stanie oderwać od siebie rąk, a ja szybko uzależniałam się od uczucia napawającej mnie spokojem słodyczy z domieszką stale rosnącej namiętności. Wiedziałam, że ciężko będzie mi się od tego wszystkiego tak zwyczajnie odciąć, kiedy lato się skończy.

Oparłam się o jego ramię, wciągając zapach skóry.

Wella, wella, wella, huh26...

26 Fragment piosenki *Summer Nights* z musicalu *Grease*.

Byłam uzależniona od wszystkiego, co było związane z Leo. Schodząc po skalistym zboczu, skoncentrowałam się na jego palcach: opalonych, silnych i takich męskich. Nie były nieskazitelnie czyste i zadbane, takie, jakie ma większość mężczyzn w Los Angeles. Jego dłonie były zrogowaciałe i zniszczone ciężką pracą.

W tym momencie akurat bawiły się rąbkiem moich spodenek, których postrzępione końce zdawały się jego ulubioną częścią mojej garderoby. Owijał je sobie wokół palca wskazującego, a miejsca, gdzie nasze ciała się stykały, stały się punktami zapalnymi, odpowiadającymi za dreszcze, które czułam wzdłuż kręgosłupa i pod spodenkami.

Im niżej byliśmy, tym częściej mnie dotykał. Kiedy nie łapał mnie za pośladki albo nie muskał biustu, ocierał się o mnie w innym miejscu i był to najdelikatniejszy dotyk na świecie. Zdawało mi się, że robi to nieświadomie i że reakcja, jaką wywołuje, jest dla niego tak samo zaskakująca jak dla mnie.

Bawiliśmy się tak aż do samego dołu, gdzie drzewa nagle się przerzedziły, a panujący tam spokój zmusił nas do zapanowania nad wygłupami.

– Tu jest idealnie – powiedział, stając za mną i kładąc mi głowę na ra-

mieniu.

Nad wodą przeleciała ważka, ruchem skrzydeł burząc niebieską, kuszącą taflę. Mieliśmy to miejsce tylko dla siebie, a mnie coś nagle przyszło do głowy.

Odwróciłam się w jego ramionach i zamrugałam niewinnie rzęsami.

– Zostań tu – poleciłam, dźgając go palcem wskazującym w klatkę piersiową.

W jego oczach pojawiła się ciekawość i zdawało się, że chce zapytać, co zamierzam zrobić, ale w końcu nic nie powiedział, pozwalając mi odegrać swoją rolę.

Rzuciłam klapki pod pobliskie drzewo. Po chwili dołączyła do nich moja biała koszulka. Na widok mojego prawie nieistniejącego bikini w białe groszki Leo aż zmrużył oczy. Zsunęłam spodenki, pod którymi kryła się druga część prawie nieistniejącego stroju, i z zadowoleniem zauważyłam, że jego twarz zmieniła wyraz: był naprawdę zadowolony. Odwróciłam się w stronę wody, zerkając przez ramię i uśmiechając się zagadkowo do Leo. Zacisnął pięści wzdłuż ciała, patrząc, jak pociągam za sznureczek od góry bikini, obnażając się przed Bogiem, drzewami i ważkami. Pozwoliłam, aby trójkątne kawałeczki materiału opadły z mojej nagrzaną skórą na ziemię, a on wstrzymał oddech. Zrobił mały krok w przód, ale szybko się zatrzymał. Pozwolił, abym zrobiła to sama, w swoim tempie, i zdawał się rozkoszować każdą kolejną sekundą.

Zrobiłam krok w stronę stawu, słysząc, że idzie za mną. Gdy dotknęłam palcami wody, zadrżałam. Miałam nadzieję, biorąc pod uwagę porę roku, że będzie nieco cieplejsza, ale była zimna jak lód – mój biust też najwyraźniej był tego samego zdania.

Weszłam głębiej, czując, jak chłód owiewa moje kolana i skórę do połowy uda. Zatrzymałam się i spojrzałam za siebie. Na każdy mój krok w wodzie Leo robił jeden krok w dół. Gdy ja się zatrzymywałam, on także. Kiedy odwróciłam się po raz ostatni, pozwalając, aby zerknął na to, na co drzewa już się napatrzyły, zatrzymał się tak gwałtownie, że musiał pomóc sobie rękami, by nie spaść. Rany, jeśli cycki potrafiły wywołać taką reakcję u faceta, to co będzie, gdy...

Chwyciłam sznureczki na biodrach i pociągnęłam.

Widywałam już wcześniej Leo w takim stanie, ale tym razem prawie po-

bił lądowy oraz morski rekord w rozbieraniu się i wskakiwaniu do wody. Jednocześnie zsunął dzinsy i bokserki, skacząc na jednej nodze i starając się zdjąć piętą buty.

Skrzywił się, gdy wszedł do wody, ale ani na chwilę nie stracił animuszu. Nadal miał na sobie koszulę, jakby zapomniał, że trzeba ją zdjąć. W końcu zdarł ją i rzucił za siebie, tak że z mokrym plaśnięciem wylądowała na skale.

– Nie powinnaś w taki sposób się droczyć z facetem, Roxie... – powiedział, przyciągając mnie do siebie tak szybko, że aż woda między nami plusnęła, ochlapując nasze zarumienione twarze.

Przywarliśmy do siebie, nadzy i mokrzy, a on spojrzał na mnie w taki sposób, jakby zamierzał mnie zaraz pożreć. Nie miałabym nic przeciwko temu. Przesunął mi delikatnie mokrą dłońią po włosach, a ja zamknęłam oczy, rozplywając się pod jego uspokajającym dotykiem. Przyłgnęłam do jego ciepłego ciała, nie przestając się śmiać, podczas gdy on przejął kontrolę. Otworzyłam szeroko oczy, mrugając oślepiona blaskiem słońca, i jęknęłam z zadowoleniem.

Właśnie się nachylał, żeby mnie pocałować, gdy nagle coś brzęczącego przeleciało mi nad uchem. Cała zeszywniałam, Leo też, choć nie do końca w dobrym tego słowa znaczeniu, mimo że pewna konkretna część jego ciała nadal lekko trącała moją nogę.

– Zignoruj ją, Rox. Odleci – powiedział uspokajająco, próbując odgonić intruza.

– Pszczoła. Niedobrze – szepnęłam, zaciskając zęby i próbując uciec, ale nie pozwolił mi na to, trzymając jedną rękę na moich pośladkach, a drugą na policzku. Próbowałam oddychać. – To tak, jakby nawoływały się w lesie: „Hej, Roxie tu jest! Stoi naga w stawie i próbuje małego barabara z Almanzo. Dorwiemy ją!”.

– Ty naprawdę masz kręcka na punkcie Almanzo, co?

– Nawet nie masz pojęcia... Pamiętasz odcinek, gdy Nellie Oleson chciała przyrządzić kurczaka z cynamonem, jego ulubione danie? Nellie nie wiedziała jednak, jak to się robi, więc poprosiła Laurę. Tylko że Laura nienawidziła Nellie, więc zamiast cynamonu użyła pieprzu cayenne...

– mówiłam bez ładu i składu, chowając twarz w klatce piersiowej Leo i próbując wciągnąć nas jak najgłębiej pod wodę.

– Cynamon? Co? – zapytał zmieszany, niemal tracąc równowagę.
– Powiedziałeś, żebym ją zignorowała, więc próbuję ją ignorować. Odleciała już?

Nigdy się nie dowiedziałam, jaka miała paść odpowiedź, bo chwilę potem usłyszałam Pszczołą Numer Jeden i jej wredną kuzynkę, Pszczołą Numer Dwa.

– Żegnam! – pisnęłam i dałam nura pod wodę. Usłyszałam plusk jego rąk podążających za mną, ale byłam już na dnie, gdzie żadna wredna pszczoła nie mogła mnie zdybać. Przepłynęłam parę metrów i wynurzyłam się, widząc, jak Leo macha nad głową rękami, po czym znów się zanurzyłam, ale tym razem z płucami pełnymi powietrza.

To wszystko trwało kilka minut. Wynurzałam się w różnych miejscach, a Leo próbował komunikować się ze mną przez dwie sekundy, gdy akurat byłam na powierzchni. Brodził w wodzie w różnych kierunkach, próbując mnie zlokalizować, ale widział tylko, jak wyskakuję co jakiś czas niczym delfin, aby zaczerpnąć powietrza. Biedy Leo został wciągnięty w grę „Zwalcz krety”²⁷ z wariatką o niesamowitych zdolnościach wstrzymywania oddechu, a ja, pochłonięta kontrolą wdechów i wydechów, słyszałam jedynie strzępy jego słów pomiędzy kolejnymi wynurzeniami.

²⁷ Gra polegająca na wbijaniu pobijakiem wynurzających się z ziemi kretów.

– Roxie, one... odleciały, możesz... Na miłość boską, Rox, możesz już... Cholera, Groszku, czy możesz wreszcie...

Podziałało dopiero to ostatnie. To zawsze działało. Podpłynęłam bliżej niego, zauważając, że nawet pod wodą wygląda cudownie. Nie mogłam się oprzeć, musiałam go pogłaskać... Wsunął ręce pod wodę, złapał mnie za ramiona i wyciągnął na powierzchnię.

– Odleciały? – wykrztusiłam, a on chwycił mnie pod kolanami i owinał sobie moje nogi w pasie.

– Odleciały – powiedział i zanurzył się wraz ze mną. – Co ty ze mną robisz? – szepnął, delikatnie trzymając moją twarz i zdecydowanie niedelikatnie całując mnie w usta. To był namiętny pocałunek, zupełnie wymykający się spod kontroli. Odpowiedziałam mu całym ciałem. Przywarliśmy do siebie mocno, niemal zlewając się w jedno i czując, że nawet

chłód wody nie jest w stanie zgasić tego żaru. Było cudownie. Figlarnie. Nieświadomie.

Było tak bardzo nieświadomie, że nie zauważyliśmy, że w pewnym momencie na skalistym brzegu pojawiła się grupka uczniów szkoły średniej z ręcznikami... i szerokimi uśmiechami na twarzach.

– Oczywiście, pani Montgomery, dwa tuziny babeczek na piknik na czwartego lipca. Wszystkie mają być z wiśniami i likierem czy... Dobrze, mogę upiec też parę z jagodami. Tak, to bardzo patriotyczna postawa. Wiśnie i jagody, a na górze krem waniliowy. Będzie w kolorach flagi...

Zapisałam wszystko, licząc w głowie, ile to będzie kosztować i ile czasu będę potrzebować, aby zrealizować to zamówienie. Ciasto marchewkowe pani Oleson okazało się hitem, a ja stałam się głównym tematem rozmów podczas lunchu dla pań. Byłam rozchwytywana, tak jak moje ciasta.

Gdy zegar nad drzwiami zaczął wybijać pełną godzinę, obejrzałam się za siebie i uśmiechnęłam szeroko na widok Leo, który akurat wszedł.

– Tutaj jesteś – szepnął, widząc, że rozmawiam przez telefon. Delikatnie położył na stołku przy barze kilka toreb, po czym oparł dłonie na ladzie i podciągnął się, jakby miał wskoczyć na konia, a potem usiadł na laminowanym, nieco wyszczerbionym blacie. Nachylił się, cmokając mnie trzy razy w usta, po czym odsunął się lekko, aby sprawdzić, czy się uśmiecham, i nachylił się po czwartego całusa. Gdy z ust przeniósł swoje zainteresowanie na szyję, niemal upuściłam słuchawkę, drżąc w ten cudownie podniecający sposób. Pieścił mnie do momentu, aż nie zobaczył pustej gablotki z deserami, a wtedy spojrzał na mnie z takim smutkiem, że aż musiałam się powstrzymać, by się nie roześmiać, po czym napisałam mu w notesie, w którym właśnie zapisywałam zamówienie pani Montgomery: „Zostawiłam ci trochę babki z jagodami”. Gdy przeczytał wiadomość, jego twarz natychmiast się rozjaśniła. Mężczyźni są tak mało skomplikowani... Podniosłam palec, pokazując, że potrzebuję jeszcze minutę, a on skinął głową.

Zerknął na obracającą się paterę i zauważył parę okruszków, nieco resz-

tek polewy i kilka zbłąkanych borówek. Podpierając się jedną ręką, za co na pewno dostałby najwyższe noty od sędziów oceniających jazdę konną, otworzył szeroko drzwiczki i powybierał resztki, uśmiechając się przy tym nikczemnie. Zaraz potem ustami słodkimi od ciasta zaczął całować mój obojczyk, sprawiając, że mój oddech mocno przyspieszył. Niemal dyszałam do słuchawki.

– Co takiego, pani Montgomery? Tak, słucham, przepraszam. Akurat coś mi przeszkodziło... na moment.

Leo uśmiechnął się szeroko, po czym podciągnął się i przeskoczył za ladę, stając przede mną, podczas gdy ja nadal próbowałam kontynuować rozmowę. Był zdeterminowany i nie przestawał mnie całować. Uśmiechał się, skubał, lizał i ssał skórę na moich ramionach, przesuwając się w stronę zagłębienia pod obojczykiem, a dłonią powoli dotykając brzucha. Otworzyłam szeroko oczy i potrząsnęłam przecząco głową, na co się nie zgodził. Nachylił się i zaczął pocałunkami wytyczać ścieżkę prosto w stronę mojego brzucha, zwinnie przedostając się pod mój fartuszek i rozpinając mi spodenki. Nie zdążyłam nawet wstrzymać oddechu, a jego dłoń już była tuż przy mojej bieliźnie, a on sam wchodził właśnie w sam środek rozmowy, pchając się prosto do mojej... szuflady i – och! Upuściłam słuchawkę. Prosto na jego głowę.

– Dobrze ci tak! – powiedziałam bezgłośnie, próbując się nie śmiać, gdy rozcierał sobie guza na głowie.

Błyskawicznie złapał przyniesione wcześniej paczki i cały czas się uśmiechając, zniknął w kuchni.

Przystawiając sobie z powrotem słuchawkę do ucha, usłyszałam, jak pani Montgomery pyta, kiedy ma odebrać babeczki i dlaczego tak ciężko oddycham.

– Przepraszam, upuściłam telefon... Proszę przyjechać rano. Zamykamy wcześniej ze względu na święto. Do widzenia.

Nakręcona i gotowa na wszystko, ruszyłam w kierunku, w którym zniknął Leo, popychając go na maszynę do lodów i całując go tak, że stracił oddech.

Jednocześnie zajęłam się też jego guzem.

Dziesięć minut później nadal nie mogłam uspokoić oddechu, a moja twarz aż lśniła od rumieńców. Nasz szybki numerek zakończył się (moim) krzykiem na chwilę przed tym, jak dzwonek u drzwi zadzwonił, zapowiadając wejście pierwszych słuchaczy drugich zajęć z piklowania. Założę się, że nikt nigdy nie widział, żeby ktoś tak szybko poprawiał sobie fartuszek.

Co chwila było słychać kolejny dzwonek – schodziło się coraz więcej osób: niektóre znałam, niektóre nie. Nie miałam pojęcia, co jest grane. Wyglądało na to, że moje zajęcia okazały się przebojem wypromowanym drogą pantoflową i wszyscy chcieli wziąć w nich udział. Poczułam dziwny skurcz w żołądku. Chyba właśnie wypełniałam pewną niszę, i to w mieście, w którego własną niszę przysięgałam sobie nigdy się nie wpakować. Najgorsze było to, że czułam się tu...

Dziwnie? Niezupełnie.

Swojsko? Nie do końca, bo choć sceneria była znajoma, wszystko, co działo się tego lata, było dla mnie zupełnie nowe.

Dobrze? Może trochę.

Przytłoczona? Może.

Czułam, że chcę aby zostawiono mnie w spokoju? Oj, być może tak!

Westchnęłam. To, że mój umysł nadal był lekko oszołomiony po małym bara-bara na maszynie do lodów, wcale nie pomagało.

– To normalne, że się denerwujesz, Groszku. – Leo pocałował koniuszek mojego nosa.

Staliśmy w kuchni i patrzyliśmy przez okienko w drzwiach wahadłowych. Potrzebowaliśmy jeszcze paru chwil, aby dojść do siebie, zważywszy na to, że jeszcze niespełna dwie minuty temu czułam go w sobie. Gdy o tym pomyślałam, całe moje ciało się napięło. Mmm... wstrząs operacyjny?

– Właściwie to się nie denerwuję – powiedziałam. – Po prostu nie spodziewałam się tylu osób.

Przyszła agentka nieruchomości Chada i Logana z chłopakiem, Larry, a także panie Oleson i Shrewsbury ze Stowarzyszenia Kobiet. Rozpoznałam kilku młodszych stażystów z farmy Maxwellów i kobietę, którą widziałam, jak wachlowała się liściem sałaty rzymskiej i robiła maślane oczy do Leo. Był tam też jeden bardzo wysoki mężczyzna z czarnymi

włosami związanymi skórzanym paskiem, cały wytatuowany i napakowany po siłowni, ale mimo wszystko wyglądał na dość speszzonego perspektywą uczestnictwa w zajęciach z robienia dżemu.

– Kto to? – szepnęłam.

– Kto?

– Ten facet z *Gry o tron*. – Wskazałam na wysokiego, ciemnego i zabójczo seksownego faceta.

Leo spojrział i parsknął śmiechem.

– Oj, spodoba mu się to... To Oscar z mleczarni.

Odepchnęłam Leo na bok i przyjrzałam się uważniej nowemu gościowi. Był tak wysoki, że właśnie uderzył głową w szyld promujący picie lokalnego piwa, który wisiał nad drzwiami.

– To jest Oscar? – zapytałam z niedowierzaniem.

– Tak. – Leo pokiwał głową.

– Farmer z mleczarni?

– Tak.

Potrząsnęłam głową, obserwując, jak młode dziewczyny, które niewątpliwie przyszły tu za sprawą Leo, teraz chichotały jak głupie na widok Oscara.

– Cholera, żaden inny facet w mieście nie ma z nim szans.

– Słucham? – zapytał Leo.

– Nieważne. – Jednym pchnięciem otworzyłam drzwi i weszłam do jadalni. Chyba coś zaczęli dospywać do wody, kiedy stąd wyjechałam. Przywitawszy wszystkich, pośpiesznie zaczęłam ustawiać wszystko, co było potrzebne do zrobienia dżemu. Jako że pojawiło się więcej osób, niż miałam stanowisk pracy, połączyłam wszystkich w pary niczym Noe, poza Oscarem, którego dołączyłam do Chada i Logana, z czego wydawał się zadowolony.

Gdy już wszystko było gotowe, poprosiłam kursantów o uwagę.

– Witam wszystkich i dziękuję za przybycie. Dziś robimy dżem!

Boże, jak ja uwielbiałam uczyć!

– A możemy się najpierw napić? – zapytał Chad, chichocząc pod nosem. Stłumiłam uśmiech.

– Jak widzicie, nie spodziewałam się aż tylu chętnych, więc będziecie musieli się podzielić słoikami. Następnym razem przygotuję ich więcej.

Wszystko, czego potrzebujecie, macie przed sobą: słoiki, lejek, pektyna, cukier, sok z cytryny. Umyłam już owoce, wyparzyłam słoiki i wieczka, więc wam została ta najlepsza część. Jeśli chodzi o owoce, to macie do dyspozycji różne zapasy z farmy Maxwellów. Są jeżyny, malinojeżyny, maliny, a nawet trochę agrestu...

Nagle Leo objął mnie ramieniem i wsunął mi do ust owoc.

Och, publiczne okazywanie uczuć – nasz sekret został wyjawiony!

Prawdę mówiąc, nikt poza wzdychającymi stażystkami, które szybko skierowały swoją uwagę na Oscara, nic nie zauważył. Gdy zdałam sobie sprawę, że świat się nie zawali przez mój powrót do domu i romans z Leo Maxwellem, zdałam sobie również sprawę z tego, że życie w małym mieście ma też swoje plusy.

Uśmiechnęłam się.

– Okej, chodźcie, trzeba wybrać owoce!

– Może to wcale nie był taki dobry pomysł z tym dżemem – powiedziałam, po raz ostatni myjąc blat. Sok z jeżyn był wszędzie, ale grupa została, aby posprzątać, układając garnki, wieszając łyżki na haczykach i odstawiając miarki na swoje miejsce.

– Żartujesz? To były najfajniejsze zajęcia od lat – rzucił Logan, robiąc plamki z jeżynowego soku na cytrynowej koszulce polo Chada. Chciałabym zobaczyć kolekcję jego letnich koszulek z J. Crew...

– Dobrze się bawiłeś, Oscarze? – zapytałam.

Stał przy zlewie, czyszcząc szczotką butelkę – przesuwając ją to w górę, to w dół. Naprawdę chciałabym powiedzieć, że usłyszałam odpowiedź albo w ogóle cokolwiek z jego ust tego wieczoru, choćby coś w stylu, „cześć, miło cię poznać”, ale wtedy musiałabym skłamać, bo... uff... było gorąco. Razem z Chadem i Loganem staliśmy i patrzyliśmy, jak wsuwa i wysuwa szczotkę, potem coś mówi, wsuwa i wysuwa... Dobry Boże! W końcu założył kaptur i wyszedł, machając na pożegnanie Leo i schylając się mocno, by nie uderzyć w futrynę.

– Czy pani wie, pani Roxie, że za takie zajęcia w mieście mogłaby pani z łatwością wziąć tysiąka? – rzucił Chad.

Ta uwaga sprowadziła mnie na ziemię. Tysiąc dolarów za zajęcia?

W głowie zaczęły mi się obracać korbki i koła zębate, aktywując synapsy. Skłamałabym, gdybym powiedziała, że nie zaczęłam w myślach odhaczać na listach powodów, dla których miałabym ewentualnie zostać w Bailey Falls lub z krzykiem uciec z powrotem do Los Angeles. Przy tygodniowych zajęciach postawiłam duży haczyk w kolumnie „zostać”. W Los Angeles trochę by jednak trwało, zanim udałoby mi się zgromadzić tylu chętnych słuchaczy, szczególnie że nie miałam pojęcia, jak długo będzie nade mną wisieć urok rzucony przez Mitzi i jej drużynę. Leo obserwował to wszystko, zamiatając podłogę, ale starał się nie odzywać.

– Widzę, że cię to zainteresowało. Powiedz, że to przemyślisz – nalegał Chad. Przemawiał do mnie niskim głosem i prowadził mnie w kąt, aby zachować choć pozory prywatności.

Spojrzałam na Leo, który nadal uważnie mi się przyglądał. Śmiał się i rozmawiał z innymi, ale widziałam, że podsłuchuje.

– Może – odpowiedziałam, zasłaniając Chadowi dłonią usta, zanim zdążył pisnąć.

– Leo musi mieć naprawdę magiczną fasolę na tej swojej farmie, że zaczęłaś się zastanawiać nad tym, czy nie zostać.

Chad powiedział to tylko po to, by się ze mną podroczyć, ale ja się od razu wycofałam.

– To nie dlatego! To znaczy... tak, to jest świetna letnia przygoda, ale to nie oznacza, że ja... to znaczy... To, że jest to tylko na lato, nie oznacza, że nie oznacza... Cholera!

Cokolwiek to było, szybko mogło się rozwinąć w coś poważniejszego. To właśnie mówił mi instynkt. Genetycznie obciążona beznadziejną skłonnością do romantyzmu, nigdy nie wiedziałam, czy ufać własnym przeczuciom. Za każdym razem, gdy moje serce nakazywało mi pójść w jednym kierunku, ja rzucałam się automatycznie w drugą stronę.

A co czuł Leo? Wydawało się, że podoba mu się to tak samo, jak mnie. Liczył na trzy miesiące, a co, jeśli...

– Jeśli będziesz się zamykać w sobie i zamęczać myślami, dostaniesz wrzodów. – Chad poklepał mnie delikatnie po plecach. – Nie musisz dziś podejmować decyzji. Najpierw przejdź przez kolejne zajęcia – powiedział, śmiejąc się i dołączając do reszty grupy.

– Co będziemy robić za tydzień, Roxie? – zapytał niecierpliwie jeden stażysta, a w całej jadłodajni zapadła cisza. Nawet Leo przestał zamiatać i wyczekująco oparł brodę na szczotce.

Spojrzałam na bar, uważnie analizując stosik magazynów kulinarnych, które moje mama tak uparcie miesiącami ignorowała. Na okładce widniała duża niebieska miska wypełniona linguine, małżami i sosem pomidorowym.

– Będziemy zaprawiać pomidory – rzuciłam, patrząc na Leo, który aż promieniał z radości.

Rozdział 16

Rozmawiałam przez telefon, słuchając westchnień mojej przyjaciółki Natalie.

– Wiesz, co właśnie jem? – Było słychać, że mówi z pełnymi ustami. – Zgadnij!

– Sądząc po tym ostatnim westchnieniu, dużego, pięknego fiutka. – Roześmiałam się, kiedy zaczęła się krztusić.

Zadzwoiła akurat wtedy, kiedy miałam przerwę pomiędzy śniadaniową a obiadową zmianą i nie bardzo miałam czas rozmawiać. Wślizgnęłam się do kąta, za nieużywany wieszak na ubrania, aby zyskać nieco prywatności, a telefon przycisnęłam ramieniem do ucha. W jadalni był dziś większy ruch niż zwykle. Z każdym dniem chwile spokoju w trakcie przerwy pomiędzy śniadaniem a lunchem stawały się coraz krótsze.

4 lipca zawsze zamykaliśmy wcześniej i otwieraliśmy dopiero po dwóch dniach, aby dać pracownikom małą przerwę. Cieszyłam się perspektywą odpoczynku i leżenia z nogami do góry, może nawet owiniętymi wokół pasa pewnego zielonookiego przystojniaka. Mmm... Wracając jednak do Natalie...

– Mogłam zginąć, wieśniaro! Śmierć od chińskich pierożków!

– Natalie, jesteś w House of Wong beze mnie? To ja powinnam teraz powiedzieć „wieśniaro”, wieśniaro! Wiesz, że uwielbiam te pierożki... Jak możesz się ze mną tak droczyć! Ale ci zazdroszczę!

– Dziewucho, proszę cię... Jesteś w Bailey Falls od tyłu tygodni i ani razu nie zajrzałaś do miasta, więc wcale się z tym źle nie czuję. Słyszysz? – To mówiąc, zamilkła, a w tle rozległo się znaczące siorbanie. Niemożliwe. Nie zrobiłaby tego...

– Zamówiłaś zupę z kluseczkami?

Siorb. Siorb. Siorb.

– Mam dość czekania, aż zbierzesz swój śliczny tyłeczek i tu przyjeździesz. Co tam, do cholery, się u ciebie dzieje?

– Oj, nawet nie masz pojęcia – jęknęłam, wyobrażając sobie bambusowe naczynie do gotowania na parze wypełnione idealnie ulepionymi pierożkami: pyszne, ciągnące się ciasto, cudowny, doprawiony rosół...

– Nadal myślisz o moich pierożkach, co?

Uśmiechnęłam się szeroko.

– Przyłapałaś mnie. To, co robisz, jest podłe.

– Robię to z samotności. Zbieraj się i wsiadaj do pociągu. Będiesz na Grand Central w dziewięćdziesiąt minut.

– Muszę jeszcze wydać lunch. Ty się zbieraj i wsiadaj do pociągu. Szybko dojedziesz do Poughkeepsie.

Natalie roześmiała się drwiąco.

– Tak, ale wtedy będę na wsi. Co ja mam tam, do cholery, robić?

Moja przyjaciółka cierpiała na syndrom Manhattanu. Myślała, że poza jej wysepką nie istnieje już nic wartego odwiedzenia. Normalnie bym jej zawtórowała, zgadzając się, że miasta są dobre, a wioski nie, ale...

– Na wsi? Nie jest aż tak źle.

Halo, a to skąd u mnie...

– Na wsi, na wsi. To wcale nie tłumaczy, dlaczego sama jem pierożki, a ty nadal mi nie powiedziałaś, dlaczego nie wpadłaś do miasta się zabawić.

– Byłam... zajęta. – Czułam się okropnie, bo nie byłam z nią szczerą, ale jak mogłam być z nią szczerą, jeżeli sama z sobą nie byłam? Miałam wolne dni, a gdzie je spędzałam? Na i pod kimś.

– Tylko się z tobą drocę. Wiem, że praca w jadłodajni musi cię wykańczać, ale tęsknię za tobą, Rox! Co się dzieje? Powiedz.

– Nie bardzo mogę teraz rozmawiać – odpowiedziałam, widząc, że zaczyna się zbierać coraz więcej klientów. Za chwilę miało się zrobić naprawdę gorąco.

W świąteczne weekendy miasto zawsze przeżywało najazd turystów, szczególnie nowojorczyków, którzy nie dotarli do Hamptons i uciekali w góry, aby poczuć powiew wiejskiego życia. Wszędzie było gwarno. Leo powiedział, że mają porezerwowane wycieczki po farmie na kilka dni do przodu i nie po raz pierwszy zaczęłam się zastanawiać, kiedy znów się spotkamy. Wstępnie umówiliśmy się, że wieczorem obejrzymy wspólnie pokaz fajerwerków, ale...

– Czyżbym właśnie usłyszała rozmarzone westchnienie? – zapytała Natalie.

– Słucham? – Przeprowadziłam w myślach małą retrospekcję i zdałam sobie sprawę z tego, że istotnie westchnęłam, gdy pomyślałam o Leo.

Cholera, teraz sama zachowywałam się jak mdlejąca nastolatka.

– Nigdy nie wzdychasz w taki sposób, nigdy! Powiedz mi wreszcie, co się dzieje!

O cholera.

– Nie chodzi tylko o jadłodajnię... Po przyjeździe poznałam kogoś. Mamy wakacyjny związek.

– Wakacyjny związek? A co to takiego, do cholery?

– Mam kogoś, z kim się spotykam. Przez lato. I... cóż...

Natalie wstrzymała powietrze.

– I... cóż? Nigdy tak nie kończysz. Jeden kodom, drugi, szast-prast i wracasz do swoich spraw. Nie mów mi, że Panna Żadnego Zamieszania, Żadnego Bałaganu właśnie się za-ko...

– Zam-knij-się! Nie wkładaj mi w usta słów, których nie wypowiedziałam.

– A co on ci wkłada w usta?

Ukryłam twarz w dłoniach.

– O rany...

– Ja za to mogę ci powiedzieć, co właśnie wkładałam w usta. Zupę pełną pierożków. Zabieraj więc tę swoją letnią miłość, ładujcie się do pociągu i przyjeżdżajcie!

– Nie bardzo może się stąd ruszyć. Jest... cóż... jest... – Zakryłam dłońią słuchawkę i szepnęłam: – ...farmerem.

– Jest kim?

– Farmerem.

Gdy wreszcie przestała się śmiać, opowiedziała mi o farmerze, w którym sama się zadurzyła na targu na Union Square. Wydawało się, że farmerzy byli po prostu w modzie.

W końcu udało mi się zakończyć tę rozmowę, obiecując, że wpadnę do miasta, jak tylko będę mogła. Potem ruszyłam w stronę kuchni, przybijając po drodze piątkę Maxine, która dla odmiany pogratulowała mi coraz większej popularności.

Miło było wiedzieć, że jest się popularnym.

– Nie wierzę, że nie chcesz iść na paradę. Kto nie lubi parad? – rzucił

Leo.

Byliśmy w mojej kuchni i zmywaliśmy naczynia po obiedzie. Przyrządziłam gotowaną kukurydzę w stylu meksykańskim, z dużą ilością chili, soli i limonki, w towarzystwie małych, pieczonych ziemniaczków ze świeżym szczypiorkiem i *crème fraîche*, do tego smażony kurczak w marynacie z maślanki, co prowokowało nie tylko do oblizania wszystkich palców, ale i dokładnego oblizania Roxie. Leo okrzyknął smażonego kurczaka najlepszym, jaki jadł, po czym zajął się moją szyją. Nie mogłam się doczekać, co wylize, gdy się dowie, że upiekłam jeszcze ciasto...

Na razie omawialiśmy jednak wydarzenia zaplanowane na wieczór i mój brak zainteresowania.

– Lubię tę paradę, ale od dziecka brałam w niej udział i wiem, co się stanie. Będzie grać orkiestra ze szkoły średniej, cheerleaderki będą dopin-gować, królowa balu będzie machać z platformy z papieru toaletowego, a burmistrz wygłosi przemowę, czemu będzie towarzyszyć mocny zapach potu i lekki bełkot będący następstwem zbyt dużej ilości spożytego alkoholu, zwykle mocnego piwa imbirowego pani Peabody, które nie jest zbyt wysokiej jakości i które podają w plastikowych kubkach. Pokaz fajerwerków odbędzie się nad ratuszem. Zebrani będą wykrzykiwać ochy i achy, po czym pośpiesznie ruszą do samochodów, aby zdążyć do domu przed północą. – Odłożyłam talerz, który właśnie myłam, i poruszyłam znacząco brwiami. – O wiele bardziej wolałabym zostać w domu i wykrzyzczyć trochę ochów i achów z innego powodu, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Szybko odstawił talerz i stanął za mną. Objął mnie w pasie i przyciągnął do siebie.

– Wiem, co masz na myśli. Jeśli jesteś gotowa na ochy i achy, ja jestem gotowy salutować z okazji rocznicy narodzin naszego kraju już od chwili, gdy otworzyłaś mi drzwi w tym swoim biustonoszu w paski i gwiazdki. – To mówiąc, zaczął się o mnie ocierać biodrami.

– Skąd wiedziałeś? – zapytałam, odwracając głowę i patrząc na jego nieśmiały uśmiech.

Wybrałam ten biustonosz specjalnie na tę okazję, dostrzegając go wcześniej w oknie wystawowym na głównej ulicy. Lokalny sklep z bielizną

specjalizował się w garderobie tematycznej. Jeśli jakaś pani chciała zapewnić sobie pełną skarpetę na Boże Narodzenie, ekspedientki pokazywały jej koszulkę nocną wyglądającą jak seksowny kominek. Jeśli inna klientka życzyła sobie, aby jej piersi wyglądały jak tort urodzinowy dla kogoś szczególnego, w sklepie z pewnością był odpowiedni biustonosz. Ktoś potrzebował majteczek ze strategicznie umieszczonym krzaczkiem dla upamiętnienia Święta Drzewa? I z tym nie było problemu.

Ukryłam swoje czerwone, białe i niebieskie pasy pod ubraniem, planując pokazać je Leo dopiero wtedy, gdy będziemy słuchać dobiegającego z oddali huku fajerwerków.

– Gdy łuskałaś kukurydzę, odpiął ci się środkowy guzik i wszystko widziałem. A tak przy okazji, wolałbym, aby całe to łuskanie odbywało się od teraz nago, a przynajmniej tylko w dolnej części bielizny, bo ciężko beznamiętnie na to patrzeć. – Czułam, jak jego wargi przemieszczają się teraz na moje ramię, odsuwając nieco koszulę i odsłaniając te wszystkie gwiazdki oraz paseczki.

– Chcesz mi pomóc łuskać?

– Szczerze mówiąc – wymruczał, kęsając mnie lekko – chciałem przełożyć cię przez tę beczkę z tyłu i wyłuskać cię do ostatniego kukurydzianego ziarenka...

Zamknęłam oczy, wyobrażając sobie nagle, jak Leo, taki silny i nagi, przepiękny i nagi, jeszcze raz powtarzam – nagi – wchodzi we mnie od tyłu, przerzuciwszy mnie wcześniej bez żadnych oporów przez beczkę z deszczówką, podczas gdy nocne niebo rozjaśnia blask fajerwerków. Moje podbrzusze natychmiast wypełniła żądza i wypięłam biodra, szukając styczności z czymkolwiek, co choć przypominało kukurydzianą kolbę. Nagle wsunął mi dłoń pod koszulę, a ja poczułam, że krew zaczyna mi szybciej krążyć w żyłach.

Moje usta czuły się samotne. Moje piersi były ciężkie i napięte. Moje biodra domagały się bardzo konkretnego drogowskazu, szczególnie do przodu i do tyłu, a reszta mojego ciała aż bolała od uczucia pustki. Oparłam mu głowę na klatce piersiowej, a on musnął wargami moją szyję, otaczając mnie zapachem ziemi, trawy i opalenizny. Spojrzałam w dół, jak zaczyna odpinać mi guziki, i ujrzałam jego dłonie na swoim ciele.

Duże, silne, lekko przybrudzone, z cienką smużką brudu za paznokcia-

mi, której nie dało się usunąć, choć wiedziałam, że je szorował. Twarde, szorstkie, spracowane dłonie, które tak delikatnie zsunęły mi koszulę z ramion, rzucając ją na porysowaną podłogę, już przyzwyczajoną do długich, gorących i pełnych świństwerek dni. Od niego chciałam tego samego.

Długich, gorących i pełnych świństwerek dni. I nocy.

Odwróciłam się, pozwalając, aby mnie sobą otoczył i przycisnął do krawędzi zlewozmywaka. Gdy ujrzał czerwone, białe i niebieskie barwy w pełnej krasie, w jego oczach rozpalila się żądza i uśmiechnął się szeroko, zdając sobie sprawę z tego, że to zaplanowałam: chciałam, byśmy obchodzili dzisiejsze święto w możliwie najbardziej niegrzeczny sposób. – Spójrz tylko na siebie, Groszku – szepnął, podnosząc mnie z taką łatwością, jakby podnosił kociątko, i posadziwszy mnie na skraju blatu, jednym ruchem rozsunął mi uda. Wszedł pomiędzy nie, a ja objęłam go nogami w pasie, dosłownie balansując na krawędzi. Wtem jednym palcem pchnął mnie w sam środek brzucha, a ja wylądowałam z pluskiem w zlewie.

– Co jest? Poważnie, co jest grane? – bełkotałam bezładnie, machając nogami i rozbryzgując wodę.

Leo trzymał mnie na odległość ręki i zaśmiewał się do łez, jednak gdy nasze spojrzenia się spotkały, w jego oczach zamiast psotnych iskierek pojawiły się diabelskie płomienie. Ręce, które wcześniej mnie trzymały, nie pozwalając mi wyjść z wody, teraz zanurkowały pod spodenki i...

– Jesteś cała mokra – zauważył, a w jego spojrzeniu od razu pojawił się ogień pożądania.

– No tak, cóż – skwitowałam, łapiąc się krawędzi zlewozmywaka, gdy tylko jego palce zsunęły się niżej.

– I to nie tylko od wody. – Zbliżył się jeszcze bardziej. Nachyliłam się w stronę jego dłoni, podskakując w zlewie i wstrzymując oddech. Namiętność, która zawsze wrzała gdzieś pod powierzchnią, teraz zaczynała płonąć żywym ogniem, wysyłającym iskry do wszystkich części ciała.

– Wiedziałaś, że twoje oczy zmieniają kolor? – szepnął, patrząc na mnie pożądliwie z bliska, z bardzo bliska.

– Hmm? – Staralam się nie zamykać oczu, mimo że bardzo pragnęłam to zrobić i rozplynać się w rozkoszy.

– Gdy jesteś podniecona. – Wsunął mi palce pod bieliznę, a ja odruchowo się wygięłam, mocno trzymając się krawędzi zlewu.

– Wiem, że zmieniają... kolor, gdy jestem... poirytowana... cholera, jak dobrze.

– Zwykle są lekko piwne, może delikatnie niebieskie, może lekko brązowe, ale gdy robią się zielone... mmm. – To mówiąc, poruszył szybciej palcami, sprawiając, że mój oddech przyspieszył. Nachylił się bliżej i zaczął całować moją szyję, przesuwając się w okolice ucha, do którego szepnął: – A wiedziałaś, że robią się całkiem zielone na moment przed tym, jak dochodzisz?

Jęknęłam. Ten mężczyzna mnie znał, i to bardzo dobrze. Odsunął się lekko i przyjrzał mi się uważnie.

– Popatrz, popatrz, z każdą sekundą robią się coraz bardziej zielone. Niemal natychmiast moje ciało zostało zaatakowane przez tak wiele bodźców, że jedyne, co potrafiłam z siebie wydusić, to jęk. Leo patrzył mi w oczy, przesuwając palcami po skórze, podczas gdy ja rozpadałam się na kawałeczki w jego rękach. Zanim jednak całkowicie odpłynęłam, przyciągnął mnie do siebie i podniósł, a potem poszedł ze mną w stronę tylnych drzwi. Natychmiast wsunęłam mu dłonie we włosy i zaczęłam go namiętnie całować. Zaplotłam mu nogi na plecach, ale zanim złapałam równowagę, postawił mnie przed beczką na deszczówkę i szybko odwrócił.

– Nie można przepuścić takiej okazji – powiedział, po czym zsunął z moich mokrych nóg spodenki i bieliznę. Kilka sekund później usłyszałam, jak odpina zamek w dzinsach. Mmm...

– Złap się mocno, Groszku.

Nachyliłam się, czując chłód nocnego powietrza na obnażonych pośladkach.

– W taki sposób? – zapytałam, wyginając się i zerkając przez ramię. To, co zobaczyłam, niemal zważyło mnie z nóg. Leo ściągający przez głowę koszulkę ze Screaming Trees, jego długi, szczupły tors... Odrzucił na bok T-shirt i z werwą zaczął zsuwać dzinsy, opuszczając je lekko. Zadrżałam, patrząc, jak zębami rozrywa opakowanie z prezerwatywą, a następnie wsuwa dłoń w bokserki. Gdy założył kondom, motylki w moim brzuchu natychmiast się zerwały i rozpierzchły w różne strony. Dla ta-

kiego widoku warto było opuścić parade.

Prawą dłonią trzymał się tuż u nasady, a lewą przesunął wzdłuż mojego kręgosłupa, rozstawiając szeroko palce i popychając mnie mocniej na beczkę.

– Rozstaw szerzej nogi, Rox... właśnie tak – szepnął tym swoim głosem podszytym melasą. Co takiego jest w rozkazach, gdy jest się nago?

Wstrzymałam oddech, kiedy we mnie wszedł i powoli wypuścił powietrze. Jak tylko znalazł się głęboko w środku, wypowiedział moje imię.

Przesunął dłońmi w górę i w dół kręgosłupa, nie poruszając się, tylko stojąc bez ruchu. Jego dłonie głaskały mnie uspokajająco. Powtórzył kilka razy moje imię tym swoim cudnym, chrapliwym szeptem, który był tak samo seksowny, jak i intymny, i który sprawiał, że czułam się niczym obiekt uwielbienia i czci.

Nagle złapał mnie jedną ręką za ramię, a drugą objął moje biodro i wszedł głębiej. To było cudowne.

– Szkoda, że nie możesz się teraz zobaczyć – powiedział, a jego słowa spłynęły na mnie niczym deszcz. Wygięłam się i stawiałam mu opór. Jeszcze raz zerknęłam przez ramię, a widok skupienia na jego twarzy, to, jak zagryzał dolną wargę, gdy we mnie wchodził, żyły na jego szyi – wszystko to sprawiło, że poczułam jeszcze większe podniecenie.

– Mów do mnie... – Słowa uwięzły mi w gardle, gdy przyciągnął mnie mocno do siebie i uśmiechnął się słodko, podnosząc kącik ust.

– Twoja skóra błyszczy. W dodatku nie tylko przez światło księżyca.

– Tak?

– Za każdym razem, gdy w ciebie wchodzi, podsuwasz biodra i... Chryste... czuję cię całą.

– Mmm – jęknęłam, lekko go ściskając. Głośno zamruczał.

– A twoja pupa wygląda fantastycznie. – Dał mi małego klapsa, a ja aż krzyknęłam, i nie był to tylko krzyk wywołany zdziwieniem.

– Właściwa odpowiedź – mruknął, przesuwając dłonią wzdłuż mojego kręgosłupa. Schowawszy ją w moich włosach, chwycił garść kosmyków i lekko pociągnął, a ja wygięłam do tyłu głowę i naprężyłam plecy, balansując już dosłownie na krawędzi beczki i orgazmu, szczególnie że jego druga ręka powędrowała do miejsca, w którym się stykaliśmy.

– Ciekawe, jakiego koloru są teraz twoje oczy – jęknął, coraz szybciej

poruszając biodrami. W jego ruchach można było wyczuć żądzę, głód i desperację. Rozgorączkowana czułam, jak napięcie pulsuje w całym moim ciele, a przed oczami zaczynają mi latać mroczki. Słyszałam, jak Leo ciężko dyszy tuż za mną. Musiałam chyba stać się cała zielona, rozpadając się na tysiące gwiazdek rozproszonych na nocnym niebie, kiedy czułam w sobie jego mocne pchnięcia.

Wszystkiego najlepszego, Ameryko.

– Hej, a to co? – zapytał Leo.

– To moja pierś.

– Domyślam się – skwitował, nachylając się, aby pocałować mój biust. – Ale co to jest? To duże w krzakach.

– Możesz nieco jaśniej? Mam ochotę uciec do domu i zostawić cię tu samego na pastwę tego dużego czegoś w krzakach.

– To – powiedział, pokazując ręką przyczepę.

– A, to stary airstream28 – rzuciłam, moszcząc się w jego ramionach, które nagle w jakiś dziwny sposób... zniknęły.

28 Marka luksusowych przyczep o charakterystycznym zaokrąglonym kształcie i aluminiowej powłoce.

– Jedna z tych starych przyczep? – Leo już był na nogach, pozostawiając moje piersi bez opieki. Niezadowolona zapięłam koszulę, po czym ruszyłam za nim. – Wow, spójrz tylko! Od dawna tu stoi?

– Trudno powiedzieć. Kiedy Nixon był prezydentem?

Odwrócił się i popatrzył na mnie.

– Żartujesz.

– Nigdy nie żartuję, gdy jestem tylko w połowie ubrana – odpowiedziałam, otulając się pruderyjnie koszulą, która i tak była niezapięta.

Omiótł wzrokiem moje ciało – prawie tak, jak młody chłopiec, który nie jest w stanie nie patrzeć na połowicznie rozebraną dziewczynę – po czym znów szybko popatrzył na przyczepę. Próbowałam nie brać tego do siebie.

– Wiesz, kiedy ostatni raz była na drodze? – Oderwał kilka gałęzi i uderzył o aluminium.

– Nadal czekam, aż mi przypomnisz, kiedy Nixon był u władzy – odpo-

wiedziała.

– Kobieto, dobijasz mnie – jęknął, przyświecając sobie latarką w telefonie i próbując zajrzeć do środka. – Ludzie wykorzystują takie rzeczy w różnym celu, wiesz? Nie tylko na kempingu.

– Być może, ale jestem pewna, że w środku kemping urządzają sobie robaczki.

– Restauracja w przyczepie. – Odwrócił się, aby na mnie spojrzeć, świecąc mi telefonem prosto w twarz.

Chwilowo oślepią, zakryłam oczy.

– Mógłbyś świecić w inną stronę?

– Poważnie, Roxie, można by z tego zrobić bufet na kółkach. Wszędzie teraz tego pełno.

– Kolego, jestem z L.A. Bufety na kółkach to tam chleb powszedni.

– Koleżanko – rzucił nagle, stając tuż przede mną z wyłączoną latarką. – Jesteś z Bailey Falls, a tu to jeszcze nie jest chleb powszedni.

Nie minęła chwila, a już w głowie przeglądałam swój kulinarny repertuar, myśląc o daniach, które sprawdziłyby się w bufecie na kółkach. Zaraz potem przyszedł mi na myśl targ farmerski – i darmowe miejsce postojowe dla przyczepy.

Mówią, że gdy wpadnie się na jakiś pomysł, to tak, jakby nad głową zaświeciła się nagle żarówka. W moim przypadku były to fajerwerki nad ratuszem, które wystrzeliły z tyłu ogrodu, oświetlając starą przyczepę w taki sposób, że nagle rozbłysła w całej krasie. Spojrzałam na mojego farmera, który w blasku sztucznych ogni stał na tle kolorów amerykańskiej flagi w samych dżinsach i uśmiechał się szeroko.

Patrzyliśmy na miasteczko leżące poniżej, na migoczące nocne światła i ledwie widoczną w ciemności rzekę Hudson, którą znaczyła jedynie ciemniejsza smużka widniejąca na horyzoncie. Nad tym wszystkim unosiły się ogniste kleksy w kolorze czerwieni, bieli i błękitu, a z oddali dobiegało nas ciche granie szkolnej orkiestry.

Leo objął mnie w biodrach i wpuścił przed siebie, żebym widziała fajerwerki, przyczepę i całe miasto. Oparłam mu głowę na klatce piersiowej, napawając się ciepłem jego skóry. Skrzyżował ręce i z westchnieniem zadowolenia oparł brodę na czubku mojej głowy. Oglądaliśmy pokaz sztucznych ogni. Stojąc tak przy nim, zaczęłam się powoli uspokajać,

zdając sobie nagle sprawę, że to nie on westchnął – to ja westchnęłam – i że to, co właśnie odczuwałam, można nazwać zadowoleniem.

Przez chwilę pozwoliłam sobie popuścić wodze fantazji: bufet na kółkach pełen tradycyjnych ciast, ciągnąca się przez całą przecznicę kolejka stałych klientów, a na koniec długiego, ciężkiego dnia Leo gotowy na długą, ciężką noc.

Zadrżałam, mimo że wtulona w jego ramiona, zupełnie nie czułam zimna.

Rozdział 17

Spałam długo, bo aż do dziesiątej, co jeszcze się nie zdarzyło w mojej sennej historii. Przekręciłam się na bok, wyciągając z rozkoszą i sięgając w stronę Leo. Położyliśmy się późno, spędziwszy noc wtuleni na tarasie za domem. Nie umknęło mojej uwadze, że z nim w łóżku spałam dłużej i mocniej niż kiedykolwiek przedtem. Czyżby aż tak potrafił mnie zmęczyć? Możliwe. Facet był mistrzem cudownych orgazmów.

Nie chodzi tylko o orgazm...

Nie, nie chodziło tylko o orgazm. Chodziło o Leo. Zajmował zbyt dużo miejsca w moim podwójnym łóżku, miał szorstkie dłonie i zimne stopy nawet w najgorętszą noc, a jego włosy na klatce łaskotały mnie w nos, ale uwielbiałam z nim spać. Nieważne, czy na łyżeczkę, z głową na jego torsie, czy stykając się pośladkami – po prostu uwielbiałam.

Przesunęłam łapczywie dłońmi po jego stronie łóżka, szukając ciepłego ciała, ale gdzieś zniknął. Otworzyłam zaspane oczy i zobaczyłam, że na poduszce zostawił mi liścik.

Groszku...

Moje serce zaczęło głośniejsze bić. Dlaczego aż tak mnie to podniecało?

Groszku,

mam dziś pracowity dzień. Pomagam Oscarowi przeprowadzić krowy na nowe pastwisko i muszę wymienić zlew w kuchni. Powinienem skończyć przed piątą – może kolacja dziś wieczorem? Przywiozę ci trochę tych truskawek...

Leo

PS Nie mogę się już doczekać, aż doprowadzę cię do zieloności w niespełna minutę.

Zarumieniłam się na myśl o tych wszystkich rzeczach, które mógłby zrobić, aby moje oczy zmieniły kolor. Potem znów się zarumieniłam, bo zdałam sobie sprawę, że właśnie przytulałam do twarzy liścik, jakbym chciała go pocałować. Przekręciłam się na łóżku, piszcząc niczym uczennica, która przeżywa pierwsze zauroczenie. Westchnęłam w jego

poduszkę i wciągnęłam utrzymujący się na niej zapach. Zachichotałam głośno, wierząc nogami wysoko w powietrzu i uzmysławiając sobie nagle, że w moim przypadku to nie jest tylko zauroczenie.

Przeczytałam jego liścik jeszcze raz, nie mogąc oderwać oczu od swojego przezwiska i zauważając, że na dole zostawił mały rysunek. Była to luźna wariacja przedstawiająca przyczepę i wychylającą się z bocznego okna uśmiechniętą dziewczynę. Patrząc na ciągnącą się do przyczepy długą kolejkę klientów, znów nasunęła mi się pewna myśl – ta sama, która naszła mnie zeszłej nocy, gdy w ramionach mojego Almanzo oglądałam pokaz sztucznych ogni.

Mój Almanzo?

Cicho sza, właśnie próbuję śnić na jawie.

Zaczęłam się zastanawiać.

Bufet na kółkach. Czy dam radę? Czy mogłabym tu zostać i nie wracać do Los Angeles? Nie było to już takie nierealne. Ciasta bardzo dobrze się sprzedawały. Miałam dostęp do Leo i tego wszystkiego, co się z tym wiązało. Szczególnie to drugie bardzo mnie pociągało.

Przekręciłam się na łóżku i przeczytałam jego liścik po raz czwarty. Miał mi przywieźć truskawki, więc mogłam upiec ciasto truskawkowe. Powinnam upiec ciasto truskawkowe... Miałam dziś wolny dzień, bo jadłodajnia była zamknięta.

...muszę wymienić zlew w kuchni...

Nie widziałam jeszcze jego kuchni, ba, nie widziałam jeszcze jego domu, wiedziałam jednak, jak tam dojechać. Pokazał mi kiedyś boczną drogę, która prowadziła do jego części posiadłości, po spokojniejszej stronie farmy. Hm... Mogłabym pojechać tam wcześniej, zrobić mu niespodziankę, poprosić, aby zebrał trochę truskawek i upiec ciasto, podczas gdy on będzie wymieniał ten swój zlew. Chciałam zobaczyć go z kluczem francuskim... Nagle przypomniałam sobie, jak wczoraj wyglądał, i aż zadrżałam.

Weszłam pod prysznic, robiąc w głowie listę wszystkiego, czego potrzebowałam, aby upiec ciasto, a także wszystkiego, czego nie potrzebowałam, na przykład bielizny. Oby... Dwie godziny później jechałam wiej-

ską drogą z ulubioną brytfanką na siedzeniu obok i wszystkimi potrzebnymi składnikami. W radiu leciał akurat utwór U2 *So Cruel*. Od momentu, gdy się obudziłam, nie przestawałam się uśmiechać, a kiedy zdałam sobie z tego sprawę, uśmiechnęłam się jeszcze szerzej.

Mijając bramę wjazdową na farmę, po raz kolejny rozejrzałam się z uznaniem, podziwiając ogrom pracy, jaki włożył, aby stworzyć to miejsce. Zaczynałam powoli poznawać farmę i zauważyłam zmiany, które zaszły tutaj od czasu, gdy po raz pierwszy przyjechałam tu na wycieczkę. Fasola kwiatowa była coraz wyższa. Wspinała się po słupkach, w pełni rozwinięta, zielona i soczysta. Grządki z sałatą były przerzedzone, a niektóre rośliny kwitły, co – jak wytłumaczył Leo – może się zdarzyć, gdy słońce jest zbyt ostre.

Skreśliłam w boczną drogę, którą bliżej miejsca, gdzie musiał stać jego dom, pokrywał żwir. Drzewa zaczęły się przerzedzać, a ja poczułam, że moje serce bije coraz szybciej. Biję coraz szybciej na myśl o tym, że zaraz zobaczę Leo? Zamiast stłamsić to uczucie, pozwoliłam, aby lekko rozkwitło, dając się ponieść radości, która wypełniła mnie całą i rozgrzała od środka, sprawiając, że mur dzielący mnie od świata zaczął nieco kruszeć.

Moje palce wystukiwały wesoło rytm na kierownicy, a ja nuciłam radośnie w takt muzyki. Po dwóch zakrętach ujrzałam rysujący się w oddali dom, przed którym stał zaparkowany samochód Leo. Moje serce zatrzepotało. Był w domu!

Zaparkowałam obok jego dżipa, podziwiając piękny budynek. Kamień polny, wysokie okna, cudne okiennice i ogromny komin. To nie był ani duży, ani mały dom. Był słodki i bardzo w stylu Leo, który właśnie schodził z tarasu. Uśmiechał się. Zawsze szybko znajdował powód do radości i zastanawiałam się, co to było tym razem. Wyszłam z wagoneera i od razu to zobaczyłam.

Na jego ramionach siedziała sześciolatka, może siedmioletnia dziewczynka o jasnych włosach. Miała jego oczy. Leo galopował przez ogród, podczas gdy ona śmiała się i piszcziała.

Zastanawiałam się właśnie, co mam powiedzieć, gdy mnie zauważył i stanął jak wryty. Dziewczynce się to nie spodobało. Popędziła go jak jeździec konia ostrogami i krzyknęła uradowana:

– Wio, tatusiu, wio!

Zupełnie się tego nie spodziewałam. Stałam otępiała, nie zauważając nawet, że gruba pszczoła zabrzęczała i wleciała mi pod spódnicę, żądłąc mnie prosto w udo.

Bolało tak, jak się tego obawiałam.

Gwoli ścisłości, nie uciekłam, nie przeklinałam. Uderzyłam za to dłonią dość mocno w swoją nogę, zabijając pszczołę i sprawiając, że spadła na moją stopę, gdzie leżała na oczach świata, w tym Leo i jego córki, którzy właśnie szli w moją stronę.

– Roxie – powiedział miękkim głosem.

Słyszałam już wcześniej ten ton, ale teraz wzbudził we mnie uczucie paniki, tak że musiałam spuścić wzrok, starając się nie patrzeć ani na Leo, ani jego córkę – jego córkę! Wbiłam wzrok w pszczołę leżącą na mojej nodze, zdając sobie nagle sprawę z bólu promieniującego na całą środkową część uda. W moich oczach pojawiły się dwie wielkie łzy, które spływały po policzkach, zanim zdążyłam je powstrzymać.

– Użądliła mnie – rzuciłam, czując, jak łzy spływają mi po brodzie i opadają na sukienkę. Zostałam użądlnona! Kopnęłam pszczołę, patrząc, jak spada na trawę. To był duży owad. Czy naprawdę płakałam? Co się działo? – Użądliła mnie – powtórzyłam, masując nogę i pogarszając tym samym sytuację.

– Użądliła cię pszczoła? – zapytała dziewczynka, a ja spojrzałam w jej zielone oczy, tak bardzo znajome. Pszczoły to małe paskudy! Czemu nikt mnie nie chciał słuchać?!

– Tak. – Pociągnęłam nosem, wycierając twarz, która z każdą sekundą stawała się coraz bardziej rozpalona.

– Pokaż mi, pokaż! – powiedziała.

Leo kucnął, a ona z wprawą zeskoczyła z jego pleców, po czym podbiegła do mnie i popatrzyła wyczekująco.

– Chcesz zobaczyć miejsce po użądleniu? – zapytałam nieco zmieszana.

– Nie, chcę zobaczyć pszczołę. Gdzie jest?

– Tam leży. – Wskazałam na kępkę trawy.

Dziewczynka przykucnęła obok, przyglądając się pszczole z uwagą,

a Leo podszedł do mnie, próbując złapać moje spojrzenie. Miałam tyle pytań, ale w tym momencie czułam tylko ból.

W nodze.

– To trzmiel – powiedziała dziewczynka, po czym wyprostowała się i odwróciła w moją stronę. – Zabiłaś go.

Zaskoczona faktem, że muszę się bronić przed taką małą osóbką, odpowiedziałam:

– Tak, zabiłam go. I co z tego? Przecież pszczoły i tak giną zaraz po ukąszeniu.

– Tylko pszczoły miodne. Nie musiałaś go zabijać.

– Musiałam – mruknęłam, spoglądając na Leo i szukając u niego ratunku, on jednak tylko nam się przyglądał jak zauroczony.

Nie wiem, czy to przez użądlenie, zaskoczenie czy tę jego fascynację, nagle kolana ugięły się pode mną i znalazłam się na trawie, zaraz obok nieżywego trzmiela, patrzącego na mnie z dezaprobatą dziecka w bliżej nieokreślonym wieku i farmera, który nie wiadomo ile jeszcze skrywał przede mną niespodzianek.

– Cholera – szepnęłam i natychmiast zasłoniłam sobie usta dłonią.

Leo uklęknął obok, poklepał mnie po ramieniu, po czym odwrócił się do córki.

– Polly, to jest Roxie, moja przyjaciółka.

– Cześć – powiedziała mała, mierząc mnie wzrokiem z góry na dół.

– Czeszcz – rzuciłam niewyraźnie, nadal zakrywając usta dłonią.

Leo stłumił śmiech.

– O rany, może się umyjemy?

Skinęłam głową, Polly także, a Leo ledwie powstrzymał kolejny atak śmiechu.

– Jesteś pewien, że tego właśnie trzeba użyć? Nie ma nic z prawdziwej apteki? W jakiejś tubce z napisem „lek na użądlenia pszczół”? – Siedziałam na kuchennym blacie, obok w połowie zamontowanego zlewu, trzymając jedną nogę na oparciu krzesła. Trzmiel użądlił mnie po wewnętrznej stronie uda, zaraz nad kolanem, które właśnie zaczęło puchnąć.

– Soda oczyszczona i woda są najlepsze na użądlenia pszczół – uspokoił

mnie Leo, mieszając pastę.

– Soda neutralizuje kwas wydzielany przy użądleniu, więc to najlepszy lek. – Polly z zadumą dotknęła palcem dolnej wargi. – Chyba że użądli cię szerszeń, wtedy potrzebujesz octu. Wiedziałaś, że jad szerszeni i os jest właściwie zasadowy? Kwas z octu go neutralizuje.

– Nie wiedziałam – odparłam, sycząc, gdy Leo nałożył palcem pastę na miejsce po użądleniu.

– Soda oczyszczona jest bardzo użyteczna. Możesz myć nią zęby, czyścić garnki i patelnie. Tatuś bez przerwy jej używa, szczególnie myjąc ręce, gdy naprawdę są brudne – ciągnęła Polly, wyliczając na palcach zastosowania sody.

– Jest też przydatna w pieczeniu – wtrąciłam. – Widziałaś kiedyś ciasto przed upieczeniem?

Skinęła głową.

– Mama Hailey, mojej koleżanki, piecze ciasta i czasami pozwala mi wyliczyć trzepaczkę.

– Czyli wiesz, jak wygląda ciasto wlewane do formy. Jest lepkie i płaskie. – Aż się wzdrygnęłam, gdy Leo nałożył mi na nogę kolejną porcję pasty.

– Przepraszam – powiedział bezgłośnie.

– Tak – odparła Polly.

– A gdy wychodzi z piekarnika, jest wyższe, prawda?

– Tak.

– To właśnie dzięki sodzie: sprawia, że ciasta rosną i robią się puszyste. Jest zasadowa. Użyłaś tego słowa wcześniej...

– I wiem, co to znaczy – powiedziała, przewracając oczami.

Spojrzałam na Leo niepewna, jak dalej postąpić.

– Polly, co ci mówiłem na temat przewracania oczami?

– Że to bardzo niegrzeczne. – Westchnęła, zerkając w moją stronę. – Przepraszam, że przewróciłam oczami. Po prostu dużo czytam. – Przyjrzała mi się z uwagą. – Jak powiesz coś, czego jeszcze nie wiem, obiecuję, że nie przewrócę oczami.

Leo zakasłał. Jego ramiona lekko drżały.

– No tak... A więc, jest zasadowa i nie smakuje za dobrze. Jeśli myłaś nią zęby, to pewnie zauważyłaś. A zatem jeśli w przepisie jest soda

oczyszczona, inne składniki muszą ją zneutralizować, tak samo jak ocet neutralizuje zasadowość w jadzie szerszenia.

Dziewczynka patrzyła na mnie przez dłuższą chwilę, po czym zwróciła się do Leo:

– Tatusiu, mogę iść się pobawić?

– Wolałbym, żebyś się najpierw rozpakowała.

Zeskoczyła z blatu i rzuciła się do frontowych drzwi.

– Już to zrobiłam!

– I ułożyłaś brudne rzeczy na kupki?

– Dokładne kupki – odpowiedziała, i tym razem to ja próbowałam się nie roześmiać.

– Kopce białych rzeczy. Góry czarnych. Nie chodzi o wrzucenie wszystkiego do szafy i przykrycie kocem.

Polly ruszyła w stronę schodów.

– Dobrze, robi się. – Zaczęła biec, a gdy była już w połowie schodów, wychyliła się przez balustradę. – Przykro mi, że uządlił cię trzmiel, Roxie.

– Dzięki, Polly...

– Ale następnym razem go nie zabijaj, dobrze? Tak właśnie ginie cała kolonia...

– I świat, tak, wiem – dokończyłam, przewracając oczami, a pod nosem dodałam: – Ale to i tak małe paskudy...

Polly uśmiechnęła się i zniknęła, a po chwili dobiegł nas odgłos zamykanych z trzaskiem drzwi.

Gdy zostaliśmy sami, odwróciłam się do Leo, który siedział z rozbawionym wyrazem twarzy i palcem usmarowanym pastą z sody.

– Możesz sobie tym umyć zęby, wiesz? – rzuciłam, nie patrząc mu w oczy, za to nachylając się, aby obejrzeć nogę.

– Tak mówią. – Leo też się nachylił. Skóra w okolicy uządlenia nadal była spuchnięta, ale pieczenie już ustępowało. – Jak się czujesz?

– Jak potłuczona. A ty? – W moim głosie zabrzmiał ton, który nawet mnie się nie spodobał.

– Jak potłuczony. – W jego głosie słychać było tę samą nutę. – Co tu robisz, Rox?

– Przyjechałam, żeby ci upiec ciasto. – O rany, produkty nadal były

w aucie, które stało właśnie w pełnym słońcu! – Cholera, muszę wyjść...
– Zaraz, czekaj – rzucił, powstrzymując mnie przed zeskoczeniem z blatu. – Gdzie się wybierasz?

– Na przednim siedzeniu już pewnie rozpływa się masło! – Znow nieudolnie próbowałam zeskoczyć na podłogę. – Wszystko będzie brudne. – Przyniosę je, poczekaj. Ta pasta musi wyschnąć, inaczej nic z tego nie będzie. – Wskazał kleistą maź. – Nie ruszaj się.

Westchnęłam z rozdrażnieniem i rzuciłam mu kluczyki, po czym zamarłam w teatralnym bezruchu, poza oczami, którymi przewróciłam z premedytacją. Uśmiechnął się i zniknął. Zostałam sama w jego domu. Sama z jego córką.

Przez głowę niczym w jakiejś kronice filmowej przeleciały mi miliony okazji, przy których mógł wspomnieć, że ma dziecko. W kolejnym wydaniu kroniki ukazały się wszystkie momenty, w których ktoś inny mógł o tym wspomnieć. Poważnie, jak to się stało, że nikt mi o tym wcześniej nie powiedział?

Jego córka właśnie się rozpakowała, co oznaczało, że wcześniej gdzieś wyjechała. Z matką? Czy Leo był rozwiedziony? W separacji? Nadal żonaty?

Na myśl o tym, że spałam z czyimś mężem, poczułam przerażenie. To chyba niemożliwe... Chad powiedziałby mi, gdyby Leo był żonaty.

– Fuj – mruknęłam, łapiąc się za brzuch. Masakra. Letni romans dobiegł końca.

Po prostu go spytaj...

Tak właśnie zrobię. Teraz jednak zaczęłam się zastanawiać, co jeszcze Leo może ukrywać. Gdy o tym myślałam, wydało mi się dziwne, że nigdy wcześniej mnie do siebie nie zaprosił. Wszystko zawsze odbywało się u mnie w domu albo nad stawem.

Na myśl o wszystkich tych rzeczach, które robiłam z Leo, poczułam ostry ból w klatce piersiowej i zaczęłam się zastanawiać, czy to już koniec.

Zrób wywiad środowiskowy.

Racja. Wciągnęłam powietrze, po czym rozejrzałam się dookoła.

Dom był tak samo piękny wewnątrz, jak z zewnątrz. Centralnym punktem parteru zdawał się kominek z polnych kamieni, z pięknym wkładem

z luksferów w kolorze głębokiej zieleni. Pięknie kontrastował z gładką, połyskującą podłogą z szerokich paneli w kolorze ciemnej czekolady, uzupełniając wysoki na dwa piętra wielofunkcyjny salon z wbudowanymi biblioteczkami, luksusowymi kanapami i krzesłami rozstawionymi w różnych kątach. Kuchnia, wyposażona w najwyższej jakości sprzęty, była otwarta i szeroka, a w jej centrum znajdowała się wyspa, na której właśnie siedziałam i przy której spokojnie mogły usiąść cztery osoby. Lodówkę marki Sub-Zero, która była dostatecznie wielka, aby pomieścić roczne zapasy żywności, pokrywały szkolne prace, sprawdziany, zadania domowe oraz rysunki wykonane kredkami i flamastrami.

Wszędzie było pełno ich wspólnych zdjęć. Na dwóch Leo trzymał małą Polly owiniętą w różowy kocyk – na jednym najwyraźniej płakała, na drugim była uśmiechnięta. Na innym zdjęciu stawiała coś w rodzaju pierwszych kroków, a on trzymał ją za rękę. Jeszcze inne ujęcia przedstawiały Leo i Polly na farmie; ona grzebała w ziemi, a obok niej leżały palety z sadzonkami i głęboko wkopaną łopatkę. Na każdym zdjęciu Leo szeroko się uśmiechał – cieszył się, że ma córkę. I słusznie, był z niej pi-stolet.

Nagle usłyszałam, że Leo wraca.

– Masło jest miękkie, ale nie jest z nim jeszcze najgorzej. Włożyć do lodówki? – zapytał, wnosząc moje torby i formę do ciasta. – Nie ruszałaś się z miejsca, prawda? – zapytał, odwrócony do mnie plecami.

– Tak, siedziałam dokładnie tam, gdzie mi kazałeś.

Odwrócił się w moją stronę.

– Roxie, ja...

Nagle usłyszeliśmy głos Polly:

– Tato, posegregowałam ubrania. Mogę iść się pobawić?

– Chodź na dół – odpowiedział, nie spuszczając ze mnie wzroku.

Uśmiechnął się z takim zakłopotaniem, że wprost nie mogłam nie odwzajemnić uśmiechu. Jego uśmiech zawsze na mnie działał.

– Chcę zobaczyć świnię, sprawdzić, jak bardzo urosły, gdy mnie nie było, i... A co to? – Polly zbiegła po schodach i wpadła do kuchni, wpatrując się w przybory do pieczenia.

– Roxie przywiozła. Ma to coś wspólnego z ciastem – odpowiedział Leo, rzucając mi filuterne spojrzenie.

– No tak, ciasto – potwierdziłam. – Ktoś mi obiecał truskawki, więc pomyślałam, że może...

– Uwielbiam ciasto truskawkowe! – zawołała Polly. – Mogę patrzeć, gdy je będziesz robić? Sama robisz kruche ciasto? Czasami ciasta z truskawkami mają też w sobie rabarbar. To też takie będzie? W mieście jest jadłodajnia, gdzie robią ciasto z wiśniami, ale ja wolę z truskawkami. Tatuś posadził w tym roku nową odmianę truskawek, które mają posmak brązowego cukru. Jeszcze ich nie próbowałam, ale wszystko mi o nich opowiedział. Wykorzystasz je? Mogę pomóc? Mogę...

– Czekaaj, czekaaj, Sznycelku, wyrzucasz z siebie słowa niczym karabin maszynowy. Zwolnij nieco i pozwól Roxie odpowiedzieć – wtrącił Leo. *Nazwał ją Sznycelkiem...*

– Odpowiedzieć na co? – zapytała dziewczynka. – Wiesz, że mogę pomóc. W końcu mam już siedem lat.

– No tak, za chwilę będziesz mogła już sama prowadzić – zażartowałam. Spojrzała na mnie poważnie.

– Dopiero za dziewięć lat.

Zamrugałam.

– Oczywiście. – Spojrzałam na Leo, szukając pomocy, ale on zajął się już rozpakowywaniem toreb. – Zaraz, czekaaj... Pieczenie ciasta tutaj to raczej nie jest dobry pomysł.

– Dlaczego? – zapytał.

– Dlaczego? – zawtórowała mu Polly.

– No cóż... – Rozejrzałam się po kuchni. – Zlew! Nie działa, a nie można piec bez dostępu do bieżącej wody. A poza tym...

Leo chwycił jakieś narzędzia, po czym zanurkował na trzydzieści sekund pod zlewem. Po chwili wynurzył się i odkręcił kran.

– No dobrze. Cóż...

– Potrzebujesz truskawek, tak? – zapytał, podnosząc małą torebkę z lady i wsypując do miski najśłodsze na świecie, najbardziej soczyste i najbardziej idealne truskawki o smaku brązowego cukru.

– Czyli pieczemy? – zapytała Polly, podskakując lekko i klaszcząc.

– Pieczemy – odpowiedziałam, tłumiąc równocześnie odruch ucieczki. Nagle zadzwonił telefon Leo, a on spojrzał na mnie, unosząc pytająco brwi.

– Jasne, odbierz – rzuciłam, zeskakując z blatu i oglądając swoją nogę. Już prawie nie bolała.

Leo wyszedł do drugiego pokoju, więc zwróciłam się do Polly:

– Gdzie twój... – Dobry Boże, przecież nie mogłam nazwać go „tatusiem”! – Gdzie trzymacie miski?

Dziewczynka z dumą i radością pokazała mi szufladę.

W ciągu paru minut na blacie znalazło się wszystko, co potrzebne: mąka, cukier, miarki, które przywiozłam z domu, deska do krojenia i mój najlepszy nóż. Postanowiłam zacząć od kruchego spodu i zaangażować do pracy Polly.

– Wiesz, jak się odmierza mąkę? – zapytałam, patrząc, jak przyciąga sobie do blatu mały stołeczek.

– Coś tam wiem...

Mogłam się w sumie spodziewać „ba”. Punkt dla niej za to, że nie przewróciła oczami.

– Dobrze.

– Podasz mi fartuszek, który wisi zaraz obok fartucha tatusia? – poprosiła, wskazując haczyki za drzwiami.

Na ścianie wisiały dwa fartuchy: mały i duży. Brakowało tylko średniego, aby ten dom stał się prawdziwą chatką trzech niedźwiadków.

Pokuśtykałam po fartuszek, po paru krokach zdając sobie sprawę, że właściwie nie muszę kuśtykać. Soda oczyszczona zadziałała. Czując na sobie wzrok Polly, przestałam powłóczyć nogą i ruszyłam tanecznym krokiem.

– Zawsze tańczysz, gdy pieczesz? – zapytała.

– A ty nie? – odbiłam pytanie.

– Nigdy wcześniej nie piekłam – odpowiedziała po chwili namysłu. – Podoba mi się ten ciasteczkowy taniec.

Uśmiechnęłam się szeroko i podałam jej fartuszek.

– Okej, a więc zrobimy tak: powiem ci, co trzeba wrzucić do miski, a ty będziesz odmierzać. Sama pokroję masło, bo nóż jest bardzo, bardzo ostry, a ty dodasz je, jak już będzie pokrojone. Dobrze?

– Dobrze – odpowiedziała podekscytowana. – A gdzie jest przepis?

Wskazałam na swoją głowę.

– Wszystko jest tutaj.

Zabrałyśmy się do pracy i już po chwili miałyśmy jedną miskę pełną pokrojonych truskawek z sokiem cytrynowym, a drugą wypełnioną mąką, solą i cukrem. Polly właśnie dodawała moje idealnie pokrojone masło, a przy okazji pytała o wszystko: dlaczego do ciasta potrzeba soli? Dlaczego masło musi być zimne? Wydawało się, że docenia proste i równe krawędzie każdej kosteczki i to, że wszystkie wyglądają identycznie.

– A teraz wymieszamy mąkę z masłem, a potem dodamy zimnej wody.

– Zimnej wody? Do ciasta? – zapytała.

– Pamiętasz, co mówiłam o zimnych składnikach?

– Im zimniejsze, tym ciasto bardziej kruche – powtórzyła, naśladowując mój ton i sposób mówienia.

Musiałam się uśmiechnąć.

– I jak idzie? – zapytał Leo, podkradając z miski truskawkę. Klepnęłam go po ręce, a on się roześmiał, ale gdy tylko włożył sobie owoc do ust, zaraz się skrzywił. – Dlaczego są takie kwaśne?

– Bo jeszcze nie dodałam miodu. Dlatego właśnie nie można podjadać bez zezwolenia kucharza – skwitowałam, sięgając po słoik.

Polly obserwowała wszystko z szeroko otwartymi oczami, po czym wróciła do pracy. Patrzyłam, jak obraca małym nadgarstkiem w misce, wystawiając język. Nagle uderzyło mnie podobieństwo pomiędzy nią a Leo, który zrobił dokładnie tak samo, gdy tamtej pamiętnej soboty na targu podnosił skrzynię.

– Wiesz, że miód robią pszczoły. Nie boisz się? – zapytała Polly, uśmiechając się przekornie.

Poczułam, że moją twarz oblewa rumieniec.

– Spokój, Sznycelku. Przestań się śmiać z Roxie – powiedział Leo. – Przepróż.

Polly spuściła wzrok na miskę.

– Przepraszam – rzuciła.

– Nie ma sprawy – odpowiedziałam, polewając truskawki odrobiną miodu. – Teraz spróbuj i powiedz, co myślisz.

Włożył sobie owoc do ust.

– Mmm.

Na moich policzkach znów pojawiły się rumieńce. Ostatni raz, gdy słyszałam taki odgłos, rozkoszował się czymś zupełnie innym.

– Ręka mnie boli! Czy już wystarczy? – zapytała Polly, masując sobie ramię.

Zerknęłam na ciasto.

– Wygląda całkiem nieźle. Widzisz, jak na rogach robią się grudki wielkości groszku?

– Ale w misce nie ma rogów, jest okrągła. – W tym samym momencie Polly musiała napotkać pełne nagany spojrzenie Leo, bo od razu zmieniła ton. – Ach tak, wielkości groszku... Widzę.

– Gdy tylko uzyskasz taką konsystencję, ciasto jest gotowe. – To mówiąc, zabrałam się za sprzątanie. – Dobra kucharka zawsze po sobie sprząta.

Za tę uwagę dostałam od Leo pochwałę w postaci uniesionych w górę kciuków. Wydawał się teraz bardziej zrelaksowany niż wcześniej i mniej spięty moją obecnością w jego domu, do tego w towarzystwie jego córki. Szkoda, że nie mogłam powiedzieć tego samego o sobie.

Na zewnątrz stwarzałam pozory spokojnej, ale w środku rozpadłam się na kawałeczki. Próbowalam to wszystko sobie jakoś poukładać, przemyśleć, przewidzieć, co się stanie i próbowałam sobie wyobrazić, co mogło się stać.

Podczas gdy Polly koncentrowała się na uzyskaniu groszkowej tekstury, Leo i ja prowadziliśmy cichą rozmowę bez słów, stojąc po przeciwnych stronach kuchennej wyspy. Na mojej twarzy było widać masę pytań: „Co jest grane???", na co on mimiką odpowiadał: „Porozmawiamy później”. Moje usta zapewniły go więc bezgłośnie, że „tego akurat może być pewien”, co spotkało się z odpowiedzią „Porozmawiamy później” albo „Popieprzymy się później” – nie byłam pewna, bo ruch warg przy wypowiedzaniu tych dwóch słów wyglądał zaskakująco podobnie.

W międzyczasie w kuchni było słycać jeszcze jedno, tym razem głośne stwierdzenie: „Przecież ktoś tu ma już siedem lat”. Trzeba było dokończyć ciasto.

Wreszcie się udało. Polly szybko załapała, jak się posługiwać wałkiem, a gdy momentami ciasto się lekko rwało, słuchała cierpliwie, kiedy jej tłumaczyłam, jak zwilżyć palce, by je na nowo łączyć i wygładzić. Zapy-

tała, czy w takich przypadkach można zatańczyć. Przytaknęłam i ku uciesze Leo zrobiłyśmy sobie trzydziestosekundową przerwę na improwizowany taniec. Polly nie rozumiała, z czego ojciec tak bardzo się śmieje, więc starała się mu wytłumaczyć:

– Tatusiu, taniec czasami pomaga.

Czyż można się było z tym nie zgodzić?

Przez większą część czasu Leo trzymał się na uboczu, okazjonalnie odbierając telefony. Miałam wrażenie, że jego dzień wolny nie był wcześniej zaplanowany i po raz milionowy się zastanawiałam, gdzie była Polly i dlaczego zjawiała się tak niespodziewanie. W liściku, który zostawił mi rano w łóżku, mówił coś o przeprowadzaniu krów, zbieraniu truszkawek i doprowadzeniu mnie do zieloności. Nie było tam ani jednej wzmianki na temat noszenia córki na barana.

Jak tylko ciasto trafiło do piekarnika, Polly pobiegła się bawić, zatrzymując się tylko na moment zaraz przy drzwiach, aby podziękować mi, że pozwoliłam jej pomóc przy pieczeniu. Liczyłam na to, że gdy zostanę z Leo sama w kuchni, będę mogła wreszcie uzyskać parę odpowiedzi.

– Jestem głodny, a ty? – zapytał, grzebiąc w spizarni. Najwyraźniej na odpowiedzi nie przyszedł jeszcze czas.

– Nie tyle głodna, ile skołowana.

– Skołowana? – powtórzył.

– Skołowana, bo nie mam pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi, Leo. Dlaczego nie powiedziałaś mi, że masz...

Trzasnęły frontowe drzwi.

– Możemy jechać na farmę, żeby zobaczyć kury? Chcę sprawdzić, czy mnie pamiętają. – Polly wpadła do kuchni, niemal mnie taranując. – To znaczy, jak tylko upiecze się ciasto...

Wiedziałam, że jestem już bardzo blisko granicy cierpliwości.

– Wiecie co, chyba już pojedę. Nie martw się, nastawiłam minutnik. Pamiętaj tylko, co ci mówiłam. Gdy zadzwoni minutnik, a sok będzie bąbelkować, można je wyjąć. Jeśli nie, daj mu jeszcze parę minut. Leo, możesz jej sprawdzić, czy bąbelkuje, prawda?

– Rox...

Odwrociłam się w stronę drzwi.

– Później odbiorę nóż i miarki. Miło cię było poznać, Polly.

Niemal sprintem ruszyłam do drzwi, zmuszając się do przejścia przez trawnik i szybko odjeżdżając.

Analizując wszystko po drodze, sądziłam, że całkiem dobrze to rozegrałam, aż do momentu, gdy zdałam sobie sprawę z tego, że zapomniałam torebki.

Zwolniłam do dopuszczalnej prędkości. Nie było opcji, żebym teraz zawróciła.

Rozdział 18

Postawiłam patelnię na palnik i ze złością zaczęłam siekać masło. Zsunęłam kosteczkę i patrzyłam, jak od razu zaczyna skwierczeć.

Cholera.

Dodałam oliwy z oliwek i wymieszawszy wszystko, włożyłam na gorący tłuszcz półkilogramowy antrykot. Przyrumieniłam go z jednej strony, w międzyczasie siekając pietruszkę z takim zaangażowaniem, jakbym brała na niej odwet za osobiste krzywdy.

Cholera.

Mordowałam więc dalej Bogu ducha winne zioło i wsłuchiwałam się w skwierczenie mięsa, ufając swoim uszom na tyle, aby wiedzieć, że wychwycą ten moment, kiedy trzeba będzie je przewrócić. Znajomy rytm siekania odsuwał uwagę od myśli, które kłębiły mi się w głowie niczym kule zmierzające do dobrze ustawionych przeze mnie kręgli.

Kręgiel 1. Nie angażuj się.

Kręgiel 2. Kochaj ciałem. Nie angażuj żadnego konkretnego organu.

Kręgiel 3. Związki są dla mięczaków. Patrz też: mama.

Kręgiel 4. Zakochiwanie się jest do bani.

Zaraz, zaraz, prrr, stój... Zakochiwanie się? A kto mówi cokolwiek o...

W głowie podniosłam kręgle i rzuciłam nimi przez szklane okno na końcu wymyślanego toru.

Cholera.

Po tym, jak wyjechałam od Leo, skierowałam się prosto do domu, ale gdy tam dotarłam, zawróciłam i pojechałam do miasta. Zatrzymawszy się przed rzeźnikiem, poprosiłam o największy i najpiękniejszy kawałek mięsa, jaki mieli w sklepie – antrykot wielkości godnej Flinstonów nadał się idealnie.

Wrzuciłam do miski pietruszkę i zabrałam się za krojenie równie niewinnego ząbka czosnku. Niewinny, jasne. Zobaczmy, co tam ukrywasz...

Rozgniotłam ząbek i dodałam odrobinę koszernej soli, utarłam wszystko na cudną pastę, którą z kolei połączyłam z pietruszką. Musiała przyjąć z ulgą to, że nie była już obiektem mojej... złości. Czy byłam zła?

Czyżby pietruszka właśnie parsknęła? Utopiłam ją w oliwie z oliwek i wycisnąwszy na nią sok z cytryny, wymieszałam wszystko razem, skazując pietruszkę na wieczne zapomnienie.

Wszystko po to, aby nie czuć...

Antrykot był gotowy! Nadziałam go na widelec i przeniosłam na deskę do krojenia, gdzie przykryłam go folią i odstawiłam, aby nieco odpoczął, w międzyczasie rozglądając się po kuchni za czymś, co można zmasakrować. Pomidory. O, popatrzcie tylko, pomidory. Zerwane z krzaczków rosnących w idealnie nawiezionej ziemi przez hipsterów z idealnymi brodami, w krainie organicznym mlekiem i cholernym miodem płynącej, gdzie wszyscy byli szczęśliwi i żyli w zgodzie z naturą, ba – gdzie cały świat się sprowadzał do życia opartego na zrównoważonym rozwoju i do lokalnie wytwarzanych produktów.

Pieprzyć lokalną inicjatywę! Pieprzyłam się z przedstawicielem lokalnej inicjatywy i dokąd mnie to doprowadziło? Zła/nie zła nasłuchiwałam/nie nasłuchiwałam dźwięku telefonu albo wiadomości, czując/nie czując się przytłoczona, skołowana, zdradzona i nieco... wykorzystana?

Złapałam cholerne pomidory za łodyżki i rzuciłam nimi z całych sił przez ogród, w stronę porośniętej winoroślą przyczepy.

– Niezły strzał.

Cholera! Ostatni pomidor, który ścisnęłam w dłoni, zamienił się w gazpacho. Odwróciłam się i zobaczyłam Leo stojącego za domem. Poczulałam chęć rozkwaszenia mu tego pomidora na twarzy. A zaraz potem jego zlizania.

Nie odważyłam się ani na jedno, ani na drugie. Zachowałam spokój i neutralność.

– Co tu robisz, Leo? – zapytałam, wyrzucając ociekającego pomidora w krzaki i maszerując sztywnym krokiem do domu. Wiedziałam, że pójdzie za mną. Myjąc i wycierając dłonie, z zaskoczeniem zauważyłam, że całe drżą. To by było na tyle, jeśli chodzi o zachowanie neutralności. Przemierzając kuchnię, czułam na sobie jego spojrzenie, ale unikałam kontaktu wzrokowego, zajmując się sprzątaniami i przekładaniem talerzy, których tak naprawdę wcale nie trzeba było przekładać.

Nie odpowiedział na moje pytanie, więc spojrzałam na niego, podnosząc pytająco brwi. Na jego twarzy było widać czujność, lekko zabarwioną

czymś przypominającym... nadzieję? Przygotowałam się na najgorsze.
– Roxie, chciałem z tobą porozmawiać – powiedział wreszcie, patrząc, jak ściągam folię ze steka, który już zdążył odpocząć.

Chwyciłam nóż i zaczęłam kroić mięso.

– A więc mów – rzuciłam, układając stek na talerzu i polewając go sosem z pietruszki i cytryny. Nie miałam najmniejszego zamiaru zaczynać rozmowy. I nie chciałam wykladać kart na stół, zanim nie sprawdzę, czy nie ukrywa czegoś jeszcze.

– Tak szybko wybiegłaś dziś popołudniu, że nawet nie miałem szansy...
– zaczął.

– Leo, jestem tu od tygodni. Od tygodni! I ani razu nie przyszło ci do głowy, aby mi wspomnieć, że masz córkę? – Wsadziłam sobie kawałek antrykotu do ust i zaczęłam nerwowo żuć. – Coś w stylu: „Hej, Roxie, masz tu trochę truskawek, które tak lubisz. Mój dzieciak też je uwielbia”, „Dzięki, że pokazałaś mi ten staw. Muszę tu kiedyś zabrać Polly” albo „Hej, Roxie, zanim cię przelecę, muszę ci powiedzieć w sekrecie, że mam dziecko”.

Nacięłam mięso z taką siłą, że jedna połowa spadła na podłogę, a druga przeleciała na drugą stronę półmiska. Zamrugałam i spojrzałam na Leo, który miał taki wyraz twarzy, jaki wyobrażam sobie, że musi mieć ktoś, kogo właśnie spoliczkowano.

– Żartujesz, prawda? – zapytał miękkim głosem.

Wbiłam nóż w drugą połowę steka i zaczęłam go piłować tam i z powrotem.

– Nie jestem pewna, Leo, z czego miałabym żartować. Okłamałeś mnie.

– Nigdy nie kłamałem.

– Czyli chcesz rozmawiać o semantyce... Zatajenie prawdy to też kłamstwo. – Nabiłam na widelec duży kawałek mięsa i wsunęłam go do ust. Leo przesunął rękami po twarzy, jakby nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał.

– Czy naprawdę uważasz mnie za takiego drania?

– Nazywaj to, jak chcesz, ale oboje wiemy, że świadomie zdecydowałeś się nie mówić mi o córce, a tam, skąd pochodzę... – Przerwałam, żeby przełknąć ślinę. – ...tak właśnie postępują kłamcy.

– Tam, skąd ja pochodzę, to nie kłamstwo, ale ostrożność – odpowiedział

spokojnie, krzyżując ręce i opierając się o blat. Zanim zyskałam szansę, by posłać kolejną piłkę, spojrzał mi prosto w oczy. – Poza tym oboje wiemy, że już na początku jasno postawiłaś sprawę: nie chcesz mieć ze mną nic do czynienia, gdy skończy się lato.

– Nieprawda... to nie tak... mówisz tak, jakby... – bełkotałam, próbując sklecić zdanie.

– To prawda, tak właśnie jest – odpowiedział.

– Zgodziłeś się na to! Zapytałam cię, a ty się zgodziłeś! Oboje weszliśmy w to, dobrze wiedząc, na czym to polega, i świetnie się przy tym bawiliśmy – warknęłam, kopnięciem przysuwając krzesło i wrzucając talerz do zlewu. – Właśnie dlatego się nie angażuję.

Patrzyłam ze złością na zlew. Zapadła cisza, przerywana jedynie odgłosem kapania wody ze starego kranu. Nagle usłyszałam za sobą ruch, a chwilę później włoski na mojej szyi stanęły na baczność. I to wszystko tylko dlatego, że stanął za mną. Moje zdradzieckie ciało odruchowo napięło się z podniecenia.

– Pamiętasz wieczór, gdy przygotowałaś dla mnie kolację z buraczkami? Co mi wtedy powiedziałaś? – zapytał niskim głosem, zaledwie parę centymetrów od mojego ucha.

– Powiedziałałam ci wiele rzeczy – rzuciłam zdawkowo, próbując z całej siły oprzeć się zakodowanym odruchom, choćby temu, aby położyć głowę na jego klatce piersiowej.

– Powiedziałaś mi, że miłość wywołuje zamęt, ból i emocjonalny drenaż. Skrzywiłam się, słysząc własne słowa w jego ustach, ale to nie był jeszcze koniec.

– Pamiętasz naszą pierwszą noc, gdy kochaliśmy się na werandzie? Wspomnienie tamtej nocy przyszło tak szybko, że zanim się spostrzegłam, wyrwało mi się westchnienie. Leo, taki silny i piękny, wchodził we mnie i wychodził, a jego spojrzenie, gdy patrzył mi w oczy, było przepełnione zachwytem. Pokiwałam głową, przygryzając wargę, aby powstrzymać się od kolejnego jęku.

Oparł się o blat, kładąc dłonie po moich obu stronach i otaczając mnie swoim ciepłem.

– Powiedziałem ci, że długo tego nie robiłem.

Pamiętałam to wszystko. Pierwszy raz był szalony, dziki i niewiarygod-

ny. Potem kochaliśmy się na piętrze, tym razem powoli i bezpiecznie, a jednak nadal było niewiarygodnie. Pokiwałam głową, zastanawiając się, dokąd to zmierza.

– Moja córka ma siedem lat – szepnął, niemal dotykając ustami mojego ucha.

Zmarszczyłam czoło, nie bardzo wiedząc, co to miało wspólnego z – och, zaraz, niemożliwe, żeby chciał przez to powiedzieć, że... Gdy nagle zrozumiałam, o co mu chodzi, odwróciłam się gwałtownie, nadal skołowana, chociaż już nie tak bardzo jak wcześniej.

– Chcesz przez to powiedzieć, że ty w ogóle... Od tamtego czasu... Poważnie? – zapytałam, odruchowo przesuwając dłonie na jego klatkę piersiową i wpatrując się z powagą w jego oczy. – Ale to jest... Ty jesteś... To straszne!

– Straszne? – zapytał, unosząc leciutko koniuszek ust.

Pacnęłam go dłonią w tors dla podkreślenia znaczenia moich słów.

– Widziałeś się kiedyś w lustrze? A może robiłeś to sam ze sobą? – Pytanie to, panie i panowie, zrodziło w mojej głowie pewną wizję, która zdecydowanie będzie mnie grzać w mroźne zimowe wieczory do końca życia. Nie wspominając o żądzy, która zapłonęła nagle w jego oczach. Poczulałam, że moje policzki płoną. Traciłam wiarygodność. – Chodzi mi o to, że... cholera. Już nie wiem, o co mi chodzi. – Poklepałam go w zamyśleniu po klatce piersiowej, koncentrując się na dotyku jego skóry. – Sądzę, że powinnam zapytać dlaczego.

– Dlaczego tak długo nie poszedłem z nikim do łóżka? Czy dlaczego nie powiedziałem ci o Polly? – zapytał, nadal opierając się rękami o blat.

Jedną dłoń przesunął na moje biodro, obejmując je i głaszcząc kciukiem kawałeczek odsłoniętej skóry.

Dotyk jego dłoni wzbudził we mnie niesamowite podniecenie, co jednocześnie napełniło mnie ogromnym strachem. Czy miałam na tyle odwagi, aby sobie z tym poradzić?

– Odpowiedz na oba pytania. – Zaryzykowałam, przechodząc od poklepywania do uspokajającego głaskania. Dlaczego właściwie go dotykałam? Bo mogłam? Okej, przyjmijmy taką wersję.

– Odpowiem na oba. Właściwie to obie odpowiedzi są ze sobą związane, ale to dość długa historia. Jesteś na nią gotowa? Będę mówić o wszyst-

kich rzeczach, których nie lubisz: o zamięcie, bólu... – Przysunął bliżej mnie biodra. – ...i emocjonalnym drenażu.

Miałam wybór i nie chodziło tylko o wysłuchanie jego historii, ale też o decyzję, aby pójść o krok dalej. Wysłuchać jego opowieści i wpuścić go do swojego serca? Wysłuchać i stać się powiernicą jego sekretu? Czy byłam na to gotowa?

Przygryzłam wargę, a on pogłaskał mnie po biodrze.

– Dobrze – powiedziałam ostrożnie, po czym pocałowałam go w sam środek klatki piersiowej. – Zamieniam się w słuch.

Usiedliśmy na werandzie, po przeciwnych stronach wiklinowej sofy, od dzieleni poduszką, którą bezwiednie postawiłam między nami. Być może nie był to najlepszy sposób na słuchanie jego historii, ale potrzebowałam przestrzeni.

Emocje były tak silne, że aż mnie wykańczały. Rozumiałam już dlaczego, gdy koleżanki narzekały na swoje stresujące związki, mówiły, że są zmęczone ciągłymi kłótniami, rozmowami i poczuciem zawodu.

Frustracja, euforia, determinacja i żądza – znałam te uczucia na wylot, ale uczucia płynące z romantycznego związku? Nie miałam żadnego podręcznika dla początkujących, tylko przykład matki – stąd determinacja, żądza i uniki.

Jak tylko zgodziłam się wysłuchać Leo, poszłam prosto po butelkę szkockiej, oferując mu szklaneczkę. Usiedliśmy więc na werandzie ze szklankami, a Leo zaczął swoją opowieść.

– Urodziłem się na Manhattanie, w szpitalu na Lenox Hill²⁹...

²⁹ Dzielnica na Upper East Side na Manhattanie.

– Biedne dziecko – wtrąciłam, nie mogąc się powstrzymać, a on uśmiechnął się, unosząc przy tym brwi.

– Sądziłem, że zgodziłaś się wysłuchać mojej historii...

Pokazałam, że będę trzymać buzię na kłódkę, zamykając ją i wyrzucając wyimaginowany klucz za siebie. Chwilę potem musiałam przeszukać kieszenie, aby znaleźć drugi klucz, otworzyć sobie usta i napić się nieco wody, jako że poczułam pragnienie.

Leo przyglądał mi się z rozbawieniem, czekając, aż się uspokoję.

– Już, wiercipięto?

– Kontynuuj. – Kiwnęłam głową.

Powiedział, że przynależność do rodziny z takimi tradycjami miała oczywiste zalety, ale były też minusy, o których nigdy wcześniej nie myślałam.

– Do jakiej chodziłaś podstawówki? – zapytał.

– Bailey Falls East Elementary.

– Dlaczego akurat tam?

– Bo była bliżej naszego domu niż Bailey Falls West Elementary.

– Łatwe. Proste. Ale nie dla mnie. Leopold Matthew Maxwell znalazł się na liście szkoły Dalton³⁰ już dwa tygodnie po narodzinach, a nieoficjalnie, zanim przyszedłem na świat, figurowałem tam jako „Dziecko Maxwell”. Wychowywano mnie według najlepszych wzorców. Gdy nadszedł czas podjęcia decyzji o wyborze college’u, nie było żadnej dyskusji na temat tego, gdzie pójdę.

³⁰ Prywatna szkoła na Manhattanie.

– Adirondack Community College? – zapytałam, a on się uśmiechnął.

– Mój ojciec chodził do Yale, mój dziadek również. Zgadnij, do jakiej szkoły chodził mój pradziadek?

– Adirondack Community College?

– Skąd wiedziałaś? – zapytał i potarł w zamyśleniu brodę. Usłyszałam dźwięk, który zawsze kojarzył mi się z Leo i tą jego cudną brodą. – Nawet mój dziadek został tam przyjęty w ramach rodzinnej tradycji: ród Maxwellów w New Haven³¹ sięga sześciu pokoleń wstecz... Wszystko było w zasięgu ręki. Imprezy, wyjazdy, wycieczki dookoła świata. Byłem częścią tej maszyny. Razem podróżowaliśmy, wstępowaliśmy do tych samych klubów i bractw. No i dziewczyny... Wtedy byłem draniem.

Dziewczyny i kobiety, wszystkie chciały uszczknąć nieco z tego tortu, a ja byłem więcej niż gotowy, aby im na to pozwolić. Moi przyjaciele byli dokładnie tacy sami: szli po linii najmniejszego oporu, korzystając z uroków łatwego życia, aż do czasu, gdy musieli stawić czoła rzeczywistości. A co było dla nas definicją tej „rzeczywistości”? Spośród kolegów, z którymi poszedłem do szkoły średniej i college’u, przynajmniej trzech zostało kongresmenami, czterech to dyrektorzy, jeden jest ambasadorem, a jeden gospodarzem bardzo ważnego programu publicystycz-

nego w CNN.

31 Miasto będące częścią metropolii Nowy Jork.

Wylałam resztę szkockiej, czując, że zaczyna mi się już lekko kręcić w głowie.

– No dobrze, czyli wiodłeś życie bogatego chłopca. Rozumiem. A kiedy wysiadłeś z tego pociągu? Kiedy zboczyłeś z kursu?

– Zabawne, że o tym wspominasz... – powiedział ze smutkiem w oczach.

Słuchając o jego dalszych perypetiach, zaczęłam dostrzegać w obrazie jego cudownego życia coraz więcej ciemnych punktów. Po skończeniu Yale Leo zaczął pracować u ojca, wdrażając się w bankowość, jako że równocześnie rozpoczął studia MBA.

– Uczyłem się po trosze wszystkiego, próbując odnaleźć własne miejsce w tej całej machinie. Członkowie mojej rodziny próbują wszystkiego i pracują w prawie wszystkich sektorach biznesowych, zanim znajdą własną niszę. Mnie to zajęło nieco więcej czasu. Nie chodzi o to, że nie doceniałem tego, co stworzyła moja rodzina. Po prostu mnie to nie bawiło. Nie interesowało mnie nic poza wypłatą, imprezowaniem i korzystaniem z dostatniego życia, które, nawiasem mówiąc, nie było zupełnie moją zasługą. Ciężko jednak przemówić do rozsądku dwudziestotrzylatkowi.

Odepchnęłam się na huśtawce, czując, że jej ruch mnie uspokaja. Imprezy, kobiety, kokaina – nie mogę powiedzieć, że byłam gotowa nazwać Leo biednym bogatym chłopczykiem, ale zdecydowanie wydawało się, że wraz z ogromnym bogactwem, które odziedziczył, spadła na niego również duża presja. Nawet jeśli pracował w różnych działach rodzinnej firmy, to pewnie nie po czterdzieści godzin tygodniowo. Nie Maxwell. Czterdzieści godzin, phi. Moja matka przez całe życie pracowała po pięćdziesiąt, sześćdziesiąt ciężkich godzin.

– Pamiętasz kryzys finansowy parę lat temu? Wszystkie te kredyty mieszkaniowe, zajmowanie obciążonej hipoteki, wszyscy ci ludzie, którzy stracili domy, bo nie mogli spłacić rat?

– Jasne, że pamiętam. Moja matka prawie straciła dom – odpowiedziałam, patrząc, jak się krzywi. – Spotykała się z takim gościem od kredytów, który namówił ją na refinansowanie. Nie zastanawiając się dwa razy

nad tym, że pożyczka przetrwa zdecydowanie dłużej niż ich związek, zrobiła to, co jej radził. A raty nagle wzrosły. Chodziło chyba o zmienne stopy procentowe?

– No tak, tysiące ludzi dało się nabrać na nowe kredyty ARM o stopie procentowej zmiennej okresowo.

– Miałyśmy szczęście, bo znałyśmy prezesa lokalnego banku i udało nam się przywrócić jej pierwotny kredyt, ale straciła przy tym sporo oszczędności. – Przestałam się huścić. – Czy twoja rodzina miała coś wspólnego z tego typu bankowością?

– Moja rodzina jest zaangażowana we wszystkie typy bankowości. Moja rodzina to bankowość.

– A więc tak.

– Tak, oczywiście, że tak. Wiesz, że jest pewnie niespełna dwadzieścia osób, które są w stanie wytłumaczyć to całe bagno, które nas wciągnęło? Statystyki i zaawansowane teorie matematyczne, które trzeba wykorzystać, aby w ogóle zrozumieć to, co się stało, są szokujące i skomplikowane.

– Nie muszę rozumieć skomplikowanych działań matematycznych, aby wiedzieć, w jakim byłyśmy bagnie. Moja mama zastanawiała się nawet nad przeprowadzką do jadłodajni. Wiem, o co w tym chodzi. – Znow zaczęłam się huścić, kopiąc ze złością w posadzkę na werandzie.

– Zaczęłam znow się zastanawiać nad rodzinnym imperium, nad tym, jak bardzo było z tym wszystkim powiązane i co sobą reprezentowało.

W tym samym mniej więcej czasie, gdy zacząłem rozmyślać nad swoim miejscem w firmie, spotkałem Melisę.

To niesamowite, jak szybko można sobie o kimś wyrobić opinię. Nic nie wiedziałam o tej kobiecie, poza tym, jak się nazywała, a już byłam czujna. Na dźwięk jej imienia w ustach Leo w moim ciele zaszły niemal fizyczne reakcje, co z kolei mówiło mi więcej o moich własnych uczuciach, niż byłam gotowa się przyznać, przynajmniej teraz. Nie przestałam się huścić, czując, że nie mogę stracić rytmu.

– Na początku była tylko kolejną dziewczyną, jedną z wielu. Akurat dołączyła do grupy, z którą wtedy biegałem, i została przedstawiona jako znajoma znajomego. Im częściej się spotykaliśmy w tych samych miejscach, tym bardziej nas do siebie ciągnęło. I do innych rzeczy też.

W miarę jednak, jak ją poznawałem, okazywała się być... hmm... – Przerwał po raz pierwszy, sprawiając wrażenie pogrążonego w rozmyślniach. – Inna. Była inna niż reszta. Przyjechała do Nowego Jorku z małego miasteczka w Wisconsin i zupełnie nie dbała o pieniądze, nazwiska, o to, kto jest kim albo kim może się kiedyś stać. Zaczęliśmy się spotykać, potem zaczęliśmy być ze sobą na poważnie, a po jakimś czasie zdałem sobie sprawę z tego, że się w niej zakochałem. Przedstawiłem ją rodzicom i przestałem się spotykać z innymi dziewczynami. Stworzyliśmy związek na wyłączność. – Znowu przerwał, przyglądając mi się uważnie.

– Wszystko w porządku?

– Dlaczego miałoby być nie w porządku? – zapytałam.

– Zaraz spadniemy z tej huśtawki za werandę – rzucił, a ja dopiero wtedy się zorientowałam, jak wysoko się huśtamy. Moje ciało reagowało w bardzo zdecydowany sposób na dźwięk słowa „Melissa”. Wysunęłam stopę i wyhamowałam huśtawkę.

– Przepraszam, ty i ta Melissa... To znaczy, ty i Melissa, stworzyliście związek na wyłączność. Kontynuuj, proszę. – Zmusiłam się, aby tylko co jakiś czas lekko odbijać się stopą od ziemi.

Spotykali się przez cztery miesiące, w trakcie których ona poznała jego bliskich i została ciepło przyjęta przez całą rodzinę. Jako młodszy wspólnik w firmie rachunkowej znała się finansach, więc potrafiła się odnaleźć w większości rozmów. Na przyjęciach koktajlowych „wymiałała”, jak to określił Leo, więc z dumą się z nią pokazywał.

Obserwując, jak trudno się podnieść światu po kryzysie, Leo zaczął kwestionować niektóre praktyki stosowane nie tylko przez Maxwellów, ale ogólnie przez banki.

– Zachęcała mnie, abym otwarcie wyrażał swoje zdanie i dzielił się pomysłami, ale zacząłem też zauważać, że za każdym razem dodawała coś o tym, że to nie jest jeszcze dobry czas lub że może powinienem zachować to dla siebie do momentu, aż przyjdzie odpowiednia pora, tego typu rzeczy. Wiedziała, że nie byłem szczęśliwy w pracy, ale za każdym razem, gdy o tym rozmawialiśmy, czułem się jeszcze bardziej zdezorientowany niż wcześniej, bardziej niepewny swojej pozycji, a także tego, co mogę, a czego nie powinienem mówić.

Spojrzał mi głęboko w oczy, a w jego spojrzeniu można było wyczuć

lekkie zaniepokojenie.

– Czy kiedykolwiek ktoś tak bardzo tobą zawładnął, że nie miałaś pojęcia, jak mogłaś do tego dopuścić?

– Szczerze? Nie – skwitowałam, przygryzając wargę. – Ale to tylko dlatego, że nigdy nikogo nie dopuściłam do siebie tak blisko. – Przełknęłam z dramatyzmem ślinę. – Poza tobą.

Patrzyliśmy na siebie, a emocje piętrzyły się w powietrzu niczym spienione fale, nad którymi jak mgiełka unosiły się moje szalone myśli, aż nas nie wystraszyła hałaśliwa sójka.

Leo uniósł koniuszek ust w ten swój cudowny sposób, po czym wrócił do opowiadania.

– Cóż, do momentu, aż nie spotkałem Melissy, byłem taki sam. Ona jednak okazała się zwykłą łowczynią majątków wężącą pod drzwiami.

I pewnego dnia moja rodzina zdała sobie z tego sprawę.

– Nie! – krzyknęłam, a on pokiwał głową.

– O tak. Była niezła, zupełnie się tego nie spodziewałem. Przez cały czas zastanawiałem się nad tym, w jakim stopniu chcę angażować się w pracę i czy chcę zmienić ścieżkę kariery, spróbować czegoś nowego. Któregoś razu spędziliśmy weekend tu, w Bailey Falls. Od lat nie byłem na farmie, a oboje chcieliśmy wyjechać z miasta. Przy tym ona sprawiała wrażenie zafascynowanej wszystkimi nieruchomościami, które były w posiadaniu mojej rodziny, tak więc pojechaliśmy w górę doliny rzeki Hudson. Wydawało się, że była pod wrażeniem domu i ziemi, ale chyba nieco rozczarował ją stan, w jakim to wszystko się wówczas znajdowało, szczególnie że od lat nikt na co dzień nie mieszkał na farmie, więc okolica miała nieco... rustykalny charakter.

– Tak rustykalny, jak można się spodziewać po tych wszystkich wspaniałych starych domach na wsi – wtrąciłam, przybierając egzaltowany akcent, jakże typowy dla Upper East Side, i wywołując tym jego uśmiech.

– Właśnie. Tak czy inaczej, w trakcie naszego wypadu wydarzyły się trzy bardzo ważne rzeczy. Przede wszystkim odwiedziłem farmera prowadzącego pobliską farmę organiczną, o której czytałem wcześniej w gazecie „The New Yorker”. Jemu w fantastyczny sposób udało się wykorzystać starą posiadłość. Tamtej soboty rano, podczas gdy ona jeszcze spała, zabrałem starego dżipa należącego do dozorca i przez cały dzień

jeździłem po naszych ziemiach, oglądając pola i sprawdzając możliwości. – Gdy to mówił, cała jego twarz pojaśniała, jak zawsze, gdy opowiadał o ziemi.

– A kolejna ważna rzecz? – zapytałam.

– Usłyszałem końcówkę rozmowy między Melissą a jej mamą, w której wychwalała rozmiar domu, ale i komentowała stan całej posiadłości i to, co by tu pozmieniała, gdyby została panią Maxwell.

Zmarszczyłam nos i zacisnęłam usta, a on powoli pokiwał głową.

– A więc kazałeś jej się pakować i zabierać tyłek do miasta? – zapytałam, przewracając oczami, ale on przecząco potrząsnął głową.

– Nie, ale przedstawiłem jej wstępną fazę pomysłu – rzucił smutno. – Nie bardzo jej się podobało.

– Wyobrażam sobie – parsknęłam, bo już sobie potrafiłam wyobrazić, jaki to typ kobiety: pokroju Mitzi St. Renee i reszty stada głupich gęsi w rozmiarach zero, dla których kiedyś gotowałam, pracując w Bel Air. Oczami wyobraźni widziałam też Leo – młodszego, bardziej wielkomiejskiego, stojącego właśnie na skraju przemiany w fantastycznego faceta, którego znałam, robiącego dokładnie to, co kocha i czyniącego świat nieco lepszym (i o wiele seksowniejszym).

– A jaka była ta trzecia ważna rzecz, która się wtedy stała?

– Zaraz po tym, jak jej powiedziałem, że nie powinna się przejmować podupadłym stanem domu, oznajmiła, że jest w ciąży.

Huśtawka zatrzymała się tak gwałtownie, że niemal poleciałam prosto na werandę, nie zdając sobie sprawy przez sekundę albo dwie, że to ja ją zatrzymałam własną stopą.

Leo wyciągnął ręce, by mnie złapać, po czym uspokajająco położył mi dłoń na ramieniu, widząc, jak bardzo wstrząsnęły mną wieści, które on otrzymał prawie osiem lat temu.

– Jaja sobie robisz... – wycodziłam przez zęby.

– Nie robię sobie jaj – zapewnił, głaszcząc mnie po plecach. – Choć moja reakcja była podobna.

– Myślisz, że to zaplanowała? Mam na myśli to, że zaplanowała ciążę. A może nie powinnam pytać?

– Powinnaś. Poza tym dokładnie takie samo pytanie zadawała mi w pewnym momencie każda znana mi osoba. To, czy zaplanowała ciążę, jest

teraz bez znaczenia.

– Pewnie masz rację – skwitowałam, przysuwając się bliżej jego dłoni, która nadal kreśliła na moich placach kółeczka i która po chwili zamieniła się w całe obejmujące mnie ramię. Przytuliłam się do niego.

– Próbowaliśmy przez jakiś czas utrzymać nasz związek, zastanawiając się nawet nad zaręczynami, ale tym razem miałem już oczy szeroko otwarte i wiedziałem, że to kwestia czasu, zanim cała ta szopka nie runie. Nie wiedziałem jednak, że była to też kwestia pieniędzy.

– Co to znaczy?

– Próbowaliśmy jakoś się dogadać ze względu na to, że spodziewaliśmy się dziecka, ale szybko stało się jasne, że dogadanie się nie było nam pisane, a zamiast tego zaczęły się między nami nieustanne kłótnie. Denerwowało mnie to, bo zdawałem sobie sprawę, że stres nie jest dobry dla dziecka, a gdy pewnego wieczoru rzuciłem, że jej zapłacę, by po porodzie oddała mi noworodka, natychmiast się zgodziła.

– O Boże, nie...

– Też w to nie mogłem uwierzyć, ale była śmiertelnie poważna. Okazało się, że wszystkie jej kontakty na Manhattanie były nieco podejrzane, a ona sama wcale nie była taką gwiazdą w swojej firmie, jak zwykła o sobie mówić. W dodatku miała okropny nawyk wydawania pieniędzy. A fakt, że miała urodzić dziecko Maxwellów, gwarantował jej wypłatę, której nie mogła sobie odmówić.

– Leo, tak mi przykro... – powiedziałam, odwracając się w jego ramionach. Położywszy mu głowę na piersiach, objęłam go w pasie najmocniej jak potrafiłam.

– W porządku, Groszku. Przynajmniej mam teraz fantastycznego dzieciaka. – Przytulił mnie tak samo mocno i położył brodę na mojej głowie, całując mnie czule. – Przez jakiś czas nie było miło. Gazety plotkarskie brutalnie się ze mną obeszły i nie życzyłbym takiego piekła nawet najgorszemu wrogowi. Ale jak tylko do gry weszli prawnicy i doszliśmy do porozumienia, sprawa została zamknięta. Melissa urodziła dziecko, miała je na rękach dokładnie trzy razy, po czy więcej jej nie widzieliśmy. Mój księgowy mówi, że czeki nadal są realizowane i jest to jedyny kontakt, jaki z nią mam.

Zastanawiając się nad tym, jak ta kobieta mogła sprzedać własne dziec-

ko, czułam, że w oczach wzbierają mi łzy.

– Potem wszystko zaczęło się układać. Odbyłem rozmowę z ojcem i zrezygnowałem z pracy, tłumacząc mu, że nie jestem już w stanie brać w tym wszystkim udziału. Jestem wdzięczny, że dzięki nazwisku dostałem możliwość przejęcia farmy i stworzenia czegoś naprawdę niesamowitego, co szybko urosło w siłę.

– Zdecydowanie urosło, ładna gra słów – szepnęłam i zaśmiałam się cicho.

– Gdy Polly miała kilka miesięcy, zacząłem spędzać tu coraz więcej czasu, przygotowując wszystko: budując dom, w którym teraz mieszkamy, i ucząc się na farmie, którą odwiedziłem tamtego dnia. Wynająłem kilku ludzi, aby pomogli mi się zająć ziemią, zaorałem pola, a rok po narodzinach Polly przenieśliśmy się z miasta na wieś. Nie chciałem, aby dorastała w takim środowisku jak ja, a znając mentalność i skłonności plotkarskie mojej rodziny, wiedziałem, że najlepiej będzie, jeśli zupełnie znikniemy. Nasz wyjazd wstrząsnął nieco światem Maxwellów i nie widuję bliskich tak często, jak miałbym ochotę, ale tak naprawdę teraz to ja i Polly tworzymy rodzinę i najważniejsze jest życie, które razem prowadzimy.

– Oczywiście. To jest najważniejsze.

– Polly bardzo dobrze się tutaj czuje i choć ludzie z małego miasteczka czytają te same gazety co ludzie z dużego miasta, wydaje się, że... sam nie wiem... że się nami opiekują. Znalazłem wspaniałą nianię, właściwie to kilka, i gdy nie było mnie przy Polly, miała wokół siebie naprawdę fantastycznych ludzi. To miasto jest świetne dla dzieci.

Uśmiechnęłam się.

– Wszystko kręciło się wokół Polly i farmy. A po tym wszystkim, co zaszło, naprawdę ostatnią rzeczą, o której myślałem, były związki z innymi kobietami.

– Nigdy ci to nawet nie przeszło przez myśl? – zapytałam, poruszywszy się nieco w jego objęciach.

– Oczywiście, że tak – przyznał z zakłopotaniem, a na jego policzki wystąpił lekki rumieniec – ale nie chciałem ryzykować zniszczeniem naszego życia. Bałem się komuś zaufać i powierzyć Polly po tym, jak jej własna matka zostawiła ją dla pieniędzy.

- Mmm, hmm – zamruczałam, czując nagły ścisk w podbrzuszu.
- A potem pojawiłaś się ty – powiedział, unosząc moją brodę, abym spojrzała mu w oczy, z których biło ciepło. – Polly pojechała po raz pierwszy na letni obóz, a ja miałem czas, żeby się po prostu... odprężyć i zauroczyć pewną dziewczyną z L.A.
- A ja z uporem tysiąc razy ci powtarzałam, że pod koniec lata wyjadę. – Westchnęłam, gdy ostatni kawałek układanki znalazł się na swoim miejscu.
- Na pewno ułatwiłaś całą sytuację, dając mi możliwość zwykłego cieszenia się chwilą – powiedział ciepłym głosem, od którego aż zrobiło mi się gorąco. Dotknął nosem mojej szyi, po czym pocałował mnie za uchem. – Zdarzyło się jednak coś, czego się nie spodziewałem. Wstrzymałam oddech, czekając na to, co powie.
- Nasze relacje wyszły poza zwykłą letnią znajomość. Nie sądzisz?
- To prawda – szepnęłam, odpowiadając i jemu, i sobie na to samo pytanie. Wreszcie wszystko zostało powiedziane. Przeszliśmy od zwykłej zabawy do czegoś poważniejszego, czegoś, co dla mnie było jeszcze niezbadanym terytorium, a dla niego najprawdopodobniej źródłem obaw i lęku.
- A potem okazało się, że Polly wróciła wcześniej, praktycznie bez żadnego ostrzeżenia. Powiedziałbym ci o niej, Rox, ale wróciła, gdy jej niania była jeszcze na wakacjach. Nie miałem jej z kim zostawić, aby przyjść i z tobą porozmawiać, a nie jest to rzecz, o której powinno się mówić przez telefon. Zacząłem się zastanawiać, jak ci o niej powiedzieć, aby sprawić, żebyś rozważyła... – uciał, nie kończąc zdania.
- Pozostanie tutaj? – dokończyłam za niego.
- Czy to możliwe? – zapytał.
- Westchnęłam.
- Nie wiem, Leo. Ale... przemyślę to.
- Naprawdę?
- Tak. Dla mnie to też już nie jest zabawa. Cholera, dlaczego musisz być taki fantastyczny? – Zaśmiałam się i zsunawszy się z huśtawki, pociągnęłam go za sobą. Miał swój bagaż, ja też, ale może... Tylko może. – Daj mi trochę czasu, abym się nad tym wszystkim zastanowiła, dobrze?
- powiedziałam, przesuwając dłońmi w górę jego torsu i łapiąc go za

szyję. Poczułam, jak przez bluzkę przechodzi na mnie jego ciepło, ogrzewając mnie od środka. Miał mnie.

– Nadal możemy się dobrze bawić – szepnął, przesuwając dłonie w stronę moich pośladków i przyciągając mnie raptownie do siebie.

– Będziesz musiał mi to chyba udowodnić – rzuciłam i roześmiałam się, przysuwając biodra.

Tak, udowodnił mi w stu procentach, że nadal możemy się dobrze bawić. I że farmerzy są bardzo gorący. A już na pewno, że nikt nie jest bardziej pociągający niż tata farmer.

Rozdział 19

– Co za widok! Jesteś najlepszą rzeczą, jaką dziś widziałam. – Wciągnęłam mocno zapach, rozkoszując się świeżością i ziemistą nutą, a nawet lekko się śliniąc. Rozejrzałam się dookoła, aby się upewnić, że nikt nie patrzy, po czym przytuliłam policzek do jędrnego i grubego, żytniego bochenka na zakwasie, który właśnie przyjechał z piekarni. Był delikatny, kruchy, miał przepiękną, lekko spieczoną skórkę, a do tego – ku mej radości – był jeszcze ciepły.

– Ehm. – Usłyszałam za sobą chrząknięcie, które wyrwało mnie z chlebowego transu.

– Oj, przepraszam – rzuciłam w stronę zgorzonego kierowcy, po czym pokwitowałam odbiór i zapłaciłam biednemu człowiekowi, który pośpiesznie się wycofał w stronę drzwi, zostawiając mnie z bochenkiem w ramionach. – Weź się w garść, Roxie – powiedziałam do siebie, ale już dwie sekundy później wachałam bochenek w taki sposób, w jaki matki wachają głowy dzieci. Czy to źle, że tak samo działa na mnie żytni chlebek?

Na kratkach leżały dziesiątki cudnych bochenków, czekając, aż ktoś je pokroi. Od kiedy pamiętam, moja mama zamawiała białe pieczywo z lokalnej piekarni, po czym kroїła je cienko na tosty i grubiej na kanapki, które uroczo nazywała „kapkami”.

Zmieniłam jej zamówienie, zostawiając tradycyjne białe bochenki, ale dodając jeszcze kilka innych rodzajów, głównie na nową linię delikatesowych „kapek”, których premiera okazała się dużym sukcesem. Marmurkowy chleb żytni na kanapkę Reubena³²... Do klasycznej wersji rosyjskiego sosu dodałam odrobinę soku z cytryny oraz bardzo cienki plasterzek wędzonej goudy. Ciemny, zwarty pumpernikiel połączyłam z cienko krojoną cebulą Vidalią, kremem z rzodkiewki i grubymi plastrami polskiej szynki. Żytni chleb z kminkiem opatrzyłam grubo krojonym pastrami³³ z mostka wołowego – to od lokalnego rzeźnika przypominało to z delikatesów w mieście przy Drugiej Alei – posmarowanym przyprawiającą o łzy musztardą delikatesową... i niczym więcej. W końcu byłam nowojorską dziewczyną.

³² Tradycyjna amerykańska kanapka z kapustą, serem szwajcarskim,

wołowiną i sosem.

33 Przygotowany w ściśle określony sposób kawałek wołowiny.

Wykorzystywałam też na przeróżne sposoby inne rodzaje pieczywa. Nadal przygotowywaliśmy tradycyjne francuskie tosty na grubo krojonym białym chlebie, ale dodałam również do menu pudding na bazie chałki.

Kawałki pieczywa w rozbełtanym jajku, namoczone w waniliowym kremie angielskim i zapieczone z rodzynkami i orzechami pekan oraz posypane cukrem pudrem i zielem angielskim? Od momentu, gdy deser znalazł się w karcie, nie przestawał się zawrotnie sprzedawać.

Zachwycałam się chlebem, tak jak rzeźbiarz się zachwyca kawałkiem surowego marmuru, który jest tylko kawałkiem skały, ale kto wie, czym może stać się w przyszłości? W co może go zamienić ręka mistrza?

Znów pogłaskałam z czułością pumpernikiel.

– Może wolisz zostać sama? – zapytał nagle Leo. Wystraszyłam się nieco i odwróciwszy się, zobaczyłam, że stoi w drzwiach jadalni.

Uśmiechnęłam się, lekko zawstydzona, czując, jak wypełniają mnie emocje, których nie potrafiłam nawet nazwać, a co dopiero wytłumaczyć. Po ostatniej nocy nie byłam pewna, jak do tego doszło, że przeszliśmy na nowy poziom naszego... cokolwiek to było. Nigdy wcześniej nie byłam w takiej sytuacji. Czy będzie dziwnie? Czy będzie nienaturalnie? Czy natychmiast przejdziemy od beztroski i luźnej relacji do etapu, w którym jesteśmy parą, a pary zachowują się tak i tak... *Jasna cholera, jesteśmy parą.*

Z objęć rodzącej się paniki wyrwał mnie zaczarowany pocałunek. Było to ledwie muśnięcie warg, ale tak ciepłe i słodkie, że odsunęło wszystkie czarne chmury i sprawiło, że zapragnęłam więcej.

Leo przesunął ręce na moje plecy i przyciągnąwszy mnie do siebie, zaczął całować w szyję.

– Cześć – wymruczał, docierając prosto do mojego serca, którego bicie czuć było w moich pulsujących żądzach wargach.

Wciągnęłam głęboko powietrze, rozkoszując się jego zapachem: soczysta trawa i słony pot. Czułam, jak jego broda drapie mnie delikatnie w obojczyk i zdałam sobie sprawę, że właśnie ten jego szorstki i ostry dotyk jest czymś, do czego bardzo się przyzwyczałam.

– Mam tu stos boczku, który właśnie stygnie, a wiesz, jak bardzo pan

Beechum nie lubi zimnego bekonu... Kończ z całowaniem i bierz się do pracy. – Maxine, przechodząc obok z krzywym uśmiechem, uderzyła mnie ścierką w pośladki.

Czyli zauważono, że się całujemy. Z pewnością w ciągu paru minut stanie się to tematem dnia w jadalni, a godzinę później obiegnie pocztą pantoflową całe miasto.

E tam.

E tam?

Właśnie, e tam.

Zapanowały jakieś nowe porządki.

Odważyłam się skraść jeszcze jeden pocałunek, zanim z uśmiechem spojrzałam mu w oczy.

– Co tam słyhać?

– Przyszliśmy na lunch – odpowiedział, patrząc na mnie rozbieganym wzrokiem.

No tak. Kubek zimnej wody. W końcu Leo to teraz „my”. I zawsze będzie „my”, a to może być trudne.

Uśmiechnęłam się odważnie. Byłam zdecydowana się przekonać, jak to się wszystko ułoży. Obiecałam Leo, że spróbuję.

Przepchnąwszy się przez wahadłowe drzwi, weszłam do gwarnej jadalni, gdzie dostrzegłam siedzącą przy barze Polly. Nabrałam w płuca powietrza i ruszyłam pewnym krokiem, jakbym to ja była właścicielką tego miejsca – co technicznie rzecz ujmując, zgodnie z wolą matki, było prawdą – postanawiając, że nie okaże ani cienia strachu.

– Hej, Polly, jak leci? – zapytałam. Naprawdę zapytałam dziecko, jak leci... Zdałam sobie z tego sprawę, gdy w wyobraźni ujrzałam komiksową chmurkę z napisem: „Słowa, których nie należy wypowiadać przy dzieciach”. Spojrzałam przez ramię, aby sprawdzić, czy Leo to słyszał. Najwyraźniej tak, bo wpatrywał się w sufit, z dezaprobatą kręcąc głową. Polly wydawała się zdezorientowana.

– Co leci?

Pomachałam ręką, szukając jakieś odpowiedzi.

– Woda w nowym zlewie, oczywiście! – Uśmiechnęłam się tak szeroko, że poczułam napięcie na wargach.

Polly poprawiła sobie palcami kucyk.

- Chyba dobrze.
 - No to super. A więc na co masz ochotę?
 - Jestem głodna jak wilk – ogłosiła, siadając sztywno na stołku.
 - Dobrze trafiłaś. Właśnie miałam sobie zrobić zapiekankę z serem. Lubisz?
 - Nie lubię zapiekanego sera – odpowiedziała, ale zanim zdążyłam wymyślić coś innego, nachyliła się nad blatem i powiedziała śmiertelnie poważnym tonem: – Uwielbiam zapiekany ser.
 - Fantastycznie – skwitowałam z powagą.
 - Hej, Rox, lubi grillowany ser Velveeta z...
 - Cicho! – rzuciłam, rozsiewając Polly. – Chciałabyś zwykłą kanapkę z grillowanym serem czy Serowy Specjał Roxie?
 - Serowy Specjał Roxie! – krzyknęła, po czym powtórzyła z nonszalancją w głosie. – Poproszę Serowy Specjał Roxie.
 - Już się robi – odpowiedziałam, wskazując Leo stołek obok córki.
 - Nie zapytasz, czy ja nie chcę Specjału Roxie? – zapytał dokładnie w momencie, gdy zza rogu wyszła Maxine, trzymając w dłoni mokrą ścierkę.
 - Jeszcze jeden? – zapytała, puszczając mi oko i uderzając w powietrze ścierką niczym biczem.
- Leo otworzył szeroko usta, ale widząc, że Polly na niego patrzy, szybko je zamknął
- Idąc do kuchni, usłyszałam, jak dziewczynka zwraca się do Leo:
- Co miała na myśli, tatusiu?
- Stałam przy grillu i zrobiwszy sobie miejsce obok Zawsze Narzekającego Carla, zabrałam się do pracy. Trzy minuty później zsunęłam na talerze wrzące zapiekanki serowe i z dumą zaniiosłam je do jadalni.
- Oooo – zachwyciła się Polly, gdy położyłam przed nią kanapkę.
 - Och – jęknął Leo. – Wow, Rox, jest piękna, ale...
 - Nie wygląda jak zwykła zapiekanka z serem – skwitowała Polly, spoglądając to na kanapkę, to na mnie.
 - Nie, proszę pani – odpowiedziałam, stając po swojej stronie baru i podnosząc połowę zapiekanki: ser fontina, mozzarella i angielski cheddar, kawałki cienutkich plasterków jabłek Granny Smith i odrobina świeżej szałwii. Pieczywo? Grubo krojony żytni chleb z kminkiem, posmarowa-

ny masłem z dwóch stron i lekko podpieczony na grillu. Wzięłam duży kęs, przewracając z rozkoszy oczami.

– A co wystaje z boku? – zapytała Polly.

– Jabłko.

– Na grillowanym serze?

– Właśnie. – Pokiwałam spokojnie głową, z ustami pełnymi chleba.

– Mój tata zawsze mówi, że nie powinno się mówić z pełnymi ustami.

– A moja mama zawsze mówi, żeby jeść, co się ma na talerzu – odparowałam.

Zamyśliła się przez chwilę, przekrzywiając głowę tak jak czasem Leo.

– Mój tata też tak mówi – zgodziła się i podniosła kanapkę. Powąchała, zmarszczyła nos, po czym niepewnie wzięła pierwszy kęs.

Zauważyłam, że Leo wstrzymał oddech, a zauważyłam to tylko dlatego, że sama też przestałam na moment oddychać. Gdy na twarzy Polly pojawił się wielki uśmiech, oboje wypuściliśmy powietrze tak mocno, że od lekkiego powiewu poruszyła się jej grzywka.

Nie robiłam z tego żadnej sensacji. Podniosłam swoją część kanapki i stuknąwszy się nią z Leo, zjedliśmy razem lunch. We trójkę. Za każdym razem, gdy nasze spojrzenia się spotykały, uśmiechał się znacząco. Zanim skończyliśmy jeść, dowiedziałam się, że Polly uwielbia niebieski kolor, chce zostać trenerką koni albo pogodynką, a Specjał Roxie jest jej ulubioną kanapką, „o wiele bardziej dorosłą niż kanapki, które robi tatuś. On najbardziej lubi ser we wstążkach, a ona w sprayu, choć teraz to już nie”.

Na miłość boską, to dziecko zaczęło mnie przyprawiać o zawrót głowy. Na szczęście zanim z zapiekaneek zostały same skórki, Maxine zaproponowała, że pozwoli Polly wybrać kilka nowych piosenek z szafy grającej, więc na chwilę z Leo zostaliśmy sami.

– Nieźle wyszło – powiedział, sięgając przez bar i kradnąc ostatniego ogórka z mojego talerza.

– Tak, grillowany ser to moja specjalność.

– Nie chodzi tylko o grillowany ser. Miałem na myśli...

– Oj, wiem, co miałeś na myśli – przerwałam, znów czując lekki zawrót głowy, ale tym razem z innego powodu. – Po prostu byłeś w okolicy i zdecydowałeś się tak po prostu wpaść na lunch.

Posłał mi ten swój uśmiech, a ja aż zadrżałam.

– Ej, przecież musieliśmy coś zjeść, tak?

Przewróciwszy oczami, pokiwałam głową, że tak, przecież musieli coś zjeść.

– Wybierasz się na parapetówkę u Chada i Logana w sobotę wieczorem?

– zapytał, zmieniając temat.

– Oczywiście. – Zabrałam się za sprzątanie talerzy, schylając się, aby je włożyć do plastikowego pojemnika leżącego pod barem.

Nachylił się przez ladę.

– Może pójdziemy razem?

Wyprostowałam się gwałtownie.

– Przyrowadzasz córkę, zapraszasz mnie na przyjęcia... I kto tu nagle chce to wszystko sformalizować? – To mówiąc, odrzuciłam włosy do tyłu, aby zmiękczyć nieco wydźwięk słów, które i tak zostały wypowiedziane.

– O tak, zdecydowanie, parapetówka sformalizuje nasz związek – rzucił beztrąsko, udając, że też odrzuca włosy do tyłu. Najwyraźniej mnie przejrzał, bo nie miał zamiaru ulec. – To tylko przyjęcie, Rox. Zapraszam cię na imprezę. Nie będzie to trwało, aż śmierć nas nie rozdzieli. Czy ktoś kiedyś był w pokoju pełnym różnych hałasów płynących z otoczenia, i wiedział, że może prowadzić prywatną rozmowę, której nikt nie jest w stanie podsłuchać? Nagle jednak, zwykle w najbardziej interesującym momencie, cały ten hałas cichnie i wszyscy słyszą, co właśnie mówi...

Właśnie to stało się w pewnej jadalni w małym mieście, dokładnie w momencie, gdy zapadła cisza pomiędzy kolejnymi utworami z listy w szafie grającej, dokładnie wtedy, gdy Leo Maxwell, najlepsza partia w okolicy, powiedział do Roxie Callahan, córki marnotrawnej i najgorszej panny na wydaniu: „dopóki śmierć nas nie rozdzieli”.

Maxine i jej kohorta miały używanie przy stoisku z przyprawami.

Wszystkie były wprost w siódmym niebie.

Rozdział 20

Jak się później okazało, to nie był koniec dziwnych zdarzeń. Przez cały czas miałam mnóstwo pracy w jadłodajni, a po zamknięciu piekłam ciasta dla klientów. Zamówieniom nie było końca. Mimo piekarni, rodzinnych cukierni czy diety locavore³⁴, ludzie domagali się ciast pieczonych w taki sposób, w jaki to zwykły robić ich babcie. Tonęłam w zamówieniach na aksamitny, barwiony na czerwono tort Red Velvet, przełożony białym kremem z serka Philadelphia, krem z burbonem i desery z dodatkiem kokosa, co dość często skutkowało tym, że szłam do łóżka z wiórkami kokosowymi we włosach.

34 Odmiana wegetarianizmu polegająca na spożywaniu jedynie lokalnie wytwarzanych produktów.

Rzadko natomiast chodziłam do łóżka z pewnym farmerem, do którego obecności zdążyłam się już przyzwyczaić. Gdy w takim układzie pojawia się dziecko, szczególnie tak przedwcześnie dojrzałe jak Polly, układ przechodzi od letniego macania do letniego gadania, a raczej SMS-owania, a w tym Leo nie miał sobie równych.

Naturalnie zanim Polly się objawiła, też nie widywaliśmy się każdego wieczoru, ale dosyć często około osiemnastej dzwonił do mnie z pytaniem, czy już jadłam (czytaj: „Czy mogę wpaść na coś pysznego do jedzenia?”) albo około dwudziestej drugiej wysyłał wiadomość z pytaniem, co porabiam (czytaj: „Czy mogę wpaść na coś pysznego do... przelecenia” – wykreślić to ostatnie, staram się kontrolować język). Po godzinnych igraszkach zasypialiśmy obok siebie, wtulając się lub obejmując, co najbardziej lubił.

Ja też to lubiłam. Nawet więcej niż lubiłam – uwielbiałam. A nawet coś więcej. Tu powinno paść ośmioliterowe słowo na literę k, którego tak nienawidziłam – tylko ono w pełni oddawało to, co czułam do Leo. To znaczy: do spania z Leo. Po latach bezsenności wreszcie udawało mi się przespać całą noc, gdy zawinięta w kokon z Almanzo odpływałam w objęcia Morfeusza.

Trzeba było jednak wprowadzić zmiany.

Teraz telefony i wiadomości były przede wszystkim po to, aby się zameldować i porozmawiać o tym, jak mija dzień. Zawsze kończyły się tym

samym zapewnieniem: „Jak tylko niania wróci z wakacji, zaraz u ciebie będę, aby się z tobą pieprzyć i całą cię pożreć”.

Póki co nie było ani pieprzenia, ani pożerania, a w rezultacie nie było też spania, bo znów wróciłam do trzygodzinnego snu. Byłam co prawda przyzwyczajona do takiego rytmu, ale wolałabym sypiać lepiej i dłużej. Brakowało mi też leżenia na łyżeczkę.

W tym tygodniu widziałam Leo kilka razy w okolicy, a także wtedy, gdy wpadał z regularnymi dostawami i codziennie w porze lunchu, bo przychodzili z Polly na zapiekankę z serem. Nie mieliśmy dla siebie zbyt wiele czasu.

Przyzwyczajałam się powoli do faktu, że ma dziecko. Nie do końca do samego faktu posiadania dziecka, bo w końcu dzieci to normalna sprawa, ale bardziej do sposobu, w jaki się do tego przyzwyczajałam. Tego wieczoru, kiedy mi opowiedział o Polly, wkroczyliśmy bez mapy na terytoria pośrodku nieznanego.

Gdy tamtego dnia przyprowadził Polly, zebrałam siły, aby dać z siebie wszystko, i chyba nieźle wyszło, sądząc po reakcji na kanapkę, która stała się jej ulubioną. Nadal jednak było coś, co nie do końca potrafiłam zidentyfikować. Ciągle czułam podenerwowanie, jak na pięć sekund przed tym momentem, w którym strach ściska za gardło.

Czuję strach? Jezu, tylko na tyle mnie stać?

A mówiąc o tym, na co mnie stać...

Nadszedł sobotni wieczór i przeglądałam się w lustrze w sypialni na górze. Przywiozłam ze sobą jedną ładną sukienkę i wreszcie miałam okazję, by ją założyć. Była to luźna lniana tunika w kolorze krwistej czerwieni, poprzątkana gdzieś tam jasnoróżowymi kwiatuśkami. Miała dekolt w serek i była bez ramiączek, przez co prezentowała się elegancko, ale nie przesadnie oficjalnie. Rezygnując ze zwyczajowych warkoczyków czy koka, zdecydowałam się tym razem rozpuścić swoje długie, kręcone włosy. Poskromiłam je nieco, używając olejku kokosowego, przez co zyskały połysk polerowanej miedzi. Chociaż codziennie hojnie smarowałam się kremem przeciwśłonecznym, moja skóra i tak nabrała różowo-brązowego odcienia, a na moim nosie i policzkach pojawiły się piegi.

Poza tym jednak wyglądałam na wypoczętą i szczęśliwą. Leciutkie

zmarszczki, które wskutek ciągłych nerwów zaczęły mi pojawiać się między oczami i na czole, zniknęły przez lato, sprawiając, że wyglądałam młodziej i bardziej świeżo. Leo działał niczym botoks.

Wsunęłam stopy w złote sandały na wysokim obcasie, po czym pospieszyłam na dół, aby dokończyć prezent na parapetówkę. Malutkie babeczki o smaku *crème brûlée*, nasączone pomarańczową brandy i pokryte skorupką ze skarmelizowanego cukru. Niebo w gębie! Zrobiłam porcję dla gości i osobną dla Chada i Logana, by coś im zostało, gdy wszyscy już pójdą. Babeczki o północy – całkiem niezły sposób na świętowanie. Wkładałam właśnie ostatnie sztuki do pojemnika, gdy usłyszałam, że pod dom podjeżdża samochód. Nie był to dźwięk dzipa Leo, więc wyjrzałam przez otwarte drzwi i zobaczyłam na pokrytym kurzem podjeździe czarnego mercedesa.

Dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, że to jednak był Leo. Zwykle ubrany w T-shirt i jeżdżący zardzewiałym dżipem, tak dobrze się maskował, że łatwo było zapomnieć o tym, jak bardzo jest bogaty. Facet, mężczyzna, który wyszedł teraz z samochodu, miał na sobie białą koszulę, czarny sweter, džinsy godne wybiegu i lśniące buty w bardzo dojrzałym stylu, co dawało piorunujący efekt. I... och!

Zgolił brodę.

A co było pod hipsterskim zarostem? Kości policzkowe będące dziełem samego Leonarda da Vinci. Szczeka wyrzeźbiona przez Michała Anioła. I te zielone oczy, zdobiące najprzystojniejszą twarz, jaką kiedykolwiek widziałam. Zaczesał do tyłu zwykle zmierzwione blond włosy, które teraz zdawały się całkowicie pod kontrolą. Czy to była brylantyna? Wosk? Cokolwiek to było, wyglądał idealnie.

Przyjrzał mi się wygłodniałym wzrokiem, lustrując sukienkę, obcasy i nogi. Wiedziałam, że bardzo mu się podoba. Gdy podszedł do werandy, poczułam, że na mojej skórze pojawia się gęsia skórka.

– Jesteś piękna – powiedział, zatrzymując się i opierając stopę na pierwszym stopniu.

– A ty jesteś... co jest lepsze od bycia pięknym? – zapytałam, schodząc o jeden stopień i zbliżając się do niego.

– Olśniewający? Zapierający dech w piersiach? Seksowny ponad ludzkie pojęcie? – Wszedł na jeszcze jeden stopień, przysuwając mnie do siebie

tak blisko, że wystarczył jeden skok, byśmy nigdzie nie pojechali.

Pokiwałam głową.

– Właśnie taki jesteś.

Zanim zrobiłam ostatni krok i zdążyłam skoczyć, przyciągnął mnie do siebie i podniósł, przytulając mocno do piersi i namiętnie całując. Po pięciu dniach seksownych SMS-ów i pięciu samotnych nocach w łóżku wreszcie wziął mnie w objęcia, przesuwając jedną rękę w górę mojego uda, tak że serce niemal wyskoczyło mi z piersi.

Gdy w końcu pozwolił mi złapać oddech, a ja otworzyłam lekko zamroczone i rozmarzone oczy, dotknął nosem mojego nosa i całując mnie jeszcze raz w usta, znów postawił mnie na ziemi, puszcżając do mnie oczko.

– Chodźmy więc oblać nowy dom.

Jadąc przez miasto, przez cały czas trzymał dłoń na moim kolanie, zataczając małym palcem kółeczka na mojej skórze. Małe, niemal niezauważalne kółeczka, które tak bardzo mnie podniecały, że miałam wielką ochotę usiąść mu na kolanach.

– Jeśli pan nie przestanie, będzie pan zmuszony zjechać na pobocze – ostrzegłam, przykrywając jego dłoń swoją.

– Nie widzę problemu – skwitował, kontynuując pieszczoty.

Uśmiechnęłam się i sięgnęłam po ostatnią deskę ratunku, wystrzeliwując pocisk, który wiedziałam, że zwróci jego uwagę. Nachyliwszy się nad nim, otarłam się o jego ramię i szepnęłam mu do ucha:

– Im szybciej tam dojedziemy, tym szybciej wrócimy i wypróbujemy twój brak zarostu, a może coś jeszcze...

Jego ciałem wstrząsnął dreszcz.

– Nie grasz fair, Roxie...

To prawda, ale on też nie grał fair, przyjeżdżając po mnie i wyglądając niczym Wilk z Wall Street.

– Cóż mogę powiedzieć? To był długi i samotny tydzień – przyznałam, całując go szybko, gdy tylko zatrzymaliśmy się na czerwonym świetle. Podniósł moją dłoń i pocałował ją delikatnie, uśmiechając się i sprawiając, że moje serce wykonało salto.

– Też się za tobą stęskniłem.

Gdy tylko światło zmieniło się na zielone, Leo nacisnął z dużą siłą pedał gazu. W tym samym czasie ja się powoli rozpływałam. Wdech. Wydech. Tęsknił za mną. Tęsknił za mną!

Summer lovin'...

Miałam wrażenie, że od dzisiejszego wieczoru wiele zależy. Właściwie to się nawet nie denerwowałam; bardziej chyba czułam się zmieszana, podekscytowana i nieco zaniepokojona – w końcu w pewien sposób czyniliśmy swój związek oficjalnym. Ostatnimi czasy Leo stał się bardziej otwarty, wylewny i skłonny do kontaktu fizycznego na oczach innych. Czasem było to muśnięcie policzka, niekiedy szczyknięcie lub połaskotanie, a to przyciągało uwagę.

Zastanawiałam się, czy dziś będzie tak samo. Sądząc po filmowym pocałunku, który właśnie mi zafundował, obstawiałam, że tak.

Wjeżdżając na wysypany żwirem podjazd, niemal nie czułam żadnych nierówności – Leo miał świetny samochód. Przed domem stał już sznurerek aut, a cały plac był oświetlony lampkami solarnymi prowadzącymi do jasnoczerwonych drzwi.

Gdy przyszedłam tutaj na imprezę z malowaniem, nie byliśmy z Leo parą. Teraz to się zmieniło, a my mieliśmy zamiar ogłosić to dziś wszem i wobec. Cholera, zaraz, co mieliśmy zamiar ogłosić? Że jesteśmy razem?

Leo nacisnął guzik, aby wyłączyć silnik.

– Gotowa? – zapytał, zwracając się w moją stronę i obracając w palcach pasemko moich włosów, które ostatecznie założył mi za ucho.

– W miarę – odpowiedziałam i zbliżywszy się do niego, pocałowałam go raz, dwa, trzy razy w usta.

Gdy wreszcie się odsunęłam, jęknął, szukając moich ust i nachylając się w moją stronę.

– Jeśli zaraz nie wsiądę, wciągnę cię na tylne siedzenie i będę miał gdzieś, czy ktoś nas widzi.

Spojrzałam na ludzi zbierających się na podjeździe. Wyglądało na to, że większa część miasta miałaby niezły widok.

– Obiecuję, że ci to wynagrodzę.

Zadowolony wyskoczył z auta i okrążył je, by otworzyć mi drzwi. Wyciągnął do mnie rękę i pomógł wsiąść, ani na chwilę nie spuszczał ze

mnie wzroku.

Jego oczy mówiły tak wiele, składały tak dużo niegrzecznych obietnic, że z trudem oparłam się pokusie, aby rzucić go na maskę i ułożyć się na nim niczym emblemat marki samochodu.

– Jesteście! – zawołał Chad, schodząc po schodach i niosąc w rękach dwa słoje. Były piękne, słodkie i świetnie pasowały do klimatu, szczególnie że w środku był poncz z malinami, miętą i unoszącymi się na powierzchni kostkami lodu.

– Jesteśmy! – odpowiedziałam z takim samym entuzjazmem. Cieszyłam się, że się pojawił, zanim zdążyliśmy wyświetlić film dozwolony od lat osiemnastu pod tytułem *Stary Donald orgazm miał*, w którym pewnie grałabym pierwszoplanową rolę.

Chad zaprowadził nas do środka, biorąc mnie za rękę, gdy tylko przeszliśmy przez frontowe drzwi. Nikt jednak nie patrzył na niego, o nie. Wszyscy patrzyli na dłoń Leo, która mocno i jednoznacznie usadowiła się nisko na moich plecach, ogłaszając nasz związek bardziej dobitnie, niż gdybyśmy weszli, całując się z języczkiem.

Wszyscy patrzyli na nas z otwartymi szeroko oczami, zakrywając usta dłońmi i szturchając się znacząco. Jestem całkiem pewna, że ci, którzy nie mogli tam być, szybko zostali powiadomieni o całej sytuacji na Facebooku lub Twitterze, bo zauważyłam, że kilka osób zrobiło w tym samym momencie zdjęcia szczęśliwej parze.

Mówiąc o szczęśliwej parze, mam na myśli nas, a przynajmniej jedno z nas.

Nie chciałam zostać źle zrozumiana: wspaniale było czuć, że ktoś tak bardzo mnie pragnie, a Leo potrafił to okazać. Podszedł do mnie z tyłu, gdy Archie Bryant, do którego rodziny od pięciu pokoleń należał hotel Bryant Mountain House, właśnie mi opowiadał, jak bardzo smakował mu tort z kremem kokosowym kupiony pewnego dnia przez jednego z jego kucharzy, i zastanawiał się, czy byłaby jakaś szansa na to, abyśmy mogli razem pracować.

Szansa na współpracę z Bryant Mountain House? To miejsce było legendą, ikoną!

Odpowiedziałam z nonszalancją, że tak, że chętnie porozmawiam z nim na ten temat, w głębi duszy starając się powstrzymać pisk, co było tym

trudniejsze, że Archie był dodatkowo bardzo przystojny. Miał lekko kręcone kasztanowe włosy, pogodne niebieskie oczy i dużo się uśmiechał, wywołując tym serię westchnień u damskiej części populacji.

Poza piskiem musiałam jeszcze opanować rosnące podniecenie, które pojawiło się wraz z Leo, dotykającym moich pośladków bardzo konkretną i bardzo twardą częścią ciała. Próbując powstrzymać rumieniec, podziękowałam Archiemu za zainteresowanie i obiecałam, że na pewno się niedługo spotkamy.

Leo był w tym dobry. Skręciłam w lewo, a on po chwili już był przy mnie, trzymając znacząco dłoń na moich plecach. Skręciłam w prawo, a on – co było zresztą do przewidzenia – natychmiast podążył w tę samą stronę. Nikt nawet nie zauważył, że tak naprawdę myślę tylko o jednym: o ogromnym silosie w jego spodniach.

Czekałam na kłujące drzenie w szyi albo pomiędzy łopatkami, gdy przesunął mi palcem wzdłuż kręgosłupa, ale nic takiego się nie pojawiło. Zamiast tego z całych sił pragnęłam go rozebrać i jak najszybciej poczuć pod sobą. W pewnym sensie podobało mi się to publiczne okazywanie uczuć.

Rozpalona, wręcz rozgorączkowana, zostawiłam wreszcie na moment Pana Niecierpliwe Rączki i skierowałam się do toalety, która była oznaczona napisem „Żadnych fiutków”. Schłodziłam kark mokrym ręcznikiem, po czym spojrzałam na siebie w lustrze. Miałam zarumienioną twarz i rozbiegane oczy – o matko, wpadłam po same uszy!

Gdy tylko wyszłam z toalety, zostałam wciągnięta w swój własny film w reżyserii Johna Hughesa... Przed drzwiami, oparty o ścianę naprzeciw, stał Leo. Powoli podniósł na mnie wzrok w ten swój seksowny sposób, sprawiając, że nogi się pode mną ugięły. Nagle odepchnął się od ściany i ruszył, a właściwie zakradł się do mnie niczym najseksowniejszy drapieżnik, jakiego w życiu widziałam. Przyparł mnie do ściany. Do ściany! Jego ciało przywarło do mojego, podczas gdy zaraz za rogiem znajdowała się reszta towarzystwa, która w każdej chwili mogła nas nakryć na gorących pocałunkach. Fakt obecności innych ludzi pozostał na skraju mojej świadomości – skupiłam się całkowicie na jego ustach przesuwających się wzdłuż szyi, gdy szeptem składał mi najseksowniejsze obietnice, jakie w życiu słyszałam. *Lizanie. Ssanie. Gryzienie. Podnosze-*

nie. Obracanie. Odwracanie. Klapsy. Pieprzenie. Pieprzenie. Pieprzenie. Nagle gdzieś blisko spadł kieliszek; oboje odwróciliśmy głowy w tym kierunku, słysząc poza brzękiem szkła stłumiony chichot. To wystarczyło, aby nas wyrwać z transu i oderwać od ściany. Ruszyliśmy z powrotem na przyjęcie, gdzie wszyscy zdawali się dokładnie wiedzieć, co przed chwilą robiliśmy.

– Muszę się napić, a ty? – zapytałam nieco zdezorientowana, czując, że potrzebuję chwili bez intymnej bliskości odurzającego pana Maxwella, którego fizyczną obecność czułam aż pod skórą, a mało brakowało, abym poczuła ją i pod sukienką.

Zwilżył wargi językiem i uśmiechnąwszy się do mnie, ruszył po drinki, rozmawiając po drodze ze wszystkimi z uśmiechem.

Nagle usłyszałam za sobą głos, który prześladował mnie przez wszystkie szkolne dni.

– Popatrz, popatrz, kogóż to przywiało do miasta! Skupiłaś na sobie uwagę wszystkich. – Krissy Jacobson, przewodnicząca klasy, królowa balu, zwyciężczyni konkursu na wieczną sukę, przydreptała do mnie, stukając obcasami. Za nią podążało stadko czterech przyjaciółek. Od szkoły średniej minęło wiele lat, a one nadal człapały za nią niczym małe kaczątka.

Mentalnie natychmiast przygotowałam się na uszczypliwe dowcipy i przytyki na temat liceum i całej tej mizერი, która mi wtedy towarzyszyła.

– Cześć, Roxie! – zaświergotała Maureen, która była najsympatyczniejsza z całej grupy.

Loren mnie przytuliła.

– Tak miło cię widzieć! – krzyknęła wesoło, całując mnie w policzek i ustępując miejsca Pauli, która też mnie przytuliła i przekazała pałeczkę Lece.

Cała czwórka wyraziła swoje zdanie na temat mojej sukienki, włosów i „muśniętej słońcem” cery. Jestem pewna, że dobrze wiedziały, iż to sprawka prowadzenia się z Leo. Żadna z nich nie wyjechała z Bailey Falls, decydując się zostać na miejscu i zająć się tutaj wychowywaniem dwuipółletnich dzieci. Wprost pękała mi głowa, gdy słuchałam o ich rodzinach, mężach i dzieciakach.

Zaraz potem zasypały mnie pytaniami o Kalifornię. Czy codziennie chodziłam na plażę? Czy Kardashianki chodzą na siłownię? Czy gotowałam dla kogoś sławnego?

Nigdy nie rozmawiam o swoich klientach, ale to były dziewczyny, które swego czasu uczyniły mi z życia piekło, więc mogło się zdarzyć, że pokazałam im w telefonie swoje zdjęcie z Jackiem Hamiltonem, gdy akurat obejmuje mnie w swojej kuchni, a w obu rękach trzyma wielkie kawałki babki. Wszystkie aż pisnęły.

– I Leo... – rzuciła Krissy, czekając, aż złapię przynętę.

– Tak, Leo – odpowiedziałam, unikając kontaktu wzrokowego.

– Masz szczęście – powiedziała Lece. – Kobiety od lat próbowały go usidlić!

Pokiwałam tylko głową, chłonąc każde ich słowo na temat tego, jak bardzo jest zaangażowany w życie lokalnej społeczności i jak słodko wyglądają razem z Polly.

– Nie ma nic seksowniejszego niż zapatrzony w dziecko tatuś – rzuciła Maureen, po czym wypła kieliszek wódki.

– Wszyscy mówią, że jesteś dziewczyną Leo – skwitowała Paula.

Uśmiechnęłam się grzecznie i na chwilę odpłynęłam myślami, zastanawiając się nad określeniem „dziewczyna Leo”, podczas gdy one zaczęły mówić o Oscarze, tym słodziaku z mleczarni.

Od kiedy sięgam pamięcią, wszyscy widzieli we mnie „dziewczynkę Trudy”.

Teraz byłam „dziewczyną Leo”. Gdzie musiałabym być, aby stać po prostu Roxie?

W Kalifornii.

Jeszcze przez moment rozmawiałam z dziewczynami, podjadając oliwki z Lece i pijąc wódkę z Maureen – jeden kieliszek, drugi, wreszcie trzeci. Przyznałam się Krissy, że sabotując jej kruche ciasto z truskawkami na zajęciach z gospodarstwa domowego, podmieniłam cukier na sól, jak to czasami robi się w szkołach, po czym wypłałam jeszcze jeden kieliszek wódki z Maureen.

Gdy wreszcie je przeprosiłam i ruszyłam do reszty towarzystwa, byłam tak wstawiona, jakbym wypłała miskę wódki, co nie przeszkodziło mi się zastanawiać nad tym, ile czasu może zająć Leo dobranie się do moich...

misek, gdy tylko wrócimy do domu. Te miski to były oczywiście miseczki mojego biustonosza.

Zanim pokonałam drogę od baru do salonu, czułam się już nie „wstawiona”, ale „pijana jak cholera”. Znalazłam Leo w kuchni; siedział na granitowym blacie i popijał wodę z butelki, rozmawiając z Oscarem, który miał na sobie biały T-shirt opinający jego wielkie, wytatuowane bicepsy tak mocno, że niemal pękał w szwach. Lśniące czarne włosy znów zaczesał do tyłu i związał skórzanym paskiem, a ja w swej pijanej głowie zaczęłam się zastanawiać, co musiałoby się stać, aby je rozpuścił. Co albo kto. Na pewno ktoś naprawdę piękny, a mówiąc o kimś pięknym... Leo spojrział na mnie w taki sposób, że ogień, to słodkie ciepło, które wcześniej rozniecił pocałunek na werandzie, teraz zapłonął na nowo żywym płomieniem. Ruszyłam w jego stronę, stąpając po nierównej, wyłożonej kafkami podłodze (która, nawiasem mówiąc, była gładka i równa) i potknąwszy się lekko na swych metrowych obcasach, w końcu wylądowałam między jego udami, uśmiechając się do niego głupkowato.

– Almanzo, co powiesz na szaloną jazdę? – zamruczałam (wybełkotałam) i wyciągnąwszy dłoń, położyłam mu ją nisko na plecach, aby każdy widział moje trofeum. Efekt byłby większy, gdyby nie miał na sobie swetra, ale co tam! Dziś w nocy szliśmy razem do łóóóóózka!

– Porozmawiamy później, Leo – mruknął Oscar (ależ ze mnie przezbawna osóbka!) i oddalił się w stronę drzwi, schylając się, aby przez nie przejść.

– Widziałem, jak piłaś wódkę z dziewczynami – rzucił Leo ze śmiechem, gdy oparłam mu głowę na piersi, wciągając jego zapach.

– Nienawidziły mnie w liceum – oznajmiłam – ale teraz mnie kochają. Bo jestem z tobą? Bo mieszkam w Kalifornii? Ciężko powiedzieć. I dlaaaaczego nie ujeżdżasz mnie w samochodzie?

– Wydaje mi się, że czas wracać do domu, Groszku. – Pocałował mnie w czubek głowy, podczas gdy ja bawiłam się guzikami jego koszuli.

– O Boże, wiesz, jak to na mnie działa – westchnęłam. – Aż chce mi się zrobić szpagat.

– Szpagat? – zapytał, unosząc koniuszek ust.

– Na twojej twarzy... – W tym momencie opadła mu szczęka, a ja poklepałam go po policzku.

– Czas iść.

Szybko pożegnaliśmy się z Chadem i Loganem, po czym Leo niemal wyniósł mnie przez tylne drzwi prosto do samochodu. Nawet nie zdążyłam powiedzieć: „Hej, przepiękny dom i świetna parapetówka!”.

Właściwie zdążyłam: krzyknęłam to jeszcze, wysuwając się spod ramienia Leo, który usilnie starał się zapiąć mi pas.

– Leo, Leo, Leo, Boże, jak ja uwielbiam powtarzać twoje imię! – zawołałam.

Uklęknął obok mnie, odgarniając mi włosy z twarzy i patrząc głęboko w oczy. Czyżby szukał odpowiedzi? A może po prostu sprawdzał, jak bardzo byłam pijana?

– Myślałam o tobie przez cały tydzień, wiesz?

– Tak? – zapytał z nieskrywaną radością, której nie przyćmiła nawet wcześniejsza troska.

– Przestań tak na mnie patrzeć. Jestem pijana, ale nie na tyle, żeby pewnych rzeczy nie wiedzieć.

– A co wiesz, moja ślicznotko? – Przesunął dłonią po moim policzku, obejmując mi twarz i dotykając palcami karku.

– Wiem, że byłeś tu, na plecach, z tą swoją seksowną dłonią, znacząc terytorium. – Pociągnęłam go lekko za koszulę, a następnie pocałowałam w nos, powieki, czoło i wreszcie brodę.

– A nawet jeśli? – Szybko wciągnął powietrze, gdy skubnęłam zębami jego szczękę. Wydał cichy jęk, a ja wsunęłam mu rękę we włosy i wycalałam ścieżkę prosto do jego ust.

– Znam o wiele lepszy sposób na znaczenie terytorium – rzuciłam, po czym pocałowałam go mocno i namiętnie, wsuwając mu w usta język. Czulałam na sobie dotyk jego drżących, szorstkich dłoni.

– Opowiedz mi – poprosił, a w jego głosie można było wyczuć żądzę, co tylko napawało mnie tym większą rozkoszą. To właśnie ja potrafiłam go doprowadzić do takiego stanu. – Powiedz mi, czego pragniesz.

Przyciągnęłam go bliżej i szepnęłam mu do ucha:

– Chcę, byś pieprzył się ze mną bez prezerwatywy, a potem doszedł na moim ciele. Chcę być mokra, śliska i niegrzecznie brudna.

Leo najpierw zamarł, po czym odsunął się, aby na mnie spojrzeć i wciągnął powietrze tak mocno, jakby nie oddychał od lat.

Chciałabym móc powiedzieć, że zdążyliśmy wrócić do mnie, ale mogę tylko oświadczyć, że zdążyliśmy wyjechać z centrum miasta, gdzie zbezpieściliśmy wiejską drogę w możliwie najcudowniejszy sposób.

Rozdział 21

Zamówienie gotowe! Jajecznica na żytnim toście, dwie kanapki Reubena, jedna z ogórkiem, oraz cola, czekolada, lody i bita śmietana. Ruszamy się, moje panie!

Roześmiałam się, bo w tym samym momencie w moją stronę poleciały ścierki z czterech krańców jadłodajni. Wszystkie kelnerki zebrały się pod okienkiem, aby odebrać swoje zamówienia, a Maxine puściła do mnie oko.

Byłam jeszcze w łóżku, gdy zadzwonił Carl, oznajmiając, że jest chory, musiałam więc zająć się grillowaniem, jednocześnie przygotowując się na następny dzień i sprzątając, aby wszystko było dopięte na ostatni guzik.

– Co tam słyhać, pani Oleson? – zawołałam, gdy tylko usłyszałam dzwonek zwiastujący przybycie nowego klienta.

Pani Oleson pomachała do mnie, krzycząc od samego progu:

– Roxie, będziesz tu jutro rano? Muszę zamówić coś na lunch z burmistrzem w przyszłym tygodniu. Możesz zrobić odwrócone ciasto ananasowe albo coś w tym stylu?

– A może ciasto ananasowo-pomarańczowe z polewą z brandy?

Cała jadłodajnia aż krzyknęła z zachwytu, a pani Oleson podniosła oba kciuki. Ukłoniłam się lekko i wróciłam do zakręcania butelek z ketchupem, podśpiewując pod nosem piosenki z szafy grającej. Gdy usłyszałam kolejny dzwonek, zawołałam przez ramię:

– Witam U Callahana! Proszę siadać, gdzie jest miejsce, a zaraz ktoś pojdzie...

Urwałam w pół słowa, czując zapach paczuli. Niemożliwe... Odwróciłam się i w drzwiach ujrzałam własną matkę oraz stojącą zaraz za nią ciocię Cheryl. Była opalona i cała promieniała.

– Nie powinno cię tu być... Co ty tu... To znaczy: wróciłaś! – wymknęło mi się.

– Też się cieszę, że cię widzę – odpowiedziała ciepłym i łagodnym głosem. Jej ręce i dłonie pokrywały tatuaże z henny, w nosie miała nowy kolczyk, a nieokiełznane włosy zaplotła w dwa kędzierzawe warkocze. Wybiegłam z za lady i od razu zawładnęła mną silna woń paczuli, tak

bardzo, że po raz pierwszy od bardzo długiego czasu poczułam radość, że ją widzę. Jak to jednak możliwe, że moją pierwszą myślą było, czy to nie za wcześnie na jej powrót...

– Przydałaby się mała pomoc – wtrąciła ciocia Cheryl, walcząc z bagażem, który – jak się okazało – był wspólny.

– Oj, przepraszam, ciociu, pozwól że ci pomogę! – krzyknęłam, łapiąc dwa worki podróżne i torby na ramię wypełnione po brzegi hiszpańskimi wachlarzami, chińskimi maskami, bambusowym...

– Mamo! Nie możesz chodzić z tym jak z torebką! – zawołałam, zrzucając ścierkę na bambusową fajkę.

Ona jednak w ogóle nie słuchała, machając do wszystkich niczym celebrytka. O rany... Będzie tym żyć przez dziesięć lat.

– To rytualny wąż, Roxie. Kupiłam go w Laosie. Nie spinaj się tak – skwitowała, wchodząc do jadalni i rozglądając się dookoła.

Patrząc, jak ocenia wprowadzone przeze mnie zmiany, poczułam ścisk w żołądku, bo wiedziałam, że pewnie się zastanawia, jak szybko może doprowadzić to wszystko do poprzedniego stanu.

Pokręciłam głową i zabrałam się do roboty. Razem z Maxine ułożyłyśmy wszystkie torby przy drzwiach, podczas gdy moja matka zaczęła się ze wszystkimi witać, jakby nie było jej tutaj od lat.

Ktoś przy barze od razu zadał pytanie za milion dolarów:

– A więc wygrałyście?

Mama wymieniła z ciocią Cheryl porozumiewawcze spojrzenia, po czym zgodnie potrząsnęły głowami.

– Przepraszam, nie możemy powiedzieć. Jesteśmy związane umową – wyjaśniła.

– Ciociu Cheryl, wszystko w porządku? Wyglądasz na wyczerpaną – powiedziałam, podsuwając jej stołek.

– Nigdy nie byłam taka zmęczona. – Z wdzięcznością opadła na krzesło, opierając czoło na ladzie i praktycznie zasypiając, zanim zdążyłam zlokalizować wzrokiem matkę, która już wmieszała się w tłum, witając stałych klientów i ucinając sobie z nimi pogawędki. Wychowała się w tym mieście, znała tu wszystkich i wszyscy bardzo ją lubili. Jej powrót wniósł do miasteczka świeży powiew, więc korzystała ze swoich pięciu minut. Chodząc po jadalni, oceniała zmiany, które wprowadziłam, ale

póki co nie komentowała ani o nic nie pytała. Nawet jeśli pewne rzeczy nieco ją drażniły, nie odezwała się ani słowem. Może dlatego, że nie byłyśmy same, a może zmiany jej się podobały, co było mało prawdopodobne.

Wróciłam do swoich obowiązków. Gdy tylko minęła pora lunchu, w jadalni zrobiło się spokojniej i ciszej. Wtedy zabrałam się za sprzątanie, czekając, aż ogarnie mnie uczucie ulgi wywołane jej powrotem, który przecież oznaczał, że mój czas tutaj dobiegł końca i mogę wracać do swojego życia w Kalifornii. Właśnie na to czekałam, ale nie czułam nic. Wreszcie ostatni klienci skończyli lunch i wyszli, a mama zamknęła za nimi drzwi, po czym odwróciła się w moją stronę i usiadła na stołku obok chrapiącej siostry.

– Powinnyśmy ją obudzić.

– Wydaje się zmęczona. – Zachichotałam. – Niech śpi.

– A mówiąc o spaniu...

Zerwałam się na równe nogi. Kto zdążył jej już powiedzieć o Leo?

– Jak sypiałaś odurzona świeżym, wiejskim powietrzem?

Wypuściłam z ulgą oddech.

– Och, muszę przyznać, że całkiem dobrze.

– I wyglądasz dobrze – powiedziała, przyglądając mi się uważnie. – Wyglądasz na wypoczętą. Masz ładną cerę, świetliste oczy i gładkie włosy.

– Dzięki, codziennie jem jedno surowe jajko, aby dodać im połysku.

Chcesz zerknąć na moje uzębienie?

– Nie pyskuj, Roxie – rzuciła zamyślona, nadal uważnie mi się przyglądając. Czy się domyślała? Czy wiedziała? – Hmm... – odezwała się po chwili milczenia.

Poczułam się tak jak wtedy, gdy byłam dzieckiem i próbowałam skłamać na temat nieodrobionego zadania domowego. Zawsze znała prawdę.

– Możesz już jechać, Rox – rzuciła.

– Dzięki, ale muszę jeszcze dokończyć zamówienia. Zobaczymy się w domu. Jestem pewna, że ciocia Cheryl wolałaby przespać się na kanapie niż na barze. – Uśmiechnęłam się i poklepałam ją po dłoni. – Cieszę się, że wróciłaś, mamo.

– Chodziło mi o to, że możesz jechać z powrotem do Kalifornii.

Wychodziłam właśnie przez drzwi wahadłowe, gdy usłyszałam jej słowa,

po których natychmiast się odwróciłam i wbiegłam z powrotem do jadłodajni.

– Wróciłam! Jesteś wolna! – zawołała, wykonując przy tym teatralny gest w kierunku frontowych drzwi. – Właściwie to się dziwię, że nie ruszyłaś w drogę zaraz po tym, jak przekroczyliśmy próg.

Usiadłam obok niej, bawiąc się wystającą z fartuszka nitką. Przypomniały mi się czasy, kiedy byłam małą dziewczynką. Unikałyśmy kontaktu wzrokowego, patrząc na żółte bloczki z zamówieniami przyczepione do stalowej listwy.

– Zastanawiałam się – rzuciłam, bawiąc się telefonem dla rozładowania emocji – czy nie powinnam zostać nieco dłużej. Bo widzisz, wróciłaś wcześniej niż się spodziewałam. Cieszę się że wróciłaś, ale jeszcze nie jestem gotowa. Ja... nadal mam zamówienia na ciasta, które muszę zrealizować. Muszę ci opowiedzieć o zamówieniach na torty, którymi od jakiegoś czasu się zajmuję. Prowadzę też zajęcia z robienia przetworów i mamy jeszcze do omówienia puszkowanie, a miałam nadzieję, że zanim skończą się pomidory, zrobimy też przecieranie i mrożenie.

Wtem ekran telefonu się rozjarzył, co świadczyło o nadejściu nowej wiadomości. Od razu pojawiło się na nim imię Leo oraz zdjęcie, które mu zrobiłam tamtego dnia, kiedy pokazał mi swoje... orzechy. Uśmiechał się na nim leniwie i wyglądał niczym chłopak z plakatu reklamującego seksownych farmerów – to było moje ulubione zdjęcie. Mimo że dość szybko odwróciłam telefon, mama zdążyła zobaczyć zdjęcie. Mogła też przeczytać wiadomość. O rany...

Ściągnęła usta, próbując powstrzymać uśmiech.

– Rozumiem.

– Nic nie rozumiesz. To nie to, na co wygląda...

– Chciałabym się dowiedzieć, na co to wygląda według ciebie: najbardziej rozchwytywany kawaler w stanie Nowy Jork wysyła do mojej córki wiadomości typu „Hej, Groszku, wczorajsza noc była niesamowita” i...

– Przestań! O Boże, po prostu przestań! – jęknęłam i opuściłam głowę na ladę tak jak ciocia Cheryl.

– Tego lata udało ci się upiec nie tylko kilka ciast, Roxie Callahan! – Moja matka poderwała się ze stołka i pobiegła za bar, chwytając dwa kubki i dzbanek z kawą, po czym wróciła na miejsce, oparła brodę na rę-

kach i uniosła znacząco brwi. – No to opowiadaj.

Opowiedziałam jej wszystko po kolacji, jak już ciocia Cheryl zaczęła głośno chrapać w pokoju gościnnym, a my usadowiłyśmy się wygodnie na werandzie przed domem, która tego lata była areną wielu ciekawych zdarzeń, począwszy od seksu na podłodze do zawiłych opowieści. Moja mama przyniosła sobie kubek pełen najlepszej jakości ziół z Kolorado, podczas gdy ja zostałam przy mrożonej kawie.

Pomijałam wiele szczegółów, nie wyjawiając konkretnych faktów i przyznając się jedynie do sporadycznego widywania Leo w celach wyłącznie towarzyskich. Wystarczyło kilka pikantniejszych detali, aby ją zdekoncentrować i ledwie mała zachęta, by całkowicie odwrócić jej uwagę od siebie i mojego życia intymnego, skupiając się na jej wyjeździe i na tym, czy wszystko się udało.

Oficjalnie nie mogła mi powiedzieć, czy wygrały, ale wiedząc, że wróciły wcześniej i widząc, jak przebiegle puszcza do mnie oko dokładnie w momencie, gdy powiedziałam: „Oj, na miłość boską, po prostu mi powiedz. Przegrałyście, tak?“, skojarzyłam fakty i wyciągnęłam wnioski.

Tak jak łatwo można było skupić jej uwagę na czymś błyskotliwym (czyli na niej samej), tak samo łatwo było skierować rozmowę na coś błyskotliwego i usłanego różami (czyli na jej życie intymne). Moja matka podczas podróży spotkała aż trzech mężczyzn. Jako pierwszy pojawił się Hank, sprzedawca części samochodowych z Akron w Ohio, który brał udział w programie ze swoim synem. Był to jej pierwszy wybranek i zaraz po powitalnym przyjęciu dla uczestników spędzili razem noc, upijając się i całując w Chinatown w San Francisco. Wtedy do akcji wkroczył jego syn i ciocia Cheryl, którzy zdołali każdemu z osobna wyjaśnić, że związek w trakcie programu to przepis na katastrofę. Gdy tylko moja matka przyłapała Hankę z rękami pod figami innej uczestniczki programu (Sabriny, instruktorki jogi z Tallahassee), przyznała im rację i Hank poszedł w odstawkę.

Następny był francuski emigrant Pierre, instruktor nurkowania i poszukiwacz pereł na południowym Pacyfiku. Próbując freedivingu, czyli nurkowania na wstrzymanym oddechu, już po dziesięciu minutach treningu

i zerowych rezerwach tlenowych moja matka została wyciągnięta z wody prosto na kolana oczarowanego nią Pierre'a, który z francuską nonszalancją przeprowadził czynności resuscytacyjne. Przyznała, że tak naprawdę to doszła do siebie trochę wcześniej, ale chciała nacieszyć się nieco kontaktem usta-usta. Razem z Pierre'em spędzili noc, kąpiąc się nago w oceanie, a moja matka zachęcała go, aby spróbował ustanowić nowy światowy rekord we wstrzymywaniu oddechu pod wodą, zajmując się w tym czasie...

Musiałam sobie przynieść szklaneczkę szkockiej, aby móc wysłuchać tej opowieści do końca.

W końcu pojawił się Wayne Tuesday, czyli pan Wtorek. Tak, to było jego prawdziwe nazwisko. Wayne był operatorem kamery i pracował przy programie – to właśnie jego przydzielono do filmowania mojej mamy i cioci Cheryl. Pewnej późnej nocy na Tahiti, zaraz po tym, jak matka wygrała zawody w tańcu limbo, oboje odłączyli się od grupy i wymknęli na ananasowe daiquiri. Czy chodziło o tego ananasa? A może o taniec limbo? A może bardziej o giętkość? (Z pewnością chodziło o giętkość). Tak czy owak, matka zadurzyła się w Wayne.

Zwykle gdy uczestnik programu typu reality show wchodzi w intymne relacje z pracownikiem obsługi (nie, nie jest to aprobowane), następuje jedna z dwóch rzeczy: albo uczestnik zostaje usunięty, albo pracownik obsługi musi opuścić program. Udało im się ukrywać przed wszystkimi ten kiełkujący związek aż do momentu, kiedy dotarli do ostatniego miejsca podróży, czyli do Rzymu, gdzie przyłapano ich na śmiałej zabawie w kotka i myszkę.

Właśnie tak wyglądało u mojej mamy dochowanie tajemnicy. Czy przyznała się, mówiąc: „Hej, nie wygrałam programu”? Nie, ale nie przeszkodziło jej to obejść zasad, posługując się zamiast tego słowami typu „usunięto mnie”. Nikt, naprawdę nikt, kto znał Trudy Callahan dłużej niż godzinę, nie powierzał jej żadnych tajemnic.

W miarę jednak, jak opowiadała historię za historią, coraz bardziej fascynowały mnie jej entuzjazm, beztroška i podejście do życia. Cieszyłam się jej towarzystwem, śmiałam się z jej opowieści i poklepywałam ją współczująco po ramieniu, gdy zdawała relacje z poparzeń słonecznych tam na dole po krótkim epizodzie na plaży nudystów.

Siedziałyśmy tak, obserwując świetliki tańczące leniwie w ogrodzie i rozmawiając o wszystkim i o niczym. Byłam już pewna, że całkowicie zapomniała o tamtym SMS-ie, kiedy nagle sobie przypomniała.

– Leo Maxwell jest dokładnie takim typem faceta, jakiego widziałabym u twojego boku. Przemyśl to, Roxie.

Byłam tak zaskoczona, że jeszcze długo po tym, jak weszła do domu, siedziałam na werandzie nieruchomo niczym kamień, myśląc o tym, co właśnie powiedziała.

Rozdział 22

Następnego ranka mama oznajmiła, że przyjeżdża Wayne Tuesday, który jechał aż z Waszyngtonu, aby spędzić z nią tydzień. Ciocia Cheryl pojechała do siebie już następnego dnia, mówiąc mojej matce, żeby nigdy, ale to nigdy nie dzwoniła już do niej w sprawie żadnego reality show ani jakichkolwiek wyjazdów.

Mama była przeszczęśliwa, że zostanę z nią dłużej, ale wiązało się to z dość ciasnymi warunkami mieszkaniowymi. Byłam przyzwyczajona do tego, że w pobliżu kręcili się jej faceci, ale od lat nie byłam tego naocznym świadkiem. Wzdrygnęłam się, piekąc burgera i zastanawiając się, co będę musiała znosić, gdy przyjedzie Wayne.

Tego dnia przyjechałyśmy do pracy razem. Matka chciała koniecznie przejrzeć księgi rachunkowe i zobaczyć, jak dawaliśmy sobie radę, kiedy jej nie było. Denerwowałam się tym, w jaki sposób przyjmie te wszystkie zmiany, choć właściwie nie powinno mnie to szczególnie martwić.

W końcu wyjeżdżałam, prawda?

Być może. A może nie? Gdyby teraz w mojej głowie siedział Chad Bowman, pewnie zrobiłby gwiazdę z radości, że zastanawiałam się nad możliwością... zostania. Na to wyglądało.

Myślałam nad tym, przygotowując kanapki kalifornijskie i wrzucając kiełbasę na ruszt. W mięsny, gdzie kupowałam pastrami, mieli nowy rodzaj niemieckich kiełbasek i powoli wprowadzałam je do menu. Kiełbasa była fantastyczna, idealnie doprawiona i miejscami lekko skwierczała dobrym tłuszczem. W myślach już opracowywałam przepis z grillowanymi cebulami i odrobiną octu jabłkowego, gdy nagle usłyszałam, jak Maxine woła, że mam gościa.

Zerknąwszy na leciwy zegar wiszący nad okapem, zobaczyłam, że była już prawie pora lunchu, co mogło oznaczać konkretnego gościa.

Uśmiechnęłam się i przykrywając kanapki, aby ser się roztopił, wytarłam ręce w fartuch i pchnęłam drzwi wahadłowe.

Od razu zauważyłam Polly, która siedziała przy barze z leżącym przed nią menu.

– Picie napojów gazowanych nie może być nielegalne. To głupota, tatu-siu – rzuciła do Leo, spoglądając z ukosa.

Oparłam się o framugę i uśmiechnęłam, patrząc, jak ojciec ze spokojem zabiera menu, zamyka je i kładzie pomiędzy sobą a córką.

Zaraz za nimi ujrzałam moją matkę z dzbankiem kawy, spacerującą tańczącym krokiem od stolika do stolika, zagadującą gości i sprawdzającą, czy każdy ma wszystko, czego potrzebuje.

Nagle nawiedziła mnie pewna wizja – wizja lub sen na jawie, cokolwiek to jednak było, zobaczyłam przed sobą jasny i ostry obraz nieco starszej Polly, która pomaga mi w jadłodajni. Właśnie wyrzuciła gumę do żucia i przyjęła zamówienie od chłopca niewiele starszego od niej. Obserwowałam to wszystko: szczęśliwi ludzie w szczęśliwym mieście. Wszystko było takie szczęśliwe – czy to w ogóle realne? Czy to mogło być realne w moim przypadku?

Nagle Leo mnie dostrzegł i jak zawsze omiótł spojrzeniem moje ciało, a w jego oczach pojawiło się ogniste pożądanie. Puścił do mnie oko, a ja od razu się uśmiechnęłam. Może to było realne.

– Sznycelku, nie dostaniesz nic gazowanego. Możesz wybrać. Mleko albo sok jabłkowy. Chcesz coś czy nie? – zapytał stanowczym tonem.

– Babciu, proszę – zawodziła dziewczynka.

Babciu? Zatrzymałam się tak szybko, że aż zostawiłam ślady na parkiecie.

Tak, to musiała być pani Maxwell, bo zupełnie nie pasowała do tego miejsca. Aż dziwne, że wcześniej jej nie zauważyłam. Być może nieco mnie zdekoncentrowała wizja, w której razem z moim prywatnym Almanzo wychowujemy Polly na farmie.

Babcia miała siwe włosy ostrzyżone na boba i oczy w kolorze pieniędzy i władzy, tak samo zielone jak Leo i Polly. Była ubrana w kremowe, dopasowane w każdym calu spodnie, i w skrytości ducha winszowałam jej odwagi, że zdecydowała się je założyć, idąc do miejsca, gdzie przez siedem dni w tygodniu serwowano chili. Na wyprasowaną bluzkę w kolorze granatowym opadał sznur pereł, który pewnie kosztował tyle, ile ja zapłaciłam za cały kurs gotowania, a może i więcej.

Próbując w myślach prześledzić swą garderobę, zakląłam pod nosem, przypominając sobie o ryżu na mleku, który wcześniej wylądował na moich spodniach, nie wspominając o śladzie z żurawiny na fartuszkach.

– Cześć, Roxie – zaświergotała Polly i wygładziła serwetkę na dzinso-

wych spodenkach. – Babciu, to jest Roxie, ta pani, o której ci mówiłam. Piecze najlepsze ciasta! I robimy razem super hiper dorosłą zapiekankę z grillowanym serem fontanna, jabłkami i żytnim chlebem z takimi dziwnymi małymi ziarenkami w środku. Jest pyszna!

– Miło cię poznać. Roxie, tak? – zapytała chłodno pani Maxwell.

Nie podała mi ręki, której i tak z pewnością nie byłabym w stanie unieść ze względu na diament wielkości lodowiska.

– Leo powiedział, że pomagasz tu matce do czasu, zanim nie wrócisz do... jakie to miejsce?

– Ka... Kalifornia – wydukałam, widząc, że do baru zbliża się moja mama z dwoma pustymi dzbankami i szerokim uśmiechem. Spotkanie mojej matki i jego matki w tym samym miejscu i czasie mogło przejść do historii, ale mogło też się zakończyć całkowitą klęską.

– Cześć Polly, wcześniej wróciłaś z obozu, co? – zawołała moja mama, wychodząc zza baru i ciągnąc za sobą woń drzewa sandałowego. Podeszła do Polly w tej swojej skórzanej kurtce z frędzlami i uszczypnęła ją delikatnie w nos. Dziewczynka zachichotała i mocno przybiła jej piątkę.

– Dzień dobry, pani Callahan! Obóz był w porządku, ale tatuś tak za mną tęsknił, że zdecydowałam, że muszę wrócić wcześniej.

– Cieszymy się, że już wróciłaś. Leo, za każdym razem, jak cię widzę, wyglądasz lepiej! – Moja mama przesunęła się wzdłuż baru. – Jak spędziłeś lato? Wydaje się, że się świetnie z Roxie bawiliście! Rany, ależ się zarumieniłeś! Jak tyłeczek prosiaczka!

Jeśli ktoś wypowie słowo „tyłeczek” w obecności siedmiolatki, nieważne, jak bardzo jest inteligentną dziewczynką: będzie się zaśmiewać do łez. Słyszając, jak ktoś porównuje jej ojca do tyłeczka prosiaczka, Polly dostała takiego niekontrolowanego napadu śmiechu, że nawet dyskretne starania matki Leo, aby ją uczyć, na niewiele się zdały. Chichotała tak bardzo, że z pewnością umknęła jej uwaga dotycząca mojej świetnej zabawy z jej tatusiem, czego niestety nie można było powiedzieć o jego matce.

– A to musi być twoja mama, pani Maxwell. Jak to możliwe, że przyjeżdża tu pani od tylu lat i jeszcze nigdy pani nie zajrzała do mojej jadłodajni? – Moja matka odwróciła się w stronę matki Leo.

– Wie pani, jak to jest latem. Przez cały czas jacyś goście i przyjęcia. Za

każdym razem, gdy przyjeżdżam z wizytą, planuję zajrzeć do miasteczka, ale Leo zawsze czymś mnie zajmie w domu – odpowiedziała z tym swoim nosowym północno-wschodnim akcentem. Była to mieszanka lekkiego akcentu z Bostonu, Hamptons i Upper East Side. – Chyba nie dosłyszałam nazwiska, pani...

– Proszę mi mówić Trudy.

Pani Maxwell uśmiechnęła się spokojnie, z pewnością zastanawiając się nad tym, jakim cudem nagle przeszła na ty ze stojącą przed nią hipiską, wyciągnęła jednak rękę nad laminowanym blatem, co moja matka przyjęła z nieskrywaną radością.

– Ojej, popatrz tylko na tę linię życia! – zawołała, odwracając dłoń pani Maxwell i przyglądając się jej wewnętrznej części. – Nieprzerwana, ale spójrzmy na tę interesującą linię, o tutaj... hm... miałaś może wypadek w dzieciństwie?

– Mamo, daj spokój – syknęłam, następując jej na nogę i mocno dociskając. – Pani Maxwell, co mogę pani podać? Filiżankę kawy? Porcję chili?

– Czy właśnie zaproponowałam kobiecie, która jest współczesnym odpowiednikiem pani Rockefeller, porcję chili?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, do rozmowy znów wtrąciła się moja matka.

– Roxie, idź i zaparz pani Maxwell filiżankę mojej specjalnej czarnej herbaty. Powrócę pani z liści naparu! – To mówiąc, wyszła zza baru i złapała panią Maxwell pod ramię. – Chodźmy zerknąć na szafę grającą. Założę się, że zna pani wszystkie klasyki z młodości, którą mam nadzieję porządnie pani zmarnowała.

Patrzyliśmy z Leo z szeroko otwartymi ustami, jak moja matka prowadzi jego matkę w stronę starego wurlitzera³⁵. Pani Maxwell była zbyt dobrze wychowana, by odmówić, więc z grzeczności nie zaprotestowała, z pewnością powtarzając sobie w duchu, że zrobi jeszcze tę jedną jedyną przyjemność tej hipisce, zanim uprzejmie się pożegna.

³⁵ Marka szafy grającej.

W tym samym momencie, gdy obie panie poszły w kierunku stojącej w kącie szafy grającej, weszli Chad i Logan.

– Co się dzieje? – zapytałam, patrząc, jak niczego nieświadoma Polly bawi się guzikami przy koszulce Leo. Przyjrząwszy mu się z bliska, za-

uważyłam, że był ubrany zupełnie nie w swoim zwykłym stylu: białe polo i szorty khaki. Zerknęłam zza lady, aby sprawdzić, co ma na nogach. Mokasyny Sperry. – Co tam, studenciku?

Skrzywił się, ale zanim zdążył odpowiedzieć, Chad i Logan stanęli przy nas.

– Desperacko potrzebujemy lodów z sokiem owocowym i wodą sodową, na cito – ogłosił Chad, opadając na stołek obok Polly i przybijając z nią żółwika. – Hej, Pollmajstrze, co tam?

– Tak sobie siedzę z Roxie. Tatusiu, też desperacko potrzebuję lodów z sokiem owocowym i wodą sodową, na cito.

– Ja poproszę czekoladowe – rzucił Logan. – Nie macie pojęcia, jaki mieliśmy dzień! – Nachylił się nad Chadem, aby przywitać się z Polly. – Co tam, księżniczko?

– To wy nie macie pojęcia, jaki ja miałam dzień! – zawtórowała im Polly. – Najpierw prawie spuściłam Barbie w toalecie. Potem babcia i tatuś prawie się pokłócili o to, czy mogę pomalować się jej szminką. I chociaż to pewnie nie jest mój kolor, to powinna być chyba moja decyzja, czy mogę, czy nie, prawda?

– Zgadzam się w zupełności – powiedział Chad.

– A potem – kontynuowała Polly, wiedząc, że wszystkie oczy są skierowane na nią – przyszliśmy tutaj i tatuś mówi, że nie mogę zamówić napoju gazowanego! A teraz wy zamawiacie lody z sokiem i wodą sodową. Gdzie tu sprawiedliwość?

Tak, Polly miała zaledwie siedem lat...

Wszyscy – Polly, Chad i Logan – spojrzeli na Leo, a ten rzucił z westchnieniem:

– Poproszę lody z sokiem i wodą sodową dla wszystkich, Roxie. Masz jeszcze gdzieś tę butelkę szkockiej?

– Roxie, co z tą herbatą? Pośpiesz się! – zawołała moja matka z przeciwległego krańca jadalni.

Uciekłam do kuchni, gdzie powitał mnie dym z grilla, na którym zwęgliły się kanapki i kiełbasa.

– Co się dzieje? – zapytałam sama siebie.

– Szaleństwo ogarnęło Bailey Falls – odpowiedział Leo niskim głosem prezentera telewizyjnego, zaglądając przez wahadłowe drzwi i kaszląc.

Pokiwałam głową.

– To szaleństwo nazywa się matka.

Jak tylko wywietrzyliśmy kuchnię, Leo wyciągnął rękę w kierunku mojego podbródka.

– Radzisz sobie jakoś, Groszku?

– Staram się, Almanzo, naprawdę – westchnęłam, na co on przyciągnął mnie do siebie i owinał sobie w pasie moje ręce, dzięki czemu poczułam, jak wypełnia mnie jego pozytywna energia. Oparłam mu brodę na piersi i spojrzałam na niego, zatracając się w jego oczach, które pierwszy raz ujrzałam właśnie w tej kuchni na początku lata. Westchnęłam, podnosząc się na palcach. – Przydałby się pocałunek...

– Już się robi! – powiedział i przywarł do mnie spragnionymi ustami. W tym samym momencie Maxine otworzyła drzwi, pytając, gdzie jest czarna herbata oraz lody z sokiem i wodą sodową. Cały świat zobaczył nas razem.

Odskoczyliśmy od siebie, zerkając na nasze matki, z których jedna parzyła z wyraźnym zadowoleniem, a druga z wyraźną niechęcią.

Chad i Logan uśmiechali się szeroko, a Polly...

Polly otworzyła szeroko oczy, które natychmiast wypełniły się łzami. Zmarszczyła buzię i zeskoczywszy ze stołka, pobiegła do babci, chowając się w jej ramionach pachnących Chanel N°5.

Leo odsunął ode mnie ręce, jakby moja skóra poraziła go prądem, a na jego twarzy pojawił się... och.

Wyszedł z kuchni bez słowa i biegnąc przez jadłodajnię, złapał córkę w objęcia i przytulił ją mocno, próbując ją uspokoić. Przy wyjściu spojrzał na mnie znacząco.

Teraz już wiedziałam.

– Przepraszam – powiedział bezgłośnie, a jego matka obrzuciła mnie lodowatym spojrzeniem.

Teraz już wiedziałam.

Stałam w drzwiach kuchni, całkowicie oniemiała.

Teraz już wiedziałam, dlaczego „kochać to nie znaczy zawsze to samo”. Bo gdy „zacznie się spadać w dół, to już nie to samo”.

Chwilę po tym, jak Maxwellowie wyszli, usiadłam w ciszy obok Chada i Logana, a moja mama podała mi herbatę, którą miałam zaparzyć dla matki Leo. Gdy zadzwonił dzwoneczek przy drzwiach wszyscy jak na zawołanie odwróciliśmy się z nadzieją, że zobaczymy...

Przez frontowe drzwi wszedł pewnym krokiem wysoki, przystojny mężczyzna po pięćdziesiątce, o włosach bardziej w kolorze soli niż pieprzu. W jednej ręce trzymał torbę, a w drugiej mapę.

– Szukam Trudy Callahan. Nazywam się Wayne Tuesday.

Mama poklepała mnie po dłoni, po czym ruszyła w stronę Wayne'a, który od razu, na oczach wszystkich, namiętnie ją pocałował. O rany, wszyscy całowali się dziś publicznie jak szaleni. Czy nikt w tym mieście nie miał nic lepszego do roboty, niż podglądać, jak inni się migdałą?

Gdy jeden pocałunek zamienił się w dwa, a potem w cztery, poczułam, że ściska mnie w gardle i choć bardzo się starałam, nie byłam w stanie przełknąć śliny.

– Wiecie co, chyba muszę wyjść. – Zeskoczywszy ze stołka, rozwiązałam fartuszek i chwytając spod lady torbę, kiwnęłam głową w kierunku Chada i Logana.

– Potrzebujesz towarzystwa? Może wpadniesz do nas. Mamy Wariatki na Blu-ray – zaproponował Logan.

– Brzmi nieźle, ale myślę, że... – Spojrzałam przelotnie, jak za ich plecami dość szybko rozwija się akcja pomiędzy moją matką a Wayne'em Tuesdayem. – Chyba muszę po prostu stąd wyjść.

Nagle zdałam sobie sprawę z tego, że do oczu napływają mi łzy, które już zaczynały zbierać się pod powiekami, przygotowując się do spływu po moich policzkach. Obaj mężczyźni popatrzyli na mnie smutno, odprowadzając mnie wzrokiem do drzwi.

Obraz mojego samochodu był niemal całkowicie zamazany od łez, które płynęły *teraz ciurkiem po mojej twarzy*. Wskoczyłam do gigantycznego wagoneera, który przywiózł mnie tutaj, i włączyłam silnik. Ze starych, rzeżących głośników popłynęła dobrze znana melodia:

Is it getting better...36

36 *Czy czujesz się lepiej...* (One, U2).

Oj, jak mogę się czuć lepiej, Bono!

Zjechałam na pobocze i gwałtownie zatrzymałam samochód, równocze-

śnie próbując wyjąć płytę. Nie miałam dziś cierpliwości do U2 i tego, w jaki sposób słowa ich piosenek zawsze podkreślały dokładnie to, co sama myślałam, i to, co należało powiedzieć. Nacisnęłam przycisk, ale nadal było słychać śpiew Bono, jego słowa o kimś, kogo można obwiniać. Znow spróbowałam, ale bezskutecznie. Nacisnęłam przycisk po raz trzeci, a gdy znow nie podziałało, uderzyłam pięścią.

I znow nic! Bono nadal śpiewał. Raz za razem uderzałam w odtwarzacz, krzycząc, płacząc i próbując zatrzymać to cholerstwo.

Nagle usłyszałam, że zaraz za mną zatrzymuje się samochód: to był dobrze mi znany wrangler.

Zanim Leo dotarł do drzwi, złapałam torbę i wyszłam z dżipa, zatrzasnąjąc drzwi.

– Hej, Roxie, dokąd idziesz?

– Zostaw mnie w spokoju, Leo – powiedziałam. Nie chciałam, aby widział, że płaczę, nie chciałam patrzeć mu w oczy. Miał nade mną władzę, co sprawiało, że przy nim stawałam się słaba. Byłam na siebie zła, że dopuściłam do tego, by sprawy zaszły tak daleko. Leo miał poczuć ogień mojej złości.

– Zatrzymaj się, proszę... Jezu, Rox, zatrzymaj się! – wołał, a ja słyszałam za sobą odgłos jego kroków na gorącym asfalcie, gdy biegł za mną w taki sposób, jak to się zdarza w komediach romantycznych. Ona odchodzi, on za nią biegnie, ona protestuje, potem się całują i wszystko dobrze się kończy. Ha!

Gdy zrównał się ze mną, odwróciłam się do niego zalana łzami.

– Dokąd się wybierasz? – zapytał.

– Jeszcze nie wiem. Gdzie jest Polly?

– Z mamą. Odwiozłem je do domu, a potem wróciłem do ciebie. Twoja mama powiedziała, że wyszłaś, więc pojechałem cię szukać. Z Polly wszystko w porządku. Ona jest...

– Nie jest w porządku – zaprzeczyłam, wiedząc, że wcale nie było z nią w porządku. – Płakała.

– Rox, miała mnie tylko dla siebie przez siedem lat. Nie sądzisz, że widok taty całującego kobietę, szczególnie taką, którą dopiero co poznała, mógł być dla niej nieco szokujący?

– Odbiło ci? Dla niej to jest całkowite zaskoczenie! Nie masz pojęcia, co

ona teraz czuje – warknęłam, ocierając ze złością łzy. Przeszłam powoli obok niego i skierowałam się w stronę samochodu.

– Co masz na myśli? Skąd możesz wiedzieć, co ona... Hej, czy możesz przestać przede mną uciekać? – zawołał Leo, podążając za mną.

– Zastanawia się, czy się ze mną ożenisz. Zastanawia się, czy nie wyrzucę jej z jej własnego domu. Zastanawia się, czy nie przestaniesz zwracać na nią uwagi. Zastanawia się, czy każe jej jeść gotowane marchewki. Zastanawia się, czy zapomnisz o niej pewnego dnia, ponieważ teraz masz mnie!

Dotarłam do samochodu i otworzyłam drzwi, ale on zdążył je zamknąć, zanim wsiadłam do środka. Odwróciłam się, czując już tylko czystą złość.

– A najgorsze w tym wszystkim jest to, że zastanawia się, czy mnie pokocha, a jeśli tak, to co, jeśli ja nie pokocham jej!

Odsunął się, jakbym właśnie uderzyła go w twarz, a ja poczułam znów to znajome ściśnięcie w gardle... Dusiłam się.

– Nie rozumiesz, Leo? Gdy masz dziecko, nie możesz tak po prostu przyprowadzić do domu kobiety. To nie fair w stosunku do niej, w stosunku do siebie i z pewnością w stosunku do mnie.

– No coś ty! To bzdura! – odpowiedział ze złością i przysunął się tak blisko, że musiałam oprzeć się o swojego dżipa.

– Nie mów mi, że to, co czuję, to bzdura! – Nie dawałam za wygraną. – Nie masz prawa! Wpuściłam cię do swojego świata, a nie wpuszczam tam nikogo! Dzięki tobie przeżyłam niesamowite lato, a potem dowiedziałam się, że przez cały ten czas ukrywałeś przede mną dziecko. Oczekujesz, że zostanę panią domu i będę robić dokładnie to, czego potrzebujecie: ty, ona i wszyscy dookoła. A co z moimi potrzebami?

– Czego potrzebujesz, Roxie? Czego dokładnie potrzebujesz? Mówisz, że wpuściłaś mnie do swojego świata, ale to nieprawda. Nadal nie wiem, co do mnie czujesz i jak postrzegasz nasz związek. Myślisz, że wiesz, czego ja chcę? Skąd, do cholery, możesz wiedzieć, skoro nawet ja tego nie wiem!

Przesunął sobie dłońmi po twarzy.

– Chcę ciebie, to akurat wiem. Ale w jaki sposób i jak to ma wyglądać, nie mam pojęcia. Gdybyś tylko przestała przede mną uciekać i pozwoliła

sprawom rozwijać się własnym tempem... Chryste, Roxie! – Podeszedł do mnie i musnął palcami mój policzek. Jakim cudem tak szorstka i twarda ręka mogła być zarazem tak delikatna?

Wtuliłam się w jego dłoń, nie będąc w stanie powstrzymać reakcji spragnionego ciała.

– Po prostu pozwól, aby sprawy toczyły się własnym rytmem, Roxie, a na pewno wszystko sobie poukładamy.

Chciałam tego, naprawdę. Ale nie mogłam.

– Muszę iść – szepnęłam, czując ucisk w gardle. – Po tym, co przeszłam z moją matką, wiele razy składając w całość złamane serce, nie jestem w stanie zrobić tego Polly. – Mój głos się załamał, ale wzięłam się w garść i spojrzałam mu prosto w oczy. – Nie zrobię tego.

– Twoja przeszłość jest ważna. – Popatrzył na mnie zbolalym, pełnym determinacji wzrokiem. – Ale tak samo ważna jest twoja teraźniejszość. I tak samo ważny jestem ja, a także to, co masz tuż przed sobą. Powinnaś wyjechać, jeśli chcesz tym coś udowodnić, ale niech to nie będzie z powodu, który błędnie interpretujesz.

Pogłaskał mnie jeszcze raz po policzku, po czym odsunął się, a ja wsia-
dłam do samochodu i odjechałam.

Nie spojrzałam ani razu za siebie, nie mogłam. Wiedziałam, że jeśli go zobaczę, i zobaczę kawałeczki naszych złamanych serc leżących na pokrytej kurzem drodze, nie odjadę.

Skierowałam się w stronę domu mojej mamy i spakowawszy trochę ubrań, pojechałam samochodem na stację w Poughkeepsie, gdzie wskoczyłam do pierwszego pociągu Metro North jadącego w stronę Manhattanu.

Musiałam się spotkać z przyjaciółką.

Rozdział 23

Pamiętam, że kiedy byłam dzieckiem, wszyscy nazywali Manhattan „miastem”. Nigdy nie myśleliśmy o nim jako o Manhattanie, a już na pewno nie jako o mieście Nowy Jork. I chociaż jako dziecko uważałam, że muszę wyjechać aż do Kalifornii, by zaistnieć, teraz czułam, że „miasto” jest na tyle odległe, duże i wspaniałe, że mogę się w nim całkowicie zatracić.

Dla mnie „miastem” była Natalie. Wychowała się w Greenwich Village jako córka dewelopera i właścicielki galerii sztuki. Gdy się spotkałyśmy na pierwszym roku, okazało się, że prawie nigdy nie opuszcza wyspy, udając się co najwyżej do Hampton, i to tylko wtedy, gdy naprawdę musi. Była przesiąknięta drapaczami chmur.

Całkowicie ją zaskoczyłam, gdy napisałam do niej ze stacji kolejowej, oznajmiając, że jestem w drodze i że ma odwołać swoje piątkowe plany. I tak oto znalazłam się w jej mieszkaniu, siedząc na wielkiej, wygodnej kanapie i patrząc, jak przygotowuje w blenderze margaritę. Jako że jej ojciec był właścicielem kilku kamienic na Manhattanie, odziedziczyła dość specyficzny gust, jeśli chodzi o wynajem. Jej mieszkanie znajdowało się na parterze trzypiętrowego budynku i przypominało nieco te, które można zobaczyć w *Million Dollar Listing*³⁷. Wysokie sufity, misterna stolarka, nieskazitelnie lśniące parkiety: jednym słowem, było niesamowite, tak jak sama Natalie.

³⁷ Amerykański program, w którym trzech pośredników próbuje sprzedać nowojorskie nieruchomości.

Był to ten typ dziewczyny, za którą każdy się ogląda, bez względu na to, czy generalnie interesuje się bardziej dziewczynami, czy nie. Jeśli ktoś po prostu interesował się ludźmi, Natalie była typem kobiety, który dla każdego był atrakcyjny. Miała posągową urodę i ponad metr siedemdziesiąt wzrostu bez butów, przy czym rzadko bywała bez butów, wybierając zwykle najmodniejsze i najwyższe obcasy, za sprawą których tak kusząco kołysze się biodrami. Z włosami w kolorze rudoblond i najpełniejszymi ustami na świecie była piękna niczym supermodelka. Przy niej każdy mężczyzna się rumienił i płątał, za wszelką cenę starając się do niej zbliżyć. Była głośna, zawsze pierwsza do żartów i składania niemoralnych

propozycji, które, nawiasem mówiąc, nigdy nie były odrzucane. Miała krągłe kształty, charakterystyczne dla figury klepsydry, z miejscem na dodatkową minutę lub dwie u góry i u dołu. Byłam świadkiem kilku sytuacji, kiedy mężczyźni niemal rozbijali swoje samochody, ogłędając się za idącą chodnikiem Natalie, z której zdecydowanie był gorący towar.

Nie musiała zbytnio się starać, by pasować do każdego miejsca, w którym się znalazła. Czowała się tak samo dobrze w ekskluzywnej restauracji, zamawiając wina, których nazw nigdy wcześniej nie słyszałam, jak i w najbardziej spelunowatej melinie, śmiejąc się wniebogłosy i rzucając orzeszki na podłogę.

Spotykała się z politykami i policjantami, artystami i strażakami, raz nawet z rzeźnikiem i piekarzem, oraz facetem, który był dyrektorem największej firmy zajmującej się produkcją latarek na Wschodnim Wybrzeżu. Nikt nigdy nie złamał jej serca, bo to ona była tą, co serca łamała.

Po roku spędzonym jako studentka sztuki kulinarnej, rozpoczęła studia na Uniwersytecie Columbia, broniąc dyplomu z marketingu i reklamy, a następnie wydeptując sobie ścieżkę do jednej z najlepszych agencji reklamowych w mieście. Pracowała z największymi firmami z rankingu Fortune 500, tworząc dla nich kampanie reklamowe, z których melodie przewodnie nucili niemal wszyscy.

No i potrafiła przyrządzać powalającą margaritę.

– Wytlumacz mi – powiedziała, podnosząc wieczko blendera i wlewając kremowo-limonkowe cudo do dwóch szklanek. – Jest cudowny.

– Poza wszelką konkurencją.

– I jest między wami chemia?

– Poza wszelką konkurencją – jęknęłam, chowając twarz w poduszce.

Słyszałam, jak stukając obcasami, podchodzi do kanapy, na której leżałam z rozpostartymi rękami i nogami, po czym odstawia na bok szklanczki i siada naprzeciwko mnie.

– A seks?

Zakołysałam biodrami w górę i w dół.

– Poza wszelką konkurencją.

– No tak, w takim razie nie widzę żadnego problemu. – Słyszałam, jak upija swojego drinka. – Ta kanapa była naprawdę droga, więc przestań ją

ujeżdżać...

Usiadłam i zmarszczyłam brwi.

– On chce, żebym z nim była.

Tego typu stwierdzenie u wszystkich innych wywołałoby sarkastyczne „oj, jakaś ty biedna i nieszczęśliwa”, ale Natalie rozumiała, o co mi chodzi. Rozumiała mnie i moje bzdurne obawy.

Czyżby to była taka sama bzdura, jak ta, którą zarzucił mi Leo?

– Teraz już wiem, dlaczego tak nagle przyjechałaś do miasta – powiedziała. – Nie to, żebym się nie cieszyła...

Nagle zadzwonił dzwonek.

– Dzięki Bogu, umieram z głodu. – Znow schowałam twarz w poduszkę, nie potrafiąc wymazać z pamięci obrazu Leo stojącego na środku drogi. Miałam nadzieję, że ostra laksa³⁸ pomoże mi się nieco otrząsnąć, paraliżując moje kubki smakowe i wszystkie nękające mnie myśli. Tylko w mieście można było zamówić małajskie dania na wynos.

³⁸ Rodzaj zupy popularnej w Azji Południowo-Wschodniej.

– Dlaczego, do cholery, próbuje się udusić na twojej kanapie? – Ten głos nawet w najmniejszym stopniu nie mógł należeć do dostawcy azjatyckiego jedzenia.

– Clara? – zapytałam, podnosząc głowę i dostrzegając naszą drugą przyjaciółkę, stojącą w wejściu z małą walizką na kółkach i dużym uśmiechem.

– Natalie zadzwoniła, że wreszcie ruszyłaś tyłek i przyjechałaś, więc ja zrobiłam to samo!

– Pali mnie w ustach. Tak myślę. Czy moje usta nadal są tam, gdzie były? – zapytała Natalie.

– Dlaczego zamawiasz takie ostre dania, skoro nie jesteś w stanie ich później zjeść? – zapytała Clara, siedząc bokiem na oparciu sofy i kończąc właśnie miseczkę curry z kurczakiem, do którego ja sama nie mogłam się zbliżyć bardziej niż na pół metra, a miałam dość wytrzymałe podniebienie. Przechyliła miseczkę i wysiorbała resztę sosu, oblizując na koniec wargi.

– Uwielbiam to. Jest pikantne, ale pyszne – odpowiedziała Natalie, ru-

szając w stronę kuchni i zatrzymując się po drodze, aby spojrzeć na siebie w lustrze. – Patrzcie, jak powiększyło mi wargi!

Podczas gdy ona przyglądała się swojemu odbiciu, ja przysunęłam się na kanapie do Clary.

– Nadal nie mogę uwierzyć, że tu jesteś.

– Potrzebowałam wymówki, aby się wyrwać z Bostonu na weekend.

Moje życie jest obecnie dość pozytywnie nudne. – To mówiąc, spojrzała na moją miseczkę z laksą. – Będiesz to jeszcze jeść?

– Najadłam się już, możesz skończyć. – Podałam jej naczynie, zastanawiając się, jakim cudem ktoś może jeść tak dużo i nie przytyć nawet kilograma.

Clara i Natalie były całkowitymi przeciwieństwami i nie po raz pierwszy zastanowiłam się nad tym, czy gdyby nie fakt, że byłyśmy wtedy wszystkie pierwszy raz z dala od domu, zostałybyśmy kiedykolwiek przyjaciółkami.

Clara była drobnej, aczkolwiek atletycznej budowy. Miała niemal chłopięcą figurę. Od szkoły średniej brała udział w biegach na długie dystanse, dzięki czemu zyskała charakterystyczny prężny chód. Miała krótko przystrzyżone blond włosy, karmelowe oczy i była typem cichej piękności.

Clara najwięcej podróżowała z naszej trójki i miała zawód, którego większość ludzi zazdrości, ale niewielu potrafi wykonywać. Gdy zrezygnowała ze szkoły kulinarnej, zapisała się na kurs zarządzania prestiżowymi hotelami na Uniwersytecie Cornell. Zamiast jednak pracować nocami w recepcji Marriotta w Brookline, wykorzystała swoje dobre oko i analityczny umysł, aby się dostać do agencji brandingowej w Bostonie. Pomagała upadającym hotelom w Stanach Zjednoczonych i za granicą, specjalizując się szczególnie w obiektach o wartości historycznej, podróżowała więc niemal przez cały czas, spędzając niekiedy tygodnie w jednym miejscu.

– Nudne? Dlaczego? Co się dzieje? – zapytałam.

– Naprawdę nie mam pojęcia. W pracy jest dziwnie. Zapowiada się, że mogą być pewne zmiany na górze i przez to jest dziwna atmosfera, ale w następnym miesiącu wyjeżdżam z miasta, więc będzie fajnie.

– I w jakie to piękne miejsce się teraz wybierasz? Londyn? Amsterdam?

Rio?

– Orlando – westchnęła i czknęła, za co od razu przeprosiła, uśmiechając się zawstydzonym.

– Orlando? To nieco... nietypowe dla ciebie – skwitowałam, marszcząc brwi.

– Dla mnie to straszne. Co ja, do cholery, wiem o magicznych myszach?

– parsknęła, odsuwając od siebie miskę i klepiąc się po nieistniejącym brzuchu.

– Co to jest magiczna mysz? Czy to coś w stylu łapki króliczka? – zapytała Natalie, wychodząc tanecznym krokiem z kuchni i siadając na podłodze przede mną.

Clara popatrzyła na nią z ukosa.

– Nie, to jest...

– Mówię wam, nic nie pobije łapki króliczka. Ani dłoń, ani fiutek, ani nawet te małe, zdalnie sterowane wibratorki, które idealnie mieszczą się w majtkach. Nic nie pobije łapki króliczka. – Natalie zawahała się na moment. – Chociaż język może być dość bliski temu ideałowi...

– Ale to musi być właściwy język – wtrąciła Clara. – Przymocowany do właściwej twarzy.

– Nie zawsze. Najlepszy seks, jaki miałam, był z brzydkimi facetami. Ten gość, z którym spotykałam się w zeszłym roku, co pracował na trapecie w South Street Seaport... Miał twarz jak łopata, ale potrafił cholernie dobrze operować językiem – powiedziała Natalie, przyglądając się swojemu pedicure. – Chodzi o to, że niektórzy faceci są w tym tak dobrzy, że prawie tracisz przytomność. Jest tak niesamowicie, że choć krzyczysz: „Halo, doszłam już, jedenasty raz z rzędu!”, oni jednak nie przestają i mogliby tak przez całą noc. Mówię wam, niektórzy faceci żyją tylko po to, aby siedzieć nam z głową między nogami przez dwadzieścia cztery godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu. Po prostu nie są szczęśliwi, jeśli nie mają nad sobą ud jakiejś dziewczyny. Zawsze się zastanawiałam, czy w momencie, gdy zaciskasz nieco uda nad ich głową, no wiecie, gdy się zamykasz w chwili całkowitego zawieszenia, czy to zatyka im uszy w taki sam sposób, jak wtedy, gdy samolot osiąga wysokość przelotową? A gdy wreszcie rozluźniasz uda, to czy te uszy się odykają?

Spojrzała na nas, ale my nadal wpatrywałyśmy się w nią w milczeniu, próbując przeanalizować informacje, które właśnie nam przekazała na jednym oddechu.

– Co?

Cisza.

– Czy odykają im się uszy? – powtórzyła Clara.

– Oj, proszę was, nie mówcie, że same nigdy się nad tym nie zastanawiałyście!

– Nat, mogę cię szczerze zapewnić, że nigdy mi to nie przyszło do głowy – powiedziałam z ręką na sercu.

– A więc Leo nigdy nie doprowadził cię do omdlenia? Nic dziwnego, że dałaś nogę – rzuciła Natalie ze współczuciem.

– Nie, wcale tego nie powiedziałam. Leo jest...

– Czy to ten farmer, o którym mi mówiłaś? – zwróciła się Clara do Natalie, a ta pokiwała twierdząco głową.

– ...niesamowity w łóżku. Niewiarygodnie niesamowity. Nie mogę powiedzieć nic złego, ale...

– Tak, farmer Leo Maxwell, który najwyraźniej bardziej troszczył się o swoje iha, iha! niż o to, aby Rox krzyczała dużo ważniejsze oooo! – odpowiedziała Natalie, patrząc na Clarę porozumiewawczo.

– To nieprawda! Leo doprowadzał mnie do wielu oooo! Ciągłych ooooo! i...

– Czekaj, czekaj, czy ty powiedziałaś Leo Maxwell? Ten farmer to Leo Maxwell? Blondyn? Po trzydziestce? Niesamowicie seksowny facet z silosem? – zapytała Clara, szukając po omacku swojego telefonu.

– Tak, jest blondynem, ale nie robiliśmy tego ani na silosie, ani nawet w silosie, ale byliśmy w środku, gdy wylizał mi plecy wzdłuż kręgosłupa i...

– Brawo, Leo! Czy doprowadził sprawę do końca i wylizał twoją... – wtrąciła Natalie.

– Okej, zamknij się. Czy to jest ten twój Leo? – zapytała Clara, podsuwając mi pod nos swój telefon.

O tak, to był mój Leo, choć na zdjęciu był bardziej ten miastowy Leo, nie farmer Leo, do widoku którego byłam przyzwyczajona. Wychodził z limuzyny, ubrany w czarny garnitur, idealnie leżący na jego silnym,

szczupłym ciele. Miał uderzająco zielone oczy oraz ostre, kalkulujące i oceniające spojrzenie. Nieco surowe. Przeszłam do kolejnego zdjęcia, na którym znów był miastowy Leo, tym razem na tle jakiejś reklamy na czerwonym dywanie. Może to była impreza charytatywna? Miał na sobie grafitowy garnitur i wyglądał jak z kampanii reklamowej Billionaire Boys Club³⁹.

39 Marka odzieżowa.

Oczami wyobraźni zobaczyłam go ubranego w znoszone džinsy, podkoszulek z jakiegoś koncertu, z dwudniowym zarostem, którego cudowny dotyk nadal czułam na miękkiej skórze pomiędzy udami, patrzącego na mnie ciepłymi, zielonymi oczami. I jeszcze ten jego uśmiech, taki spokojny i wesoły, najszczęśliwszy na świecie. Miastowy Leo był oczywiście przystojny, ale wolałam farmera.

Natalie i Clara żywo nad czymś dyskutowały.

– A więc, czekaj, wyjechał z Nowego Jorku, gdy...

– Gdy urodziło im się dziecko. Najpierw ona zniknęła, a potem on. Rozpłynął się w powietrzu, żadnych imprez, żadnych wyjazdów. Poświęcił wszystko, co miał, dla tej farmy i ona stała się jego życiem – powiedziała Clara.

Zamrugałam.

– Czekajcie. Obie znałyście Leo? – zapytałam zdezorientowana.

– Znać, nie znałyśmy, ale oczywiście słyszałyśmy o nim. Jakoś nie przyszło mi do głowy, że Leo Maxwell to farmer – powiedziała Natalie, kładąc się na podłodze i podnosząc nogi. – Wszyscy w tym mieście znali Leo Maxwella. Każda próbowała go usidlić. To dopiero była partia!

– Poważnie, Roxie, była z niego prawdziwa gruba ryba, do czasu, aż poznał Melisę. Gdy tylko zatopiła w nim pazury, to był koniec. Nikt nigdy się nie dowiedział, co naprawdę zaszło. Słyszeliśmy tylko, że byli razem, potem ona zaszła w ciążę. Wtedy pojawiła się plotka o ich małżeństwie, ale później wyszło na jaw, że się rozstali. Jak tylko pojawiło się dziecko, zabrał córeczkę i wyjechali. Melissa kręciła się jeszcze trochę po mieście, ale w końcu wyjechała do Europy. Pewnie wyszła za męża za jakiegoś Rosjanina. Nie mam pojęcia, co zaszło między nią a Leo. Myślę, że chyba się po prostu... wypaliło.

Wiedziałam, co się stało, ponieważ Leo opowiedział mi całą historię.

Przypuszczam też, że znali ją niektórzy mieszkańcy Bailey Falls albo przynajmniej się domyślali, bo nikt nigdy nie mówił o Polly. Nie chodzi o to, że to był sekret, ale wszyscy się starali...

Chronić małą? Chronić ich oboje?

Tak, być może. W małych miasteczkach ludzie dbają o siebie nawzajem. Nic dziwnego, że Leo wołał, aby jego córka była raczej ze wsi niż z miasta.

– Proszę, powiedz, że nigdy nie spotykałaś się z Leo – rzuciłam, patrząc na Natalie.

– Nie, nigdy się nie spotkaliśmy, chociaż gdybym go spotkała, pewnie by do czegoś doszło. Ależ to by było dziwne! – Zaśmiała się, przewracając na bok i patrząc na mnie. – Gdybym przespała się z facetem, w którym ty byś się później zakochała.

– Ależ to by było dziwne, gdybym cię udusiła na śmierć – odpowiedziałam.

Natalie i Clara zaczęły się śmiać, a ja nie potrafiłam myśleć o niczym innym, tylko o Leo.

I o tym, że gdy nazwała go facetem, w którym ja się zakochałam, nawet jej nie poprawiłam.

Cholera.

Tej nocy nie mogłam spać z innych powodów niż zwykła bezsenność. Po rozmowie z dziewczynami wpisałam nazwisko Leo w Google i o drugiej nad ranem nadal przeglądałam strony, śledząc wycinki z jego życia złapane na różnych zdjęciach.

To był Leo, którego nie znałam. Wydawał się zimny, bardziej zdystansowany i bardzo z wyższych sfer. Nie było w nim nic z Leo, którego znałam.

Nie był to ten Leo, który bardziej wołał jeździć starym dżipem niż eleganckim samochodem, ani ten, który był szczęśliwszy, trzymając w rękach słodko pachnącą ziemię niż martini. Nie był to Leo, który kochał mokry od porannej rosy groszek cukrowy, ani ten czuły, słodki, miły, kochający, delikatny, wstrzymujący oddech, dyszący, jęczący, wzdychający, poruszający, mocno obejmujący, słodko wchodzący i ujeżdżający męż-

czynna, który żył pełnią życia, ponieważ stworzył sobie dokładnie taki świat, jaki chciał, i który nie chciał żyć dla nikogo innego poza swoją córką.

Przez całą noc przewracałam się z boku na bok, zastanawiając się, czy nie podjęłam złej decyzji, opuszczając Bailey Falls w taki sposób.

– Kawa. Domagam się kawy – wymamrotałam, idąc wraz z dziewczynami zatłoczoną Siedemnastą Ulicą.

– Dostaniesz ją, nie martw się. Musimy tylko się tam dostać, zanim będzie pełno.

– Od kiedy Natalie zaczęła tak wcześniej wstawać w sobotę rano? – zapytała mnie szeptem Clara.

– Lepiej zapytać, od kiedy zaczęła się tak przejmować tym, skąd pochodzą jej produkty spożywcze...

Natalie odwróciła się do mnie z grymasem na twarzy.

– Słyszałam to! – rzuciła śpiewnym głosem.

– I dobrze – odpowiedziałam takim samym tonem. – Poważnie, Nat, po co ten pośpiech? Nie pamiętam, abyś kiedykolwiek tak przejmowała się kupnem „świeżych produktów z farmy”, chociaż oczywiście rozumiem atrakcyjność konsumpcji lokalnych dóbr...

– Mówiąc o konsumpcji lokalnych dóbr, pewnie masz na myśli Leo podążającego szlakiem w dół? – rzuciła z uśmiechem Natalie, prowadząc nas prosto na gwarny targ na Union Square.

– Myślisz tylko o jednym – zaśmiała się Clara.

Mnie jednak nie było wcale do śmiechu. Myślałam o oczach Leo, gdy wpatrywał się we mnie i gdy naprawdę sprawiała mu radość wycieczka szlakiem w dół. Na samą myśl o tym, zacisnęłam mięśnie Kegla.

– Myślę o wielu rzeczach – powiedziała Natalie. – Po prostu zawsze upewniam się, że jedna z tych rzeczy to seks z facetami, którzy lubią nieco pokosztować.

W tym samym momencie bardzo przystojny facet opuszczający właśnie targ z torbami pełnymi warzyw obejrzał się za nami dwa razy, po czym wykonał nagły zwrot. Czy zdawał sobie sprawę, że oblizał wargi?

Natalie jednak nic nie zauważyła, jakby miała jakąś misję. Zerknęła na

mapę i przyglądziwszy swoje i tak już idealne włosy, ruszyła przed siebie.

– Hej, hej! Czy możemy najpierw napić się kawy? Potem zrobimy te twoje niezwykle ważne zakupy...

Natalie zwolniła, ale tylko na chwilę.

– Zatrzymamy się na kawę później.

Nie byłam od lat w tym miejscu, które teraz aż wrzało i kipiało. Stragan za straganem wypakowany po brzegi jajkami, drobiem, mięsem, kwiatami – wszystkim, czego dusza zapagnie. Wiele z tych produktów pochodziło z farm z doliny rzeki Hudson i zastanawiałam się, czy jest tu również stoisko z warzywami z farmy Maxwellów. Pożałowałam, że przed wyjściem nie przyczesalam włosów.

– Daj mi zerknąć na ten plan – poprosiłam, szybko przeglądając listę producentów. Z ulgą wypuściłam powietrze – nie było tutaj Leo.

Gdy tylko dotarliśmy na koniec pierwszego rzędu straganów, Natalie nagle zwolniła i wyciągnąwszy płócienną torbę, przyjęła ten swój dumny chód.

Znałam ten sposób chodzenia, bo podążałam za nią, gdy w tym stylu przemierzała kluby i restauracje w poszukiwaniu zdobyczy. Nagle przypomniało mi się coś, o czym wspomniała przez telefon parę tygodni wcześniej i zrozumiałam, o co w tym wszystkim chodzi.

– Kazałaś nam wstać w sobotę o świcie, aby wyruszyć na poszukiwanie jakiegoś słodkiego farmera? – zapytałam.

Odwróciła się.

– Nie wiem, o czym mówisz – rzuciła, wpatrując się we mnie niewinnymi oczami.

– Ty też się zadurzyłaś w farmerze? Co, do cholery, się dzieje? Kiedy to Stary MacDonald stał się nowym obiektem westchnień? – zapytała rozbawiona Clara.

– Dla jasności, to nie jest farmer, tylko mleczarz. Hoduje stado krów na północy stanu i robi najlepszy cholerny ser brie, jaki kiedykolwiek jadłam. Wprost rozpuszcza się w ustach. – Natalie aż westchnęła, wyginając się do tyłu. Nie musiałabym nawet tego widzieć, aby stwierdzić, jak dzięki temu świetnie wyeksponował się jej biust, o czym ona sama dobrze wiedziała. Facet, który podążał za nami od momentu, gdy weszły-

śmy na targ, aż wstrzymał oddech.

– Mówisz, że aż rozpuszcza się w ustach, tak? – zapytałam, podnosząc znacząco brwi.

– Cóż – rzuciła z figlarnym błyskiem w oku.

– O rany! – skwitowałam, gdy znów przybrała ten swój dumny krok.

Można tylko sobie wyobrazić moje zaskoczenie, gdy nagle weszła prosto na stoisko mleczarni z Bailey Falls, prowadzone przez ...

– Oscar? Ten seksowny facet to Oscar?! – krzyknęłam.

– Co ty wygadujesz? – zapytała, z nonszalancją taksując wyłożone na wystawie masło. Stałyśmy na skraju stoiska, otoczone cudownymi trójkącikami sera, świeżym mlekiem zamkniętym w szklanych butelkach i owszem, ślicznym, smacznie wyglądającym masłem.

Za ladą, przewyższając wszystkich innych o głowę, stał Oscar, sąsiad Leo, zwycięzca konkursu na Rozmówcę Roku z Bailey Falls, a teraz także sprawca rumieńców na policzkach Natalie. A trzeba zaznaczyć, że przy żadnym mężczyźnie się nie rumieniła.

– Znam go. Czasami pasie krowy na ziemi Leo.

– Idę po kawę – ogłosiła Clara.

Stałam w kolejce obok Natalie trzymającej brie, który aż rozpływał się w ustach.

– A więc nazywa się Oscar?

– Tak, i nic więcej nic o nim nie wiem. Jest bardzo...

– Niesamowity? Tajemniczy?

– Małomówny.

– Mmm. – Jej gardłowy pomruk sprawił, że kilku mężczyzn, a nawet trzy kobiety, odwrócili się z pełnym pożądania spojrzeniem. – Jest silnym, milczącym typem.

– Od jak dawna trwa ten serowy flirt? – zapytałam, posuwając się do przodu wraz z kolejką.

– Przychodzę tu od jakiegoś czasu. Wiesz, uwielbiam ser.

Dobrze o tym wiedziałam, bo to właśnie przez miłość do sera zapisała się do szkoły kulinarnej.

Każdy ma jakieś skryte marzenie, jakąś skrytą, niespełnioną wizję życia, którą zrealizowałby, gdyby wygrał na loterii. Niektórzy zrezygnowaliby z pracy i...

...popłynęli żaglówką dookoła świata,
...otworzyliby luksusowy ośrodek wypoczynkowy na Malediwach,
...zaczęliby śpiewać na Broadwayu.

Gdyby Natalie wygrała na loterii, zostałaaby producentem sera.

Poważnie. Kobieta, która urodziła się dla płyt z betonu i żółtych taksówek, chciała to wszystko rzucić, uprościć, nosić rozpinane sweterki i... robić ser.

Odgrażała się, że tak właśnie robi, przynajmniej dwa razy w roku, zazwyczaj wtedy, gdy jakaś kampania reklamowa przyprawiała ją o ból głowy i najchętniej uciekłaby z krzykiem od wszystkiego i od wszystkich. Jednak po chwili przypominała sobie luksusowe imprezy charytatywne w Muzeum Guggenheima, magię Central Parku w październiku, malajskie dania na wynos z dostawą o każdej porze dnia i nocy, i od razu zdawała sobie sprawę z tego, dlaczego nie może wyjechać z miasta.

– Kilka osób z pracy zaczęło opowiadać o tym nowym sprzedawcy sera na sobotnim targu, więc musiałam sprawdzić. Najpierw zakochały się moje kubki smakowe, a gdy go zobaczyłam, moje oczy. Jest cudny, nie? – powiedziała, biorąc mnie pod rękę, gdy zbliżyłyśmy się do stoiska.

– Zdecydowanie – zgodziłam się, obserwując, jak Oscar obsługuje swoich klientów. Przypomniałam sobie, jak Leo zawsze się do wszystkich uśmiecha i wszystkich wita, pamiętając imiona i dzieci, i dorosłych.

Oscar tymczasem ledwie się odzywał, a jego komunikacja z otoczeniem przypominała bardziej pochrząkiwanie służące jedynie skutecznej realizacji zamówień, niczemu więcej.

Był cudowny, to nie ulegało dyskusji, ale czy można go było nazwać przyjemnym? Hm...

– Jak dobrze go znasz? – zapytała Natalie, a na jej policzkach zaczął się pojawiać coraz większy rumieniec. Pociągnęła mnie nerwowo za ramię, przestępując z nogi na nogę.

– Ledwo. Widziałam go tylko parę razy i zamieniłam z nim może jedno, dwa zdania. Cześć, Oscar! Jak się masz? – zaszcebiotałam, wchodząc nagle w swoją rolę.

Spojrzał na mnie beznamiętnie, a ja poczułam ciepło bijące od skóry stojącej obok mnie Natalie.

– A więc przyjeżdżasz do miasta co tydzień? Nie wiedziałam, że mle-

czarnia ma tu stoisko. To świetnie!

W jego spojrzeniu nie było ani krzty emocji.

– To moja przyjaciółka, Natalie. Wprost przepada za twoim brie, prawda? Hej, Natalie?

Natalie, której zwykle wystarczyło odpięcie jednego guzika w koszuli, aby uciszyć nawet księdza przemawiającego z ambony, teraz zaniemówiła i praktycznie uleciało z niej życie, tak że równie dobrze mogłam tam stać, trzymając pod rękę manekina.

Oscar przeniósł na nią wzrok i przyjrzał się jej powoli, skanując ją od stóp do głów i zatrzymując się nieco dłużej na ustach, które zacisnęła tak mocno, że wargi aż zbieleły. W końcu spojrzał jej w oczy, a elektryzujące napięcie, które w tej samej chwili przebiegło między nimi, przyprawiło mnie o zawrót głowy.

Jej spojrzenie ożywiło go nieco, aczkolwiek nadal nie odezwał się ani słowem, oprócz...

– Brie? – zapytał niskim głosem, w którym nie było już tej szorstkości, którą słyszałam wcześniej.

Natalie skinęła głową. Zapakował trójkącik sera i nachyliwszy się, aby postawić go przed nią, zajął się kolejnym klientem.

W tym samym momencie czar prysł i Natalie ruszyła sprężystym krokiem do kasy, gdzie zapłaciła za ser i szybko oddaliła się od Oscara i stoiska.

Dogoniłam ją i pociągnęłam za ramię.

– Co to, do cholery, miało być?

– Co? – zapytała, znów spokojna i pełna luzu. Odrzuciła włosy do tyłu i stanęła wyprostowana, znów porażająco piękna i w pełni kontrolująca sytuację. Gdy Clara podeszła do nas z kawą, Natalie spojrzała na mnie porozumiewawczo, każąc mi zostawić ten temat.

– Pogadamy później – rzuciłam, a ona pokiwała głową. Jedyнным śladem, po którym ktokolwiek mógłby poznać, że poważnie się zadurzyła, były utrzymujące się na jej policzkach rumieńce i tajemniczy uśmiech, który pojawił się na jej ustach.

Kątem oka widziałam, jak Oscar wychyla się zza stoiska, aby zerknąć za oddalającą się przepiękną Natalie, która dumnym krokiem wychodziła z targowiska.

Rozdział 24

Wracaliśmy do domu każda w swoim tempie. Clara szła charakterystycznym dla niej miarowym krokiem, Natalie płynęła w powietrzu, a ja wlekłam się ciężko za nimi. Nie wybiło jeszcze południe, a termometry już pokazywały dwadzieścia dziewięć stopni, przy czym miało dziś być około trzydziestu pięciu. W mieście ze stali i betonu można się było poczuć jak w piekarniku.

Mimo upału wszędzie było pełno ludzi, którzy przesuwali się szybko w tłumie, zdążając w konkretnym kierunku. Wydawało mi się, że podążam za tym tłumem, skręcając w lewo, gdy inni skręcali w lewo, i skręcając w prawo, gdy inni skręcali w prawo, przez co podskakiwałam i robiłam uniki niczym zawodowy bokser. Zdażyłam oberwać trzy razy czytając torebkę, zanim udało mi się schować za Natalie, która przy wzroście metr osiemdziesiąt trzy w szpilkach stanowiła naturalny tłumolamacz. Miasto sprawiało wrażenie oddzielnego bytu, który przepływał obok i otulał mnie niczym ciepły, gruby koc, co nie do końca było tym, czego się pragnie upalnego lata.

I jeszcze ten zapach! Akurat był dzień wywozu śmieci i jako że w mieście nie było zasadniczo bocznych ulic, przy krawężnikach leżały tysiące plastikowych toreb ze śmieciami, które miejscami sięgały nawet metra. W szczycie lata dobywający się z nich zapach był wprost nie do zniesienia.

Przechodząc obok większych kupek i wstrzymując oddech, zastanawiałam się, ile z tego można przeznaczyć na kompost. Ile z tego można przerobić na bogatą w składniki ściółkę, która w lecie służyłaby ogrodom, a w zimie polom?

Leo z pewnością by to jakoś zagospodarował, on... Bum! Próbując uniknąć zderzenia z inną osobą, która była zdeterminowana, by dotrzeć gdzieś pięć minut szybciej niż inni, zostałam zepchnięta na ścianę śmieci, machając gwałtownie rękami, żeby złapać równowagę i nie wpaść głową prosto w górę odpadów.

– O mój Boże, Roxie! Nic ci nie jest? – Clara przyciągnęła mnie do siebie w samą porę.

– Pieprzony fiut! – zawołałam za facetem, który mnie popchnął i który

nawet się nie zatrzymał, aby sprawdzić, czy nic mi się nie stało.

Było mi gorąco, lepiłam się od wilgotnego potu, a mój nos drażnił smród śmieci, co sprawiało, że nawet mój żołądek wysłał ostrzegawcze sygnały.

– Pieprzony fiut – powtórzyłam pod nosem. – Nic mi nie jest, dzięki.

– Chcesz, żebym mu dokopała? Mogę go dogonić – rzuciła Clara, podskakując lekko na palcach.

– Nie, nie... – odpowiedziałam, obciągając T-shirt i próbując zaczerpnąć nieco powietrza. Nagle wszystko wydało mi się zbyt przytłaczające: powietrze, ubrania, ludzie, nawet moje przyjaciółki. Wszędzie było za głośno i wszystkiego było za dużo. Poczułam ścisnięcie w gardle i gulę, która urosła mi gdzieś z tyłu przełyku, kiedy zdałam sobie nagle sprawę, że... tęsknię za domem. Za Bailey Falls.

Brakowało mi ciszy i spokoju, świeżego, wiejskiego powietrza, wścibskich plotkarek, stawów i wiatru kołyszącego drzewami. Brakowało mi wzgórz ze śmiesznymi małymi kurnikami na kółkach, truskawek o smaku brązowego cukru, i – mój Boże – brakowało mi Leo i wszystkiego, co się z nim wiązało. Wszystkiego.

– Wyglądasz tak, jakbyś zaraz miała zwymiotować. – Natalie odgarnęła mi włosy z twarzy.

– Którędy najszybciej się dostanę na Grand Central? – zapytałam, szukając w torebce telefonu. Wyładowała się bateria, cholera. Właśnie tak się dzieje, gdy ucieka się do miasta, nie spakowawszy wcześniej walizki. Na miłość boską, musiałam nawet pożyczyć ciuchy od Clary.

– Zaraz, czekaj, co? – zapytała Natalie.

– Wracam do domu. Pociągi Metro North kursują przez cały dzień, prawda? – zapytałam z szaleństwem w oczach.

– Hmm... – Natalie podniosła rękę i od razu złapała taksówkę. – Grand Central – rzuciła do kierowcy.

– Dzięki, muszę lecieć. Odeślę ci ciuchy – zawołałam do Clary, wchodząc do taksówki i od razu czując się lepiej.

– Dokąd jedziesz? – zapytała.

Natalie poklepała ją po dłoni.

– Wszystko ci wyjaśnię.

Riverdale.

Ludlow.

Yonkers.

W miarę, jak pociąg mknął w górę doliny rzeki Hudson, poczułam, że wszystko nagle zaczyna się układać niczym w grze Tetris, w której wystarczyło przesunąć tylko jeden klocek, aby wszystkie inne znalazły swoje miejsce.

W chwili gdy podjęłam decyzję, że nie chcę już dłużej przebywać w tym dużym mieście, moje serce otworzyło się i zapragnęło małego miasteczka – mojego małego miasteczka. Zapragnęłam komarów i słodkiej herbaty, bosych stóp i widoku łagodnych wzgórz przechodzących w skaliste wierzchołki. Pragnęłam wiosennych sadzawek i polodowcowych jezior. Wścibskich sąsiadów, marudnych kelnerów i dawnych rozgrywających. Tęskniłam za ekscentrycznymi matkami hipiskami, dzięki którym zakochanie się wydawało się łatwe i cudowne, nawet jeśli w rzeczywistości takie nie było, i które pilnowały, aby ich córki zjadały odpowiednią ilość błonnika.

Tęskniłam też za farmerem, za jego westchnieniami, gdy dochodził, i wieńczącym wszystko uśmiechem. Za farmerem, który pragnął mnie bezgranicznie, pojawiając się w moim życiu w pakiecie, którego nigdy nie miałam zamiaru rozdzielać, ale do którego miałam nadzieję któregoś dnia dołączyć.

Irvington.

Tarrytown.

Philipse Manor.

W głowie zaczęłam wyliczać wszystkie powody, dla których nie chciałam wracać do domu i wieść małomiasteczkowego życia.

Nie chcę prowadzić rodzinnej jadłodajni. Prowadziłam już rodzinną jadłodajnię i chociaż nie chciałam robić tego przez resztę życia, nie było to aż takie złe, jak wcześniej myślałam.

Uważam, że jest powód, dla którego małe miasta są małe, jeśli chodzi o wielkość i zakres. Miasto istotnie było małe, ale tego lata zrozumiałam, że małe nie oznacza ograniczone.

W Bailey Falls nie ma możliwości rozwoju dla dobrze wykształconego kucharza, który nie chce pracować w tradycyjnych restauracjach. Zajęcia z piklowania. Zajęcia z robienia dżemów. Możliwość współpracy z Bryant Mountain House. A także pomysł, który miałam w głowie od 4 lipca: przyczepa.

Jeśli nie wrócę do Los Angeles i nie ocalę honoru po wpadce ze śmietaną, to miasto wygra. Z tym jednym argumentem trudno było dyskutować. Czy L.A. naprawdę mnie przerosło? Co najgorszego mogłoby się wtedy stać? Tak, przerosło mnie. I?

To ostatnie było trudne do przełknięcia, bo nigdy wcześniej nie unikałam walki. Nie można było jednak nazwać walką sytuacji, w której przeciwnik z jednego narożnika nie ma ochoty wziąć w niej udziału, prawda? Zawsze się zastanawiałam nad tym, co mogłoby się zdarzyć, gdyby... Ale kto nie ogląda się za siebie, kto nie wraca do przeszłości i nie zastanawia się nad podjętymi kiedyś decyzjami? Pytanie, czy potrafię żyć ze świadomością, że Mitzi St. Renee i jej wredne przyjaciółeczki wygrały Cortland.

Peekskill.

Manitou.

Gdzieś pomiędzy Manitou a Garrison zdałam sobie nagle sprawę, że ktoś taki jak Mitzi zawsze wygrywa i że nie można żyć, walcząc z oczekiwaniami wszystkich wokół. Czasami nie ma się wpływu na pewne rzeczy, a ludzie, którzy mają władzę nad karierą innych, często są dupkami i nic nie można na to poradzić.

Po raz pierwszy od długiego czasu poczułam się podekscytowana i przysunęłam się do przodu w fotelu, dociskając prawą stopę do podłogi, jakby mogło to przyspieszyć pociąg. Po mojej lewej stronie ujrzałam połyskującą w oddali taflę rzeki Hudson, na której swobodnie unosiły się żaglówki i kajaki. Na jej brzegach stały domy. Olbrzymie posiadłości i mniejsze, prostsze chatki napawały się tym samym, cudownym widokiem.

Malownicze miejscowości z małutkimi stacjami kolejowymi leżące nieopodal najwspanialszego miasta na Ziemi zamieszkiwali ludzie, którzy wybrali inny świat. Jasne światła i szybkie tempo miasta były na tyle blisko, aby każdy miał je w zasięgu ręki, a równocześnie na tyle daleko,

aby za nimi w ogóle nie tęsknić.

Myślami skakałam z tematu na temat, dostrzegając nieskończone możliwości, których wcześniej nie chciałam widzieć, w tym możliwość życia z pewnym farmerem i jego córką. Miałam tylko nadzieję, że nie straciłam jeszcze szansy.

Poughkeepsie.

Wysiadłam i pojechałam prosto na farmę.

Gdy już zaparkowałam, biegiem rzuciłam się w stronę głównej stodoły, rozglądając się za wydłużoną, szczupłą sylwetką Leo. Już mi się wydawało, że dostrzegłam za rogiem jego T-shirt ze Screaming Trees, ale się okazało, że to tylko jeden ze stażystów.

Ludzie, którzy mnie znali i wiedzieli o naszym związku, witali mnie, ale sądząc po sposobie, w jaki to robili, nie zatrzymując się, tylko idąc dalej, musieli wiedzieć o tym, jak go zostawiłam na środku drogi. Chronili go i rozumiałam ich reakcję.

Skierowałam się w stronę sklepika, ale tam też go nie znalazłam. Zajrzałam do stodoły, sprawdziłam silos i rozejrzałam się po ogrodzie na tyłach farmy. Nigdzie nie było śladu Leo.

– Szukasz mojego taty? – usłyszałam nagle za sobą i odwróciwszy się, ujrzałam siedzącą w taczce Polly. Sortowała paczuszki z nasionami.

– Tak. Jak się masz, Polly? – zapytałam, kucając przy niej.

– A ty? – Musiałam sobie przypomnieć, że choć ta mała ma dopiero siedem lat, biorąc pod uwagę moje ostatnie reakcje, emocjonalnie była ode mnie o wiele starsza. – Słyszałam, że wyjechałaś.

– Słyszałaś? – zapytałam, krzywiąc się nieco. – Ale wróciłam. Pojechałam tylko do miasta na dwa dni.

– To znaczy na Manhattan?

– Właśnie. Byłaś tam?

Przekładając powoli paczuszki z nasionami, przez chwilę milczała.

– Byłam – odpowiedziała wreszcie. – Jest fajny. Babcia ma ładne mieszkanie i można dużo zobaczyć z wysoka! Fajnie biegać korytarzami i jeździć windą, ale denerwowała się, gdy wciskałam każdy guzik.

– Też tak raz zrobiłam, gdy byłam dzieckiem.

– Lubię też chodzić do muzeów, szczególnie na wystawę dinozaurów, ale...

– Ale?

– Ale wolę być tutaj. Tatuś wychował się w mieście, wiesz?

– Tak, wiem – odpowiedziałam, zauważając, że uważnie mi się przygląda.

– On też woli być tutaj. Mówi, że nigdy stąd nie wyjedziemy i nie będziemy mieszkać nigdzie indziej.

Przełknęłam mocno ślinę.

– To świetnie, prawda?

– Widziałam, jak całowałaś się z moim tatusiem. – Patrzyła na mnie, nie mrugając.

Ja za to zamrugałam. Kilka razy.

– Widziałaś. Czy to było dziwne?

– Tak, na początku, ale teraz myślę...

Wstrzymałam oddech.

Ułożyła niektóre paczuszki obrazkami do góry, tak że wyglądały jak wazywny ful w karcianym pokerze.

Ten dzieciak da jeszcze Leo popalić. Uśmiechnęłam się, licząc, że będę mogła być tego świadkiem i ten mój uśmiech jej wystarczył.

Uśmiechnęła się do mnie, a jej zamyślona twarz pojaśniała.

– Pójdę zobaczyć pieski. Tatuś jest w sadzie z jabłonią – powiedziała i rzuciła się biegiem przez pole.

Ruszyłam więc w stronę sadu.

Zaparkowałam obok dżipa Leo i rozejrzałam się za nim, zaglądając między rzędy drzew. Wydawało mi się, że dostrzegłam jakiś ruch kilka rzędów niżej, więc weszłam do sadu i ruszyłam w tamą stronę.

Idąc tak, zdałam sobie sprawę z dwóch rzeczy. Po pierwsze czułam mrowienie na skórze. Byłam tak podekscytowana, że go zobaczę! Chciałam zobaczyć jego twarz, całować jego usta, przytulić go mocno, usłyszeć jego głos i poczuć na sobie jego dłonie, po tym, jak mu powiem, że przyszedłam tu, aby z nim zostać, jeśli nadal mogę być jego. Po drugie miałam gęsią skórę, z czego zdałam sobie sprawę, gdy przechodziłam obok ja-

bloni odmian Macoun i Empire, Honeycrisp i Sansas.

Poczułam to dopiero obok drzew brzoskwiowych. Najpierw doszedł mnie niski odgłos buczenia, przypominający nieco sprzężenie w głośniku basowym. Zawołałam Leo, którego dostrzegłam, gdy przechodził szybkim krokiem ledwie parę rzędów drzew dalej. Mój głos zamienił buczenie w nieco lepiej rozpoznawalny dźwięk, który odbił się echem gdzieś z tyłu mojej głowy, przypominając o czymś na tyle znanym, że aż dostałam gęsiej skórki.

Wtedy je zobaczyłam.

Pszczoły.

Były wszędzie.

Odgłos buczenia okazał się brzęczeniem miliona owadów, które nagle zmaterializowało się w mojej głowie, nadchodząc w formie strasznej fali, która z hukiem rozbiła się o moją świadomość i spowodowała, że moje ciało momentalnie opanowało przerażenie. Chciałam uciekać.

Chciałam stać bez ruchu. Chciałam...

– Roxie? – dobiegł mnie głos Leo. Stał pod drzewem brzoskwiowym i zupełnie nie zwracał uwagi na chór miliona pszczół, obwieszczających sobie nawzajem, że tu jestem. „Witaj Cezarze, idący na śmierć cię pozdrawiają”⁴⁰.

⁴⁰ Pozdrowienie, którym wchodzący na arenę gladiatorzy witali Cezara.

– Och! – Udało mi się powiedzieć tylko tyle, zanim zaczęłam krzyczeć. Jedna pszczoła zabrzęczała mi koło ucha, druga przy nosie, a kilka innych zaczęło latać wokół mojej głowy. Ich pszczele nozdrza musiały wy-czuć promieniujący ode mnie strach. Rzuciłam Leo szybkie spojrzenie, a on od razu się zorientował, że jestem obłąkana.

Ale...

Przyszłam do tego sadu, aby odzyskać mojego mężczyznę.

A przynajmniej po to, aby mu powiedzieć, że chcę z nim być.

Zrobiłam jeden krok do przodu.

A następnie kolejny.

Pszczoły podążały za mną niczym koszmarna chmura unosząca się zaledwie parę centymetrów nade mną i rozważająca najlepszy sposób tortur. Miałam nagłą wizję latających małych unoszących wierzgającą Dorotkę i pomyślałam z nadzieją, że jeśli pszczoły gdzieś mnie zabiorą, ktoś

pewnie dopilnuje, aby moja matka dostała moje noże.

Wzięłam się jednak w garść i spróbowałam coś z siebie wydusić.

– Cześć, Leo. – Mówiłam przerywanym, trzęsącym się głosem, w którym czuć było narastającą panikę. – Chciałam z tobą porozmawiać... oj! Chciałam ci powiedzieć, że... cholera, prawie mnie użądliła! Ja... chciałabym...

– Jezu, Roxie! – krzyknął Leo, nie mogąc uwierzyć w to, że stoję tam otoczona chmurą pszczoł, próbując prowadzić normalną rozmowę. – Tylko oddychaj, dobrze?

– Tak, próbuję, ale nie bardzo mi wychodzi – powiedziałam. – Chodzi o to, że przyszłam, bo chciałam ci powiedzieć, że... A to suka! – Jedna z pszczoł mnie użądliła, co tylko potwierdziło nieprawdziwość teorii, że jak człowiek je ignoruje, one też go ignorują. – Wredna pszczoła... Au! – I jeszcze jedno użądlenie. Jedna usiadła na moim ramieniu, druga na uchu, i choć do tego momentu wszystko dzielnie znosiłam, kiedy jedna była na tyle bezczelna, aby usiąść mi na nosie, nie wytrzymałam.

Rzuciłam się do ucieczki i wpadłam prosto na Leo, z którego twarzy wreszcie wyczytałam zdrowy i słuszny strach. Oboje ruszyliśmy biegiem przez sad, wysoko podnosząc nogi w trawie i opędzając się od owadów. – W lewo, biegnij w lewo! – krzyknął, a ja posłusznie skręciłam w tę stronę, czując użądlenia na łydce i na łokciu.

Krzycząc, szarpiąc się, okładając i podskakując, wybiegliśmy wreszcie z sadu i wpadliśmy na polanę, na której skraju znajdowała się woda.

Wskoczyliśmy do głębokiego, zimnego stawu, od razu płynąc na sam środek, gdzie mogliśmy się zanurzyć, czując przyjemny chłód w miejscach po użądleniach. Pod wodą chwyciłam go za rękę i oboje na zmianę wynurzaliśmy się, aby złapać oddech i sprawdzić, gdzie jest pszczeli patrol.

W końcu pszczoły się nami znudziły i odleciały do sadu, wracając do objadania się leżącymi na ziemi owocami. Leo wyciągnął mnie na powierzchnię i przez moment staliśmy tak pośrodku stawu, w samym środku farmy. Włosy przykleiły mi się do twarzy, a nad łukiem brwiowym miałam rosnącą po użądleniu opuchliznę. Cała byłam pokryta gałązkami i modliłam się z całych sił, aby to coś, co właśnie okręciło mi się wokół kostki, było moją sznurówką.

– Co jest, do cholery, Rox...

Objęłam go rękami i zaczęłam mocno całować, aż oboje poszliśmy pod wodę. Jak tylko znów się wynurzyliśmy, od razu znów przylgnęłam do jego ust.

– Kocham cię. Kocham cię tak bardzo! Pragnę cię, pragnę wszystkiego. Pragnę małego miasta i domowych upraw. Pragnę tego wszystkiego... Może tylko bez pszczoł, ale jeśli pszczoły są częścią tego życia, zaakceptuję i cholerne pszczoły. Pragnę tylko być twoim Groszkiem...

Leo stał w wodzie w milczeniu, nadal trzymając mnie mocno jedną ręką i nie odpychając, ale też nie przyciągając bliżej.

Tak bardzo chciałam być bliżej. Tak bardzo chciałam być z nim.

– Chcę tu mieszkać, nie tylko latem. Chcę jesieni i zimy, i wiosny, chcę przejażdżek na wozie z sianem i potańcówek, chcę uniesień przy beczcze z deszczówką 4 lipca. Kocham cię, Leo, i chcę tego wszystkiego. –

Uśmiechnęłam się, nie czując już ani odrobiny strachu. Tak dobrze było mu to powiedzieć, powiedzieć mu wszystko. – Chcę prowadzić restaurację na kółkach i zajęcia z gotowania. Chcę lepiej poznać Polly, jeśli się na to zgodzisz, bo uważam, że jest niesamowita i myślę, że ty też jesteś niesamowity. I... – Jezu Chryste, oby to była moja sznurówka! Podniosłam nogę, okładając ją dłonią pod wodą i ochlapując przy tym zaskoczoną twarz Leo.

Wyraz zaskoczenia na jego twarzy zmienił się szybko w wyraz nadziei, a nadzieja przemieniła się w radość, która aż zaczęła od niego promieniować. Zanim jednak nim całkowicie zawładnęła, w jego głosie pojawiła się jeszcze mała obawa.

– Jesteś pewna, Groszku?

Poczułam w brzuchu motyle!

– Bo musisz wziąć pod uwagę nie tylko mnie. Jeśli chcesz mnie, musisz chcieć nas oboje. Nie mogę sobie pozwolić na przelotny związek. Albo stawiam wszystko, albo...

Na niebie świeciło popołudniowe słońce, rzucając złote promienie na połaną, tafłę wody i algi w jego nowej brodzie.

Owinęłam nogę wokół jego nogi i uśmiechając się, przyciągnęłam go bliżej.

– Stawiam wszystko, farmerze.

Epilog

Farmer. Nazwała mnie farmerem

Myślałem o tym, idąc przez pole z pszenicą ozimą i przesuając dłonią po wysokich kłosach. Powietrze było dziś rześkie, jeszcze nie chłodne, ale dało się już wyczuć zapach zimy, która miała nadejść za parę miesięcy.

Pszenicę ozimą zbiera się zwykle jako ostatnią, po jabłkach, które już zostały zmagazynowane na zimę. W końcu Roxie zrobiła mus jabłkowy. Polly uwielbia mus jabłkowy. Jadła go co roku, ale teraz wreszcie nauczyła się go robić sama. Uśmiechnąłem się, przypominając sobie popołudnia w kuchni na tyłach jadalni, kuchni wypełnionej słoikami, które moje dziewczyny w zaplecionych warkoczach ze śmiechem wypełniały słodkim przysmakiem.

Moje dziewczyny.

Roxie stanowczo obstawała przy mieszkaniu u siebie, i może dobrze. Jak tylko podjęła decyzję o powrocie do Bailey Falls, od razu postanowiła wyprowadzić się od matki, ale nadal chciała mieszkać w pobliżu niej. Znalazła więc wiejski domek w połowie drogi pomiędzy moim domem a domem mamy, zaledwie parę minut jazdy od miasteczka, które – jak twierdziła – było za małe, ale które w głębi sera tak naprawdę zawsze kochała.

Gdy poleciałem z nią do Los Angeles, aby spakować jej rzeczy, zauważyłem, że jej mieszkanie właściwie trudno było nazwać... cóż, domem. Było funkcjonalne i kuchnia oczywiście robiła wrażenie, ale nie było w nim nic, co można utożsamiać z Roxie.

Mimo że, jak twierdziła, w L.A. było całe jej życie, w ciągu jednego dnia udało nam się spakować wszystkie rzeczy i w jeden wieczór pożegnaliśmy się ze wszystkimi jej znajomymi. Jej hollywoodzkim przyjaciołom, Jackowi i Grace, było smutno, że wyjeżdża, ale obiecali, że jak tylko kiedyś będą w tej okolicy, na pewno dadzą znać.

Roxie wydawała się podekscytowana powrotem do domu, do nowego starego życia, i szybciej, niż ktokolwiek się spodziewał, wysprzątała przyczepę i wyposażywszy ją w konieczne sprzęty, otworzyła stoisko na kółkach. I tak narodziły się Ciasta Zombie, które zrobiły furorę. Za każ-

dym razem, gdy pokazywała się na targu farmerskim, na targu hrabstwa czy na jakimś prywatnym przyjęciu, ludzie od razu wykupowali wszystkie jej wypieki.

Uśmiechnąłem się na myśl o tym, jak wychyla się przez okienko z boku przyczepy, podając uszczęśliwionemu klientowi kawałek wysokiego na kilka pięter tortu kokosowego. Jej cycki w firmowej koszulce wyglądały wspaniale.

Doszedłem na skraj pola, zadowolony z grubych ziaren w kłosach.

Wkrótce mieliśmy zacząć żniwa, być może już pod koniec tygodnia. Nagle dobiegł mnie odgłos silnika dżipa jadącego bitą drogą przez farmę i odwróciłem się, słysząc dobiegającą z otwartych okien cichą piosenkę U2. Okazało się, że Polly też jest wielką fanką zespołu i piekąc ciasta, obie godzinami słuchały starych albumów.

– To dobre do tańczenia, tatusiu – poinformowała mnie córka pewnego popołudnia, kiedy przyłapałem je na podrygiwaniu przy przesiewaniu mąki.

Nie mogłem się nie zgodzić.

Skręciły raz jeszcze i zatrzymały się obok mnie, a ja podniosłem rękę, machając na powitanie. Roxie wyłączyła silnik, a Polly zaczęła walczyć z pasami, nie mogąc się już doczekać, aż wyskoczy z samochodu i przebiegnie wzdłuż rzędów pszenicy, jak to robiła za każdym razem, gdy tu przyjeżdżała.

– Cześć, tatusiu! – zawołała, gdy pomogłem jej odpiąć pas i podniosłem ją wysoko.

– Cześć, Sznycelku! Odrobiłaś zadanie domowe?

– Odrobiłam. Roxie mi pomogła. Zatrzymałyśmy się w jadłodajni po szkole i pani Trudy dała mi trochę ciasta.

– Mały kawałek – wytłumaczyła Roxie, patrząc na mnie zmieszonym wzrokiem. – A nawiasem mówiąc, kto daje siedmiolatkom zadania domowe?

– Ale mi to nie przeszkadza! Nauczyłam się odróżniać cumulusy od cumu... cumula... Jak one się nazywają?

– Cumulonimbusy – odpowiedziała jej Roxie, a Polly pokiwała energicznie głową.

– Tak, cumulonimbusy. To są różne rodzaje chmur.

– Rozumiem. A co to za chmury, te tam? – zapytałem, wskazując niebo i obserwując, jak się zastanawia i mruczy coś pod nosem, próbując rozszyfrować, co dokładnie znajdowało się nad naszymi głowami. Skorzystałem z okazji i przyciągnąłem do siebie Roxie, kradnąc jej całusa.

– Lepiej uważaj, farmerze – westchnęła, a jej oczy delikatnie zmieniły kolor na zielony. – Nie będę mieć oporów przed obmacaniem cię na oczach nieletniej...

– Będzie zajęta swoimi cumulonimbusami przez co najmniej dwadzieścia minut. – Uśmiechnąłem się szeroko, czując, że serce bije mi coraz mocniej. – Przynajmniej pozwól mi zajrzeć pod bluzkę... Będę udawać, że wleciała ci tam pszczoła.

– Nic z tego. Poza tym musimy zostawić sobie coś na później – odpowiedziała, ale jej oddech stawał się coraz szybszy.

– Nie mogę wpaść dziś wieczór, Groszku. Pani Nyland musiała się zająć swoją siostrą w Yonkers, więc mam nocny dyżur przy Polly.

Aby nie zaburzyć ustalonego porządku i rutyny, nie sypialiśmy razem u mnie. Roxie była co do tego stanowcza. Wpadała do nas codziennie, ale nigdy nie zostawała na noc. Miałem nadzieję, że to się zmieni raczej szybciej niż później, ale zostawiłem ten temat na inny dzień.

– O nie... Kilka osób ma u mnie dług wdzięczności i jedną z nich jest moja mama, która zgodziła się przyjść dziś wieczór i posiedzieć z Polly, więc możesz pojawić się u mnie pod oknem już po ósmej. Jeśli cię nie będzie... – Zatrzymała się, aby wziąć oddech, a jej oczy z każdą sekundą stawały się coraz bardziej zielone. – ...zacznę bez ciebie.

– Brzmi groźnie – jęknąłem i pocałowałem ją w usta, objąłem ją w pasie, czując pod palcami jej cudne krągłości. Zaczęła ciężiej oddychać, jak zawsze, gdy całowałem ją tak delikatnie jak teraz. Przesunęła rękami po mojej koszuli, przyciągając mnie do siebie, a gdy przysunąłem się do niej biodrami, otworzyła szerzej oczy.

– Czyżbyś miał w kieszeni orzechy? A może po prostu cieszysz się na mój widok? – zapytała, a wiatr rozwał jej miękkie loki.

Włożyłem dłoń do kieszeni i wyciągnąłem garść orzechów, na widok których roześmiała się i odrzuciła głowę. Uwielbiałem na to patrzeć.

– I to, i to – rzuciłem, nachylając się, aby ją jeszcze raz pocałować.

– Roxie! Myślę, że znalazłam cyrkusa! – Polly wskazała z radością na

niebo. – A tak w ogóle, to całowanie się jest obrzydliwe.

– Chyba chodziło jej o cirrusa – powiedziała Roxie ze śmiechem i ścisnąwszy moją rękę, pobiegła przez pole w kierunku mojej córki. Ukłękła obok niej i spojrzała w stronę, którą wskazywała Polly.

Moje serce niemal się roz płynęło, gdy tak patrzyłem, jak mój Sznycelek i Groszek obserwują razem chmury.

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Dedykacja

Podziękowania

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Epilog

